



ALEKSANDER DUMAS (OJCIEC)

**Trzej
muszkietierowie,
tom pierwszy**



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

ALEKSANDER DUMAS (OJCIEC)

Trzej muszkietierowie

TŁUM. NIEZNANY

TOM I

ŻYCIE I DZIEŁO ALEXANDRA DUMASA

Alexandre Davy de la Pailletterre Dumas urodził się dnia 24 lipca 1803 r. w Viellers-Coterets, w departamencie Aisne. W jego żyłach złączyła się błękitna krew francuskiego szlachcica z burzliwą krwią murzynki z San Domingo. Ojciec, piastujący w armji francuskiej godność generała, osierocił chłopca wczesnie, nie zostawiając rodzinie środków do życia, ponieważ nieustanne konflikty z Napoleonem stały na przeszkodzie jego karierze materialnej. Aleksander odziedziczył po nim atletyczną strukturę, żelazne zdrowie, usposobienie szerokie, radosne, fantazję i wielki spryt. Matka — wdowa nie mogła ponieść kosztów wykształcenia chłopca; jeżeli młody Dumas rozporządzał pewnymi wiadomościami z dziedziny historii i językoznawstwa, to jest to wyłącznie zasługą pastora Abbé Grégaine. Zresztą chłopiec nie okazywał zamiłowania do umysłowej pracy, mało interesował się nauką, jeszcze mniej literaturą, pociągały go natomiast wolne przestrzenie pól i rozległe obszary lasów, był zapalonym fechtmistrem i nieporównanym strzelcem, opanował wszystkie sporty, wszystkie rodzaje cielesnych ćwiczeń. Pozatem żył wesołym życiem hulaki i nieroba. Punktem wyjścia dla jego kariery literackiej stała się przyjaźń z młodym, zdolnym Szwedem, Adolfem z Leuven, który rzucił propozycję napisania do spółki kilku sztuk teatralnych. Dumas się zgodził: rzecz jasna, że pierwsze twory jego młodzieńczej muzy nie znalazły uznania w oczach paryskich dyrektorów.

Tymczasem położenie majątkowe rodziny pogorszyło się znacznie. W r. 1822 Aleksander zbiera dokumenty, pozostawione w spuściźnie przez ojca, zaopatruje się w polecające listy i wyjeżdża do Paryża, tam też znajduje posadę w kancelarji księcia Orleanu. Zarabia 1.500 franków rocznie, zdobywa mocną pozycję materialną, sprowadza do siebie matkę. Równocześnie zdaje sobie sprawę ze swego niedostatecznego wykształcenia, bierze się energicznie do pracy, czyta, studjuje, robi plany, chodzi do teatru — obserwuje efekty sceniczne, poczyną się orjentować w budowie sztuki teatralnej. Ogromne wrażenie wywierają na nim Szekspir i Schiller, ulega wpływom niemieckich romantyków. Wreszcie sam wstępuje w krąg działalności dramatycznej. Sztuką *Henryk IV i jego dwór* zdobywa sobie publiczność, usuwając czasowo w cień młodego Wiktora Hugo. Od tej chwili z pod pióra Dumasa wychodzi jeden dramat za drugim. Najpopularniejsze są: *Christine, Antony, Napoleon Bonaparte, Richard Darlington* i t. d. Jako powieściopisarz wystąpi dopiero później.

W międzyczasie wydaje szereg szkiców podróźniczych, olśniewających grotesek, wypełnionych po brzegi najefektowniejszymi nieprawdopodobieństwami: z podziwu godną bezczelnością zdaje szczegółowe relacje o krajach, w których nigdy nie był. Następnie rzuca na rynek księgarski kilka tomów nowel, za którymi idą powieści. *Rycerz z Hermentalu*, romans wydany w roku 1843, pasuje go na mistrza powieści historycznej. *Hrabia de Monte Christo* i *Trzej Muszkieterowie* zdobywają mu wielką sławę.

Nieprawdopodobne rozmiary jego dzieła (napisał 1200 tomów), dają pole dla sporów o autentyczność wielu spośród najlepszych jego powieści. Są podstawy, aby sądzić, że miał szereg współpracowników, którym powierzał opracowywanie swych potężnych pomysłów, podobnie jak wielki malarz powierza wykonanie draperyj lub mało znaczących grup uczniom. Umysł Dumasa był nazbyt rozległy, aby gubić się w drobiazgowej pracy, temperament nazbyt żywy, aby jednemu zagadnieniu poświęcić więcej niż jedną chwilę.

Rzecz jasna, że tak olbrzymi dorobek literacki dawał wielkie dochody, ale te były niczem wobec wydatków. Wydatki były niczem wobec potrzeb, a potrzeby przewyższały wytrzymałość tego herkulesowego organizmu. W roku 1870 autor *Trzech Muszkieterów*, zniszczony życiem, wyczerpany pracą, umiera w Puys, w posiadłości ziemskiej swego syna, przeżywszy lat 68.

Obok dramatów, komedyj, podróży i powieści, obejmuje spuścizna literacka Dumas także: kilka pamiętników, w których z dochodzącą nieraz do cynizmu szczerością opowiedziane są karkołomne przygody autora. Jakim był w życiu, takim pozostał w dziełach: człowiekiem bujnym, beztroskim, zaczepnym, pełnym fantazji i humoru, siły i przedsiębiorczości, człowiekiem żywym. Jego postacie są pełnokrwiste, takim też jest jego język.

Konstrukcja powieści Dumasa wyrosła z jego dramatu, jak kwiat wyrasta z łodygi, nie więc dziwnego, że dramat ten swoją wartością nieskończenie przewyższa. W perspektywie historycznej Dumas jest pierwszym romantykiem francuskim, jakkolwiek romantyzm ten ogranicza się tylko do zewnętrznego ujęcia wydarzeń. Jądro jego dzieła, to ani romantyzm, ani klasycyzm, tylko życie.

ROZDZIAŁ I. CZEM STARY D'ARTAGNAN WYPOSAŻA SYNA NA DROGĘ?

Pewnego poniedziałku kwietniowego roku 1625 w miasteczku Meung panował ruch tak niezwykle, jak gdyby na przykład wtargnęli doń hugonoci i zamierzali powtórzyć tego rodzaju krwawą sceny, jak w Roszelli.

Wielu mieszczan, widząc, jak kobiety uciekają w stronę ulicy Wielkiej, słysząc, jak dzieci wrzeszczą we drzwiach domów, co prędzej przywdziało pancerze i, wątpliwą odwagą swoją pokrzepiwszy muszkietem lub halabardą, podążyło w kierunku oberży pod *Wolnym młynarzem*, dokąd zbiegały się z głośnym zgłębkiem coraz większe, przejęte ciekawością tłumy.

W owych czasach popłoch tego rodzaju był chlebem powszednim. Żaden dzień nie mijał bez wypadku. To panowie darli się między sobą, to król z kardynałem wojował, to Hiszpan wojował z królem. Wreszcie poza temi wojnami, głuchymi lub głośnemi, jawnymi lub tajnymi, byli jeszcze rokoszanie, złodzieje, żebracy, hugonoci i wilki, rzucające się na wszystkich. Mieszczanie uzbrajać się musieli ciągle przeciw złodziejom i wilkom, często przeciw panom i hugonotom, a czasami nawet przeciwko królowi; ale przeciw kardynałowi i Hiszpanowi nie chwytały za broń nigdy. Dlatego też, w ów pierwszy poniedziałek kwietniowy 1625 roku, mieszczanie, usłyszawszy krzyki, a nie widząc ani czerwonożółtych żandarmów, ani barw księcia de Richelieu, które by ich przestraszały, rzucili się spieszenie ku oberży pod *Wolnym młynarzem*. Dopiero na miejscu każdy mógł zobaczyć i zrozumieć przyczynę zamieszania.

Był to młodzieniec... nakreśliłmy wizerunek jego jednym pociągnięciem pióra. Wyobraźcie sobie Don Kiszota w osiemnastym roku życia, Don Kiszota bez pancerza i nagolenników, Don Kiszota w kaftanie wełnianym, którego kolor niebieski przeszedł w odcienie to brudno-zielonkawe, to brudno-błękitne. Twarz pociągła i śniada, kości na policzkach wystające, wymowny znak przebiegłości, szczęki nadmiernie rozwinięte, nieomylna wskazówka pochodzenia gaskońskiego, oko rozwarłe i rozumne, wreszcie nos zagięty, lecz o linjach wykwintnych, za duży na młokosa, na człowieka zaś dojrzałego za mały. Mniej wprawnemu oku wydałby się on może podróżującym synem zagrodnika, gdyby nie długa szpada, która, zwieszona na skórzanym pasie, biła go po nogach, i gdyby nie wierzchowiec z najeżoną sierścią, którego dosiadał.

Bo młodzieniec nasz miał wierzchowca, i to tak niezwykle, że zwracał powszechną uwagę: był to podjezdek bearneński, mający już dwanaście do czternastu lat, maści żółtej, z ogonem pozbawionym włosa, którego brak nagradzały suto zarośnięte pęciny. Rumak ten wspaniały, choć głowę nosił niżej kolan, mógł jednak przebyć z osiem mil francuskich dziennie. Nieszczęściem, zalety wszelkie tej szkapy tak były ukryte pod sierścią niezwyklej barwy, tak były zamaskowane dziwaczną jego postawą, ani trochę nie czyniącą zadość wymaganiom regularności kształtów, iż w czasach owych, kiedy wszyscy znali się na koniach, zjawienie się takiego podjezdka w Meung, od strony Beaugency, sprawiło wrażenie źle usposabiające i względem samego jeźdźca.

A wrażenie to tem przykrzejsze było dla młodego d'Artagnana (tak się bowiem nazywał ten nowy Don Kiszot na swoim Rossynancie), iż czuł dobrze, że zabawny wierzchowiec ośmieszał nawet tak dzielnego jak on jeźdźca. Wzdychał też okrutnie w głębi ducha, przyjmując ten dar od pana d'Artagnana ojca. Wiedział, iż bydlę warte było najwyżej dwadzieścia liwrów, lecz słowa ojcowskie, towarzyszące temu darowi, nieskończenie wyższą posiadały cenę.

— Synu mój — prawil szlachcic gaskoński, tem narzeczem czysto bearneńskim, którego nawet Henryk IV-ty pozbyć się nigdy nie zdołał — synu mój, koń ten zrodzony jest w domu ojca twojego, będzie temu trzynaście lat, i dotąd w nim przebywał, więc kochać powinienś to zwierzę. Nigdy się z nim nie rozstań, dozwól mu spokojnie

i uczciwie umrzeć ze starości; a jeśli na wojnę z nim pójdziesz, oszczędzaj go, jakbyś starego sługę oszczędzał. Przy dworze — ciągnął dalej stary pan d'Artagnan — jeżeli tylko będziesz miał zaszczyt tam się dostać, do czego daje ci prawo twoje stare szlachectwo, godnie utrzyмай imię szlachcica, które przez przodków twoich zaszczytnie było noszone od pięciuset przeszło lat. Nie ustępuj nikomu, nikomu nic nie puszczaj płazem, prócz panu kardynałowi i królowi. Odwagą tylko, rozumiesz mnie, tylko odwagą szlachcic dziś sobie toruje drogę. Kto stchórzy na jedną sekundę, na zawsze wymyka mu się los, jaki mu zsyła fortuna. Młody jesteś i winienes być waleczny dla dwóch powodów: najpierw, że jesteś gaskończykiem, powtóre, że jesteś moim synem. Okazji nie unikaj, goń za przygodami. Kazałem ci wyćwiczyć we władaniu szpadą; żelazną masz nogę, a dłonie ze stali; bij się o byle co, bij się tembardziej, że pojedynki są zakazane, więc z tego wynika, że, aby się bić, trzeba mieć podwójną odwagę. Na drogę, mój synu, mogę ci dać tylko piętnaście talarów, mojego konia i te rady, których wysłuchałeś. Matka twoja daje ci jeszcze przepis na balsam, który od cyganki dostała, a ma on cudowną własność gojenia wszelkich ran, które nie dosięgły serca. Korzystaj z tego wszystkiego i żyj szczęśliwie przez długie lata. Już nic mi nie pozostaje ci udzielić, chyba dorzucić jeszcze ten przykład, wprawdzie nie z mego życia, bo ja nigdy na dworze nie byłem. Mówię tu o panu de Tréville, który ongiś był moim sąsiadem, a dzieckiem już miał zaszczyt dzielić zabawy z królem naszym Ludwikiem XIII, — niech go Bóg najdłużej nam zachowa! Niekiedy zabawy te w bitwę się przeistaczały, a król nie zawsze bywał silniejszy. Szturchańce, które odbierał, przejmowały go wielkim szacunkiem i przyjaźnią dla pana de Tréville. Później, w podróży swej do Paryża, pan de Tréville pojedynkował się aż pięć razy; od czasu śmierci starego króla, aż do pełnoletności młodego, nie licząc wojen i oblężeń, w których brał udział, bił się jeszcze siedem razy; no! a od czasu pełnoletności swej, aż do dziś, bił się razy ze sto! Dlatego, widzisz, dzisiaj, pomimo wszelkich zakazów królewskich, pomimo rozporządzeń i wyroków na pojedynkujących się, jest on kapitanem muszkietarów, co tyle znaczy, jak gdyby był wodzem legionu Cezarów, i król go wielce ceni, a strachem przejmuje on nawet kardynała, który, jak wszystkim wiadomo, niełatwo czego się złęknie. Co więcej, pan de Tréville doszedł do dziesięciu tysięcy talarów rocznego dochodu, zatem jest panem nielada. A zaczynał tak, jak ty dzisiaj. Otóż przedstaw mu się z tym listem, i wzoruj się na panu de Tréville, abyś, jak on, pokierował się w życiu.

To rzekłszy pan d'Artagnan ojciec własną ręką przypasał mu szpadę, ucałował czule w oba policzki, dodając błogosławieństwo ojcowskie.

Młodzieniec, wychodząc z pokoju, zastał matkę, czekającą nań z ową słynną receptą zbawiennego balsamu.

Tutaj pożegnania były czulsze i przeciągnęły się, nie dlatego, aby pan d'Artagnan nie kochał syna, który był jego jedynym potomkiem, ale że, jako mąż stateczny, uważałby za niegodne siebie dać się opanować wzruszeniu. Pani d'Artagnan zaś była tylko kobietą, a nadto była matką. Wylewała więc łzy obfite i, przyznać musimy na pochwałę pana d'Artagnan syna, że chociaż silił się być niewzruszonym, jak na przyszłego muszkietera przystało, wzięło w nim górę uczucie wrodzone, i łzy rzęsiście puściły się z jego oczu, a ledwie połowę ich ukryć mu się udało.

Tego jeszcze dnia młodzieniec wyruszył w drogę, zaopatrzony w trzy ojcowskie dary, składające się, jak powiedzieliśmy, z piętnastu talarów, konia i listu do pana de Tréville; rady zaś uważamy za dodatek do nich.

Z podobnem *vade mecum* d'Artagnan stał się dokładną kopją bohatera Cervantesa, z którym przy naszkicowaniu portretu porównaliśmy go, jak nakazywał nam obowiązek historyka. Don Kiszot brał wiatraki za olbrzymów, a za armję stado owiec, d'Artagnan postanowił poczytywać każdy uśmiech za zniewagę, a każde spojrzenie za wyzwanie. Z tego wynikło, że przez całą drogę od Tarbes aż do Meung trzymał zaciśnięte pięści i bez ustanku sięgał do rękoiści swej szpady, wszelako pięścią nie natrafił na żadną szczękę, a szpada ani razu nie była z pochwy dobyta. Nie znaczy to, aby na widok niefortunnego żółtego podjezdka, nie wykwitał uśmiech na obliczach przechodniów; ponieważ jednak ponad tą szkapą pobrzękiwała szabla poważnego wyglądu, a ponad nią świeciły oczy bardziej dzikie, niż dumne, powściągano uśmiechy, a gdy wesołość brała górę nad przecznością, usiłowano przynajmniej śmiać się półgębkiem tylko, na podobieństwo masek starożytnych. Tak d'Artagnan, pomimo drażliwości, w nienaruszonym majestacie

swoim dobił do nieszczęsnego miasta Meung.

Gdy zsiadał z konia przed bramą *Wolnego młynarza*, a nie było tam nikogo, ani stajenego, ani gospodarza, by strzeżąc mu przytrzymał, d'Artagnan spostrzegł przy otwartym oknie na dole szlachcica postawy pięknej i wyniosłej, z twarzą nieco pomarszczoną, który rozmawiał z dwiema osobami, słuchającami go z widocznym szacunkiem. Rzecz prosta, iż według przyjętego zwyczaju, d'Artagnan zaraz pomyślał, że on jest przedmiotem tej rozmowy. Słuchał więc. Tym razem do połowy się tylko pomylił, albowiem nie o niego, lecz o jego konia tam chodziło. Szlachcic słuchaczom swoim wyliczał wszystkie jego przymioty, a jak już mówiliśmy, słuchacze wyglądali na przejętych szacunkiem niemałym dla opowiadającego i co chwila wybuchali śmiechem. Jeden półśmiech, jak wiemy, wystarczał do rozbudzenia zapalczywości młodego d'Artagnana, łatwo pojmujemy więc, jakie sprawiła na nim wrażenie ta hałaśliwa wesołość.

Najpierw jednak d'Artagnan zapragnął zobaczyć, jak wygląda impertynent, który pozwala sobie żarty z niego stroić. Utkwił w nieznanym dumne spojrzenie i zauważył, iż był to mężczyzna od czterdziestu do czterdziestu pięciu lat, o oczach czarnych i przenikliwych, cerze bladej, z nosem mocno wydatnym i czarnymi, pięknie ułożonymi wąsami; miał on na sobie kaftan i spodnie fioletowe z plecionkami tegoż koloru, bez żadnej ozdoby, prócz zwykłych nacięć na rękawach, przez które przeglądała koszula. Ubranie to, jakkolwiek nowe, zmięte było tak, jak gdyby długo spoczywało w walizce podróźnej. D'Artagnan uczynił to spostrzeżenie szybko, ale drobniawo, jak gdyby przeczuwając, że osobistość owa ma w przyszłości wielki wpływ wyrzucić na jego życie.

Gdy wpatrywał się tedy w szlachcica w ubraniu fioletowym, ten był zajęty najuczciwszym i najbieglejszym wskazywaniem przymiotów bearneskiego podjezdka, dwaj zaś słuchacze śmieli się hałaśliwie, a dokoła ust opowiadającego, wbrew zwyczajowi, zarysował się widoczny, acz blade jeszcze uśmiech. Tym razem żadna już nie zachodziła wątpliwość, d'Artagnan był istotnie znieważany. Przeświadczony o tem najzupełniej, beret na oczy nacisnął i, usiłując naśladować ruchy wielkopańskie, podpatrzone w Gaskonii u przejeżdżających dostojników, zbliżył się z ręką na rękojeści szpady, a drugą wspartą na biodrze. Na nieszczęście, w miarę jak podchodził bliżej, gniew go zaślepiał coraz gwałtowniej, i zamiast pełnej godności przemowy, którą przygotował sobie dla rzucenia wyzwania, nie znalazł na końcu języka nic, prócz obelgi grubiańskiej, z towarzyszeniem gestu wściekłości.

— Hej! panie — zawołał — panie, co się tam za okiennicą chowasz! Powiedz mi, jeśli łaska, co cię tak bardzo śmiesz, a pośmiejemy się razem!

Zagadnięty przeniósł spokojnie wzrok z wierzchowca na jeźdźca, jak gdyby potrzebował pewnego czasu dla zrozumienia, że dzika ta przymówka jest skierowana do niego, następnie, gdy znikła wszelka wątpliwość, brwi jego naciągnęły się lekko, i po dość długim milczeniu, tonem ironji i nieopisanego zuchwalstwa, odpowiedział:

— Nie do ciebie mówię, mój panie.

— Ale ja mówię do ciebie, ja! — krzyknął chłopak, zrozpaczony tem połączeniem czelności i pięknych manier, konwenansu i pogardy.

Nieznanomy chwilę jeszcze popatrzył na niego i, oddalając się od okna, powoli wyszedł z zajazdu i stanął przed koniem o parę kroków od d'Artagnana. Spokój i drwiący wyraz jego twarzy, podwoiły wesołość towarzyszy, pozostałych przy oknie.

D'Artagnan, widząc, że się zbliża, chwycił szpadę i do połowy ją z pochwy obnażył.

— Koń ten stanowczo jest, a raczej był barwy jaskra polnego — ciągnął nieznanomy, zwróciwszy się do słuchaczy swoich z okna i jakby nie widząc d'Artagnana, albo wcale nie zważając na niego. — Kolor ten znany jest bardzo w botanice, lecz u koni, przynajmniej jak dotąd, był nader rzadki.

— Łatwo to z konia się śmiać, na to nie trzeba takiej odwagi, jak śmiać się z jego pana! — wykrzyknął z wściekłością współzawodnik Trévilla.

— Ja nie często się śmieję, mój panie — odrzekł nieznanomy — możesz to odgadnąć z mej twarzy; ale śmieję się wtedy, kiedy mi się podoba.

— A ja — krzyknął d'Artagnan — nie pozwalam, aby się śmiano wtedy, gdy ja nie chcę i gdy mi się nie podoba.

— Doprawdy? — ciągnął nieznanomy z większym, niż dotąd spokojem — A, to najzupełniej słuszne.

I, wykręciwszy się na pięcie, zmierzał z powrotem ku bramie zajazdu, gdzie stał jego osiodłany koń.

Lecz czyż d'Artagnan mógł puścić płazem takie drwiny? Porwał za szpadę i popędził za nieznajomym, krzyżąc:

— Obróć no się, obróć, panie wesoly, bo mogę cię wypadkiem uderzyć z tyłu.

— Ty chcesz mnie uderzyć! — odparł ten, naraz zwracając się do młodzieńca szybko z miną zdziwioną a zarazem wzgardliwą. — Zwarjowałeś widocznie, mój kochanku! — Potem dodał do siebie półgłosem: — Szkoda wielka! Pyszny byłby nabytek dla Jego Królewskiej Mości, który ze wszystkich stron szuka takich śmiazków do swoich muszkieterów.

Zaledwie domawiał tych słów, kiedy d'Artagnan tak gwałtownie na niego natarł, że, gdyby nagle w tył nie uskoczył, byłby prawdopodobnie żartował po raz ostatni w swym życiu. Wtedy nieznajomy zrozumiał, że przechodzi to już granicę żartów, dobył więc szpady i, przesadnie kłaniając się przeciwnikowi, stanął w pogotowiu. Lecz w tejże chwili owi dwaj słuchacze, wspomagani przez gospodarza, wpadli na d'Artagnana, z całych sił łomocąc go kijami, pogrzebaczami i szczypcami kuchennymi. Napad ten tak dalece postać rzeczy zmienił, że kiedy d'Artagnan odwrócił się, aby stawić czoło temu gradowi pocisków, przeciwnik jego z tą samą przesadą schował szpadę do pochwy, i z aktora walki, którym o mało co nie został, stał się tylko widzem, i z roli tej wywiązując się ze zwykłą sobie obojętnością, mruczał tylko przez zęby:

— Niech ich powietrze ogarnie, tych gaskończyków! Wpakujcie go na tego pomarańczowego konia i niechaj jedzie z Bogiem.

— Nie prędzej aż cię zatłukę, nikczemniku! — wrzeszczał d'Artagnan, nie ustępując ani kroku napastnikom, nacierającym na niego ze wszystkich stron.

— Zawsze ta gaskonada! — mruknął szlachcic. O! na honor, gaskończycy zawsze są niepoprawni. Kończcie już ten taniec, kiedy chce koniecznie. On wam sam powie, jak będzie miał dosyć.

Ale nie wiedział, z jakim ma do czynienia zapaleńcem; d'Artagnan był z tych, co nie ustępują nikomu ani na krok. Walka trwała jeszcze kilka chwil; na koniec, wyczerpany, upuścił szablę, którą uderzenie kijów przełamało na dwoje. Od innego znów uderzenia jednocześnie zraniony w czoło, padł na wznak skrwawiony i prawie zemdłony.

Wtedy to właśnie nadbiegano ze wszystkich stron na miejsce, gdzie się ta scena rozgrywała. Oberżysta, lękając się głośniejszej awantury, przeniósł przy pomocy stajennych rannego do kuchni, gdzie go zaraz opatrzone.

Szlachcic zaś wrócił na dawne miejsce u okna i z pewnem rozdrażnieniem przypatrywał się tej tłuszczy, która jakby go gniewała niepomierne.

— I cóż! jak się miewa szalenciec? — zapytał, zwracając się do oberżysty, który przyszedł go o zdrowie zapytać.

— Czy nic się waszej ekscelencji nie stało? — odezwał się oberżysta.

— Ja się zupełnie dobrze czuję, gospodarzu kochany, ale pytam właśnie, co się dzieje z naszym młokosem.

— Lepiej mu już — odrzekł gospodarz — ale wprzód zupełnie omdlał.

— Doprawdy? — pochwycił szlachcic.

— Lecz przed zemdleniem, zebrawszy wszystkie siły, wymyślał i odgrażał się panu.

— Toż to widocznie djabeł wcielony ten śmiałek — zawołał nieznajomy.

— O! nie, ekscelencjo, on djabeł wcale nie jest — odparł oberżysta ze skrzywieniem pogardliwym — bo, kiedy zrewidowaliśmy go, zanim odzyskał przytomność, w zawiniątku jego znaleźli tylko jedną koszulę, a w torbie marne dwanaście talarów; nie przeszkodziło mu to jednak przed zemdleniem powiedzieć, że gdyby to było w Paryżu, pożałowałbyś pan tego zaraz, lecz co się odwlecze, to nie uciecze.

— Więc to musi być jakiś przebrany książę — odrzekł nieznajomy chłodno.

— I ja tak myślę dostojny panie — odrzekł oberżysta — i powinienes się mieć na baczności.

— A czy w gniewie jakiego nazwiska nie wymienił?

— I owszem, uderzał się po kieszeni i mówił: Zobaczymy, co powie pan de Tréville, na zniewagę, jaką wyrządzono jego protegowanemu.

— Pan de Tréville? — podchwycił nieznajomy z zajęciem — uderzał się po kieszeni, wymawiając nazwisko pana de Tréville?... Słuchaj, gospodarzu, pewny jestem, że nie omieszkałeś przetrząsnąć tej kieszeni, kiedy był zemdlony. Co tam w niej było?

— List do pana de Tréville, kapitana muszkietierów.

— Doprawdy?

— Tak, jak to powiedziałem waszej ekscelencji.

Oberżysta, zbytnią bystrością nieobdarzony, nie zauważył wyrazu, jaki słowa jego wywołały na obliczu nieznajomego. Ten zaś, opuszczając okno, o którego framugę był oparty, zmarszczył brwi z wyrazem niepokoju.

— Co u diabła? — syknął przez zęby — czyżby Tréville nasłał mi tego gaskończyka? Młokos to co prawda! Pchnięcie szpady jednak nie przestaje być pchnięciem, bez względu na wiek tego, który je zadaje, a na dzieciaka, mniej się zwykle uważa, niż na kogo innego!... Czyż nieraz drobna na pozór przeszkoda nie pokrzyżowała wielkich zamiarów?

I nieznajomy pograżył się w zamyśleniu.

— Słuchaj, gospodarzu — rzekł — czy nie mógłbyś uwolnić mię od tego zapaleńca? Co prawda, zabić go nie mogę, a jednak — dodał z groźnym spokojem — a jednak zawadza mi. Gdzież on jest?

— W pokoju mojej żony, na pierwszym piętrze, opatrują go tam.

— Czy są przy nim łachmany jego i zawiniątko? Czy nie zdjął kaftana?

— Przeciwnie, w kuchni na dole wszystko to się znajduje. Lecz skoro panu ten szaleniec zawadza...

— Bez wątpienia. Jest on w twoim zajęzdzie przyczyną awantury z ludźmi przyzwotymi. Wracać do siebie, przygotuj rachunek i uprzędź mego służącego.

— Jaktto! Pan już nas opuszcza?

— Widzisz to przecie, skoro dałem ci rozkaz osiodłać mego konia. Czy nie zrobiono tego jeszcze?

— I owszem, i, jak to wasza ekscelencja mogła zauważyć, koń jego stoi w bramie, gotowy do podróży.

— Zrób zatem, co ci mówiłem.

— U! — rzekł w duchu oberżysta — miałzby on istotnie bać się tego chłopaka?

Lecz groźne spojzenie nieznajomego zbiło go z tropu. Skłonił się nisko i wyszedł.

— Nie trzeba, ażeby milady była przez tego dudka widziana — rzekł do siebie nieznajomy — powinnozby tu już niedługo nadjechać; spóźnia się nawet trochę. Najlepiej będzie, gdy wsiądę na konia i pojedę na jej spotkanie... Gdybym tylko mógł wiedzieć, co zawiera ten list do Trévilla!

I mruzcąc tak, skierował się do kuchni.

Oberżysta tymczasem, nie przypuszczając, by obecność młodego chłopca wypędzała nieznajomego z zajazdu, zaszedł do swojej żony, gdzie zastał d'Artagnana, już najzupełniej przytomnego. Dał mu tedy do zrozumienia, iż mógłby mieć jaką nieprzyjemność z policją za szukanie przezeń zaczepki z wielkim panem, gdyż, podług oberżysty, nieznajomy był niezawodnie magnatem. Przekładając to wszystko, gospodarz oberży wreszcie namówił go tak, że młodzieniec, pomimo osłabienia, powstał, by w dalszą puścić się drogę. D'Artagnan, na pół ogłuszony, z owiązaną głową i bez kaftana, ruszył się z miejsca i, naglony przez gospodarza, zwlókl się powoli ze schodów; lecz pierwszą osobą, którą spostrzegł, wszedłszy do kuchni, był wróg jego, rozmawiający najspokojniej w świecie przy drzwiczkach karety podróźnej, zaprzężonej w dwa wielkie konie normandzkie.

Kobieta, z którą rozmawiał, a której główka wyglądała z okna pojazdu, jak w ramki oprawna, mogła mieć dwadzieścia do dwudziestu dwóch lat najwyżej.

Mówiliśmy już o tem, z jaką szybkością baczne oko d'Artagnana zdawało sobie sprawę z każdego oblicza: więc odrazu spostrzegł on też, że kobieta jest młoda i piękna. Piękność ta tem więcej go uderzyła, iż nic nie miała wspólnego z południową prowincją, gdzie dotąd zamieszkiwał.

Była to blondynka, blada, z długimi włosami w lokach, spadającemi na cudne jej ramiona, o dużych a smętnych niebieskich oczach; ręce miała śnieżnej białości, a usta jak świeżo rozkwitłą różę. Rozmawiała z nieznajomym, wielce ożywiona.

— Jego emincencja zatem rozkazuje mi... — mówiła.

— Niezwłocznie powrócić do Anglii i donieść mi bezpośrednio, czy książę wyjeżdżał z Londynu.

— A co do innych zleceń? — zapytała piękna podróżna.

— Są one zawarte w tem oto pudełku, które pani otworzy, ale dopiero po tamtej stronie kanału.

— Dobrze... a co pan ze sobą zrobi?

— Ja powracam do Paryża.

— Nie ukarawszy tego zuchwałego chłopaka? — zapytała dama.

Nieznajomy zabierał się do odpowiedzi, lecz, zanim usta otworzył, d'Artagnan, który słyszał to wszystko, skoczył i stanął na progu.

— Oto jest właśnie ten zuchwały chłopak, który sam innych karze — zawołał — a jak na teraz mam nadzieję, że ten, którego ukarać powinien, nie wymknie mu się, jak za pierwszym razem.

— Czy tak? — odparł nieznajomy, marszcząc brwi.

— Nie, nie śmiałyś wobec kobiety uciekać, tak przypuszczam przynajmniej.

— Zastanów się — krzyknęła milady, widząc, że szlachcic już chwyta za szpadę — pomyśl, że najmniejsza zwłoka wszystko może zgubić.

— Masz słuszność — zawołał — jedźmy więc, każde w swoją stronę.

I skinąwszy jej głową na pożegnanie, skoczył na konia, a jednocześnie woźnica karety śmignął potężnie batem nad swoim zaprzęgiem. Ruszyli galopem, każde z nich pędząc w przeciwnym kierunku.

— Hej! hej! A rachunek niezapłacony — wrzeszczał gospodarz, którego względy dla podróżnego, we wzgardę się zamieniły, na widok, że odjeżdża, nie zapłaciwszy należności.

— Zapłać, gamajdo! — krzyknął w pełnym galopie podróżny na swego pacholka, który, rzuciwszy parę sztuk srebra pod nogi oberżysty, podążył za swoim panem.

— A! lotr. A! łajdak, szlachcicem podszyty! — krzyczał d'Artagnan, goniąc za obydwojema.

Lecz ranny nie odzyskał jeszcze o tyle sił, ażeby wytrzymać podobne wstrząśnienia. Zaledwie ubiegł kilka kroków, poczuł szum w uszach, świat zawirował mu przed oczami, nareszcie krwawa chmura zasłoniła mu oczy, i padł na środku drogi, wołając jeszcze:

— Podły! podły! podły!...

— To prawda, że podły — mamrotał oberżysta, podszedłszy do d'Artagnana i próbując jemu się teraz przypodobać i pogodzić się z biedakiem, jak owa czapla w bajce ze ślimakiem.

— Podły! podły!... — powtarzał d'Artagnan — ale ona bardzo piękna!

— Co za ona? — zapytał oberżysta.

— Milady — wybełkotał d'Artagnan i zemdlał po raz drugi.

— A! i tej milady nie mam — rzekł do siebie gospodarz — ha! chociaż ten mi pozostaje z pewnością, na kilka dni conajmniej. W każdym razie jedenaście talarów w zysku.

Wiadomo, że suma taka znajdowała się w sakiewce d'Artagnana.

Oberżysta liczył na jedenaście dni choroby, czyli po talarze na dobę.

Ale osoby chorego nie wziął wcale w rachubę.

Nazajutrz o piątej z rana d'Artagnan podniósł się, zeszedł sam do kuchni, zażądał, prócz innych rzeczy, których spis nie doszedł do nas, wina, oliwy, rozmarynu, i, z receptą macierzyńską w ręce, sporządził sobie balsam, którym liczne rany swoje namaściwszy, sam je opatrywał, nie chcąc dopuścić żadnego lekarza. Dzięki zbawiennym skutkom balsamu cygańskiego, a być może i nieobecności lekarzy, stanął na nogi jeszcze tego wieczora, a nazajutrz był już prawie wyleczony.

Kiedy przyszło płacić za rozmaryn, wino i oliwę, jedyny wydatek jego, sam bowiem djetę najściślejszą zachował, gdy przeciwnie żółty konik, jak dowodził oberżysta, zjadł trzy razy więcej, niż przypuścić było można, d'Artagnan znalazł wprawdzie w kieszeni swój podarty woreczek aksamitny z jedenastoma talarami, lecz list, adresowany do pana de Tréville, zniknął bez śladu. Począł więc z największą cierpliwością poszukiwać listu, po dwadzieścia razy wywracał kieszenie, szperał po mniejszych kieszonkach, grzebał w zawiniątku, otwierał i zamykał woreczek; ale, skoro nabral przekonania, że trzeba list uważać za stracony, wpadł w trzeci paroksyzm gniewu, co omal znów nie spowodowało powtórnego użycia wina i oliwy rozmarynowej; bo na widok tego zapaleńca, grożącego,

że wszystko, co w domu napotka, w drobne kawałki potłucze, jeżeli listu nie znajdzie, gospodarz znowu pochwylił za oszczep, połowica jego za miotłę, a parobcy za kije, te same, które poprzedniego dnia były w robocie.

— List! mój list polecający! — krzyczał d'Artagnan — albo klnę się, że wszystkich nadzieję na szpadę, jak jarzębki na rożen.

Nieszczęściem jednak, okoliczność pewna sprzeciwiała się spełnieniu tej groźby, bo w pierwszej walce szpada jego, jak mówiliśmy, została złamana na dwoje, o czym najzupełniej zapomniał. Z tego wynikło, że gdy d'Artagnan chciał ją z pochwy wydobyć, znalazł się uzbrojony, lecz tylko w odłamek na sześć czy osiem cali długi, który, gospodarz najstaranniej wsunął mu do pochwy, resztę klingi obciętej dla siebie sprzątnął i potem na szpikulec obrócił.

Prawdopodobnie jednak rozczarowanie to nie byłoby powstrzymało młodego zapaleńca, gdyby nie uwaga, uczyniona przez oberżystę, że gość jego słusznie tak ubolewa nad utratą listu:

— Ale, to prawda — odezwał się, opuszczając oszczep — gdzie może być ten list?

— Tak, gdzie ten list? — krzyczał d'Artagnan. — Powiadam wam, że to list do pana de Tréville i musi się znaleźć, już on na to poradzi! no! on na to poradzi!...

Groźba ta ostatecznie upamiętała oberżystę. Bo po królu i kardynale, pan de Tréville był człowiekiem, którego imię najczęściej powtarzali zarówno wojskowi jak i mieszczenie. Wprawdzie ojciec Józef żył jeszcze, lecz imię jego po cichu tylko wymawiano, taką groźą przejmowała Szara eminencja, jak nazywano samego kardynała. Odrzuciwszy więc oszczep na stronę i zalecając żonie, aby to samo uczyniła z miotłą, a parobkom z kijami, oberżysta pierwszy dał przykład szukania zatraconego listu.

— Czy ten list zawiera coś ważnego? — spytał po chwili nadaremnych szperań.

— Spodziewam się! — krzyknął gaskończyk, który miał nadzieję utworować nim sobie drogę do dworu — list ten stanowi o moim losie.

— Może w nim były obligi hiszpańskie? — pytał zaniepokojony oberżysta.

— Obligi na osobisty skarbiec królewski — odparł d'Artagnan, który, obiecując sobie przy pomocy listu wejść do służby Jego Królewskiej Mości, sądził, iż śmiało mógł tak odpowiedzieć.

— Tam do diabła! — jęknął zrozpaczony oberżysta.

— Mniejsza o to — kończył d'Artagnan z zacięciem, cechującym jego pochodzenie — pieniądze to jeszcze nie! Wolałbym tysiąc pistolów stracić, aniżeli to pismo.

Tak samo mógł powiedzieć o dwudziestu tysiącach, lecz wstrzymała go nieśmiałość młodzieńcza.

Zmożonemu poszukiwaniami oberżystyście nagła myśl strzeliła do głowy.

— Ten list wcale nie zginął — zawołał.

— A! — odezwał się d'Artagnan.

— Nie, on tylko został zabrany.

— Zabranym! a to przez kogo?

— A przez tego wczorajszego szlachcica. On był w kuchni i to sam jeden, a kaftan pański tam leżał. Założyłbym się, że to on ukradł.

— Tak myślisz? — odparł d'Artagnan, słabo jednak przekonany, bo lepiej, niż kto inny znał rzeczywistą doniosłość listu i nie widział w nim nic takiego, coby mogło obudzić cudzą pożądlivość. Bo cóżby kto, czy to z pacholków, czy z podróżnych, zyskać mógł na posiadaniu tego świstka.

— Mówisz zatem — ciągnął d'Artagnan — iż tego grubijańskiego szlachcica posądzasz...

— Mówię panu, bo pewny tego jestem — kończył oberżysta. — Kiedy mu oznajmiłem, że wasza dostojność jest protegowanym pana de Tréville i że nawet posiadasz list do tego znakomitego męża, wielce się zaniepokoił, pytając, gdzie może list ten się znajdować, poczem niezwłocznie udał się do kuchni, gdzie leżał pański kaftan.

— Więc to on jest tym złodziejem, który mnie okradł odparł d'Artagnan — poskarżę ja się panu de Tréville, a ten królowi się poskarży. — Potem, z miną majestatyczną, wydobył z kieszeni dwa talary i dał je oberżystyście, który z kapeluszem w ręce do drzwi go odprowadził. Tam d'Artagnan dosiadł żółtego rumaka, który bez żadnego już wypad-

ku doniósł go do bramy Ś-go Antoniego w Paryżu, gdzie został sprzedany przez swego właściciela za trzy talary, co znaczyło, że zapłacony był dobrze, bo d'Artagnan pędził go niemiłosiernie, od ostatniego popasu. Nie ukrywał też handlarz koni, który go nabył, że sumę taką daje tylko dla niezwyklej jego maści.

Teraz bez konia wszedł d'Artagnan do Paryża piechotą, z węzełkiem pod pachą, i po-ty chodził, aż znalazł pokoik do wynajęcia, odpowiedni do szczupłych jego funduszów. Siedziba ta była rodzajem poddasza, przy ulicy Grabarzy, w pobliżu Luksemburga. Skoro tylko dał zadatek, zajął swoje mieszkanie i resztę dnia przepędził na zaszywaniu kaftana i naszywaniu spodni galonami, które matka odpruła od kaftana starego pana d'Artagnana, i dała mu po kryjomu. Następnie udał się na bulwar de la Ferraille po nową klingę do szpady; zawrócił potem do Luwru, aby się wywiedzieć od pierwszego lepszego muszkietera, gdzie się znajduje dom pana de Tréville, a dom ten, jak usłyszał, stał przy ulicy Gołębiej, to jest w bliskim sąsiedztwie siedziby d'Artagnana, co poczytał tenże za dobrą wróżbę dla przyszłych swych losów.

I, zadowolony z zachowania swego w Meung, bez wyrzutów sumienia z przeszłości, ufny w teraźniejszość i pełen nadziei na przyszłość, legł na posłaniu i zasnął snem sprawiedliwego. Czysto parafiański jeszcze sen ów wytrzymał go do godziny dziewiątej z rana, zerwał się więc szybko d'Artagnan, by podążyć do sławnego pana de Tréville, trzeciej osoby w królestwie, według klasyfikacji pana d'Artagnana ojca.

ROZDZIAŁ II. PRZEDPOKÓJ PANA DE TRÉVILLE

Pan de Troisville, jak mieniła się rodzina jego w Gaskonii, albo de Tréville, jak wreszcie sam się przewał w Paryżu, zaczynał tak samo, jak d'Artagnan, czyli bez grosza przy duszy, ale z zapasem śmiałości, dowcipu i sprytu, które sprawiają, iż najuboższy szlachetka gaskoński, otrzymując je w spuściźnie po przodkach, bogatszym się staje, niż najzamożniejszy perigordzki szlachcic, dziedziczący dostatki po swoim rodzicu. Zuchwały, nieustraszony, szczęśliwy dzięki wypadkom, które jak grad padały w owych czasach, wyniesiony na szczyt stromej drabiny, jaka się zwie łaską u dworu, z pomocą również wypadków, po cztery szczeble przeskakiwał na niej od razu.

Był przyjacielem króla, który, jak wiadomo, czczył niezmiernie pamięć ojca swego Henryka IV. Ojciec pana de Tréville służył mu wiernie w wojnach przeciwko Lidze, tak, że przy braku gotówki, a brakło jej przez całe życie Henrykowi bearneńczykowi, który zwykle płacił długi jedyną monetą, jakiej pożyczać nie potrzebował nigdy, to jest własnym dowcipem, przy braku zatem gotówki dla wynagrodzenia mu zasług, król upoważnił go, po poddaniu się Paryża, do wzięcia sobie na herb lwa złotego na czerwonej tarczy, z godłem *fidelis et fortis*. Zaszczytu wiele, lecz korzyści materialnych za mało trochę. Kiedy też znakomity towarzysz wielkiego Henryka umarł, zostawił w spadku synowi tylko godło i szpadę. Dzięki tej podwójnej spuściźnie, z dodatkiem nieskazitelnego imienia, pan de Tréville przypuszczony został do dworu młodego księcia, gdzie, wierny godłu swemu, tak dzielnie szpadą mu służył, że Ludwik XIII, jeden z lepszych szermierzy swego królestwa, mawiał, iż, gdyby miał przyjaciela, któremu przyszłoby pojedynkować się, radziłby mu wziąć na świadka najpierw Ludwika, a potem pana de Tréville, a nawet może wpierv jeszcze wybrałby tego ostatniego.

Miał też Ludwik XIII szczerę przywiązanie do pana de Tréville, przywiązanie królewskie wprawdzie, samolubne, ale bądź co bądź zawsze przywiązanie. Bo w owych nieszczę-nych czasach starano się usilnie otaczać takimi ludźmi, jak pan de Tréville.

Wielu bowiem mogło szczyć się godłem: *silny*, lecz mało szlachty mogło zasłużenie nosić dewizę: *wierny*. Do ostatnich jednak należał de Tréville. Był to człowiek rzadki, z posłuszeństwem psa, odwagą ślepi, okiem bystrem i potężną dłonią, któremu wzrok dany był jakby tylko po to, aby dojrzeć niezadowolone królewskie z jakiej osoby, a ręka, aby winowajcę uderzyć, chociażby nim był Besme, Maurevers, Poltrot, de Mere, czy Vitry. Potrzeba mu było tylko sposobności; czyhał na nią i obiecywał sobie ją pochwycić choćby za jeden włos, skoro nawinęłaby się mu pod rękę.

Zrobił go też król wodzem muszkieterów, którzy w przywiązaniu, posuniętem do fanatyzmu, byli dla Ludwika XIII-go tem, czem przyboczna straż dla Henryka III-go, a straż szkocka dla Ludwika XI-go.

Kardynał zaś i pod tym względem nie chciał ustępować królowi. Gdy ujrzał tych groźnych wybrańców, którymi otoczony był Ludwik XIII, zapragnął także straż swoją posiadać. Miał więc i on swoich muszkietierów, i można było widzieć, jak dwie te, współzawodniczące z sobą potęgi, w poczet swój ze wszystkich prowincyj francuskich, a nawet z pod cudzoziemskich rządów, rekrutowały ludzi, sławnych z dzielności rycerskiej. Król też i kardynał często wieczorami, przy szachach, wszczynali sprzeczki o zalety swoich obrońców.

Jak jeden, tak drugi wychwalał postawę i męstwo tych, którzy należeli do niego; i obaj, potępiając w zasadzie pojedynki i burdy, sami podzegli ich z cicha do zaczepek, odczuwając prawdziwy żal lub radość niepomiarłą z porażki lub zwycięstwa swoich ludzi. Tak przynajmniej głoszą pamiętniki człowieka, który w zapasach tych pokonany był czasami, lecz najczęściej stawał się zwycięzcą.

Tréville, poznawszy słabą stronę swego pana, zawdzięczał tej przebiegłości długotrwałą i niezmierną łaskę króla, który nie pozostawił po sobie pamięci zbyt wiernego w przyjaźni. Wiedząc, czem się przypodobać Ludwikowi, popisywał się filuternie swymi muszkietierami przed kardynałem Armandem Duplessis, na co jeżyły się złością siwe wąsiki jego eminencji.

Tréville pojmował należycie ducha swojej epoki, kiedy się żyło kosztem, jeżeli nie swoim, to własnych ziomków: żołnierze jego był to legion djabłów, jemu tylko ulegli, dla niego tylko znający karność.

Rozczochrani, podpici, pokieraszowani, muszkietierowie króla a raczej pana de Trévillle, rozpraszali się po szynkach, spacerach, miejscach publicznych, hałasując, podkręcając wąsa, brzęcząc ostrogami, z rozkoszą bezgraniczną potrącając straż kardynalską, przy pierwszym spotkaniu i pośrodku ulicy dobywając szpady z żarcikami nieskończonemi, bo pewni byli, że w razie śmierci oplakiwani i pomszczeni zostaną niechybnie; często nawet zabijali przeciwników z najzupełniejszym spokojem, wiedząc dobrze, iż za to nie zgniją w więzieniu, był bowiem jeszcze pan de Tréville, który umiał się za nimi wstawić. Jakże też go na wszystkie tony wychwalali ci ludzie, jak go uwielbiali, i choć przeważnie nicponie i włóczęgi, drżeli przed nim, jak żaki przed nauczycielem, posłuszni na każde skinienie, gotowi dać się zabić, byleby oczyścić się przed nim z najmniejszego zarzutu.

Używał on też tej dźwigni potężnej, najpierw dla króla i jego stronników, potem dla siebie i swoich przyjaciół. Zresztą w żadnym z ówczesnych pamiętników, a niemało ich pozostało, niema śladu najmniejszego zarzutu przeciw temu zacnemu szlachcicowi, nawet ze strony jego nieprzyjaciół, których liczył sporo pomiędzy ludźmi zarówno pióra, jak broni. Przy genialnych zdolnościach do intryg, stawiających go na równi z najpotężniejszymi, pozostał człowiekiem uczciwym. Co więcej, pomimo cięć, które szpecą ciało, i ciężkich ćwiczeń, które je nużą, stał się jednym z najpożądańszych gości w towarzystwach kobiecych, najwykwintniejszym zalotnikiem i najwyrafinowańszym dowcipni-
siem swojego czasu; mówiono o zwycięstwach buduarowych Trévilla tak, jak przed dwudziestu laty o Bassompierre, a to znaczyło niemało. Dowódca muszkietierów był zatem podziwiany; lękano się go i kochano zarazem, co stanowi najwyższy szczyt powodzenia ludzkiego.

Ludwik XIV pochłaniał mniejsze gwiazdy dworu w promieniach swojej jasności; ojciec jego zaś, jako słońce *pluribus impar*, pozostawiał blask osobisty każdemu z ulubieńców swoich, każdemu z dworzan własną jego wartość. Oprócz przyjęć porannych u króla i kardynała, liczone owego czasu w Paryżu dwieście przeszło innych, także poszukiwanych. Pomiędzy niemi najbardziej ubiegano się o przyjęcie u Trévilla.

Dziedziniec jego pałacu przy ulicy du Vieux-Colombier podobny był do obozu, latem już od godziny szóstej z rana, zimą od ósmej. Pięćdziesięciu do sześćdziesięciu muszkietierów luzowało się tam ciągle, aby każdy widział ich w tak potężnej liczbie, a przytem zbrojnych zawsze i gotowych na wszystko. Wzdłuż wielkich schodów, w których klatce dzisiejsza cywilizacja dom cały zbudować by mogła, mijali się bezustannie ci i owi interesanci paryscy, przychodzący z przeróżnymi prośbami, szlachta z prowincji, pragnąca być przyjęta w poczet muszkietierów, i służba wszelkiej barwy, wygalowana, przynosząca panu de Trévillle listy od swoich panów. W przedpokoju na ławkach pod ścianami rozsiedli się wybrańcy raczej, niż ci, co zostali wezwani. Od rana do wieczora było tam gwarno, a tymczasem pan de Tréville przyjmował wizyty w gabinecie obok przedpokoju, słuchał

zażaleń, wydawał rozkazy, i, jak królowi na balkonie w Luwrze, tak jemu dość było stanąć w oknie, ażeby odbyć przegląd ludzi swoich i broni.

W dniu, kiedy znalazł się tam d'Artagnan, zebranie było imponujące, zwłaszcza dla parafjanina, przybyłego z prowincji; co prawda, był on gaskończykiem, a w owych czasach szczególnie jego ziomkowie nie tracili przy byle czem swej junackiej fantazji. Lecz wejście to onieśmieliłoby niejednego. Po przedostaniu się przez ciężką, wielkimi gwoźdźmi nabijaną bramę, wpadało się od razu pomiędzy zbrojne zastępy, snujące się po dziedzińcu, wyzywające się na słowa, sprzecząc się i swawolące zarazem wesoło. By utorować sobie przejście pośród tych fal wirujących, trzeba było być oficerem, wielkim panem, lub ładną kobietą.

Owóż pośród takiej wrzaskliwej zgrai i zamieszania przebiegał się młodzieniec nasz z sercem bijącym, długi rapir swój przyciskając do chudych nóg, rękę trzymając przy kapeluszu, z półumiechem, zwykłym u parafjanina, chcącego dodać sobie pewności. Gdy się przez jedną gromadkę przecisnął, oddychał wtedy swobodniej; lecz czuł, że oglądano się za nim, i po raz pierwszy w życiu, on, który dobre miał dotąd wyobrażenie o sobie, śmieszy się sobie wydawał.

Gorzej było jeszcze, gdy doszedł do schodów: na pierwszych stopniach stało czterech muszkietarów, fechtujących się z sobą dla rozrywki, a dziesięciu, czy dwunastu ich towarzyszy, zajmując platformę schodową, oczekiwało na swoją kolej w szermierce.

Z czterech pierwszych jeden, stojąc ze szpadą w ręce na wyższym stopniu schodów, nie pozwalał trzem innym bliżej podejść.

Ci trzej zaś z prawdziwą zręcznością napadali na niego szpadami.

D'Artagnan wziął zrazu broń tę za florety z galkami, lecz przekonał się wkrótce po zadrażnieniu, że broń to była spiczasta i wyostrzona należycie, a za każdym zadrażnieniem nie tylko widzowie, lecz i szermierze sami śmiali się, jak szaleni.

Stojący na wyższym stopniu, z zadziwiającą zręcznością trzymał przeciwników swoich w oddaleniu.

Otoczono ich kołem: warunek był taki, że ugodzony winien był odstąpić od partji. W przeciągu pięciu minut trzech było drażniętych, jeden w rękę, drugi w broń, trzeci zaś po uchu, przez obrońcę schodów, który w tych ćwiczeniach pozostał bez najmniejszego szwanku. Zręczność ta dawała mu prawo, według umowy, po trzykroć z kolei bronić swojego stanowiska.

Jakkolwiek d'Artagnan postanowił nie dziwić się byle czemu, przeczuwając, iż zobaczy wiele rzeczy zupełnie nowych dla siebie, rozrywka ta zastanowiła go jednak; widział on na prowincji swojej, gdzie głowy są tak łatwo zapalne, dużo ćwiczeń szermierskich, lecz gaskonada tych czterech fehmistrzów najdoskonalszą mu się wydała, o jakiej usłyszeć kiedykolwiek mógł nawet w Gaskońji. Zdawało mu się więc, że przeniesiony jest w owe bajeczne kraje olbrzymów, gdzie ongi dostał się Guliwer. A jednak nie na tem koniec: pozostawała mu jeszcze platforma i przedpokój.

Tam już się nie bito, lecz opowiadano sobie anegdoty o kobietach, w przedpokoju zaś dworskie historyjki. Na platformie rumieniec wystąpił na lica d'Artagnana, w przedpokoju młodzieniec zdrzał.

Wyobraźnia jego, rozbudzona i nieokiełznana, która czyniła go postrachem dla dziewcząt pokojowych, a niekiedy i dla młodych ich pań, w chwilach szału nawet nie śniła tych cudów miłosnych i zwycięstw, spotęgowanych najbardziej znanymi imionami i najjaskrawszymi szczegółami. Lecz jeżeli obyczajność jego zadrażniona została na platformie schodów, w przedpokoju szacunek jego dla kardynała nadwierzony został niesłychanie.

Tam ze zdumieniem usłyszał głośną krytykę polityki, która trzęsła całą Europą, życie zaś prywatne kardynała, za roztrząsanie którego tylu możnych i wielkich ukaranych już było, życie tego wielkiego człowieka, tak czczonego przez pana d'Artagnana ojca, tutaj służyło za pośmiewisko muszkietarom pana de Tréville, którzy szydzieli z jego pałkowatych nóg i wypukłych pleców, a nawet śpiewali piosnki o pani d'Aiguillon, jego kochance, o siostrzenicy, pani de Combalet, gdy inni znowu namawiali się przeciw paziom i straż przybocznej księcia-kardynała.

Jednakże, gdy niechcący imię królewskie wyrwało się komuś niespodzianie wśród tego kardynalskiego bigosu, wnet jakby knebel zamykał na chwilę drwiące usta; spoglądano z wahaniem dokoła, jakby się lękając, aby nie zdradziła ściana, dzieląca ich od gabinetu

pana de Tréville; wkrótce też najmniej znaczące słówko zwracało rozmowę na eminencję i koncepty zaczynały się na nowo, nie szczędząc światła dla wszystkich jego postępów.

— O! wszyscy ci niezawodnie pójdą do więzienia, a potem na szubienicę — myślał ze zgrozą d'Artagnan — a może i ja z nimi razem, bo skoro ich słuchałem i słyszę, uważany będę za ich współnika. Coby na to mój ojciec powiedział, on, który mi cześć dla kardynała tak usilnie zalecał, coby powiedział, gdyby mnie zobaczył w tej pogańskiej kompanji?

Nikt o tem powątpiewać nie będzie, iż d'Artagnan nie ośmielił się wmieszać do rozmowy; otworzył tylko oczy i uszy, pięć zmysłów chciwie wyteżając, aby pochwycić wszystko i, pomimo zalecań ojcowskich, czuł w sobie ochotę nie ganić, lecz raczej chwalić rzeczy niesłychane, które się tam odbywały.

Ponieważ jednak obcym był zupełnie tej zgrai dworaków pana de Tréville i po raz pierwszy go tam widziano, zapytano zaraz, czego chce. Na zapytanie to d'Artagnan skromnie wymówił swoje nazwisko, przekonawszy o pochodzeniu swem, jako ich spółziomka i prosił pokojowca, który go właśnie pytał, aby dlań zachował chwilę posłuchania u pana de Tréville, co tenże przyrzekł uczynić we właściwym czasie.

Przyszedłszy trochę do siebie z pierwszego oszołomienia, d'Artagnan począł rozglądać się swobodnie, badając potrosze ubiory i twarze.

Punkt środkowy najbardziej ożywionej gromadki stanowił muszkieter wzrostu wysokiego, z obliczem wyniosłem i w dziwnym stroju, który zwracał ogólną uwagę.

Nie miał na sobie kaftana, przepisanego regułami, co zresztą nie było obowiązującym w owej epoce, w owych czasach nie tyle swobody, ile niezależności. Nosił na sobie obcisły żupan błękitny, zblakły i wytarty nieco, na którym połyskiwała wspaniała szarfa szeroka, haftowana złotem i mieniąca się blaskiem, jak powierzchnia wody na słońcu. Płaszcz aksamitny karmazynowy z wdziękiem opuszczał mu się z ramion, z przodu odsłaniając tylko świetną szarfę, przy której zwieszał się ogromny rapier.

Muszkieter powracał właśnie z warty i skarżył się, iż jest mocno zakatarzony, kaszląc od czasu do czasu z przesadą. Okrył się też datego płaszczem, jak głosił dokoła, a mówiąc to z miną wyniosłą, dumnie pokręcał węża, gdy tymczasem podziwiano z zapalem szarfę haftowaną, a d'Artagnan podziwiał jeszcze więcej, niż wszyscy.

— Cóż chcecie — mówił muszkieter — moda taka nastaje; wiem, że to głupstwo, ale modne. Zresztą trzeba przecież użyć na coś pieniędzy z rodzinnej sukcesji.

— O, *Porthosie!* — wykrzyknął jeden z obecnych — nie próbuj nawet wmówić w nas, iż szarfa ta z rodzicielskiej hojności ci się dostała; prędzej ci ją ofiarowała ta zakwefiona dama, z którą spotkałem cię zeszłej niedzieli przy bramie Ś-go Honorjusza.

— Nie, na honor, słowo szlacheckie daję, iż sam ją kupiłem za własne pieniądze — odparł ten, którego Porthosem nazwano.

— Tak — odezwał się inny muszkieter — tak samo, jak ja kupiłem ten woreczek nowy za to, co moja luba włożyła mi do starego.

— Mówię prawdę — podchwycił Porthos — a dowód najlepszy, że powiem wam, ile za nią zapłaciłem: dwanaście pistołów.

Zachwył spotęgował się, wątpliwość jednak pozostała jeszcze.

— Wszak prawda, *Aramisie?* — zapytał Porthos, zwracając się do innego muszkietera.

Ten stanowił najzupełniejszy z nim kontrast. Był to chłopiec młody, od dwudziestu dwóch do trzech lat zaledwie, z obliczem łagodnym i niewinnym, ze słodkim spojrzeniem czarnych oczu, z twarzą różową i zdobną w lekki puszek, jak brzoskwinia w jesieni. Zgrabny wąsik rysował mu nad ustami linję najregularniejszą; ręce jakby się obawiały opuszczać ku dołowi, by na nich nie nabrzmiały żyły; od czasu do czasu szczypał się w uszy, dla utrzymania na nich lekkiego i przejrzystego szkarłatu. Mówił zazwyczaj mało i powoli, kłaniał się często, śmiał się głośno, pokazując piękne zęby, o które, jak i o całą swą osobę, widocznie dbał niepomiernie.

Na pytanie przyjaciela odpowiedział potwierdzającym skinieniem głowy.

Potwierdzenie to jednak jakby bardziej jeszcze umacniało wszelkie powątpiewania co do szarfy; podziwiano ją ciągle, lecz nie mówiono już o niej, a rozmowa przeszła na inny przedmiot.

— Co myślicie o opowiadaniu koniuszego pana de Chalais? — zapytał inny znowu muszkieter, nie zwracając się do nikogo wyłącznie, lecz do wszystkich w ogólności.

— A cóż on opowiada? — zapytał Porthos tonem wyniosłym.

— Opowiada, iż spotkał w Brukselli Rocheforta, tę duszę kardynałowi zaprzedaną, a spotkał go w przebraniu kapucyńskim, dzięki któremu oszukał tego dudka, pana de Laigues.

— Prawdziwego dudka — wtrącił Porthos — ale czy to pewne?

— Dowiedziałem się o tem od Aramisa — odparł muszkieter.

— Doprawdy?

— E! wiesz przecie sam o tem, Porthosie — odezwał się Aramis — wczoraj ci to opowiadałem, nie mówmy już o tem.

— Nie mówmy już o tem? tak sądzisz? — odparł Porthos. — Nie mówmy! o! ty djabło szybko załatwiasz się ze wszystkim! Jakto? Kardynał każe szpiegować szlachcica, przejmować korespondencję jego przez zdrajcę, rozbójnika, wisielca, przez tego szpiega; i dla owej korespondencji ścinają głowę panu de Chalais, pod głupim pozorem, że chciał zabić króla, i brata królewskiego ożenić z królową?... Dotąd... nikt ani trochę nie rozumiał tej zagadki, tyś ją odkrył nam wczoraj, z wielkiem dla nas wszystkich zadowoleniem, a kiedy jeszcze nie możemy opamiętać się ze zdziwienia, dzisiaj powiadasz: nie mówmy już o tem!...

— Ha! to mówmy, kiedy sobie tego życzysz — odparł z całą cierpliwością Aramis.

— O! gdybym był koniuszym tego biedaka de Chalais — zawołał Porthos — Rochefort miałby się z pyszna odemnie.

— A ty od *Czerwonego księcia* — zauważył Aramis.

— A! Czerwony książę! brawo! brawo! — podchwycił Porthos, klaszcząc w dłonie i przytakując głową. — Pyszny jest ten Czerwony książę. Puszczę ja twój koncept w obieg, możesz być tego pewny. Jakiż ten Aramis dowcipny! Co za szkoda, żeś nie poszedł za swoim powołaniem, rozkoszny byłby z ciebie książęulek.

— O! to tylko chwilowa zwłoka — odparł Aramis — wiesz przecie dobrze, że nie przestają uczyć się teologii.

— Wcześniej czy później, stanie się tak, jak mówi — dodał Porthos potakująco.

— Wcześniej — podchwycił Aramis.

— On tylko na jedną rzecz czeka, któraby go skłoniła ostatecznie do przywdziania sutanny — odezwał się jeden z muszkieterów.

— A na cóż czeka? — zapytał inny.

— Na to, aż królowa obdarzy spadkobiercą koronę francuską.

— Nie żartujmy z tego, panowie — rzekł Porthos — królowa, dzięki Bogu, jest w tym wieku, że może Francję obdarzyć potomkiem.

— Mówią, że pan de Buckingham jest we Francji — odparł Aramis z przebiegłym uśmiechem, który tym, na pozór zwyczajnym zupełnie słowem, nadał podejrzane trochę znaczenie.

— Aramisie, mylisz się tym razem, mój przyjacielu — przerwał mu Porthos — żyłka dowcipkowania za daleko cię ponosi... i gdyby cię usłyszał pan de Tréville, przekonałby cię, że bardzo nie w porę żartujesz.

— Cóż to?... chcesz mi dawać nauki?... Porthosie! — krzyknął Aramis, a w jego łagodnych oczach zapłonęły błyskawice.

— Mój drogi, bądźże muszkieterem, albo opatem, ale nigdy jednym i drugim jednocześnie — odpowiedział Porthos.

— Powiem, co ci Athos kiedyś powiedział: ty jadasz ze wszystkich żłobów. O! nie gniewaj się, proszę... byloby to daremne, wiesz przecie, jaką umowę mamy między sobą, ty, Athos i ja. Ty chodzisz do pani d'Aiguillon i umizgasz się do niej; bywasz także u pani Bois-Tracy, krewnej pani de Chevreuse, i powiadają, iż bardzo posunięty jesteś w łaskach u tej pani. O! nie przyznawaj się do swego szczęścia, nikt tajemnicy twojej nie żąda, bo znana jest twoja delikatność. Skoro jednak posiadasz tę cnotę, czemuż, u diabła, nie robisz z niej użytku i względem Jej Królewskiej Mości. Niech kto chce i jak chce zajmuje się królem i kardynałem; lecz królowa jest świętością, i jeżeli mówić o niej, to mówić dobrze.

— Porthosie, jesteś przesadny i zarozumiały, jak Narcyz, ostrzegam cię — odrzekł Aramis — moralów nienawidzę, chyba tylko, gdy Athos je prawi. Co do ciebie, mój drogi, zanadto wspaniałą masz szarfę, abyś w tej sztuce moralizatorskiej był mocny. Będę

opatem, jeśli mi się spodoba; tymczasem jednak jestem muszkietierem; a z tej racji mówię, co mi się podoba, a obecnie podoba mi się powiedzieć, że niecierpliwisz mnie.

— Aramisie!

— Porthosie!

— E! panowie! panowie!... — zawołano ze wszystkich stron.

— Pan de Tréville czeka na pana d'Artagnan — odezwał się pokojowiec, otwierając drzwi od gabinetu.

Na słowa te, przy których drzwi zostały otwarte, wszyscy zamilkli, i, wśród tej ciszy ogólnej, młody gaskończyk przeszedł całą długość przedpokoju i stanął przed wodzem muszkietierów, z całego serca wieszając sobie, że w samą porę uniknął końca tej osobliwej sprzeczki.

ROZDZIAŁ III. POSŁUCHANIE

Pan de Tréville był właśnie w jak najgorszym usposobieniu; pomimo to grzecznie powitał młodzieńca, który skłonił mu się do ziemi i uśmiechnął się na przemówienie jego, w którym akcent bearneński przypomniał mu młodość i kraj jego; wspomnienie to zawsze miłe jest każdemu człowiekowi. Jednocześnie jednak, podchodząc do przedpokoju, skinął w stronę d'Artagnana ręką, jakby prosił go o pozwolenie załatwienia się z innymi, zanim wda się z nim w rozmowę, i zawołał po trzykroć, a za każdym razem głos, potęgując się, przechodził z tonu rozkazującego w mocno zagniewany.

— Athos! Porthos! Aramis!...

Dwaj muszkietierowie, z którymi zawarłszy już znajomość, wysunęli się z gromadki, a skoro próg gabinetu przestąpili, drzwi zaraz się za nimi zamknęły. Postawa ich, jakkolwiek niezbyt pewna siebie, wyrazem, pełnym godności i uszanowania, w zachwyt wprowadziła d'Artagnana, który półbogów widział w tych ludziach, a w wodzu ich Jowisza olimpijskiego, zbrojnego we wszystkie pioruny.

Kiedy już dwaj muszkietierowie weszli, a drzwi się za nimi zamknęły i gwar w przedpokoju, podsycony zapewne tem wezwaniem, wszczął się też na nowo, pan de Tréville, milczący, z brwiami ściągniętymi, przemierzył kilkakrotnie wielkimi krokami gabinet, mijając za każdym razem Porthosa i Aramisa, jak struny wyciągniętych, i zatrzymał się raptem przed nimi, patrząc wzrokiem zagniewanym.

— Czy wiecie, co król mi powiedział? — wrzasnął — i to wczoraj wieczorem; czy wiecie panowie?

— Nie — odpowiedzieli po chwili milczenia obaj muszkietierowie — nie, panie, nie wiemy.

— Ale spodziewamy się, że pan zrobi nam zaszczyt i powie — dodał Aramis miękkim głosem, z towarzyszeniem najwdzięczniejszego ukłonu.

— Powiedział mi, że odtąd muszkietierów swoich zaciągać będzie z gwardji kardynalskiej.

— Z gwardji pana kardynała! a to dlaczego? — żywo zapytał Porthos.

— Bo uważa, iż lura jego potrzebuje być wzmocniona dobrem winem.

Dwaj muszkietierowie zaczerwienili się aż po białka oczu. D'Artagnan, nie wiedząc co to znaczy, rad byłby o sto łokci znaleźć się pod ziemią.

— Tak, tak — mówił dalej pan de Tréville, unosząc się — Jego Królewska Mość ma słuszność, bo, na honor, prawdą jest, że muszkietierowie bardzo kiepsko przedstawiają się u dworu. Wczoraj, podczas gry z królem, kardynał opowiadał z miną pełną współczucia, która nie przypadła mi do smaku, że ci potępieńcy muszkietierowie, ci djabli... mówił, kładąc nacisk na każdym słowie, z miną ironiczną, która jeszcze więcej mi się nie podobała; ci rębaczce, dodał, spoglądając na mnie kocio-tygrysiem okiem, zapóźnili się przy ulicy Féron w szynku, i patrol z gwardji kardynalskiej — myślałem, że mi się w nos roześmieje — zmuszony był aresztować tych wichrzycieli porządku. Do djabła, musicie wiedzieć coś o tem. Aresztować muszkietierów! Wyście tam byli i inni, nie brońcie się, poznano was, kardynał wymienił was po nazwisku. Moja w tem wina, tak, moja wina, bo to ja ludzi moich wybieram. Słuchaj, Aramisie, czemu żądałeś ode mnie kaftana, kiedy ci w sutannie było tak dobrze? Słuchaj, Porthosie, czyż tylko po to masz szarfę złotą, aby na niej słomianą szpadę zawiesić? Athos! nie ma tu Athosa? Gdzież on jest?

— Panie, — smutno odpowiedział Aramis — Athos jest chory, bardzo chory.

— Bardzo chory, powiadasz? a na jakąż to chorobę?

— Obawiam się, ażeby to nie była ospa — odpowiedział Porthos, chcąc także należeć do rozmowy.

— Ospa! bajki mi pleciesz Porthosie! W jego wieku, na ospę chorować? Co nie, to nie!... pewnie raniony, a może zabity. O gdybym o tem wiedział!... Na rany boskie! panowie muszkietierowie, słyszeć o tem nie chcę, by chodzono do miejsc podejrzanych, robiono burdy uliczne i bito się w zaułkach. Nie chcę, byście się stali pośmiewiskiem gwardji kardynalskiej, składającej się z ludzi porządnych, spokojnych, śmiałych i nie takich, których aresztują, bo zresztą aresztować się nie dadzą, jestem tego pewny. Oni daliby się raczej zabić na miejscu, niż na krok jeden ustąpić. Bo tylko muszkietierowie królewscy uważają za stosowne uciekać.

Porthos i Aramis trzęśli się ze wściekłości. Byliby chętnie zdusili pana de Tréville, gdyby nie czuli, że właśnie wielka dla nich miłość kładła mu w usta te słowa. Gnietli kobierzec nogami, usta przygryzali do krwi, z całych sił rękojeście szpady przyciskając. W przedpokojach usłyszano to wołanie Athosa, Porthosa i Aramisa po nazwisku, i odgadnięto po głosie pana de Tréville, że się gniewa niechybnie. Dziesięć głów ciekawych, opartych o cienką ścianę, bladło z wściekłości, bo uszy ich, do drzwi przyklepione, ani jednej sylaby nie straciły z tego, co było mówione, a usta powtarzały jedne za drugimi słowa dowódcy, ubliżające wszystkim muszkietierom, zebranych w przedpokojach.

W jednej chwili, począwszy od drzwi gabinetu aż do bramy, cały pałac zawrzał.

— A! muszkietierowie królewscy dają się aresztować gwardji pana kardynała — ciągnął pan de Tréville, zarówno jak jego żołnierze wzburzony wewnątrz — lecz przesywając ich słowami, które zatapiał jedne po drugich, jak sztylety w sercach swoich słuchaczy. — Tak! sześciu gwardzistów Jego Eminencji, aresztuje sześciu muszkietierów Jego Królewskiej Mości. Do wszystkich djabłów. Jużem się namyślił! Jadę natychmiast do Luwru, podam się do dymisji z dowództwa nad muszkietierami królewskimi i poproszę, ażeby mi dano miejsce w gwardji kardynała, a jeżeli mi odmówią, tam do licha! zostanę księdzem.

Na te słowa gwar zewnątrz gabinetu w wybuch się zamienił: wszędzie słyhać tylko było wykrzykniki i przekleństwa. *Morbleu! Sangdieu!* do wszystkich djabłów! — krzyżowały się w powietrzu, jak grad, gnany wichrem. D'Artagnan szukał kąta, gdzieby się mógł ukryć, i czuł chęć nieprzepartą schowania się pod stół.

— A więc tak! mój wodzu!... — odezwał się Porthos, nie posiadając się ze wzburzenia — tak!... prawdą jest, iż sześciu przeciw sześciu nas było, lecz napadnięci zostaliśmy zniemacka i zanim zdążyliśmy wydobyć szpady, dwóch z nas padło zabitych, Athos zaś ranny, nie więcej wart był od tamtych. Znasz przecie Athosa, kapitanie. Dwa razy powstać usiłował i po dwakroć upadł bezsilny. Nie poddaliśmy się jednak, o nie! wzięto nas przemocą. O Athosie myślano, że nieżywy, i zostawiono go na polu walki. Oto cała historia. Ale, do diabła, panie kapitanie, nie wszystkie wygrywa się bitwy. Wielki Pompeusz przegrał pod Farsalą, a król Franciszek I-szy, który jakem słyszał, nie ustępował mu w niczem, został jednak pobity pod Pawią.

— A ja mam honor zapewnić pana kapitanu, iż jednego z nich własną jego szpadą zabiłem — odezwał się Aramis — bo moja przy pierwszym zetknięciu na dwoje trzasła. Tak, panie, zabiłem, czy zasztyletowałem, jak się panu podoba.

— O tem nic nie wiedziałem — odparł pan de Tréville łagodnie. — Jak widzę, pan kardynał przesadzał.

— Zmiłuj się, kapitanie — ciągnął dalej Aramis, widząc, że Tréville uspokajać się zaczyna — zmiłuj się, nie daj poznać Athosowi, iż wiesz, że jest raniony: w rozpacz byliby, gdyby do uszu królewskich to doszło, a ponieważ rana jest niebezpieczna, bo przez ramię do piersi dosięgła, można się obawiać...

W tejże chwili podniosła się portjera, i piękna, szlachetna głowa, tylko blada straszliwie, ukazała się z poza draperji.

— Athos! — wykrzyknęli dwaj muszkietierowie.

— Athos! — powtórzył Tréville.

— Pan wzywał mnie — rzekł do Trévilla Athos głosem osłabionym, lecz zupełnie spokojnym — wzywał mnie pan, jak mi mówili koledzy, więc śpieszę stawić się na rozkazy pańskie; oto jestem, czego sobie życzysz, kapitanie?

I z temi słowy muszkietier w mundurze galowym, krokiem pewnym wszedł do gabinetu. Pan de Tréville, do głębi poruszony tym dowodem odwagi, rzucił się ku niemu.

— Mówilem właśnie tym panom — odezwał się — że zabraniam muszkietierom moim narażać życie bez żadnej potrzeby, bo tacy dzielni ludzie drodzy są królowi, a król wie o tem, iż muszkietierowie jego są najwaleczniejsi na świecie. Podaj mi rękę, Athosie.

I nie czekając, uchwycił prawą jego dłoń, z całych sił ściskając ją; nie spostrzegł jednak, że Athos, pomimo panowania nad sobą, drgnął z bólu, blednąc jeszcze bardziej.

Drzwi pozostały uchylone po wejściu Athosa, a chociaż rana jego w najgłębszej miała być trzymana tajemnicy, wszystkim była wiadoma, i dlatego okrzyk zadowolenia powitał ostatnie słowa kapitana i kilka głów, zapalem pociągniętych, ukazało się pomiędzy fałdami portjery. Pan de Tréville byłby niezawodnie ostremi słowy zganiał to wykroczenie przeciw prawom etykiety, gdyby nie poczuł, że dłoń Athosa ściąga się kurczowo w jego rękę. Spojrzał wtedy bacznie na niego i dostrzegł, że bliski jest zemdlenia. I w jednej chwili Athos, walczący z wysiłkiem niesłychanym dla pokonania srogiego bólu, zwyciężony nim nareszcie, padł jak nieżywy na ziemię.

— Chirurga! — krzyknął pan de Tréville. — Mojego, królewskiego, najlepszego, chirurga! na rany Boskie! bo mój dzielny Athos skona!...

Na krzyki pana de Tréville, wszyscy wpadli do gabinetu jego, nie przyszło mu bowiem do głowy drzwi przed kimkolwiek zamykać. Rannego otoczono z wielkim współczuciem. Na nic by jednak wszystko to się nie przydało, gdyby lekarz nie znalazł się był w pałacu. Przebił się on przez tłum, zbliżył się do zemdlonego wciąż Athosa, a ponieważ hałas i zamieszanie przeszkadzały mu bardzo, zażądał najpierwej, aby muszkietier przeniesiony być mógł do przyległego pokoju. Pan de Tréville sam otworzył drzwi, wskazując Porthosowi i Aramisowi drogę, ci zaś kolegę swojego, jak dziecko, na ręku zanieśli. Za nimi postępował chirurg, a za chirurgiem drzwi się zamknęły.

Wtedy gabinet pana de Tréville, to miejsce tak szanowane zwykle, chwilowo stał się dalszym ciągiem przedpokoju.

Każdy rozprawiał, gadał głośno, klnąc, pomstując, posyłając do wszystkich djabłów kardynała wraz z jego gwardją.

W chwilę potem Porthos i Aramis powrócili, chirurg zaś i pan de Tréville sami zostali przy rannym. Powrócił i pan de Tréville nareszcie. Ranny odzyskał przytomność; chirurg oznajmił, że stan muszkietera nie przedstawia nic niepokojącego dla przyjaciół, osłabienie było po prostu następstwem znacznego upływu krwi.

Na skinienie pana de Tréville, wszyscy wyszli z wyjątkiem d'Artagnana, który nie zapomniał wcale, że miał mieć posłuchanie, i z zaciętością prawdziwego gaskończyka stał w miejscu, jak wryty.

Gdy drzwi za wszystkimi zamknięto, pan de Tréville, obróciwszy się, znalazł się sam na sam z młodzieńcem. Wypadek, który się przed chwilą wydarzył, po części przerwał mu myśli. Zapytał więc, czego sobie młodzieniec życzy. Wtedy d'Artagnan wymienił swe nazwisko, a pan de Tréville od razu sobie przypomniał jego przyjście.

— Przepraszam cię — rzekł doń z uśmiechem — wybacz, drogi mój ziomku, zapomniałem zupełnie o tobie. Lecz cóż chcesz! dowódca jest ojcem rodziny, i to jeszcze większą odpowiedzialnością obarczony, aniżeli prawdziwy ojciec. Żołnierze to duże dzieci; a ponieważ chcę, by rozkazy królewskie były spełniane, a pana kardynała nade wszystko...

D'Artagnan nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Spostrzegłszy to, pan de Tréville zrozumiał, że nie z naiwnym ma do czynienia, i nagłym zwrotem rozmowy przystąpił do rzeczy.

— Ojca pańskiego bardzo kochałem — rzekł doń. — Więc cóż dla syna jego uczynić mogę? Śpiesz się, bo czas mój nie do mnie należy.

— Panie — odezwał się d'Artagnan — wyjeżdżając z Tarbes i przybywszy tutaj, miałem zamiar cię prosić, w imię tej przyjaźni, której w pamięci swej nie zatraciłeś, o kaftan muszkieterski; lecz po wszystkim, na co tu od dwóch godzin patrzę, pojmuję, że łaska taka byłaby nadmierną, i lękam się, iż na nią nie zasługuję.

— W rzeczy samej, młodzieńcze, jest to łaska — odrzekł pan de Tréville — może ona jednak nie być ponad twoją wartość, jak sądzisz. Wszelako, wobec postanowienia Jego Królewskiej Mości, z żalem ci oznajmiam, iż nikt nie może zostać muszkietierem,

bez uprzedniej próby w kilku wojnach, bez dokonania czynów rozgłośnych, lub służby dwuletniej w innym pułku, mniej od naszego uprzywilejowanym.

D'Artagnan skłonił się w milczeniu. Tem goręcej jednak zapragnął wdziać mundur muszkieterski, odkąd dowiedział się, iż otrzymanie go połączone jest z takimi trudnościami.

— Ale — ciągnął dalej Tréville, przesywając ziomka wzrokiem tak przenikliwym, jakby chciał do głębi serca sięgnąć — ale przez pamięć na ojca twojego, dawnego mego kolegi, jak ci mówiłem, pragnę uczynić coś dla ciebie, młodzieńcze. Bearneńczycy nasi zwykle nie są bogaci, i wątpię by od czasu wyjazdu mego z prowincji postać rzeczy zmieniła się bardzo. Pieniądze zapewne ci się nie przelewają.

D'Artagnan wyprostował się z miną dumną, która wyrażała, że nikogo o jałmużnę nie prosi.

— To dobrze, młodzieńcze, to dobrze — mówił dalej Tréville — znam ja tę dumę; i ja przybyłem do Paryża z czterema dukatami w kieszeni, a byłbym się bił z każdym, kto by mi powiedział, iż nie jestem w stanie kupić Luwru.

D'Artagnan prostował się coraz więcej; dzięki sprzedaży konia, rozpoczynał on karierę z czterema dukatami więcej, aniżeli pan de Tréville.

— Otóż winienes zachować to, co masz, chociażby to była suma niepoślednia; lecz potrzebujesz zapewne doskonalić się w ćwiczeniach, które szlachcicowi przystoją. Dziś zaraz napiszę do dyrektora akademii królewskiej list, a od jutra przyjęty tam zostaniesz bez najmniejszej zapłaty. Nie odmawiaj małej tej ulgi. Szlachta nasza, najlepiej urodzona i najbogatsza, prosi o nią nieraz, nie mogąc jej otrzymać. Nauczysz się jazdy konnej, fechtunku i tańca; wejdiesz tam w dobre znajomości, a od czasu do czasu będziesz mnie tu odwiedzał, abym wiedział, jak ci się wiedzie, i czy będę mógł zrobić coś dla ciebie.

Jakkolwiek obcy dworskim obyczajom, d'Artagnan odczuł chłód tego przyjęcia.

— Niestety — rzekł — widzę teraz dobrze, jak mi zbywa na liście polecającym, który mi ojciec dla pana powierzył.

— W istocie — odpowiedział Tréville — dziwi mnie, że przedsięwziąłeś podróż tak daleką bez tego wiatyku niezbędnego, jedynej ucieczki naszej, jako bearnieńczyków.

— Miałem go, panie, i to w pięknej formie, dziękować Bogu — wykrzyknął d'Artagnan — lecz wydarto mi go podstępem.

I opowiedział całe zajście w Meung, ze szczegółami najdrobniejszymi odmalował szlachcica nieznanego, a wszystko to z zapałem i prawdą, które oczarowały Trévillę.

— A to osobliwe — powiedział w zamyśleniu — mówiłeś więc o mnie i to głośno?

— Tak, panie, i popełniłem bez wątpienia niedorzeczność, lecz cóż pan chcesz, imię takie, jak pańskie, miało mi służyć w podróży za puklerz, osądź więc panie, czy chroniłem się za nie zbyt często.

Pochlebstwo to było na swoim miejscu, a pan de Tréville lubił kadzidła, jak król i kardynał. Nie mógł się więc powstrzymać od uśmiechu zadowolenia, lecz uśmiech ten zatarł się wkrótce, i Tréville powrócił znów do awantury w Meung.

— Powiedz mi — ciągnął dalej — czy ten szlachcic nie miał czasem bliźny nieznaczej na policzku?

— Tak, jakby od zadrażnienia kulą.

— Czy był to człowiek pięknej postawy?

— Tak.

— Wzrostu wysokiego?

— Tak.

— Błedej cery, o włosach czarnych?

— Tak, tak, zupełnie tak samo. Więc pan zna tego człowieka? O panie, jeżeli spotkam go kiedy, a spotkać go muszę, przysięgam, że choćby w piekle to samem było...

— Czekal na przyjazd kobiety? — badał dalej Tréville.

— Tak, i porozumiawszy się z tą, na którą czekał, odjechał.

— Czy nie wiesz o czym rozmawiali?

— Dał jej pudełko, mówiąc, że zawiera ono zlecenie, i mówił, aby nie otwierała go aż w Londynie.

— Czy ta kobieta była Angielką?

— Nazywał ją milady.

— To on! — wyszeptał Tréville — to on! sądziłem, że jest jeszcze w Brukseli.

— O! panie, jeżeli wiesz kim on jest — wykrzyknął d'Artagnan — wskaż mi go, a zrzekam się wszystkiego, nawet obietnicy twojej przyjęcia mnie do muszkietarów; bo przede wszystkim pragnę się zemścić.

— Strzeż się, młodzieńcze — zawołał Tréville — przeciwnie, jeżeli zobaczysz go na tej samej stronie ulicy, przejdź na drugą! Nie potrącaj o taką skałę, strzaskałaby cię, jak szklanę.

— To nie przeszkadza, że jeżeli go kiedy odnajdę...

— Ale tymczasem nie szukaj go, jeżeli mogę ci radzić.

Naraz Tréville zamilkł, tknięty nagłym podejrzeniem. Straszna nienawiść, jaką młody podróżny tak głośno objawiał dla tego człowieka, który niezbyt prawdopodobnie miał mu list ojca wydrzeć, czyż nie kryła w sobie jakiego podstępu? czy sam ten młodzieniec nie był przez eminencję nasłany i nie przychodził po to, aby sidła na niego zastawić? a może ten rzekomy d'Artagnan jest szpiegiem kardynalskim, którego usiłują do domu jego wprowadzić, aby, zyskawszy zaufanie, następnie zgubił Trévillę, jak się to już tysiące razy zdarzało.

Więc zmierzył jeszcze bystrzejszym okiem d'Artagnana, niż za pierwszym razem. Widok tej twarzy dowcipem tryskającej, przebiegłej i pełnej przesadnej pokory, uspokoił go nienazbyt.

— Wiem dobrze, że to gaskończyk — pomyślał — lecz może być nim tak dobrze dla kardynała, jak dla mnie. Zobaczmy, weźmy go na próbę.

— Mój przyjacielu — przemówił wolno do niego — ponieważ chcę wierzyć w historję zgubionego listu, jako synowi mojego dawnego przyjaciela, pragnę ci wynagrodzić chłodne moje przyjęcie, które zauważyłeś od razu, i odkryję ci tajemnice naszej polityki.

Król i kardynał najlepszymi są przyjaciółmi, a jeżeli się zdarzają pozorne zajścia między nimi, to jedynie, aby oszukać głupców. Nie życzę sobie, by ziomek mój, młodzieniec przyzwoity i dzielny, stawiał pierwsze kroki swoje pośród tych wszystkich komedij i, jak dudek jaki, sam się dał złapać, gdy w ten sposób tylu innych już się zgubiło. Wiedz zatem, że oddany jestem tym dwom panom wszechwładnym i że wszelkie postęпки moje innego nie mają celu, niż służyć królowi i panu kardynałowi, temu najświetniejszemu genjuszowi, jakiego kiedykolwiek wydała Francja.

A teraz, młodzieńcze, stosuj się do tego, a jeśli, czy to z rodziny, czy ze stosunków, czy choćby z instynktu samego, masz niechęć jakąś dla kardynała, taką, jaką widzimy, objawiającą się u szlachty, pożegnaj mnie i najlepiej rozstańmy się od razu. Spodziewam się, iż otwartością moją w każdym razie zyskam w tobie przyjaciela, gdyż dotąd jesteś jedynym młodzieńcem, z którym mówię tak otwarcie.

Tréville myślał sobie jednocześnie: jeżeli młody lisek jest wysłańcem kardynała, tenże, wiedząc, jak dalece go nie cierpię, nie omieszkał z pewnością powiedzieć szpiegowi swojemu, iż najlepszym sposobem przypodobania mi się jest wygadywanie na niego w mojej obecności rzeczy niestworzonych; więc niezawodnie, pomimo zapewnień moich, przebiegłe to ziółko będzie się popisowało przede mną wstrętem do eminencji.

Ale, wbrew oczekiwaniom Trévillę, d'Artagnan odpowiedział z największą prostotą:

— Przybywam do Paryża z temi samemi zamiarami. Ojciec mój zalecał mi, aby nikomu nic nie przepuścić, nie znieść nic od nikogo, z wyjątkiem króla, kardynała i ciebie, panie, których uważa za najpierwsze osoby we Francji.

Zwracamy uwagę, iż d'Artagnan z własnego pomysłu dodał do pierwszych dwóch i Trévillę jeszcze, bo sądził, że dodatek ten zaszkodzić nie powinien.

— Mam zatem cześć najwyższą dla pana kardynała — ciągnął dalej — i uznanie najgłębsze dla wszystkich jego czynów. Tem lepiej dla mnie, jeżeli pan, jak słyszę, przemawiasz do mnie otwarcie, bo widzę, że w takim razie miałbym zaszczyt być wspólnych z panem przekonania; jeśli żywi pan dla mnie nieufność, bardzo zresztą naturalną, czuję, iż, mówiąc tę prawdę, gubię się w oczach pańskich; cóż robić, pocieszam się tylko tem, że nie będziesz pan mógł nie mieć dla mnie szacunku, a na tym świecie chodzi mi o to najbardziej.

Pan de Tréville był do najwyższego stopnia zdziwiony. Taka przenikliwość i otwartość zarazem w zachwyty go wprawiały, doszczętnie jednak nie usuwały jeszcze wątpliwości. Im

bardziej chłopiec ten wydawał się wyższym od innych swoich rówieśników, tem niebezpieczniejszym się stawał, w razie, gdyby grał tylko komedię. Pomimo to Tréville uściśnął dłoń d'Artagnana i rzekł:

— Dzielnym z ciebie chłopiec, na teraz jednak nic więcej zrobić nie mogę dla ciebie, prócz tego, z czem ci się ofiarowałem przed chwilą. Dom mój dla ciebie zawsze będzie otwarty. Później zaś, mając zawsze do mnie przystęp, a więc możliwość korzystania z każdej sposobności, otrzymasz prawdopodobnie to, czego tak pragniesz.

— To znaczy — odpowiedział d'Artagnan — że czekasz pan, aż stanę się tego godny. O! bądź spokojny, panie dodał z poufałością czysto gaskońską — długo czekać nie będziesz.

I skłonił się, aby odejść, jakby reszta zgoła od niego tylko zależała.

— Ależ zaczekaj — rzekł, zatrzymując go Tréville — wszak obiecałem ci list do dyrektora akademii. Byłbyś za dumny na to, aby go przyjąć, młody mój szlachcicu?

— Nie, panie — odparł d'Artagnan — zaręczam panu, że z tym nie będzie, jak z tamtym. Strzec go będę dobrze i przysięgam, że dojdzie podług swojego adresu, a biada temu, kto by usiłował mi go wydrzeć!

Na tę przechwałkę uśmiechnął się pan de Tréville i, zostawiając młodego ziomka we framudze okna, gdzie rozmawiali razem, usiadł przy stole i począł pisać przyobiecany list polecający. D'Artagnan tymczasem, nie mając nic lepszego do roboty, począł bębnić na szybach marsza, przypatrując się muszkietierom, wychodzącym kolejno i śledząc ich oczami, dopóki nie zniknęli na zakręcie ulicy.

Pan de Tréville, napisawszy list, zapieczętował i, podniósłszy się, podszedł do młodzieńca, aby mu go oddać. W chwili jednak, gdy rękę wyciągnął, pan de Tréville ze zdziwieniem ujrzał, jak protegowany jego podskoczył i, czerwony ze złości, wybiegł z gabinetu jak strzała, krzycząc:

— O! na rany boskie! teraz mi się nie wymknie.

— Kto taki? — zapytał Tréville.

— On, ten złodziej! — odparł d'Artagnan. — O! podły!

I zniknął.

— To djabeł wcielony! — mruknął Tréville. — A może — dodał — jest to tylko zręczny manewr z jego strony... uciekł, widząc, że w łeb wzięły wszystkie jego zamiary.

ROZDZIAŁ IV. RAMIĘ ATHOSA, SZARFA PORTHOSA I CHUSTKA ARAMISA

D'Artagnan, rozpędziwszy się, przebył przedpokój w trzech susach i wypadł na schody, które w mgnieniu oka przeskoczyć zamysłał, nie licząc ich bynajmniej, gdy, sadząc z głową naprzód wyciągniętą, natknął się na wychodzącego od pana de Tréville drzwiami bocznymi muszkietera, i tak go uderzył czołem w ramię, iż ten z bólu ryknął nieledwie.

— Przepraszam — rzekł, chcąc pędzić dalej — przepraszam, bardzo mi się spieszy.

Zaledwie jednak postąpił krok, gdy dłoń żelazna schwyciła go za przepaskę i powstrzymała w miejscu.

— Śpieszy ci się! — krzyknął muszkietier, blady, jak całun śmiertelny — i dlatego potracasz mnie, mówiąc: „Przepraszam” i myślisz, że to mi wystarcza? O! nie tak bardzo, mój młokosie. Czy sądzisz, że skoro słyszałeś dzisiaj pana de Tréville, ostro do nas przemawiającego, to możesz już traktować nas, jak on się do nas odzywa? Mylisz się, mój kochany, bo ty nie jesteś panem de Tréville!... o, co nie, to nie!

— Na honor — odparł d'Artagnan, poznając Athosa, który po opatrunku dokonanym przez doktora, wracał do mieszkania — na honor, nie zrobiłem tego umyślnie; mówię więc: „Przepraszam” i to mi się wydaje dostatecznym. A zwracam uwagę pana — powtórzył — że, słowo honoru, śpieszy mi się i to bardzo śpieszy. Puszczaj mnie pan, proszę.

— Panie — rzekł Athos, puszczając go — jesteś nieokrzesany. Widać z daleka przybywasz.

D'Artagnan już ze cztery stopnie był przeskoczył, ale, na słowa Athosa, stanął jak wryty.

— Do kaduka! — zawołał — skądkolwiek przybywam, nie do ciebie jednak należy, mój panie, uczyć mnie gładkiego obejścia.

— A jednak nie jest to zbyt cenne — odezwał się Athos.

— O! gdyby nie to, że się tak śpieszę — zawołał d'Artagnan — gdybym za kimś nie gonił!...

— O! mnie znajdziesz, nie goniąc, rozumiesz pan.

— A gdzie to, jeżeli łaska?

— Przy Karmelitach bosych.

— O której godzinie?

— Około południa.

— Dobrze, stawię się.

— Postaraj się pan tylko, abym nie czekał, bo o kwadrans na pierwszą uszy ci obetnę po drodze.

— Dobrze! — krzyknął mu d'Artagnan — będę tam dziesięć minut przed dwunastą.

I popędził, jak gdyby djabli go nieśli, w nadziei spotkania nieznanego, którego miarowy chód nie mógł zaprowadzić daleko.

Lecz w bramie od ulicy Porthos rozmawiał z żołnierzem z gwardji. Rozmawiających dzieliła przestrzeń, akurat na objętość człowieka.

D'Artagnan, sądząc, iż się tam zmieści, śmignął między nich, jak strzała. Nie brał jednak wiatru w rachunek. W chwili, gdy miał się prześlizgnąć, wiatr rozdał szeroki płaszcz Porthosa i d'Artagnan najnie spodziewanej znalazł się pod połą.

Nic dziwnego, że Porthos nie chciał pozbyć się tej najważniejszej dla siebie części ubrania, bo, zamiast puścić swobodnie połę, pociągnął ją ku sobie tak, że d'Artagnan zaplątał się w aksamity płaszcz.

Chcąc wywikłać się z płaszczu, zasłaniającego mu oczy, usiłował wydobyć się z pomiędzy fałd, bojąc się zarazem uszkodzić owej wspaniałej szarfy. Gdy jednak oczy otworzył nieśmiało, przekonał się, iż nosem utknął na samych plecach Porthosa, a więc i na przepyszej szarfy.

Jak jednak wszystkie rzeczy na tym świecie najczęściej mają tylko złudne pozory, tak i szarfa z przodu jedynie lśniła złotem, a z tyłu z najprostszej była skóry. Pełen próżności Porthos, nie mogąc mieć szarfy całej ze złota, miał ją przynajmniej w połowie: tem się tłómaczy obecność kataru i niezbędność płaszczu.

— A! do kroćset djabłów! — krzyknął Porthos, usiłując odczepić się od chroboczącego mu po plecach d'Artagnana — czyś się wściekł, że się tak rzucasz na ludzi?

— Przepraszam — odezwał się d'Artagnan, głowę z pod pachy mu wysadzając — ale śpieszy mi się bardzo, biegnę za pewną osobą i...

— Dobrze, że biegniesz, ale czy nie zapomniałeś wziąć z sobą oczu? — zapytał Porthos.

— Nie — odparł urażony d'Artagnan — i dlatego widzę nawet to, czego inni nie widzą.

Czy zrozumiał Porthos przymówkę, czy też nie, dość, że wpadł w gniew wściekły.

— Mój panie — rzekł doń — skórę podrzesz na sobie, jeżeli o muszkieterów tak się będziesz ocierał.

— Tego, mój panie, zanadto — odparł d'Artagnan.

— W sam raz dosyć, jak na człowieka, przywykłego patrzeć nieprzyjaciołom w oczy.

— O! do licha, aż nazbyt pewien jestem, że i do swoich nie stajesz pan plecami.

I zachwycony tym dowcipem szedł w dalszą drogę, śmiejąc się na całe gardło.

Porthos, pieniąc się ze złości, poskoczył za nim.

— Później, później — krzyknął d'Artagnan — wtedy, jak pan będziesz bez płaszczu.

— O pierwszej więc za pałacem Luksemburskim.

— I owszem — odkrzyknął mu tenże, niknąc na rogu ulicy.

Lecz i tam nikogo już nie było. Jakkolwiek nieznanomy szedł powoli, miał jednak czas go wyprzedzić znacznie, a może wstąpił do którego z domów.

D'Artagnan wymijał przechodniów, zeszedł aż do promu na rzece, wrócił przez ulicę Sekwany i Czerwonego Krzyża, lecz i to było daremne. Gonił ją jednak nie była bez korzyści, gdyż w miarę, jak czoło jego potem się zlewało, serce chłodziło stopniowo.

Zaczął tedy rozważać wszystko; wypadki były liczne i oplakane. Zaledwie jedenasta wybiła, a poranek ten przyniósł mu nielaskę pana de Tréville, który nie omieszkał się pewnie obrazić tym sposobem warjackim, w jaki się z nim rozstał.

Nadto ściągnął na siebie dwa pojedynki z dwoma ludźmi, zdolnymi zabić trzech takich d'Artagnanów, z muszkietierami, o których miał wyobrażenie tak wysokie, że stawiał ich w myśli i sercu ponad wszystkich ludzi.

Prawdopodobny rezultat mógł być nader smutny. Przekonany był, że Athos zabije go, bo Porthosa niebardzo się obawiał.

Ponieważ jednak nadzieja jest uczuciem, które najdłużej w sercu ludzkim tli się, krzepił się otuchą, iż zostanie przy życiu, poraniony, rozumie się, okrutnie. Na wszelki też wypadek sam się w duchu strofował:

— Jakież ze mnie półgłówek i bałwan! Dzielny ten i nieszczęśliwszy Athos ranny jest w ramię, w które ja właśnie walę jak baran. To tylko dziwne, że nie zabił mnie na miejscu; miałby prawo zupełne, gdyż ból, który mu sprawiłem, musiał być okrutny.

Co się tyczy Porthosa, to co innego. Z nim sprawa zabawna, na honor.

I mimowoli śmiać się począł, patrząc wszelako, czy śmiech ten, którego przyczyna nie była znana nikomu, nie obrazi kogo z przechodniów.

— Z Porthosem zabawna historia; ale w każdym razie jestem ostatnim roztrzeпаńcem. Jak można tak wpadać na ludzi, nie ostrzegłszy ich pierwej i szukać im pod płaszczem tego, czego tam wcale niema! Byłby mi przebaczył z pewnością, gdybym mu nie wspomniał o tej szarfię przeklętej.

Słuchaj, d'Artagnanie, mój przyjacielu — dodał z całą dla siebie życzliwością — jeżeli wykręcisz się teraz, co mi się nie zdaje prawdopodobnym, trzeba być na przyszłość niezmiernie grzecznym, aby cię za przykład stawiano, by cię uwielbiano wszędzie. Uprzedzającym być i gładkim, to nie znaczy poniżać się. Spójrz na Aramisa, wszak to uosobienie słodczy i wdzięku. A czyżby znalazł się taki, co by go tchórzem nazwał? Z pewnością, że nie, i odtąd postanawiam na nim się wzorować. A otóż i on, Aramis.

D'Artagnan, idąc i rozprawiając tak z sobą samym, doszedł do pałacu d'Aiguillon i tam spostrzegł Aramisa, rozmawiającego wesoło z kilku panami z gwardji królewskiej. Ten zobaczył go również, ponieważ jednak pamiętał, iż przy nim właśnie pan de Tréville tego ranka srogim gniewem się unióś, więc świadek wyrzutów, które usłyszeli muszkietierowie, nie mógł być żadną miarą dlań przyjemny, i Aramis udał, że go nie widzi.

D'Artagnan przeciwnie, przejęty nawskroś postanowieniem zostania uprzejmym i miłym, podszedł do czterech młodzieńców, z uśmiechem najwdzięczniejszym składając im ukłon głęboki. Aramis z miną poważną odpowiedział mu lekkim skinieniem głowy, lecz wszyscy czterej przerwali w tej chwili rozmowę.

D'Artagnan, nie w ciemię bity, zrozumiał, że obecność jego nie jest tu na rękę, lecz za mało miał obycia światowego, aby wybrnąć zręcznie z drażliwego położenia, w jakim znajduje się każdy w towarzystwie mało sobie znanem, gdy toczy się rozmowa, która pod żadnym względem obchodzić go nie może. Głowił się więc, jak się wycofać zręcznie, gdy spostrzegł, że Aramis upuścił chusteczkę i, przez nieuwagę zapewne, nogą na nią nastąpił. Sądząc, iż nadeszła teraz chwila, aby okazać się grzecznym, schylił się i z wdziękiem, na jaki tylko mógł się zdobyć, wyciągnął chustkę z pod stopy muszkietera, pomimo wszelkich wysiłków tegoż, aby ją przytrzymać — i oddając mu ją rzekł:

— Zdaje się, iż ta chusteczka do pana należy, a zapewne nie chciałby pan jej zgubić.

Chusteczka była wyhaftowana bogato z koroną i herbem na rogu.

Aramis spaśował cały i wyrwał ją nieledwie z rąk Gaskończyka.

— O! o! — zawołał jeden z gwardzistów — może powiesz jeszcze, skryty Aramisie, że nie jesteś w dobrych stosunkach z panią de Bois-Tracy, skoro ta uprzejma dama szaszczyca cię pożyczaniem chusteczek.

Aramis przeszył d'Artagnana spojrzeniem, które mówiło, iż tenże kupił w nim sobie śmiertelnego wroga, a następnie z miną słodziutką rzekł:

— Mylicie się, panowie, chusteczka ta nie do mnie należy i nie wiem doprawdy, co temu panu do głowy przyszło, żeby mnie, a nie komu z was ją oddać. Najlepszy daję wam dowód, iż swoją mam w kieszeni.

I, mówiąc to, wyjął rzeczywiście chusteczkę, również elegancką, z batystu cieniutkiego, który w owych czasach drogi był bardzo, lecz bez haftów i herbów, tylko z cyfrą

właściciela.

Tym razem d'Artagnan ani pisnął, zrozumiał bowiem, że nie w porę się wyrwał; lecz przyjaciele Aramisa nie dali za wygraną i jeden z nich, zwracając się do muszkietera, rzekł z udaną powagą:

— Jeżeli tak jest, jak utrzymujesz, zmuszony będę prosić cię o zwrot jej, drogi mój Aramisie, bo wiesz przecie, że jestem w ścisłych stosunkach z Bois-Tracy i nie życzę sobie, aby rzeczy żony jego za godła komuś służyły.

— Żądanie twoje nie jest dość właściwe — odparł Aramis — bo, jakkolwiek w zasadzie uznaję całą jego słuszność, odmówiłbym mu ze względu na formę.

— Tak, przyznaję — wtrącił się nieśmiało d'Artagnan — że nie widziałem, jak wypadła chustka z kieszeni pana Aramisa. Nogę tylko na niej trzymał, sądziłem więc, że do niego należy.

— I byłeś w błędzie, mój drogi panie — chłodno odrzekł Aramis, wcale tą pokorą nie zmiękczony. Następnie zaś, zwracając się do tego, który się podawał za przyjaciela pana de Bois-Tracy, rzekł: — Zresztą dochodzę do wniosku, mój ty przyjacielu pana de Bois-Tracy, że niemniej niż ty — jestem jego przyjacielem; chusteczka zatem tak samo z twojej, jak i z mojej, mogła wypaść kieszeni.

— Nie, na honor! — zawołał gwardzista jego królewskiej mości.

— Ty klniesz się na honor, a ja na słowo moje, widocznem więc jest, iż jeden z nas kłamie. Słuchaj, Montaian, najlepiej będzie, gdy się nią podzielimy.

— Wybornie — zawołałi dwaj inni — prawdziwy sąd Salomona. O Aramisie, pełen jesteś mądrości.

Młodzieńcy zaśmiali się głośno i zdawaćby się mogło, iż sprawa cała została skończona. Po chwili rozmowa się urwała i gwardziści wraz z muszkieterem, uściskawszy się serdecznie za ręce, rozeszli się każdy w swoją stronę.

— Wypada mi teraz z tym miłym chłopcem się pogodzić — pomyślał d'Artagnan, stojący na uboczu podczas ostatniej rozmowy.

I w najlepszych zamiarach podszedł do Aramisa, który oddalał się już, bynajmniej na niego nie zwracając uwagi.

— Mam nadzieję, iż mi pan wybaczysz...

— O! mój panie — przerwał mu Aramis — pozwól sobie powiedzieć, iż w tym razie, nie postąpiłeś tak, jak na człowieka przyzwoitego przystało.

— Jakto, pan przypuszczasz...

— Przypuszczam mój panie, że głupcem nie jesteś, i wiesz o tem dobrze, jakkolwiek z Gaskonji przybywasz, iż bez przyczyny nie depcze się po chustkach od nosa. Do diabła! Paryż nie zabrukowany jest batystem.

— Panie, źle robisz, chcąc mnie urazić — odezwał się d'Artagnan, którego usposobienie kłótlive zaczynało brać górę nad postanowieniami pokojowemi. — Żem gaskończyk, to prawda, a skoro wiesz o tem, nie potrzebuję ci mówić, że gaskończycy niełatwo to znieść potrafią, zatem, skoro kogoś proszą o przebaczenie, choćby za głupstwo nawet, przekonani są, iż czynią więcej, niż powinni.

— Nie mówię tego panu bynajmniej dla wywołania sprzeczki — odrzekł Aramis. — Dzięki Bogu, zabijaką nie jestem, i będąc tymczasowym tylko muszkieterem, biję się jedynie, skoro do tego jestem zmuszony, a zawsze z niemalą odrazą; tym razem jednak sprawa zbyt jest ważna, bo przez pana skompromitowaną została kobieta.

— Chcesz pan powiedzieć, przez nas — zawołał d'Artagnan.

— Czemu tak niezręcznie oddałeś mi pan chustkę?

— A po co pan tak niezręcznie upuściłeś ją na ziemię?

— Powiedziałem panu, i raz jeszcze powtarzam, że chusteczka ta nie pochodziła z mojej kieszeni.

— Podwójnie więc skłamałeś, mój panie, bo ja to dobrze widziałem!

— O! tak zaczynasz śpiewać, panie gaskończyku! poczekaj, nauczę ja cię życia.

— A ja do mszy cię zapędzę, panie opacie! Dobywaj szpady, jeśli łaska, natychmiast!

— O nie, mój piękny, nie tutaj przynajmniej. Czyż nie widzisz, że stoimy przed pałacem d'Aiguillon, pełnym zauszników kardynalskich. Kto mi zaręczy, że to nie eminencja polecił ci, abyś mu dostarczył mojej głowy? Wiedz, że dbam o nią aż do śmieszności, bo, jak mi się zdaje, bardzo dobrze pasuje mi ona do ramiona. Z przyjemnością zabiję

cię, bądź spokojny, lecz zabiję cię pomalutku, w miejscu ustronnem i zamkniętem, tam, gdzie przed nikim nie będziesz mógł się ze śmiercią swoją pochwalić.

— I owszem, ale nie licz na to zbyt, a zabierz z sobą chusteczkę, czy to twoja lub nie, może ci się przydać do opatrunku.

— Pan jesteś gaskończykiem? — zapytał Aramis.

— Tak... pan, spodziewam się, nie odkłada spotkania przez przezorność.

— Przezorność, mój panie, zawsze jest cnotą, przydatną muszkietierom, a nieodzowną dla sług kościoła; ponieważ zaś jestem muszkietierem czasowym, pragnę pozostać przezornym! O drugiej będę miał zaszczyt oczekiwać w pałacu pana de Tréville. Tam wskażę panu właściwe miejsce.

Dwaj młodzieńcy pożegnali się ukłonem, Aramis puścił się ulicą, prowadzącą do Luksemburgu, d'Artagnan zaś, widząc, że dość już późno, skierował swe kroki w stronę Karmelitów bosych, mówiąc do siebie.

— O! ani chybi, cało z tego nie wyjdę; ale przynajmniej, jeżeli zginę, umrę z ręki muszkietera.

ROZDZIAŁ V. MUSZKIETEROWIE KRÓLA I GWARDZIŚCI PANA KARDYNAŁA

D'Artagnan nie miał w Paryżu żywej duszy znajomej. Stawił się więc na spotkanie z Athosem bez sekundanta. Miał zresztą zamiar niewzruszony wytłumaczyć się dzielnemu muszkietierowi przyzwoicie, lecz bez żadnej uległości. Lękał się rezultatu pojedynku, który nie miłym zwykle bywa, gdy silny i młody, ma za przeciwnika rannego, a zatem pozbawionego sił: wtedy bowiem zwyciężony zmniejsza triumf nieprzyjaciela, zwycięzca zaś posądżany bywa o zbrodnię i fałszywą odwagę. Zresztą, czytelnicy zauważyli zapewne, że d'Artagnan nie był człowiekiem pospolitym. Powtarzając więc sobie, iż śmierci nie uniknie, nie był wszelako zrezygnowany zejść z tego świata jak baranek, czemu inny na jego miejscu, z mniejszym zasobem odwagi, poddałby się niezawodnie.

Rozważał charaktery tych, z którymi stanąć miał do walki, i położenie przedstawiło mu się jaśniej. Dzięki szlachetnemu tłumaczeniu, miał nadzieję zyskać w Athosie przyjaciela; postawa jego pańska i wyniosła mocno mu przypadła do serca.

Cieszył się na myśl nastraszenia Porthosa wypadkiem z szarfą, bo jeżeli nie będzie od razu zabity, rozgłosi to powszechnie, a opowiadanie zręczne i składne może tamtego okryć śmiesznością. Wreszcie skryty Aramis nie przejmował go strachem, i w przypuszczeniu nawet, że z nim odbędzie pojedynek, obiecywał sobie płać go przez twarz, jak Cezar zalecał żołnierzom zrobić z Pompejuszem, aby zniweczyć na zawsze tę piękność, o którą był tak zazdrosny.

W duszy d'Artagnana tkwiło niezłomne postanowienie, wszczepione radami ojca. Nikomu nie przepuścić, od nikogo nic nie znieść, prócz od króla, kardynała i pana de Tréville.

Leciał więc, jak na skrzydłach, w stronę Karmelitów bosych, których klasztor był budynkiem bez okien, a otaczało go tylko zeschłe błonie. Był tu punkt spotkania i pojedynków dla ludzi, nie mających czasu do stracenia.

Kiedy mógł już objąć okiem błonie, roztaczające się u stóp klasztoru, ujrzał Athosa, oczekującego tam od pięciu minut, a właśnie zegar wydzwaniał południe. Słowny był zatem, jak Samarytanka, i najsurowiej przestrzegający warunków pojedynkowych nie miałby mu nic do zarzucenia.

Athos, któremu rana dopiekała straszliwie, choć świeżo opatrzona przez chirurga pana de Tréville, siedział na kamieniu przydrożnym z tą dystynkją i spokojem, pełnym godności, jakie go nie odstępowały nigdy. Na widok d'Artagnana, powstał i z grzecznością postąpił kilka kroków ku niemu. Ten zaś szedł ku przeciwnikowi z kapeluszem w ręce, pióro od niego wlokąc po ziemi.

— Panie — rzekł Athos — zawiadomiłem dwóch moich przyjaciół, którzy za świadków służyć będą, lecz jeszcze ich nie widać. Dziwi mnie to, bo nie mają zwyczaju się spóźniać.

— Ja sekundantów nie mam — odparł d'Artagnan — wczoraj dopiero przybyłem do Paryża i nikogo tu nie znam, prócz pana de Tréville, a polecony mu zostałem przez ojca

mojego, który ma zaszczyt liczyć się do jego przyjaciół.

Athos się zamyślił.

— I nikogo pan nie znasz prócz pana de Tréville? — zapytał.

— Tak, panie, nikogo.

— No, to jeżeli cię zabiję — kończył Athos, raczej do siebie mówiąc, niżli do d'Artagnana — jeżeli cię zabiję, wyglądać mogę na pożerającego dzieci!

— O! niezupełnie mój panie — odparł z dumnym ukłonem d'Artagnan — niezupełnie, skoro mnie zaszczytasz dobywaniem szpady, pomimo rany, która nie mało ci musi zawadzać.

— O! i bardzo zawadza, na honor, i przyznać muszę, żeś mi piekielnego narobił bólu, ale to mniejsza; lewej użyję ręki, jak zwykle to czynię w takich razach. Nie myśl wcale, abym ci ustępstwo robił, ja zarówno obydwoma władam rękami; to może być dla pana nawet niekorzystne, bo mańkut dla nieprzyzwyczajonych osób bywa niebezpieczny. Żałuję nawet, iż wcześniej nie uprzedziłem pana o tem.

— Doprawdy — odrzekł z ukłonem d'Artagnan — jesteś pan tak rycersko grzeczny, iż nie wiem, jak mam ci być za to wdzięcznym.

— Zawstydzasz mnie pan — odparł Athos z miną pańską — mówmy o czem innem, proszę, jeżeli ci się podoba. A! do licha, toś mi bólu narobił, aż pali mię to ramię.

— Jeżeli pan pozwolisz... — nieśmiało zaczął d'Artagnan.

— Co takiego?

— Mam cudowny balsam na rany, balsam, od matki mojej pochodzący, którego na sobie już wypróbowałem.

— Więc cóż?

— Więc pewny jestem, iż za trzy dni najdalej byłbyś pan wyleczony zupełnie, a wtedy, panie, za honor sobie poczytam służyć ci w każdej chwili.

D'Artagnan wypowiedział to z prostotą, czyniącą mu zaszczyt, bez ujemy dla jego odwagi.

— Dalibóg — odrzekł Athos — podoba mi się ta propozycja, nie dlatego, abym ją miał przyjąć, lecz że o miłe czuć ją szlachcicem. Tak przemawiali i postępowali owi dzielni rycerze z czasów Karola Wielkiego, których dzisiejsi za wzór brać sobie winni. Niestety, nie czasy to wielkiego monarchy, tylko kardynała, za trzy dni rozgłoszonoby już tajemnicę naszą, choćby najściślej była zachowana, wiedzianoby, mówię, że bić się zamierzamy i przeszkodzonoby temu. Lecz cóż to, czy już nie przyjdą, te włóczęgi?

— Jeżeli panu pilno — odezwał się d'Artagnan z tą samą prostotą, z jaką proponował przed chwilą odłożenie na trzy dni pojedynku — jeżeli panu pilno i życzysz sobie załatwić się ze mną zaraz, nie krępuj się, proszę.

— I to mi się bardzo podoba — rzekł Athos z wyrazem twarzy, okazującym zadowolenie — tak nie odzywa się półgłówek... tylko człowiek męznego serca mówić tak tak potrafi. Przepadam za ludźmi takiego usposobienia, jak pańskie, i jeżeli nie pozabijamy się teraz, prawdziwą będę miał przyjemność rozmawiać z panem później. Zaczekajmy na panów tych, proszę, nie brak mi czasu, a przynajmniej wszystko odbędzie się prawidłowo. A! otóż i jeden z nich.

W głębi ulicy Vaugirard ukazał się olbrzymi Porthos.

— Jakto?... — zawołał d'Artagnan — Porthos jest świadkiem pana?

— Tak. Czyś pan temu nie rad?

— O! bynajmniej.

— Ot jest i drugi.

D'Artagnan obejrzał się i poznał Aramis.

— Jakto?... — z większym jeszcze wykrzyknął zdziwieniem — to drugim świadkiem jest Aramis?

— A naturalnie, alboż kto kiedy widział, iżbyśmy razem nie byli? Athos, Porthos i Aramis, to trzej nierozłączni, jak nas nazywają wszędzie. Pan jednak, co przybywasz z Honolulu, czy z Kochinchiny...

— Z Tarbes — poprawił go d'Artagnan.

— Wolno panu nie znać tych szczegółów — dokończył Athos.

— Na honor — odrzekł d'Artagnan — nazwano was znakomicie, moi panowie, i jeżeli przygoda moja nabędzie rozgłosu, przekona, że w związku waszym nie brak wam łączności.

Porthos nadszedł tymczasem i ręką powitał Athosa; obejrawszy się następnie na d'Artagnana, stanął zdziwiony.

Dodajmy nawiasem, iż szarfę zmienił i był bez płaszcza.

— A! co to takiego? — zapytał.

— Z tym panem właśnie mam się potykać — rzekł Athos, wskazując z ukłonem d'Artagnana.

— Ależ i ja biję się z nim — odparł Porthos.

— I ja również z tym panem mam się pojedynkować — odezwał się Aramis, dochodząc do miejsca.

— Lecz dopiero o drugiej — z zimną krwią zauważył d'Artagnan.

— Ale o co się bijesz, Athosie? — zagadnął Aramis.

— Na honor, nie wiem tak bardzo... w ramię mnie uraził; a ty Porthosie?

— Biję się, bo się biję — czerwieniąc się, odparł Porthos.

Baczny na wszystko Athos podchwycił uśmiech złośliwy na ustach gaskończyka.

— Mieliśmy sprzeczkę o ubranie — wtrącił młodzieniec.

— A ty, Aramisie? — pytał dalej Athos.

— Ja, biję się o teologję — odrzekł Aramis, spoglądając prosząco na d'Artagnana, by zachował w tajemnicy powód pojedynku.

Athos dostrzegł drugi uśmiech d'Artagnana.

— Doprawdy?... — podchwycił Athos.

— Tak, nie mogliśmy się zgodzić na pewien ustęp ze świętego Augustyna — odezwał się gaskończyk.

— Widocznie, sztuka z niego nie głupia — mruknął Athos.

— A teraz panowie, skoroście się zebrali — rzekł d'Artagnan — niech mi będzie wolno wytłumaczyć się wam.

Na słowo *wytłumaczyć* chmura przesunęła po czole Athosa, uśmiech wzgardliwy po ustach Porthosa, a skinienie przeczące było odpowiedzią Aramisa.

— Nie rozumiecie mnie, panowie — rzekł d'Artagnan, podnosząc głowę, a na oblicze jego padły promienie słoneczne, złącząc szlachetne i śmiałe jego rysy — pragnę się wytłumaczyć na wypadek, jeżeli nie będę w możności wszystkim trzem długu mego spłacić, pierwszemu bowiem panu Athosowi służy prawo zabicia mnie, a to odbiera dużo wartości zadaniu pana Porthosa, a twoje, panie Aramisie, nieledwie niweczy zupełnie. A teraz powtarzam, wybaczone mi, panowie, ale to tylko jedynie, i baczność!

Z temi słowy ruchem, najpyszniej rycerskim, d'Artagnan wy dobył szpadę.

Krew wrzątkiem uderzyła mu do głowy i w chwili tej rzuciłby się był na cały zastęp muszkietarów, z taką samą odwagą, jak na tych trzech obecnie.

Było już trochę z południa. Słońce do zenitu dobiegało, a miejsce na pojedynek wybrane, wystawione zostało na palące jego promienie.

— Piekielnie gorąco — rzekł Athos, dobywając szpady — nie chciałbym jednak zdejmować kaftana, gdyż czuję w tej chwili, iż rana mi się krwawi, a pragnę nie sprawić panu przykrości widokiem krwi nie twojem żelazem dobytej.

— To prawda — odrzekł d'Artagnan — a czy dobytą byłaby przeze mnie, czy przez kogo innego, zawsze z żalem prawdziwym patrzeć będę na krew tak dzielnego szlachcica; i ja więc bić się będę w kaftanie.

— Dalej, dalej — odezwał się Porthos — dosyć już tych grzeczności, pomyślcie, że czekamy na naszą kolej.

— Sam za siebie mów, Porthosie, kiedy masz się tak grubijańsko odzywać — przerwał Aramis. — Co do mnie, słowa tych panów uważam za właściwe i godne takich szlachetnych, jak oni, ludzi.

— Służę panu — odrzekł Athos, zasłaniając się szpadą.

— Jestem na rozkazy — odparł d'Artagnan, krzyżując swoją.

Zaledwie dwa rapiry zetknęły się ze szczękiem, gdy oddział gwardji jego eminencji, pod dowództwem pana de Jussac, ukazał się z poza węgła klasztoru.

— Gwardziści kardynalscy! — krzyknęli jednocześnie Porthos i Aramis. — Panowie! szpady do pochwy! Panowie!

Lecz było już za późno. Dwaj walczący widziani byli w postawie nie pozostawiającej żadnej wątpliwości o ich zamiarach wojowniczych.

— Hola! — krzyknął Jussac, zbliżając się do nich i dając żołnierzom swoim znak, aby uczynili to samo — hola! panowie muszkietery, bijecie się tutaj? A zakaz?... cóż mi na to powiecie?

— O! bardzo szlachetni jesteście, panowie gwardziści — odrzekł Athos, pełen skrytej nienawiści, bo Jussac był najpierwszym z tych, którzy go atakowali w przeddzień. — My, gdybyśmy was widzieli bijących się, zaręczam, iż nie przeszkadzalibyśmy wam bynajmniej. Zostawcie więc swobodę, a będziecie mieli przyjemność, żadnego nie doznając trudu.

— Panowie — odparł Jussac — z żalem oświadczyć wam muszę, iż rzecz to niepodobna do spełnienia. Obowiązek przede wszystkim. Szpady do pochwy, jeżeli łaska, i proszę za nami.

— Panie — odezwał się Aramis przedrzeźniając Jussaca — z wielką przyjemnością poszlibyśmy za uprzejmą radą waszą, gdyby to od nas zależało; ale niestety to niemożliwe: pan de Tréville zabronił nam tego. Idźcie więc w swoją drogę, to będzie dla was najlepiej.

Drwiny te doprowadziły Jussaca do rozpacz.

— Siłą was zaprowadzimy z sobą, kiedy nas słuchać nie chcecie.

— Pięciu ich jest — rzekł półgłosem Athos — a nas tylko trzech; znowu będziemy pobici i trzeba nam będzie życie tu położyć, bo oświadczam, że jeśli zostaniemy pokonani, na oczy się kapitanowi nie pokażę.

Athos, Porthos i Aramis zbliżyli się do siebie w chwili, gdy Jussac ustawiał swych żołnierzy w szeregu.

Chwila ta wystarczyła d'Artagnanowi do namysłu, że nastroczała mu się jedna ze sposobności, stanowiących o życiu człowieka; należało więc uczynić wybór między królem i kardynałem i należało w nim wytrwać. Bić się, znaczyło to nie słuchać prawa, narażać głowę, znaczyło to na samym wstępie zrobić sobie nieprzyjaciela z ministra, potężniejszego nawet, niż sam król. Wszystko to przewidywał młodzieniec, dodajmy jednak na pochwałę jego, iż nie zawahał się ani na chwilę. I rzekł, zwracając się do Athosa i jego przyjaciół:

— Panowie! pozwólcie mi w słowach waszych małą uczynić poprawkę. Powiedzieliście, że trzech tylko jesteście, a mnie się wydaje, iż nas jest tutaj czterech.

— Przecież pan nie należysz do naszych — zauważył Porthos.

— To prawda — odrzekł d'Artagnan — ale jeżeli nie ubiorem, to duszą do was należę. Czuję to, iż serce mam muszkieterskie, i ono pociąga mnie do was.

— Na bok! młodzieńcze — wrzasnął Jussac, który po ruchach i wyrazie twarzy odgadywał zamiary d'Artagnana. — Pozwalam ci się oddalić. Uciekaj, pókiś cały.

D'Artagnan ani drgnął.

— Dzielnny chłopiec z ciebie — powiedział Athos, ściskając mu rękę.

— No, dalej! — wołał Jussac.

Athos, Porthos i Aramis spojrzeli na młodzieńca.

Wszystkim trzem tkwiła w myśli młodość d'Artagnana i lękali się jego braku doświadczenia.

— I tak trzech by nas tylko było, z których jeden ranny, bo to dziecko jeszcze — mówił Athos — pomimo to powiedzą, iż było nas czterech.

— Tak, lecz cofać się!... — odpowiedział Porthos.

— Trudno — dodał Athos.

D'Artagnan zrozumiał ich wahanie.

— W każdym razie wypróbujcie mnie panowie, a przysięgam wam, na cześć moją, że jeżeli zwyciężeni będziemy, z miejsca się tego nie ruszę.

— Jak się nazywasz mój zuchu? — zapytał Athos.

— D'Artagnan.

— Dalejże! Athos, Porthos, Aramis i D'Artagnan naprzód! — krzyknął Athos.

— I cóż panowie, czy usłuchacie mnie? — po raz trzeci zawołał Jussac.

— Stało się, panowie — rzekł Athos.

— Cóż więc zamierzacie uczynić? — pytał Jussac.

— Będziemy mieli zaszczyt przystąpić z wami do walki — odpowiedział Aramis, jedną ręką unosząc kapelusza, drugą wyciągając szpadę.

— A! opieracie się więc! — krzyknął Jussac.

— Do licha! to pana dziwi?

Poczem dziewięciu walczących rzuciło się na siebie, z wściekłością nie przekraczającą jednak zasad szermierki.

Athos wybrał niejakię Cahusaca, ulubieńca kardynalskiego; Porthos miał Bicarata, Aramis znalazł się wobec dwóch przeciwników. D'Artagnan zaś padł na Jussaca samego.

Serce młodego gaskończyka biło jak młotem, zdawało się, że rozsądzi mu piersi. Nie ze strachu, broń Boże, nie było go tam ani cienia, lecz dlatego, że w męstwie nie chciał się pokazać od innych gorszym, bił się jak tygrys rozjuszony, ze wszystkich stron napastując przeciwnika i zmieniając kilkakrotnie pozycję. Jussac był mistrzem w tej sztuce, bo dużo już praktykował; ciężkiem było jednak zadanie jego bronić się od przeciwnika, który, zręczny i rzutki, zmieniał co chwila metodę, napadając ze wszystkich prawie stron jednocześnie, a sam zasłaniając się, jak człowiek, który ma cześć najwyższą dla swojej skóry.

Walka ta doprowadziła Jussaca do utraty cierpliwości. Wściekłość go ogarnęła, iż ten, którego za dzieciaka uważał, trzyma go w szachu. Zaperzony więc, zaczął błędy popełniać. D'Artagnan zaś w braku doświadczenia, posiadał głęboką teorię, i przeto jeszcze zwinniej się sprawiał. Jussac, chcąc raz już skończyć, wymierzył od dołu straszny cios przeciwnikowi; ten natychmiast się zasłonił, i w chwili, gdy Jussac prostował się, przemknął pod szpadą jego jak wąż i na wylot go przebił. Jussac runął jak kłoda. Wtedy d'Artagnan wzrokiem szybkim i niespokojnym objął pole walki.

Aramis zabił już jednego ze swoich przeciwników, lecz drugi ostro nań nacierał. Położenie jego nie było niebezpieczne, mógł się bowiem obronić.

Bicarat i Porthos szpikowali się wzajemnie. Porthos dostał pchnięcie w ramię, a Bicarat w udo. Ponieważ jednak ani jedna, ani druga rana nie była głęboka, coraz zajadlej napadali na siebie.

Ale Athos, na nowo przez Cahusaca raniony, coraz większą okrywał się bledością, chociaż się ani na krok nie cofnął z miejsca; przełożył tylko broń do innej ręki, z równą zręcznością władając lewą.

Według praw pojedynkowych z tamtej epoki, d'Artagnan mógł jednemu z nich przyjść w pomoc, i gdy szukał oczami, którego z towarzyszy wypadłoby wesprzeć, pochwycił spojrzenie Athosa, a było ono zadziwiająco wymowne.

Athos wolałby umrzeć niż zawołać o pomoc, mógł jednak patrzeć, a spojrzeniem tem poparcia żądał. Odgadł to d'Artagnan i dopadł z boku Cahusaca, krzycząc strasznym głosem:

— Ze mną teraz sprawa, zabiję cię, panie gwardzisto!

W sam czas odwrócił się Cahusac. Athos, którego odwaga nie zrównana podtrzymywała jedynie, upadł na jedno kolano.

— Na rany boskie, nie zabijaj go młodzieńcze, błagam — wołał na d'Artagnana — mam ja dawną sprawę z nim do załatwienia, jak się tylko wygoję. Rozbrój go tylko, wytrąć mu szpadę. O! tak! dobrze! wyśmienicie!

Okrzyk ten Athosa spowodował wytrącenie szpady z ręki Cahusaca; wyrzucona w powietrze padła o jakie dwadzieścia kroków.

D'Artagnan i Cahusac razem się rzucili, aby ją pochwycić; lecz d'Artagnan zwinniej-szy, pierwszy na niej postawił nogę.

Cahusac poskoczył do gwardzisty, zabitego przez Aramisa, wyrwał mu rapir, i powracał, aby na nowo z d'Artagnanem rozpocząć walkę, na drodze jednak spotkał Athosa, który w tej przerwie miał już czas trochę odetchnąć i w obawie, aby d'Artagnan wroga nie zabił, sam stanął przed nim do walki.

D'Artagnan pojął, iż ściągnąłby na siebie niezadowolenie Athosa, gdyby mu zechciał przeszkodzić. Stało się też, iż w kilka sekund za ledwie Cahusac padł z gardłem przesytem szpadą.

Jednocześnie Aramis przyłożył koniec szpady do piersi leżącego na ziemi przeciwnika, zmuszając go do poddania.

Pozostawał jeszcze Porthos i Bicarat. Porthos podrwiwał zawzięcie, zapytując Bicarata, która mogła być godzina, i winał mu oddziału, który brat jego dostał w pułku Navarry; drwinkami temi jednak niewiele wskórać mu się udało, Bicarat bowiem należał do tych ludzi żelaznych, którym ręka opada, lecz tylko po śmierci.

Należało wszakże temu kres położyć! Lada chwila patrol mógł nadciągnąć i zabrać walczących, rannych i całych, zarówno królewskich, jak i kardynalskich.

Athos, Aramis i d'Artagnan otoczyli Bicarata, wzywając go, aby się poddał. Jakkolwiek jeden na czterech i z udem szpadą przebitym, Bicarat nie myślał ustąpić. Był on, jak d'Artagnan, gaskończykiem; udawał głuchego, a śmiejąc się i zasłaniając żwawo, znalazł nawet czas, aby końcem szpady wskazać miejsce na ziemi.

— Tu, — rzekł, parodując ustęp biblijny — tu umrze Bicarat, sam jeden przeciw wszystkim.

— Ależ czterech ich jest przeciw tobie jednemu — zawołał Cahusac — skończ raz, rozkazuję ci.

— O! rozkazujesz, to rzecz inna, — odrzekł Bicarat — jako brygadjerowi swemu, winienem ci posłuszeństwo.

I, uskoczywszy w tył, złamał na kolanie szpadę, kawałki przez mur klasztorny przerzucił i, skrzyżowawszy na piersiach ręce, zagwizdał piosnkę gwardzistów kardynalskich.

Waleczność wzbudza szacunek nawet w nieprzyjacielu. Muszkieterowie pokłonili się Bicaratowi szpadami i włożyli je do pochwy. To samo uczynił d'Artagnan, następnie z pomocą Bicarata, który jeden tylko ze wszystkich kardynalskich gwardzistów trzymał się na nogach, zaniósł pod bramę klasztorną Jussaca, Cahusaca i tego z przeciwników Aramisa, który tylko był ranny; czwarty, jak wiadomo, już nie żył. Złożywszy ich tam, uderzyli w dzwon klasztorny, zabrawszy cztery szpady na pięć, i upojeni radością, podążyli do pałacu pana de Tréville.

Szli tak, splótłszy się ramionami, zajmując całą szerokość ulicy i każdego muszkietera spotkanego pociągając za sobą, tak, że w końcu orszak ten zmienił się w pochód triumfalny. Serce d'Artagnana rozplywało się z rozkoszy; siedł pomiędzy Athosem i Porthosem, ściskając ich czule.

— Choć nie jestem jeszcze muszkieterem — powiedział do nowych przyjaciół, przestąpiwszy próg pałacu pana de Tréville — ale zostałem przyjęty na praktykanta, nieprawdaż?

ROZDZIAŁ VI. JEGO KRÓLEWSKA MOŚĆ LUDWIK TRZY-NASTY

Cała ta sprawa narobiła wrzawy, pan de Tréville nagniewał się głośno na muszkieterów, a pochwalil ich po cichu. Ponieważ jednak nie było czasu do stracenia, popędził sam do Luwru, aby uprzedzić o tem króla. Spóźnił się wszakże, bo powiedziano mu, iż król zamknął się z kardynałem, pracuje i nikogo przyjąć nie może w tej chwili.

Stawił się więc wieczorem w zwykłych godzinach gry; król wygrywał, a jako strasznie skąpy, w przepysznym był humorze. Skoro więc zobaczył nadchodzącego Trévilla, odezwał się do niego:

— Proszę tutaj, panie kapitanie, proszę, muszę cię wyłajać; czy wiesz, że jego eminenca skarżył mi się na twoich muszkieterów, i z takim rozdrażnieniem, że aż chory jest dzisiaj. O! ależ to djabły wcielone, ci twoi muszkieterowie!...

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Tréville, widząc od razu na co się zanosi — nie, przeciwnie, to stworzenia dobre, łagodne, jak baranki, i szyję moją dają, iż jedno tylko pragnienie mają, aby dobywać szpady jedynie w usługach Waszej Królewskiej Mości. Cóż jednak począć, jeśli gwardziści pana kardynała wiecznie szukają zwady. Biedni młodzieńcy bronić się muszą, dla samego honoru swego zgromadzenia.

— Posłuchajcie no tego Trévilla! posłuchajcie! możnaby sądzić, że on tu mówi o zgromadzeniu religijnem. Doprawdy, kapitanie drogi, wielka ochota mnie bierze odebrać ci patent i dać go pannie de Chemerault, której przyobiecałem opactwo. Nie myśl jednak, abym ci na słowo uwierzył. Nie darmo nazywają mnie Ludwikiem Sprawiedliwym, zaraz cię o tem przekonam.

— Ponieważ najzupełniej sprawiedliwości tej ufam, Najjaśniejszy Panie, z uległością i spokojem zdaję się na łaskę Waszej Królewskiej Mości.

Szczęście się odwróciło, i król zaczął przegrywać to, co wygrał, było mu więc na rękę, że użyjemy tego wyrażenia, chorągiewkę zwinąć. Wstał też po chwili i rzekł, chowając do kieszeni pieniądze, przed nim leżące, których część znaczną stanowiła wygrana.

— Vieuville, siadaj na mojem miejscu, a ja muszę z panem de Tréville pomówić w sprawie bardzo ważnej. A!... było tam osiemdziesiąt luidorów przedemną; połóż odpowiednią sumę, aby krzywdy nie mieli przegrani. Sprawiedliwość przede wszystkim.

Potem obrócił się do Trévilla, pociągając go do framugi okna.

— A zatem, mój panie — ciągnął dalej — mówisz, że to gwardziści jego eminencji szukają zaczepki z twymi muszkietierami?

— Tak, Najjaśniejszy Panie, jak zwykle.

— Jakżeż się to stało, zobaczymy?... bo wiesz przecie, kapitanie, że sędzia winien obie strony wysłuchać.

— A! mój Boże w najprostszy i najzwyczajniejszy sposób. Trzech najlepszych żołnierzy moich, których Wasza Królewska Mość zna z imienia i miał sposobność ocenić wierność ich dla siebie, trzech tych żołnierzy, mówię, panowie: Athos, Porthos i Aramis, udali się na wycieczkę z pewnym młodym gaskończykiem, poleconym im z rana przeze mnie. Celem wycieczki miało być podobno Saint-Germain, a miejscem spotkania Karmelici bosci. Otóż tę przyjemność spaceru zakłócili im panowie: de Jussac, Cahusac, Bicarot i dwóch innych gwardzistów, którzy nie przyszliby tam pewnie w takiej liczbie, gdyby nie mieli złych zamiarów.

— Oh! o! dajesz mi do myślenia — odrzekł król — bez wątpienia, oni tam przyszli się bić.

— Ja ich nie oskarżam, lecz sąd pozostawiam Waszej Królewskiej Mości, bo po cóż aż pięciu ludzi zbrojnych przybyło w miejsce tak ustronne, jak okolice klasztoru Karmelitów bosych?...

— Tak, masz słusność, Tréville, masz słusność.

— Zobaczywszy moich muszkietierów, zmienili zamiar i, zapominając uraz osobistych dla nienawiści do naszego zgromadzenia... bo wiadomo Waszej Królewskiej Mości, że muszkietierzy, którzy do króla należą, do króla wyłącznie, są nieprzyjaciółmi naturalnymi gwardzistów, do kardynała należących...

— Tak, mój Tréville, tak — powiedział melancholijnie król — i wierzaj mi, iż to bardzo smutne widzieć dwie takie partje we Francji, taką dwugłową monarchję. Skończy się to jednak, skończy. Mówisz więc, że to gwardziści zaczepili muszkietierów?

— Mówię, że prawdopodobnie tak się rzeczy miały, lecz nie przysięgam, Najjaśniejszy Panie. Wasza Królewska Mość wie, jak trudno poznać prawdę, a kto nie jest obdarzony tem uczuciem zadziwiającem, dzięki któremu, nazwano Ludwika XIII Sprawiedliwym...

— Masz słusność, Tréville, ale ci twoi muszkietierowie nie sami tam byli, mieli z sobą jakiegoś dzieciaka.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, dzieciaka i jednego rannego; tak... trzech muszkietierów królewskich, z których jeden ranny, a z nimi jeden dzieciak, nie tylko stawili czoło pięciu najstraszniejszym gwardzistom pana kardynała, lecz nadto czterech powalili na ziemię.

— Ależ to zwycięstwo, zwycięstwo zupełne — zawołał król, promieniając radością.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, zwycięstwo zupełne.

— Mówisz więc, że czterech ludzi, z nich jeden ranny, a jeden dziecko nieledwie...

— Wyrostek, ale sprawiał się tak dzielnie w tej potrzebie, że pozwolę sobie polecić go Waszej Królewskiej Mości.

— Jak on się nazywa?

— D'Artagnan, Najjaśniejszy Panie, syn jednego z najdawniejszych przyjaciół moich, syn człowieka, który walczył przeciwko Lidze ze świetnej pamięci ojcem twoim, Najjaśniejszy Panie.

— Mówisz, że chłopak ten sprawiał się dzielnie? Opowiedz mi to, Tréville, wiesz, jak lubię opowiadania o bitwach i potyczkach.

Ludwik XIII, mówiąc to, dumnie pokręcił wężą, przybierając postawę rycerską.

— Najjaśniejszy Panie — zaczął Tréville — pan d'Artagnan, jak rzekłem, jest jeszcze prawie dzieckiem, a nie mając zaszczytu być muszkietierem, ubrany był po mieszczańsku; gwardziści pana kardynała, widząc młodość jego, a co więcej, iż nie należy do zgromadzenia, zażądali, aby się usunął, zanim uderzą na naszych.

— Widzisz więc, Tréville, że to oni pierwsi zaczęli.

— Tak właśnie, Najjaśniejszy Panie, najmniejszej niema wątpliwości; wezwali go więc, aby się usunął, na co odpowiedział, że sercem jest muszkietierem, oddanym duszą całą Jego

Królewskiej Mości, i pozostanie z panami muszkietierami.

— Dzielnny chłopiec! — mruknął król.

— I został, a Wasza Królewska Mość ma w nim tak walecznego stronnika... on to właśnie wpakował Jussacowi pchnięcie, które pana kardynała o tak straszny gniew przyprawilo.

— To on ranił Jussaca? — wykrzyknął król — on?... ten dzieciak?... Ależ to nie do uwierzenia, Tréville!...

— A jednak tak, jak miałem zaszczyt Waszej Królewskiej Mości powiedzieć.

— Jussaca, najdzielniejszego rębacza w królestwie?...

— Trafiła kosa na kamień, Najjaśniejszy Panie.

— O! chcę go poznać, Tréville, chcę go zobaczyć, i jeżeli da się coś zrobić dla niego, zajmiemy się nim zaraz.

— Kiedy Wasza Królewska Mość przyjąć go raczy?

— Jutro w południe.

— Czy mam go samego przyprowadzić?

— Nie, wszystkich czterech mi przyprowadź. Chcę im podziękować; serca wierne są rzadkością, Tréville, wierność należy nagradzać.

— Najjaśniejszy Panie, w południe stawimy się w Luwrze.

— O! tylko, Tréville, pamiętaj, bocznymi schodami, tak, bocznymi; nie trzeba, aby kardynał o tem wiedział.

— Słucham, Najjaśniejszy Panie.

— Pojmiesz, Tréville, zakaz zakazem, bo koniec końców, bić się jest zabronione.

— Ale, Najjaśniejszy Panie, spotkanie to, przekracza wszelkie formy pojedynkowe, to bójka po prostu, napaść boć pięciu gwardzistów kardynalskich było przeciw trzem muszkietierom i panu d'Artagnan.

— Słusznie — odparł król — ale w każdym razie przyjdźcie bocznymi schodami.

Tréville uśmiechnął się. Ponieważ jednak wielką było rzeczą to, co otrzymał od tego dziecka, buntującego się przeciw swojemu panu, ukłonił się królowi z uszanowaniem i za zezwoleniem jego oddalił się.

Tego wieczora jeszcze trzej muszkietierowie zawiadomieni zostali o zaszczycie, jakiego mieli dostąpić. Że jednak znali króla od dawna, niezbyt tem podnieceni się czuli, ale d'Artagnan ze swoją wyobraźnią gaskońską, widział w tem szczęście swoje w przyszłości i noc całą roił sny złote. Nazajutrz też o ósmej z rana był już u Athosa. Zastał go w mundurze galowym, gotowego do wyjścia. Ponieważ ułożyli się wspólnie z Porthosem i Aramisem, że pójdą na piłkę do pewnego domu gry, tuż przy stajniach pałacu luksemburskiego, Athos zaprosił go do towarzystwa, a d'Artagnan, jakkolwiek nie znał zabawy tego rodzaju, przyjął zaproszenie, nie wiedząc, co robić z czasem od dziewiątej rano, aż do południa. Dwaj muszkietierowie byli już na miejscu i rzucali piłką do siebie. Athos, biegly we wszystkich ćwiczeniach ciała, stanął z d'Artagnanem po stronie przeciwnej, wyzywając ich do gry. Lecz za pierwszym rzutem, jakkolwiek lewą ręką dokonany, poczuł, że na ćwiczenia podobne rana jego jeszcze była za świeża.

D'Artagnan pozostał sam, ponieważ jednak oznajmił, że za mało zna się na zasadach gry, poprzestano więc na rzucaniu piłką, nie rachując punktów. Piłka, wyrzucona herkulesową ręką Porthosa, tuż koło twarzy d'Artagnana przemknęła, tak, że gdyby zamiast pójść bokiem, trafiła w niego, audjencja, pomyślał sobie, byłaby dziś stracona prawdopodobnie, bo z guzem nie mógłby przecież pokazać się królowi. Skoro zaś w wyobraźni jego gaskońskiej cała przyszłość zależała od posłuchania, grzecznie się Porthosowi i Aramisowi ukłonił, oznajmiając, iż nie będzie grał, dopóki dorównać im nie potrafi, i odszedł, aby zająć miejsce wśród widzów.

Na nieszczęście między widzami znajdował się pewien gwardzista jego eminencji, który, wzburzony jeszcze porażką wczorajszą swoich towarzyszy, przyrzekł sobie czepić się pierwszej sposobności dla pomśzczenia kolegów. Sądząc, że nadeszła chwila stosowna, zwrócił się do sąsiada, mówiąc:

— Nic dziwnego, że ten młodzik przeląkł się piłki, pewno to czeladnik muszkieterski.

D'Artagnan drgnął, jak ukąszony przez żmiję i przeszył wzrokiem gwardzistę, który się wyrwał z tem grubijaństwem.

— O! — ciągnął tenże dalej, zawadjacko pokręcając węża — patrz na mnie, ile ci się podoba, mój paniczku, a ja co powiedziałem, to powiedziałem.

— A ponieważ to, co powiedziałeś, jest jasne aż nadto i nie potrzebuje objaśnień, — odparł d'Artagnan, zniżonym głosem — będę pana prosił, abys poszedł ze mną.

— Kiedy? — zapytał gwardzista tym samym drwiącym tonem.

— Natychmiast, jeśli łaska.

— Wiesz pan pewno, kim jestem?

— Wcale nie wiem i nie obchodzi mnie to bynajmniej.

— Źle robisz, bo gdybyś znał moje imię, nie śpieszyłbyś tak może.

— Więc jak się pan nazywasz?

— Bernajoux, do usług.

— A zatem, panie Bernajoux, — spokojnie rzekł d'Artagnan — czekam na ciebie przy bramie.

— Idź pan, przyjdę za tobą.

— O! nie śpiesz się pan zbyt, aby nas razem wychodzących nie dostrzeżono; pojmujesz, iż przeszkadzaliby nam widzowie.

— Dobrze — odrzekł gwardzista, zdziwiony, iż nazwiskiem swoim większego na młodzieńcu nie sprawił wrażenia.

Rzeczywiście, Bernajoux znany był wszystkim, z wyjątkiem d'Artagnana; był on jednym z tych, co brali udział w bójkach codziennych, które odbywać się nie przestawały, pomimo zakazów króla i kardynała.

Porthos i Aramis tak byli zajęci grą, a Athos przypatrywał się im z taką uwagą, że nie spostrzegli wyjścia młodego towarzysza, który, jak zapowiedział gwardziście, czekał na niego w bramie, gdzie i ten wkrótce się zjawił. Nie mając czasu do stracenia, wobec audjencji u króla, oznaczonej na godzinę dwunastą, d'Artagnan rozejrzał się dokoła, a widząc, iż ulica jest pusta, rzekł:

— Na honor, wielkie twoje szczęście, choć Bernajoux się nazywasz, że masz do czynienia tylko z czeladnikiem muszkieterskim; bądź spokojny jednak, postaram się jak umiem najlepiej. Baczność!

Bernajoux nie dał sobie dwa razy powtórzyć podobnej grzeczności, w mgnieniu oka szpada błysnęła mu w dłoni i rzucił się na przeciwnika, tusząc sobie, że młokosa onieśmieli od razu.

Lecz d'Artagnan odbył szkołę w przeddzień, świeżo więc ośmielony zwycięstwem, dumny ze swego przyszłego, zdecydowany był na krok me ustąpić. Spoily się więc dwa ostrza aż po rękojeść, a że d'Artagnan trzymał się, jak wrosły w miejscu, przeciwnik jego zatem musiał w tył uskoczyć. D'Artagnan w lot sposobność uchwycił, bo, gdy skutkiem ruchu tego szpada Bernajoux zesła z linii, trzepnął w nią z boku i złożonywszy się, ugodził przeciwnika w ramię. Niezwłocznie potem d'Artagnan, krok w tył zrobiwszy, wznosił szpadę do góry, lecz Bernajoux krzyknął, że to fraszka tylko i, na oślep rzucając się na d'Artagnana, sam się na szpadę jego natknął. Ponieważ jednak trzymał się na nogach i za zwyciężonego się nie uznał, cofał się tylko ku pałacowi pana de Trémouille, u którego krewniak jego był w służbie, d'Artagnan przeto sam nie mógł wiedzieć, jak mocno go zranił, nacierał nań ostro i dobiłby był przeciwnika za trzecim pchnięciem, gdyby wzmagająca się na ulicy wrzawa nie była doszła do sali gry. Dwaj przyjaciele gwardzisty słyszeli jego sprzeczkę z d'Artagnanem, a ponieważ widzieli ich wychodzących obydwóch, domyślili się, co zaszło, i nadbiegłszy z dobytą bronią wpadli na zwycięzcę.

Athos, Porthos i Aramis jednocześnie prawie także się tam znaleźli, i w chwili, gdy dwaj gwardziści rzucali się na młodzieńca, zmuszeni zostali przez nich do zmiany frontu.

Wtedy Bernajoux upadł; a ponieważ gwardziści w mniejszej byli liczbie, wołać poczęli w stronę pałacu de la Trémouille. Wszystko, co żyło w pałacu, na krzyk ten wyległo, waląc się hurmem na czterech towarzyszów, którzy ze swej strony wołali:

— Do nas, muszkietrzy!

Krzyki podobne nierzadko słyszeć się dawały; znano muszkietarów, jako nieprzyjaciół emincji, i za nienawiść, jaką dla kardynała żywili, kochano ich powszechnie. Dlatego straż z innych oddziałów, nie należących do Czerwonego księcia, jak go mianował Aramis, była w ogólności po stronie muszkietarów króla. Z trzech też żołnierzy z oddziału

pana Desesarts, którzy przechodzili tamtędy, dwóch nadbiegło na pomoc walczącym, gdy trzeci popędził w stronę pałacu pana de Tréville, krzyząc: „Do nas, muszkietery, do nas!” Jak zwykle, dom pana de Tréville pełen był żołnierzy tej broni, nadbiegli więc na ratunek kolegom. Zamieszanie stało się ogólne, a przeważająca siła była po stronie muszkietarów. Gwardziści kardynała i ludzie pana de la Trémouille schronili się więc do pałacu, w sam czas bramy pozamykawszy za sobą, by przeszkodzić nieprzyjacielowi wtargnąć tam jednocześnie z nimi. Od razu zaś tam przeniesiony został ranny Bernajoux i to w stanie bardzo niebezpiecznym.

Wzburzenie pomiędzy muszkietarami i sprzymierzeńcami ich doszło do najwyższego stopnia, naradzano się już pomiędzy sobą, czyby dla ukarania zuchwalstwa domowników pana de Trémouille, którzy rzucili się na muszkietarów królewskich, nie podłożyć ognia pod jego pałac. Myśl ta została podjęta z zapalem, gdy na szczęście wybiła godzina jedenasta, przypominając d'Artagnanowi i towarzyszym jego posłuchanie u króla, a ponieważ przykro by im było gdyby czyn tak piękny odbył się bez ich współdziałania, namówili wszystkich do zaniechania zemsty.

Poprzestano też na rzuceniu kilku kamieni w bramy pałacu, bez skutku jednak: bramy nie ustąpiły. Pierwszy impet opuścił już atakujących, tembardziej, że ci, których mieli za swoich przywódców, odłączyli się od oblegających, podążając w stronę pałacu pana de Tréville, który, powiadomiony o awanturze, już na nich oczekiwał.

— Prędko, co tchu, do Luwru!... — zawołał — do Luwru!... ani chwili nie tracić. Postarajmy się z królem zobaczyć, zanim uprzedzi nas kardynał; opowiemy zdarzenie to królowi, jako dalszy ciąg sprawy wczorajszej i razem się to połączy.

Wyruszyli więc do Luwru, pan de Tréville z czterema młodzieńcami; lecz jakież było zdziwienie kapitana muszkietarów, gdy oznajmiono, że król wyjechał do lasku Saint-Germain, aby polować na jelenie. Po dwakroć powtórzyć sobie kazał tę wiadomość, i za każdym razem towarzysze jego widzieli, jak mu się twarz zachmurzała.

— Czy Jego Królewska Mość już wczoraj miał zamiar być na polowaniu?

— Nie, ekscelencjo — odrzekł pokojowiec — lecz główny nadzorca sfor królewskich oznajmił mu rano, iż nocy dzisiejszej odkryto legowisko jelenia. Zrazu odpowiedział, że nie pojedzie, później nie mógł się oprzeć przyjemności, jaką obiecywało polowanie i, zjadłszy obiad, pojechał.

— A czy widział się król z kardynałem?

— Prawdopodobnie — odparł pokojowiec — bo rano zauważyłem zaprzężoną karetę jego eminencji, i mówiono mi, że jedzie do Saint-Germain.

— Uprzedzono nas... — rzekł pan de Tréville — Panowie, ja będę dziś u króla wieczorem; ale wam nie radzę tego próbować.

Przestroga była rozumna, nade wszystko, iż pochodziła od człowieka, aż nadto dobrze znającego króla, więc czterej młodzieńcy zawierzyć jej mogli. Pan de Tréville polecił im wrócić do siebie i oczekiwać od niego wiadomości. Pan de Tréville, powróciwszy do domu, wpadł na myśl, że należałoby jemu pierwszemu zanieść skargę. Wysłał jednego z domowników z listem do pana de la Trémouille, w którym go prosił o wydalenie ludzi swych za zuchwalstwo, jakiego się dopuścili względem muszkietarów. Lecz pan de la Trémouille, uprzedzony już przez koniuszego, który był krewnym Bernajoux, odpowiedzieć mu kazał, że ani panu de Tréville, ani muszkietarom, skarżyć się nie należy, ale przeciwnie jemu, na którego ludzi muszkietarowie napadli, a pałac jego chcieli puścić z dymem. Ponieważ rokowania pomiędzy dwoma panami przewlec by się mogły za długo, gdyż każdy przy swoim zdaniu obstawał, pan de Tréville wymyślił inny sposób załatwienia sprawy. Postanowił sam się udać do pana de la Trémouille.

Pojechał więc natychmiast i kazał się oznajmić.

Dwaj dostojnicy powitali się grzecznie, bo, choć nie byli przyjaciółmi, szanowali się wzajemnie. Obydwaj byli ludźmi zacnymi i honorowymi: a że pan de Trémouille, jako protestant i nie często widujący króla, nie należał do żadnego stronnictwa, nie powodował się też w stosunkach towarzyskich w ogólności żadnymi uprzedzeniami. Tym razem jednak przyjęcie, jakkolwiek grzeczne, było chłodniejsze, niż zwykle.

— Panie — rzekł Tréville — obaj sądzimy, że mamy sobie coś do wyrzucenia, sam więc przychodzę, abyśmy wspólnie wyświetlili tę sprawę.

— Jak najchętniej — odpowiedział pan de la Tremouille — ale uprzedzam pana, iż dobrze jestem powiadomiony, a cała wina spada na pańskich muszkietierów.

— Znadto sprawiedliwym jesteś pan człowiekiem i znadto rozumnym — rzekł pan de Tréville — abyś nie przyjął propozycji, jaką mam mu uczynić.

— Mów pan, słucham.

— Jak się miewa pan Bernajoux, krewny koniuszego pańskiego?

— Ależ, panie, źle bardzo. Prócz pchnięcia rapirem w ramię, niezbyt zresztą groźnego, ma jeszcze płuca przebite, tak, że doktor bardzo na to głową kręci.

— Czy ranny zachował przytomność?

— Najzupelniej.

— I mówi?

— Z trudnością, jednakże mówi.

— Chodźmy zatem do niego i zaklinijmy go na Boga, przed którego sądem niedługo może stanąć, aby wyznał prawdę. Gotów jestem wziąć go na sędziego we własnej jego sprawie, a w to, co powie, uwierzę święcie.

Pan de la Trémouille zastanowił się chwilę, później, skoro nie było nad tę rozumniejszej propozycji, zgodził się na nią.

Zeszli obydwaj do pokoju, gdzie leżał ranny. Ten, skoro ujrzał dwóch wielkich panów, przychodzących do niego, usiłował podnieść się na łóżku, lecz słaby, wyczerpany wysiłkiem, opadł na posłanie, prawie nieprzytomny.

Pan de Trémouille podszedł do niego i dał mu powąchać soli, które go otrzeźwiły. Wtedy pan de Tréville, nie chcąc, aby go posądzano, że chce na chorego wpływać, prosił pana de la Trémouille, iżby go sam wy badał.

Stało się tak, jak pan de Tréville przewidział. Zawieszony pomiędzy życiem i śmiercią, Bernajoux ani na chwilę nie myślał zataić prawdy i opowiedział dokładnie wszystko, jak się odbyło.

Niczego też więcej nie mógł pan de Tréville żądać; życząc zatem Bernajoux prędkiego wyzdrowienia, pożegnał pana de la Trémouille, powrócił do domu, i dał znać czterem przyjaciółkom, że czeka na nich z obiadem.

Pan de Tréville przyjmował u siebie towarzystwo wyborowe, przede wszystkim przeciwdyńskie. Łatwo więc pojąć, iż w ciągu całego obiadu rozmowa toczyła się o porażkach gwardzystów Jego eminencji. Nadto, ponieważ bohaterem ostatnich dwóch dni był d'Artagnan, wszystkie więc pochwały spadły na niego. Athos, Porthos i Aramis pozostawili mu używanie ich w pełni, nie tylko jako dobrzy koledzy, lecz jako ludzie, dla których pochwały nie były rzadkością.

Około szóstej pan de Tréville oznajmił, iż nadszedł czas udać się do Luwru. Ponieważ wszakże minęła już godzina, oznaczona na posłuchanie przez Najjaśniejszego pana, zamiast więc wejść bocznymi schodami, podążył wraz z czterema młodymi ludźmi przez przedpokój.

Król nie powrócił jeszcze z polowania. Gdy już pół godziny czekali pośród tłumnie zebranych dworzan, wszystkie drzwi rozwarły się nareszcie i oznajmiono Jego Królewską Mość. Dreszcz do szpiku przejął d'Artagnana. Zbliżała się chwila, mająca stanowić o jego życiu. Przerazone spojrzenie utkwił w drzwiach, w których król miał się ukazać.

Pierwszy wszedł Ludwik XIII w stroju myśliwskim, pokryty pyłem; na nogach miał długie buty, a w ręce trzymał harapnik. Na pierwszy rzut oka poznał d'Artagnan, że w umyśle królewskim zanosilo się na burzę.

Jakkolwiek usposobienie to jawne było u Jego Królewskiej Mości, nie przeszkodziło dworakom ustawić się w rząd przy jego przejściu. W przedpokojach królewskich lepiej jest być widzianym bodaj zagniewanym wzrokiem, niż nie być widzianym wcale.

Trzej też muszkietierowie, bez wahania wystąpili naprzód, gdy przeciwnie d'Artagnan pozostał za nimi ukryty. Król, chociaż osobiście znał Athosa, Porthosa i Aramisa, przeszedł, nie patrząc na nich, nie odzywając się, jakby ich nie znał i nie widział nigdy. Tréville zaś, gdy oczy królewskie spoczęły na nim przez chwilę, spojrzenie ich tak śmiało wytrzymał, że zmusił króla do odwrócenia się od niego; poczem Jego Królewska Mość, mrucząc gniewnie, wszedł do swoich apartamentów.

— Kiepska sprawa — rzekł Athos z uśmiechem — tym razem jeszcze nie zrobią nas kawalerami orderu.

— Poczekajcie tu dziesięć minut — rzekł pan de Tréville — jeśli po upływie tego czasu nie ujrzycie mnie, z powrotem wracajcie do mego pałacu, na próżno bowiem czekalibyście na mnie.

Czekali więc dziesięć minut, kwadrans, dwadzieścia minut, a widząc, że pan de Tréville nie pokazuje się, wyszli zaniepokojeni mocno tem, to wyniknąć mogło.

Pan de Tréville śmiało wszedł do gabinetu króla i zastał go w bardzo złym humorze, siedzącego w fotelu i bijącego się po butach ręką ręką harapa. Nie przeszkodziło mu to wszakże z największą flegmą zapytać o zdrowie Jego Królewskiej Mości.

— Nie tęgie, mój panie, me tęgie — odrzekł król — nudzę się!...

Była to w rzeczywistości najgorsza choroba Ludwika XIII, który często brał dworzaków swoich i prowadził do okna, mówiąc: Panie taki a taki, ponudźmy się razem.

— Jakto? Nudzi się Wasza Królewska Mość! Czyż Najjaśniejszy Pan nie używał dziś przyjemności polowania?

— Piękna mi przyjemność! Wszystko wyradza się, mój panie, i nie wiem, na honor, czy to zwierzyzna tropu me zostawia, czy psy jus węchu nie mają. Szczujemy rogacza o dziesięciu gałęziach, sześć godzin upędzamy się za nim, i kiedy go już mamy nieledwie, a Saint-Simon przytyka róg do ust, by pojeźdznego zatrzeć, trach! cała sfora leci w inną stronę i puszcza się za dwulatkiem. Zobaczysz, iż zmuszony będę wyrzec się polowania z psami, jak wyrzekłem się polowania z sokołami. O! jestem nieszczęśliwym królem, panie de Tréville! jednego tylko sokoła miałem, i ten zdechł mi przedwczoraj.

— Pojmuję tę rozpacz, Najjaśniejszy Panie, wielkie to nieszczęście, lecz o ile mi się zdaje, pozostało jeszcze sporo jastrzębi i kobusów.

— A żywej duszy nie ma, aby ich uczyła; brak już sokolników, ja tylko pozostałem jeden, znający tę sztukę. Jak mnie nie stanie, już będzie po wszystkim, polować będą z pomocą siatek i dołów. Gdybym miał czas wykształcić uczniów! a tak!... od czegoż pan kardynał, który mi obecnie ani chwili spoczynku nie pozostawia, i prawi mi o Hiszpanji, o Austrii, o Anglii! Ale, ale! co do pana kardynała, panie de Tréville, niezadowolony jestem z ciebie!

Pan de Tréville oczekiwał tego zwrotu. Znał on króla na wylot; zrozumiał, że wszystkie te skargi były tylko przedmową, rodzajem bodźca, dla dodania sobie odwagi, i że skończy on na tem, na czem chciał zakończyć.

— Czemże miałbym nieszczęście niezadowolili Waszej Królewskiej Mości? — zapytał de Tréville, udając najgłębsze zdziwienie.

— Tak to, mój panie, spełniasz swój obowiązek? — ciągnął dalej król, nie odpowiadając na zapytanie pana de Tréville — na toż mianowałem cię kapitanem muszkietierów, aby mordowali oni człowieka, podburzali dzielnicę i chcieli Paryż spalić? Spodziewam się, iż wicherzyciele siedzą już w więzieniu i przychodzisz oznajmić mi, że sprawiedliwość została wymierzona.

— Najjaśniejszy Panie — spokojnie odpowiedział Tréville — przeciwnie, przychodzę jej domagać się od ciebie.

— A przeciw komu? — wykrzyknął król.

— Przeciw potwarcom.

— A! to coś nowego!... — odezwał się król. — Może mi powiesz, że trzech tych potępieńców muszkietierów twoich, Athos, Porthos i Aramis, wraz z owym bearneńskim młokosem, nie napadło, jak wściekli, na biednego Bernajoux i nie sponiewierało go tak, że prawdopodobnie kona już w tej chwili! Powiesz mi może, że nie obiegli następnie pałacu księcia de la Trémouille i nie chcieli go spalić, co nie byłoby wielkiem nieszczęściem w czasie wojny, boć to gniazdo hugonotów, lecz w czasie pokoju... przykład paskudny. Może zaprzeczysz temu wszystkiemu?

— Któż to ułożył tę piękną bajkę, Najjaśniejszy Panie? — spokojnie zapytał Tréville.

— Kto mi ją opowiedział? a któżby, jeżeli nie ten, który czuwa, gdy ja zasypiam, pracuje, gdy ja się bawię, który wszystkim kieruje wewnątrz i zewnątrz w królestwie, we Francji, jako też i w Europie.

— Wasza Królewska Mość mówi o Bogu zapewne — rzekł Tréville — gdyż jednego Boga znam tylko, który potęgą przewyższa władzę Waszej Królewskiej Mości.

— Nie panie, ja tu mówię o podporze państwa, o jedynym słudze moim, przyjacielu, o panu kardynale.

— Jego Eminencja nie jest przecież jego świętobliwością, Najjaśniejszy Panie.

— Co pan przez to rozumiesz?

— Że papież tylko jest nieomylny, a nieomylność na kardynałów się nie rozciąga.

— Chcesz przez to powiedzieć, że mnie oszukuje i zdradza? Oskarżasz go? Słuchaj, powiedz mi, wyznaj szczerze, że go oskarżasz.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ja tylko mówię, że on sam się myli; mówię, że źle jest powiadomiony, że pilno mu było oskarżyć muszkietarów Waszej Królewskiej Mości, dla których jest bardzo niesprawiedliwy, i dlatego z nieczystych źródeł czerpał wiadomości.

— Oskarżenie wyszło od pana de la Trémouille, od niego samego. I cóż mi na to odpowiesz?

— To tylko mógłbym odpowiedzieć, Najjaśniejszy Panie, że nadto jest on zainteresowany w tej kwestji, aby w niej być świadkiem bezstronnym; lecz dalekim od tego jestem, znam go, jako szlachcica prawego i najzupełniej zdaję się nań, lecz pod jednym warunkiem, Najjaśniejszy Panie.

— Pod jakim?

— Iż Wasza Królewska Mość wezwie go do siebie, sam wybada, bez świadków, w cztery oczy, i że, po odejściu księcia, odwiedzę niezwłocznie Was, Najjaśniejszy Panie.

— Niech i tak będzie — niechętnie odburknął król i zgodzisz się na to, co powie pan de la Trémouille?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Zdajesz się na jego sąd?

— Najzupełniej.

— La Chesnaye! — zawołał król — la Chesnaye!

Zaufany pokojowiec Ludwika XIII, u drzwi zawsze stojący, wszedł.

— La Chesnaye — rzekł doń król — posłać natychmiast po pana de la Trémouille; dziś jeszcze mam z nim do pomówienia.

— Czy daje mi Wasza Królewska Mość słowo, iż z nikim widzieć się nie będzie, pomiędzy moją a pana de la Trémouille bytnością?

— Z nikim, słowo szlacheckie.

— Zatem, Najjaśniejszy Panie, do jutra.

— Do widzenia, panie de Tréville.

— O której godzinie, jeżeli łaska Waszej Królewskiej Mości?

— O której ci się podoba.

— Przyjściem zawczesnem obawiam się obudzić Waszą Królewską Mość.

— Obudzić?... mnie? Alboż ja kiedy śpię? Nie sypiam już teraz, mój panie; drzemię czasami, i na tem koniec. Przyjdź więc, jak chcesz rano, choćby o siódmej; ale strzeż się, jeżeli muszkietarowie twoi zawinili!...

— Jeżeli są winni, Najjaśniejszy Panie, oddani będą w ręce Waszej Królewskiej Mości i postąpisz z nimi, jak uznasz za właściwe. Czy Wasza Królewska Mość ma jeszcze co mi rozkazać? Słucham i spełnić jestem gotów.

— Nie, panie, nie, i nie bez racji nazwano mnie Ludwikiem Sprawiedliwym. Do jutra zatem, panie, do widzenia.

— Niechaj Bóg strzeże Waszą Królewską Mość.

Jakkolwiek nietęgo sypiał król, pan de Tréville gorzej jeszcze spał tej nocy. Wieczorem jeszcze kazał zawiadomić trzech muszkietarów i towarzysza ich, aby stawili się u niego o wpół do siódmej z rana. Zabrał ich z sobą, za nic nie ręcząc, nic nie obiecując i nie ukrywając wcale, że o łaskę królewską dla nich i dla niego kości zostały rzucone.

Przyszedłszy do schodów bocznych, kazał im się zatrzymać. W razie gdyby król trwał w gniewie na nich, odeszliby, niewidziani; jeżeli zaś zgodzi się ich przyjąć, lepiej, że będą pod ręką.

Wszedłszy do prywatnego przedpokoju króla, pan de Tréville zobaczył la Chesnaya, który oznajmił mu, że wczoraj wieczorem nie zastano pana de la Trémouille w domu, a powrócił za późno, aby stawić się w Luwrze, teraz więc przyszedł dopiero i jest właśnie u króla. Okoliczność ta bardzo była na rękę panu de Tréville, upewniło go to bowiem, iż żaden wpływ obcy nie wślizgnął się pomiędzy nim a zeznaniem pana de la Trémouille.

Dziesięć minut upłynęło zaledwie, drzwi od gabinetu królewskiego otworzyły się, i wyszedł pan de la Trémouille, a zobaczywszy pana de Tréville, zbliżył się do niego

i rzekł:

— Panie, Jego Królewska Mość posłał po mnie, aby wypytać, jak się rzeczy miały wczoraj rano w moim pałacu. Opowiedziałem mu prawdę, czyli, że wina była po stronie moich ludzi i gotów jestem wytłómaczyć się panu. Ponieważ spotykam pana, zechciej proszę przyjąć moje oświadczenie i uważać mnie za jednego ze swoich niezmiennych przyjaciół.

— Mości książę — odpowiedział Tréville — tak mocno ufałem w twoją prawość, że nie chciałem innego obrońcy przed królem, prócz ciebie samego. Widzę, że nie ludziłem się bynajmniej i dzięki ci za to, że jest jeszcze we Francji człowiek, o którym śmiało można powiedzieć to, co o panu mówię.

— Dobrze, dobrze — odezwał się wtem król, który słuchał tej grzecznej rozmowy, stojąc we drzwiach — powiedz mu tylko Tréville, ponieważ przyjacielem twoim się mieni, że i ja także chciałbym do przyjaciół jego się zaliczać, lecz on mnie zaniedbuje, trzy lata blisko nie widziałem go, i widzę tylko wtedy, kiedy sam po niego poślę. Powiedz mu to ode mnie, bo są to rzeczy, których król sam nie powinien mówić.

— Dzięki Najjaśniejszy Panie, dzięki — odpowiedział książę — lecz proszę wierzyć, nie mówię tu o panu de Tréville, proszę wierzyć, że nie ci, których Wasza Królewska Mość o każdej godzinie dnia widuje, najwięcej mu są oddani.

— A! usłyszałeś, com powiedział, tem lepiej — podchwycił król, stając we drzwiach. — Jak się masz, Tréville, gdzie są twoi muszkietierowie? Powiedziałem ci przedwczoraj, żebyś mi ich przyprowadził, czemużes tego nie uczynił?

— Są na dole, Najjaśniejszy Panie i, za zezwoleniem twojem, la Chesnaye powie im, aby tu weszli.

— Dobrze, dobrze, niech przyjdą tu zaraz; niedaleko już ósma, a o dziewiątej czeka mnie wizyta. Idź już, mości książę, ale przede wszystkim powracaj. Chodź, Tréville.

Książę skłonił się i wyszedł. W chwili, kiedy otwierał drzwi, trzech muszkietierowie z d'Artagnanem ukazali się na schodach.

— Pójdźcie tu, zuchy, pójdźcie, muszę was wyłajać — odezwał się król.

Muszkietierowie zbliżyli się z ukłonami; za nimi postępował d'Artagnan.

— Cóż, u diabła — ciągnął dalej król — czterech was jest, a w przeciagu dwóch dni uczyniliście już siedmiu gwardzistów jego eminencji, niezdolnymi do walki. To za wiele panowie, za wiele. Gdyby tak poszło dalej, jego eminencja za trzy tygodnie byłby zmuszony starać się o nowe uzupełnienie swoich zastępów, a ja obostrzyć moje rozkazy. Nie mówię, gdyby tak jeden gwardzista przypadkiem; ale siedmiu w przeciagu dwóch dni, to za wiele, powtarzam, za wiele.

— Oni też, Najjaśniejszy Panie, przychodzą, pełni smutku i żalu, usprawiedliwić się przed Waszą Królewską Mością.

— Pełni smutku i żalu! Hm! — odezwał się król — wcale ja nie wierzę tym obłudnikom, a nade wszystko temu obliczu gaskońskiemu. Chodź no tu, mój panie.

Zrozumiał d'Artagnan, że się to do niego stosuje, i podszedł, przybierając minę, jak można najrozpaczliwszą.

— Cóżes mi mówił, że to młodzieniec? to dzieciak, Trévillu, istny dzieciak! I to on tak pokiereszował Jussaca?

— I po dwakroć tak pięknie naszpikował Bernajoux.

— Doprawdy!

— Nie licząc już tego — wtrącił Athos — że gdyby mnie był nie wyrwał z rąk Bicarata, z pewnością nie miałbym w tej chwili zaszczytu złożyć najuniżeńszego pokłonu Waszej Królewskiej Mości.

— Ależ to szatan wcielony z tego bearneńczyka, do stu par kaduków! panie de Tréville. jakby to powiedział król, ojciec mój. Przy takim rzemiośle musi się siłę kaftanów dziurawić i siłę rapirów łamać. A wiadomo, iż gaskończycy zawsze są goli, nieprawdaż?

— Najjaśniejszy Panie, muszę to powiedzieć, że nie odkryto jeszcze kopalni złota w ich górach, jakkolwiek cud ten należałby im się od Stwórcy, w nagrodę za mężne popieranie sprawy ojca Waszej Królewskiej Mości.

— To znaczy, że gaskończycy i mnie królem zrobili, nieprawdaż, Trévillu, skoro synem swojego ojca jestem? Ha! niech i tak będzie, nie przeczę. La chesnaye, idź no zobacz, czy przetrząsnąwszy wszystkie moje kieszenie, znajdziesz czterdzieści pistołów; a jeżeli je

znajdziesz, to mi je przynieś. A teraz, słuchaj, młodzieńcze, tak, z ręką na sercu, jakże to było?

D'Artagnan opowiedział wypadki dnia poprzedniego ze wszelkimi szczegółami: jak nie mogąc zasnąć z radości na myśl oglądania Jego Królewskiej Mości, przyszedł do swoich przyjaciół na trzy godziny przed posłuchaniem; jak udali się razem do domu gry, i jak dlatego, że obawiał się uderzenia piłką w twarz, wyszydzony został przez Bernajoux i wreszcie, jak ten swoich drwinek o mało co życiem nie przypłacił, a pan de la Trémouille, który nie zawinił niczem, o mało co nie postradał pałacu.

— To dobrze — mruknął król — tak, i książę opowiadał to samo. Biedny kardynał! siedmiu ludzi w przeciągu dwóch dni, i to najdroższych swoich: ale dosyć już tego. Panowie, słyszycie! dosyć: zapłaciliście sobie za ulicę Feron i powinniście już być zadowoleni.

— Jeśli Wasza Królewska Mość jest zadowolona — rzekł Tréville — to i my także.

— Tak, jestem zadowolony — rzekł król, biorąc garść złota z ręki la Chesnaya, i kładąc je do ręki d'Artagnana. — A oto — rzekł — dowód mojego zadowolenia.

W owych czasach pojęcia godności, dziś tak rozpowszechnione, nie było jeszcze w modzie. Szlachcic brał pieniądze królewskie, bynajmniej nie czując się upokorzonym. D'Artagnan więc bez żadnych ceregieli schował pieniądze do kieszeni, rozwodząc się w podziękowaniach dla Jego Królewskiej Mości.

— No — rzekł król, spoglądając na zegar — a teraz, kiedy już jest wpół do dziewiątej, oddalcie się; bo, jak wam mówiłem, oczekuję kogoś o dziewiątej. Dziękuję za przywiązanie wasze, panowie. Wszak mogę na nie liczyć, nieprawdaż?

— O! Najjaśniejszy Panie — jednym głosem wykrzyknęli trzej towarzysze — na ćwierci porąbać się damy dla Waszej Królewskiej Mości.

— Dobrze, dobrze, pozostaniecie jednak cali, to lepiej, bo będziecie mi użyteczni. Tréville — dodał król półgłosem, kiedy tamci czterej oddalili się — skoro nie masz miejsca w muszkietkach, a zresztą postanowiliśmy, że dla wejścia do zgromadzenia tego trzeba odbyć nowicjat, umieść tego młodzieńca w kompanji pana Dessesarts, twójgo szwagra. A! do licha! Trévillu, jak ja się cieszę na myśl o krzywej minie kardynała; będzie wściekły, ale wszystko mi jedno, jestem w swoim prawie.

I pożegnał skinieniem ręki pana de Tréville, który dopędził swoich muszkietarów i zastał ich dzielących się z d'Artagnanem czterdziestoma pistolami. A kardynał, jak powiedział król, wściekły był rzeczywiście, tak wściekły, że przez tydzień cały nie był na szachach u króla, co temu ostatniemu nie przeszkadzało najuprzejmiej uśmiechać się do niego i przy każdym spotkaniu najpieszczotliwszym głosem zapytywać:

— I cóż, panie kardynale, jak się miewają ten twój biedak Bernajoux i ten nieszczęśliwy Jussac?

ROZDZIAŁ VII. MUSZKIETEROWIE U SIEBIE

D'Artagnan, wyszedłszy z Luwru, zasięgnął rady przyjaciół, jaki użytek powinienby zrobić z pozostałej dla niego części czterdziestu pistolów. Athos radził mu, aby wyprawił ucztę w gospodzie Pomme de-Pin, Porthos, aby przyjął lokaja, Aramis zaś, aby postarał się o milutką kochankę.

Tegoż dnia jeszcze odbyła się uczta, a lokaj już usługiwał do stołu. Potrawy dysponował Athos, lokaja Porthos nastroczył. Był nim pikardyjczyk, najęty na poczekaniu przez pełnego próżności muszkietera, który zdybał go na moście de la Tournelle, jak zabawiał się robieniem kólek na wodzie, plując na jej powierzchnię. Porthos utrzymywał, iż takie zajęcie dowodzi umysłu zastanawiającego się, rozważnego i sprowadził go bez żadnej innej rekomendacji. Wspaniała postać szlachcica, który, jak się zdawało lokajowi, przyjął go dla siebie, mocno zachęciła Plancheta — tak się nazywał pikardyjczyk — lekkiego wszakże doznał rozczarowania, gdy ujrzał, że miejsce zajęte już było przy szlachcicu przez innego sługusa, nazwiskiem Mousqueton, i gdy Porthos dał mu do zrozumienia, że jakkolwiek dom swój prowadzi na wielką skalę, nie potrzebuje dla siebie dwóch służących, a dla niego jest służba u d'Artagnana, rad nie rad tę służbę jednak przyjął. Wszelako, gdy usługiwał przy obiedzie, który pan jego wydawał, i zobaczył jak ten przy płaceniu, złotem sypie z kieszeni, uwierzył, że ma już los zapewniony i dziękował niebu, że dostał się do takiego Krezusa; w tem przekonaniu trwał aż do końca uczyty, której resztkami

wynagrodził sobie długą i przymusową wstrzemięźliwość. Gdy jednak wieczorem przyszło mu posłać łóżko dla swego pana, pierzchy złudzenia Plancheta. Jedyńm sprzētem w mieszkaniu było łōzko, apartament zaś składał siē z pokoju sypialnego i przedpokoju. W tym ostatnim położył siē Planchet na kołdrze, wyciągniętej z łōzka d'Artagnana, bez której biedny pan jego musiał siē odtąd obchodzić.

Co do Athosa, miał on pacholka, którego sam wykształcił do usług w sposób sobie właściwy, a zwał siē on Grimaud.

Athos był zwykle milczący. W najściślejszej żył przyjaźni z kolegami swymi, Porthosem i Aramisem, a od lat sześciu blisko widzieli i często uśmiech na jego ustach, lecz śmiechu nie słyszeli nigdy. Mowa jego była zwięzła i jasna, wyrażająca to tylko, co chciał powiedzieć ale nigdy więcej, bez żadnych ubarwień, omówień ani przenośni.

Chociaż miał zaledwie trzydzieści lat i piękny był umysłem i ciałem, nikt nigdy nie słyszał, aby miał kiedykolwiek kochankę. O kobietach nie mówił nigdy. Nie przeszkadzał gawędom o nich w swej obecności, łatwo jednak było spostrzec, że ten rodzaj rozmowy nie podoba mu siē wcale i, jeżeli wtrącił słówko, to pełne goryczy i zniechęcenia. Ta skrytość, dzikość i milczenie czyniły go starcem nieledwie. Ażeby też nie uchybić swoim zwyczajom, nauczył Grimauda spełniać rozkazy za najmniejszym jego gestem lub ust poruszeniem. Mówił do niego, lecz tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Grimaud, który bał siē pana, jak ognia, pomimo szczerego przywiązania do jego osoby i czci, nieraz sądząc, że jak najlepiej życzenia jego rozumie, pędził za rozkazem, spełniając go wprost przeciwnie. Wtedy Athos wzruszał ramionami i bez gniewu brał siē do ćwiczenia Grimauda. W tych razach język mu siē trochę rozwiązywał.

Porthos, jak można było zauważyć, miał usposobienie zupełnie odmienne i nie tylko mówił dużo, ale i głośno, a oddajmy mu tę sprawiedliwość, że nie obchodziło go wcale, czy go kto słucha czy nie; paplanie sprawiało mu samo przez siē przyjemność i z upodobaniem sam siebie słuchał; rozprawiał o wszystkim z wyjątkiem nauk, objawiając do nich zaszczepioną od dzieciństwa, jak mówił, nienawiść, którą żywił także i do uczonych. Powierzchność jego nie dorównywała w dystynkcji Athosowi i w początkach znajomości poczucie własnej niższości często czyniło go niesprawiedliwym względem tego szlachcica, którego następnie przewyżzyć usiłował świetnością ubioru. Lecz Athos w prostym kaftanie muszkieterskim z odrzuconą w tył głową i nogą wyciągniętą naprzód, w jednej chwili zabierał przynależne mu miejsce, na drugi plan usuwając nadętego Porthosa. Pocięszal siē on jednak, napełniając przedpokój pana de Tréville i koszary Luwru rozgłosem swoich miłosnych awantur, o jakich Athos nie mówił nigdy. Teraz Porthos, przerzuciwszy siē od mieszczanki do baronowej, już chwalił siē księżną cudzoziemską, która mu jakoby bezgraniczne okazywała względy.

Przysłowie stare mówi: jaki pan, taki sługa. Przejdźmy więc od pacholka Athosa do lokaja Porthosa, od Grimauda do Mousquetona.

Był to normadczyk, który z Bonifacego przechrzczony został przez pana swego na Mousquetona, dla lepiej brzmiącego imienia. Przyjął on u Porthosa służbę z warunkiem, że dostanie tylko mieszkanie i będzie ubierany wspaniale; dla siebie zaś wyłącznie żądał dwóch godzin dziennie, które poświęcał tajemniczemu przemyślowi, mającemu służyć na inne jego potrzeby. Porthos przyjął warunek, jako nader dogodny dla siebie. Kazał mu sporządzić nowe ubranie ze swoich starych kaftanów i nicowanych płaszczów, a dzięki sprytnemu krawcowi, który z lachmanów tych nowe rzeczy robił, i miał żonę, dla której podobno Porthos pozbywał siē arystokratycznych nawyknień, Mousqueton przy boku swego pana wyglądał wcale pokaźnie.

Co do Aramisa, którego charakter przedstawiliśmy dostatecznie, a z biegiem wypadków poznamy go, jak i jego kolegów, jeszcze lepiej, służący jego zwał siē Bazin. Dzięki nadziei, z jaką pan jego nie rozstawał siē nigdy, iż zostanie księdzem, nosił siē zawsze czarno, jak przystało na domownika osoby duchownej. Był to berryjczyk trzydziestopięcioletni, łagodny, cichy, tłuściutki, spędzający wolne chwile na czytaniu ksiąg świętych, dostarczanych mu przez pana, i sumiennie zjadający dwa obiady zamiast jednego, składające siē z niewielu lecz obfitych potraw. Zresztą na wszystko ślepy, głuchy i wierności wypróbowanej.

Gdyśmy poznali, powierzchownie przynajmniej, panów i sługi, przejdźmy do mieszkań przez nich zajmowanych.

Athos mieszkał przy ulicy Feron w pobliżu Luksemburgu; apartament jego składał się z dwóch pokojów, schludnie urządzonych, w domu meblowanym, którego właścicielka dość młoda i jeszcze piękna, nadaremnie słodkie oczy robiła do lokatora. Kilka zabytków świetnej przeszłości świeciło na ścianach tego skromnego mieszkanka, szpada, na przykład, złotem i srebrem bogato nabijana, kształtem sięgająca epoki Franciszka I-go, a rękojeść sama, bogato perłami i drogiemi kamieniami wysadzana, mogła mieć wartość dwustu pistolów conajmniej, jednakże Athos broni tej nigdy zastawić ani sprzedać nie chciał, nawet w najkrytyczniejszych chwilach życia.

Na szpadę tę Porthos przez długi czas lękał się, marzył o posiadaniu jej, choćby kosztem dziesięciu lat życia.

Pewnego razu, gdy miał schadzkę z jakąś księżną, zaproponował Athosowi, aby mu jej pożyczył. Ten, nie mówiąc nic, wypróżnił swe kieszenie, zebrał wszystkie kosztowności, woreczki, spinki i złote łańcuszki, i ofiarował Porthosowi; ale szpada, rzekł, przymocowana jest do miejsca i ruszona z niego nie będzie, dopóki pan jej mieszkania tego nie opuści. Prócz szpady był tam jeszcze wizerunek, przedstawiający wielkiego pana z czasów Henryka III-go, ubranego wytwornie z orderem Św. Ducha na piersiach; wizerunek ten miał z Athosem pewne podobieństwo rysów, podobieństwo rodzinne, które zdradzało, że ten wielki pan, kawaler orderu króla, był jego przodkiem.

Na koniec skrzyneczka przepyszej roboty jubilerskiej, z temi samemi co szpada i portret herbami, zdobiła środek gzymsu kominka, stanowiąc rażący kontrast z innemi ozdobami. Athos nie rozstawał się z kluczykiem od niej. Razu pewnego otworzył ją w obecności Porthosa, a ten zobaczył wtedy, że skrzyneczka owa zawiera listy i dokumenty jedynie: listy miłosne i papiery familijne zapewne.

Porthos zajmował apartament obszerny i nader wspaniale wyglądający, przy ulicy du Vieux-Colombier. Ile razy przechodził z przyjaciółmi pod swemi oknami, gdzie Mousqueton w liberji jednym z nich wyglądał, Porthos podnosił w górę głowę i rękę, mówiąc: oto moje mieszkanie!

Lecz zastać go w domu nigdy nie było można, nikogo nie zapraszał i nikt nie miał pojęcia, ile zawierała bogactw rzeczywistych ta pozorna wspaniałość.

Aramis znowu zajmował mieszkanko małe, składające się z buduaru, sali jadalnej i sypialni, która, jak i inne pokoje, znajdowała się na parterze i wychodziła na ogródek świeży, zielony, cienisty i nieprzenikniony dla oczu sąsiadów.

O d'Artagnanie wiemy już, jak mieszkał, a z pacholkiem jego, jm. panem Planchet, zawarliśmy także znajomość.

D'Artagnan strasznie ciekawy z natury, jak wszyscy ludzie do intrygi zdolni, dokładał wszelkich usiłowań, by zbadać, czem są w rzeczywistości Athos, Porthos i Aramis; pod pseudonimami temi bowiem każdy z nich ukrywał nazwisko szlacheckie, szczególnie Athos, od którego czuć było wielkiego pana; zwrócił się tedy do Porthosa z pytaniem o Athosa i Aramisa, Aramisa zaś o Porthosa zagadnął.

Nieszczęściem, Porthos nic pewnego nie wiedział o życiu milczącego towarzysza. Mówiono, iż nieszczęśliwym był srodze w sprawach miłosnych i że zdrada okrutna na zawsze zatrąła mu życie. Jaka była ta zdrada? nikt o tem nie wiedział. Co do Porthosa, z wyjątkiem nazwiska, które tylko panu de Tréville było wiadome, tak samo jak i dwóch pierwszych, życie jego łatwe było do poznania. Próżny i papla, jak szkło przejrzeć go było można. Badacz mógł tylko zostać zbity z tropu, gdyby wierzył wszystkim jego przechwałkom.

Aramis znowu, wyglądający, jakby nic skrytego nie miał, był przeciwnie chłopcem, na wskroś tajemnicami przesiąkniętym, zbywał półsłówkami zapytania o innych, a wymijał te, które się do niego stosowały. Pewnego razu d'Artagnan po długich wypytywaniach o Porthosa, dowiedziawszy się o pogłosce, obiegającej co do miłosnych awantur muszkietera z jakąś księżną, zechciał się dowiedzieć o podobnych sprawkach Aramisa.

— A ty, drogi kolego — rzekł doń — co ty mówisz o tych baronowych, hrabinach, księżniczkach?

— Przepraszam — przerwał mu Aramis — mówiłem, bo sam Porthos to mówił, roztrąbił już wszystkie te piękne rzeczy przed wszystkimi i przede mną. Lecz wierzaj mi, drogi panie d'Artagnan, że gdybym słyszał to z innego źródła, lub choćby sam on mi się

zwierzył, nie byłoby spowiednika dyskretniejszego ode mnie.

— Nie wątpię — odparł d'Artagnan — zdaje mi się jednak ostatecznie, że sam także dość oswojony jesteś z herbami, o czym świadczy owa chusteczka haftowana, której zawdzięczam zaszczyt znajomości z tobą.

Tym razem nie rozgniewał się Aramis, przybrał tylko minkę jak najskromniejszą:

— Mój drogi, nie zapominaj, że mam zamiar wstąpić do stanu duchownego i że unikam wszelkiej światowości. Chusteczka, którą widziałeś, nie była mi powierzona, lecz zapomniana została u mnie przez jednego z moich przyjaciół. Zmuszony byłem zabrać ją, aby nie skompromitować jego i damy, którą kocha. Co do mnie, nie mam i nie chcę mieć kochanki, za przykładem Athosa, który tak samo, jak ja, postępuje.

— Lecz cóż u diabła! Księdzem nie jesteś, skoro jesteś muszkietierem.

— Muszkietierem tymczasowym, mój drogi, jak mówi pan kardynał, muszkietierem wbrew woli mojej, a w sercu jestem sługą kościoła, wierzaj mi, Athos i Porthos wpakowali mnie tu, aby mnie zająć, bo w chwili wyrzeczenia się ślubów miałem nieporozumienie maleńkie z... Lecz ciebie to nie obchodzi wcale i czas ci tylko zabieram.

— Bynajmniej, przeciwnie, to mnie zajmuje mocno, a na teraz nie mam nic a nic do roboty.

— Tak, ale ja muszę odmówić z brewiarza modlitwy — odrzekł Aramis — potem kilka wierszy ułożyć na żądanie pani d'Aiguillon, a następnie pójść na ulicę Św. Honorego, aby kupić różu dla pani de Chevreuse; widzisz więc, drogi przyjacielu, że jeżeli tobie nie pilno, mnie się bardzo śpieszy.

Uścisnął z czułością rękę przyjaciela i wyszedł.

Daremnie trudził się d'Artagnan, aby się czegoś więcej dowiedzieć o trzech swoich nowych znajomych. Postanowił zatem uwierzyć na razie w to, co o ich przeszłości mówiono, spodziewając się pewniejszych i szczegółowszych odkryć w przyszłości. Tymczasem Athosa uważał za Achillesa, Porthos był w wyobraźni jego Ajaksem, Aramis zaś Józefem biblijnym.

Zresztą życie młodzieńców wesoło płynęło: Athos grywał, lecz zawsze nieszczęśliwie, ale grosza jednego nie pożyczał od przyjaciół, choć kieszeń jego nieustannie była na ich usługi; a gdy zdarzyło mu się grać na słowo, budził wierzyciela swego o szóstej z rana, aby wczorajszy dług mu zapłacić.

Na Porthosa przychodziły chwile burzliwe; wówczas, jeżeli wygrywał, stawał się nieustraszony i wspaniały, a gdy szczęście go zawiodło, znikał bez śladu na dni kilka, poczem zjawiał się znowu z twarzą wymizerowaną i wydłużonym nosem, ale z kieszeniami, pełnymi pieniędzy.

Aramis nie grywał nigdy. Był z niego muszkietier nieszczęśliwy i współbiesiadnik najmniej wesoły pod słońcem. Zawsze miał jakąś pracę lub zajęcie. Czasami w połowie obiadu, gdy każdy podochocony winem i podniecony rozmową liczył, że dwie lub trzy godziny zostanie jeszcze u stołu, Aramis spoglądał na zegarek, wstawał z wdzięcznym uśmiechem i żegnał towarzystwo, aby pójść, jak mówił, na naradę z pewnym kazuistą, z którym miał się spotkać. Innym razem znowu powracał do siebie, aby pisać rozprawę, i prosił przyjaciół, by mu nie przeszkadzali.

Athos uśmiechał się na to z czarującym wyrazem melancholji, tak przypadającym do jego szlachetnego oblicza, a Porthos pociągał z kieliszka, klnąc się, że Aramis niczem innym nie będzie, niż prostym plebanem wiejskim.

Planchet, pachołek d'Artagnana, ze spokojem znosił swoje położenie; dostawał trzydzieści su dziennie i przez miesiąc cały wracał do domu wesoły, jak czyżyk, i uległy dla swego pana. Kiedy jednak wiatr przeciwny począł dąć na ognisko domowe przy ulicy Grabarzy, czyli, gdy czterdzieści pistolów króla Ludwika XIII zostały prawie zjedzone, począł tak jęczeć i skarżyć się, że o nudności przyprawił Athosa, Porthosa oburzył, a u Aramis wywołał uśmiech wzgardliwego politowania.

Athos radził d'Artagnanowi, aby tego gbura odprawił, Porthos nalegał, aby przedtem oćwiczył, Aramis dowodził, że pan od służby swego tylko uprzejmości wymagać powinien.

— Łatwo wam to mówić — odparł d'Artagnan — tobie, Athosie, który na miga rozumiesz się z Grimaudem, gadać mu zabraniasz, więc i złego słowa nie usłyszysz; łatwo tobie, Porthosie, bo prowadzisz życie świetne i dlatego bóstwem jesteś dla swego Mo-

usquetona; Aramis znowu, zatopiony zawsze w studjach teologicznych, natchnął głęboką czcią sługę swego Bazina, człowieka łagodnego i pobożnego. Ale ja, nie mający ani stanowiska, ani środków, ja, który nie jestem ani muszkietierem, ani gwardzistą, cóż pocznę, by natchnąć przywiązaniem, albo przejąć grozą lub szacunkiem mojego Plancheta?

— Rzecz to niemałej wagi — odpowiedzieli trzej przyjaciele — z lokajami, tak samo jak z kobietami, od razu należy postawić ich na tej stopie, na jakiej pozostać powinni. Musisz się więc zastanowić.

D'Artagnan zastanowił się i postanowił wygrzmocić Plancheta na zapas, co wykonane zostało sumiennie, jak wszystko, co spełnić zamierzył. Wreszcie, kiedy go już naleźycie oćwiczył, zabronił mu służbę opuszczać bez pozwolenia.

— Bo — dodał d'Artagnan — przyszłość zawieść mnie nie może, oczekuję niechybnie lepszych czasów dla siebie. Jeżeli więc zostaniesz przy mnie, los twój jest zapewniony, a zanadto dobrym panem jestem, abym ci miał w tem przeszkodzić, dając ci żadaną odprawę.

Ten sposób postępowania wzbudził w muszkietierach wielki szacunek dla dyplomacji d'Artagnana. Ze swej strony i Planchet uczuł się przejęty uwielbieniem i o rozstaniu nie było już mowy.

Pożycie czterech młodzieńców stało się wspólnem; d'Artagnan, jako przybysz z dalekiej prowincji, wrażliwy, jak zwykle natury młode i żywe, przyswoił sobie prędko nawyknięcia nowego otoczenia.

Wstawano o godzinie ósmej w zimie, o szóstej latem i udawano się po zlecenia na dzień bieżący, oraz po nowiny do pana de Tréville. Jakkolwiek d'Artagnan nie był muszkietierem, pełnił jednak służbę z gorliwością godną uznania: zawsze był na warcie, bo nie odstępował nigdy tego z trzech przyjaciół, który ją odbywał.

Znano go w pałacu muszkietierów i uważano za dobrego kolegę. Pan de Tréville, który go na pierwszy rzut oka ocenił, prawdziwie przywiązał się do niego i nie przestawał polecać królowi. Trzej muszkietierowie kochali też bardzo młodego towarzysza. Przyjaźń, łącząca tych czterech ludzi, sprawiała, iż musieli widywać się trzy lub cztery razy dziennie, czy to chodziło o pojedynek, czy o inną sprawę, czy o jaką przyjemność; dość, że widziano ich goniących siebie, jak cienie, i spotykano odwiedzających się ustawicznie w drodze z Luksemburga na plac Ś-go Sulpicyusza, to znowu z ulicy du Vieux-Colombier do Luksemburga. Tymczasem pan de Tréville nie zaniedbywał przyrzeczeń. Pewnego pięknego poranku król wydał rozkaz panu Desessarts przyjęcia d'Artagnana, jako kadeta do swojej kompanji. Biedak, wdychając, przywdział mundur kadecki, który rad był kosztem dziesięciu choćby lat życia zamienić na kaftan muszkieterski. Pan de Tréville przyrzekł mu tę łaskę, lecz dopiero po dwóch latach nowicjatu, który mógłby być skrócony wreszcie, gdyby się nadarzyła d'Artagnanowi sposobność oddania jakiej przysługi królowi lub spełnienia jakiego świetnego czynu. Wysłuchawszy tej obietnicy, oddalił się i nazajutrz rozpoczął swoją służbę.

Odtąd przyszła kolej na Athosa, Porthosa i Aramisa odbywać wartę z d'Artagnanem za każdym razem, kiedy był na nią przeznaczony. W ten sposób kompanja pana Desessarts, zamiast jednego, zyskała czterech ludzi.

ROZDZIAŁ VIII. INTRYGA DWORSKA

Jednakże czterdzieści pistolów króla Ludwika XIII-go, równie jak wszystkie rzeczy święta tego, mające swój początek, musiały mieć i koniec, a sprawił on, iż czterej towarzysze wpadli w kłopoty. Z początku Athos podtrzymywał stowarzyszenie własnymi funduszami. Po nim nastąpił Porthos i, dzięki jednemu z tych zniknięć, które nie dziwiły już nikogo, starczył na potrzeby ogólne przez dwa tygodnie blisko. Na koniec przyszła kolej na Aramisa, z której wywiązał się jak najchętniej, mówiąc, iż dopomogło mu do tego sprzedanie kilku ksiąg teologicznych, za które otrzymał kilka pistolów. Po wyczerpaniu tych środków, udano się, jak zwykle, do pana de Tréville o udzielenie zaliczki na pensję; zaliczki takie nie mogły jednak daleko zaprowadzić trzech muszkietierów, mających moc rachunków zaległych i kadeta, który nie mógł jeszcze ich mieć wcale.

Gdy nareszcie zaskoczyła ich zupełna pustka, wysiłkiem ostatnim zgromadzono osiem czy dziesięć pistolów na grę dla Athosa. Niestety i gra go zawiodła: przegrał, co miał,

a resztę, dwadzieścia pięć pistolów, na słowo.

Wtedy kłopot się zmienił w prawdziwą klęskę; widziano ich zgłodniałych, wraz z pacholkami, uwijających się po bulwarach i koszarach, czyhających na obiady dalszych przyjaciół swoich, bo, według Aramis, powinno się w powodzeniu sypać na prawo i na lewo uczciami, aby ich choć cząstkę zebrać można w niedoli.

Athos zaproszony został cztery razy i za każdym razem prowadził z sobą przyjaciół z ich pacholkami. Porthosowi trafiło się sześć podobnych okazji, z których dał korzyść i towarzyszom swoim: Aramis miał aż osiem. Był to człowiek cichy, ale był w stanie bez hałasu dużo zrobić. D'Artagnan zaś, nie znając w stolicy nikogo, jedno tylko znalazł śniadanie i to składające się tylko z czekolady, u księdza, swojego współziomka, i u pewnego korneta, który pysznie wystąpił, ale cóż, kiedy, jak powiedział Planchet, raz się tylko je, choćby się przytem najobficiej jadło. D'Artagnan czuł się więc nieco upokorzony, że miał tylko półtorej uczty do ofiarowania towarzyszom, boć czekoladę u księdza można było liczyć tylko za połowę. Sądził więc, że jest dla nich ciężarem, zapominając w dobrej wierze młodzieńczej, że to on właśnie żywił całe towarzystwo przez cały miesiąc. Skłopotany umysł jego począł pracować pilnie. Rozważył, że koalicja czterech ludzi młodych, walecznych, przedsiębiorczych i czynnych, winna mieć cel inny, prócz włóczenia się po przechadzkach, prócz lekcji fechtunku i wybryków mniej lub więcej rozsądnych.

Rzeczywiście, czterech ludzi takich, jak oni, oddanych sobie, zaczawszy od kieszeni, a skończywszy na życiu, wspomagających się nieustannie, nie cofających się nigdy przed niczem, wykonywujących osobno lub razem postanowienia, powzięte wspólnie; cztery ramiona, grożące czterem pięściom kardynalskim, wszystko to powinno być bądź skrycie, bądź jawnie, podstępnie czy przebojem, finezją czy siłą, dać moc przebijania sobie drogi do pożądanego celu, choćby był najbardziej daleki i najbardziej zakazany. To jedno tylko dziwiło d'Artagnana, że towarzysze jego nie pomyśleli o tem dotąd.

Pomyślał więc sam, i to bardzo poważnie, jaki nadać kierunek tej sile, w czwórnasób pomnożonej, w którą nie wątpił, jak Archimedes w swój lewar do poruszenia ziemi w jej posadach, gdy wtem usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Zbudził Plancheta i rozkazał mu otworzyć. Zbudził Plancheta, ale nie należy przypuszczać, że działo się to w nocy i było do dnia jeszcze daleko. Nie! Biła właśnie czwarta po południu, a dwie godziny przedtem Planchet przyszedł do swego pana domagać się obiadu, ten zaś odpowiedział mu przysłowiem: kto śpi, ten obiaduje. Planchet zatem obiadował, śpiąc.

Wszedł człowiek, wyglądający dość pospolicie, z miną mieszczanina.

Planchet na deser radby był usłyszeć chociaż rozmowę, lecz mieszczanin oświadczył d'Artagnanowi, że ma mu coś ważnego do powiedzenia i pragnie pomówić z nim sam na sam.

D'Artagnan odprawił więc Plancheta i poprosił gościa, aby usiadł.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której dwóch tych ludzi patrzyło na siebie, jak gdyby chcąc poznać się na wstępie, poczem d'Artagnan skłonił się na znak, że gotów jest wysłuchać tego, z czem gość przychodzi.

— Słyszałem o panu d'Artagnan, jako o dzielnym młodzieńcu — odezwał się mieszczanin — a rozgłos, jakiego pan używasz, słusznie skłania mnie do powierzenia ci pewnej tajemnicy.

— Proszę pana — rzekł d'Artagnan, instynktownie przewąchując coś korzystnego.

Mieszczanin znowu przerwał, następnie począł mówić dalej:

— Mam żonę, która ma nadzór nad bielizną u królowej, a nie zbywa jej ani na rozsądku, ani na piękności. Ożeniłem się z nią, będzie temu trzy lata wkrótce, choć bardzo niewiele miała, ale ją proteguje ojciec chrzestny, pan de la Porte, szatny królowej.

— Cóż dalej? — zapytał d'Artagnan.

— Otóż! — począł znowu mieszczanin — otóż! mój panie, wczoraj z rana żona moja została porwana w chwili, gdy wychodziła z pracowni.

— A któż porwał pańską żonę?

— Na pewno nie wiem, lecz podejrzewam kogoś.

— Kogóż pan podejrzewasz?

— Mężczyznę, który krok w krok chodzi za nią od dawna.

— Do diabła!

— Ale pozwól pan sobie powiedzieć — ciągnął dalej mieszczanin — iż przekonany jestem, że w tem wszystkim mniej jest miłości, niż polityki.

— Mniej miłości, niż polityki — podjął d'Artagnan z miną zamyśloną — a co pan przypuszczasz?

— Nie wiem, czy powinienem mówić to panu...

— Ależ pozwól pan zwrócić sobie uwagę, że ja od ciebie nic zgoła nie żądam. Pan tu przychodzisz i pan powiedziałeś, iż chcesz mi powierzyć tajemnicę. Rób więc, jak ci się podoba, możesz się pan jeszcze cofnąć.

— Nie, nie, wyglądasz pan na uczciwego młodzieńca, i czuję do pana zaufanie. Otóż sądzę, że moja żona została porwana nie z powodu miłostek swoich, lecz z powodu miłostek większej, niż ona damy.

— Ho! ho! czy nie chodzi tu przypadkiem o panią de Bois-Tracy? — odezwał się d'Artagnan, chcąc przed mieszczaninem popisać się, że wtajemniczony jest w sprawy dworskie.

— Wyżej, panie, wyżej!

— Panią d'Aiguillon?

— Jeszcze wyżej.

— Panią de Chevreuse?

— Wyżej, wyżej znacznie.

— O!... — d'Artagnan się zatrzymał.

— Tak panie — odpowiedział przerażony mieszczanin, tak cicho, że zaledwie można go było dosłyszeć.

— Z kim?

— A z kimże, jeśli nie z księciem de... Tak, panie! — odparł mieszczanin, nadając głosowi swojemu jeszcze bardziej głuche brzmienie.

— Lecz w jakiż sposób wiesz pan o tem wszystkim?

— A! w jaki sposób?

— Zapewne. Tylko bez półślówek, albo rozumiesz pan...

— Wiem od mojej żony.

— Która wie o tem... od kogo?

— Od pana de la Porte. Nie mówiłem panu, że jest jego chrzestną córką, a pan de la Porte posiada zaufanie królowej! Umieścił ją zatem przy Jej Wysokości, aby biedna królowa nasza miała przynajmniej zwierzyć się komu, będąc opuszczoną przez króla, szpiegowaną przez kardynała i zdradzaną przez wszystkich.

— O! zaczyna się to wyjaśniać — odezwał się d'Artagnan.

— Otóż cztery dni temu żona moja do mnie przyszła, panie; odwiedzać mnie mogła dwa razy tygodniowo, a jak miałem zaszczyt powiedzieć panu, ona mnie bardzo kocha. Tymczasem żona zwierzyła mi się, że królowa ma wielkie obawy w tych czasach.

— Doprawdy?

— Tak. Pan kardynał widocznie śledzi ją i prześladowuje więcej, niż kiedykolwiek. Nie może jej przebaczyć historii z sarabandą. Pan zna tę historję?

— To dobre, nie miałbym jej znać! — odparł d'Artagnan, który nic zgoła nie wiedział, lecz udawał wtajemniczonego.

— I teraz nienawiść w zemstę się zamieniła.

— Doprawdy?

— I królowa jest przekonana...

— O czem?

— Że napisano w jej imieniu do księcia de Buckingham.

— W imieniu królowej?

— Tak, ażeby do Paryża go ściągnąć i w sidła jakie uwikłać.

— Lecz cóż, u diabła, ma z tem wspólnego żona pańska?

— Znają jej przywiązanie do królowej i chcą od jej pani usunąć, lub zmusić, aby zdradziła tajemnicę Jej Wysokości i służyła za szpiega.

— Być może — odrzekł d'Artagnan — ale czy znasz pan człowieka, który ją porwał?

— Mówiłem już panu, iż zdaje mi się, że znam go.

— Jak się nazywa?

— Nie znam jego nazwiska, to tylko wiem, że to figura zaprzędana kardynałowi.

— Widziałeś go pan?

— Żona mi go pokazywała kiedyś.

— A ma on w sobie coś szczególnego, po czym możnaby go poznać?

— O! zapewne. Jest to męczyzna postawy wyniosłej, brunet ogorzały z oczami przenikliwymi, białymi zębami i blizną na skroni.

— Z blizną na skroni! — krzyknął d'Artagnan — wszak to moja znajomość z Meung!

— Pan go znasz?

— Tak, tak, ale to nie należy do rzeczy. E! myślę się, to ją bardzo upraszcza, jeżeli bowiem obydwaj mamy z nim porachunki, dwie sprawy dadzą się załatwić za jednym zamachem. Gdzie można tego pana złapać?

— Nie wiem.

— I nie masz pan żadnych wskazówek, gdzie mieszka?

— Żadnych; pewnego razu, gdy odprowadzałem żonę do Luwru, wychodził stamtąd i właśnie mi go wtedy pokazała.

— Do diabła!... — mruknął d'Artagnan — wszystko to bardzo niejasne!... Od kogo dowiedziałeś się pan o porwaniu żony.

— Od pana de la Porte.

— Czy opowiedział panu jakie szczegóły?

— Nie, żadnych.

— A skądinąd nic się pan nie dowiedziałeś?

— I owszem, odebrałem...

— Co takiego?

— Nie wiem doprawdy... czy nie popełniam wielkiej niedorzeczności?...

— Znowu to samo!... pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę pańską, że teraz cofać się już za późno.

— Ja się też nie cofam, do licha!... — zawołał mieszczanin, klnąc dla dodania sobie animuszu. — Zresztą, słowo uczciwości Bonacieux...

— Pan się nazywasz Bonacieux? — przerwał d'Artagnan.

— Tak, panie, to moje nazwisko.

— Przepraszam, że przerywam, lecz zdaje mi się, że jest mi ono znane.

— Być może, panie. Jestem właścicielem tego domu.

— O! o! — odezwał się d'Artagnan, na wół powstając z siedzenia i z ukłonem — właścicielem tego domu?

— Tak, panie tak... A ponieważ trzy miesiące już mieszkasz u mnie i, zatopiony pewnie w swoich ważnych zajęciach, zapomniałeś zapłacić mi komornego, a ja wcale cię o to nie niepokoiłem ani na chwilę, myślałem, że będziesz miał wzgląd na moją delikatność...

— A jakże, drogi panie Bonacieux — odparł d'Artagnan — wierzę mi, iż przejęty jestem wdzięcznością za postępowanie podobne i mówię, iż skoro mogę ci być w czemś użyteczny...

— Wierzę panu, wierzę i, jak powiedziałem, słowo uczciwości Bonacieux! ufam ci zupełnie.

— Dokończ pan więc, co mówić zacząłeś.

Mieszczanin dobył z kieszeni papier i dodał d'Artagnanowi.

— List! — odezwał się tenże.

— Który odebrałem dziś z rana.

D'Artagnan otworzył go, a ponieważ poczynało się ściemniać, zbliżył się do okna. Mieszczanin postąpił za nim.

„Nie szukaj żony twojej — czytał d'Artagnan — odzyskasz ją, gdy potrzebować jej już nie będę. Jeżeli jeden krok zrobisz dla odnalezienia jej, jesteś zgubiony”.

— To dosyć stanowcze!... — ciągnął d'Artagnan — lecz koniec końców jest to tylko pogrożka.

— Tak... lecz pogrożka ta przeraża mnie; ja, panie, nie jestem wcale rycerzem i boję się Bastylji.

— Hm! — odezwał się d'Artagnan, — i mnie tyleż obchodzi Bastylja, co i pana. Gdyby tu tylko szło o machnięcie szpadą, mniejsza, ale...

— Jednakże ja na pana liczyłem wiele w tym razie...

— Doprawdy?

— Widząc cię, otoczonego nieustannie muszkietierami wspaniałej powierzchowności, i poznawszy, że to muszkietierowie pana de Tréville, a zatem nieprzyjaciele kardynała, myślałem, że pan i jego towarzysze, ujmując się za królową, zachwyceni będziecie wyplataniem figla jego eminencji.

— Bez wątpienia.

— Zresztą, myślałem, że pan, będąc mi dłużny za trzymiesięczne komorne, o które się nie upominałem...

— Tak, tak, już mi pan wspomniałeś o tem, i uznaję ten powód za dostateczny.

— Co więcej, że jeżeli uczynisz mi zaszczyt pozostania dłużej w domu moim, nigdy na przyszłość ani słówka o tem nie pisnę.

— Bardzo dobrze.

— W dodatku, jeśli będzie potrzeba, gotów jestem dać panu z pięćdziesiąt pistolów, jeżeli, czego nie przypuszczam, znajdziesz się w chwilowych kłopotach.

— Wyśmienicie, ależ pan widocznie bogaty jesteś, drogi panie Bonacieux?

— Mam się niezgorzej, mój panie, mogę to powiedzieć; zebrałem sobie coś około dwóch, czy trzech tysięcy talarów dochodu na handlu drobiazgami, a nade wszystko umieściwszy trochę grosza w przedsiębiorstwie słynnego podróżnika morskiego Jana Mocquet; w ten sposób, pojmuje pan... O! o! — wykrzyknął nagle mieszczanin.

— Co takiego? — zapytał d'Artagnan.

— Co ja widzę?

— Gdzie?

— Na ulicy, wprost okien pańskich, we framudze tamtych drzwi... mężczyzna w płaszczu.

— To on!... — zawołali razem d'Artagnan i mieszczanin, poznając jednocześnie człowieka, o którego chodziło obydwom.

— O teraz mi już nie ujdzie!... — krzyknął d'Artagnan, chwytając szpadę.

I dobywszy ją z pochwy, wybiegł z mieszkania.

Na schodach spotkał Athosa i Porthosa, idących go odwiedzić; przemknął pomiędzy nimi jak strzała.

— Człowiek z Meung!... — rzekł d'Artagnan i zniknął.

D'Artagnan opowiadał niejednokrotnie przyjaciółom zajście z nieznanym, jako też i zjawienie się pięknej podróżnej, której człowiek ten tak ważne zadanie powierzył.

Zdaniem Athosa, d'Artagnan list ów mógł być zgubić w zamieszaniu. Według niego, szlachcic, jak go opisał d'Artagnan, nie mógł być zdolny do popełnienia podłości takiej, jak kradzież listu. Porthos zaś widział w tem jedynie schadzke miłosną wyznaczoną przez damę kawalerowi, lub też na odwrót, schadzke, którą zakłóciła obecność d'Artagnana i żółtego konika.

Aramis utrzymywał znowu, że skoro wypadki takie osłonięte są tajemnicą, byłoby najlepiej ich nie zgłębiać.

Zrozumieli zatem z kilku słów d'Artagnana, o co mu chodziło, a ponieważ byli przekonani, że, czy dopędzi nieznanego, czy też go z oczu straci, ostatecznie powróci do siebie, szli więc dalej. Gdy weszli do pokoju d'Artagnana, nie zastali nikogo. Właściciel, lękając się następstw spotkania pomiędzy młodzieńcem a nieznanym, osądził za właściwe i za najbezpieczniejsze umknąć do swego mieszkania.

ROZDZIAŁ IX. D'ARTAGNAN DZIAŁA

Jak przewidziano, d'Artagnan po upływie pół godziny powrócił. I tym razem nieznanomy wymknął mu się jeszcze, zniknąwszy, jak zaczarowany.

Młodzieniec przebiegł sąsiednie ulice ze szpadą w ręce, lecz nie spotkał nawet nikogo podobnego do tego, którego szukał, i powrócił wreszcie tam, skąd zacząć był winien. Zastukał do drzwi, o które nieznanomy stał oparty, nadaremnie jednak uderzał w nie młotkiem, nikt nie odpowiedział, a sąsiedzi, zwabieni hałasem, wybiegłszy przed dom lub nosy do szyb przykleiwszy, zapewniali go, że ten dom, zamknięty na wszystkie strony, był zupełnie pusty przeszło od pół roku.

W czasie poszukiwań d'Artagnana, Aramis za towarzyszymi podążył do mieszkania młodzieńca, tak, iż tenże, wróciwszy do siebie, zastał grono muszkieterskie w całym komplecie.

— No i cóż?... — zapytali razem trzej muszkietierowie, ujrzawszy d'Artagnana ze spoconem i gniewnie wzburzonym obliczem.

— A!... — krzyknął, rzucając szpadę na łóżko — ten człowiek jest chyba djabeł wcielonym, zniknął mi, jak cień, jak duch, jak widmo.

— Ty wierzysz w duchy? — zagadnął Athos Porthosa.

— Ja w to tylko wierzę, co widzę, a skoro nigdy nie widziałem duchów, nie wierzę w nie.

— Biblja — odezwał się Aramis — każe nam wierzyć w duchy; cień Samuela ukazał się Saulowi, i jest to jeden z artykułów wiary, przykro byłoby mi, gdybyś go podawał w wątpliwość, Porthosie.

— W każdym razie człowiek ten czy djabeł, ciało czy cień, złudzenie czy rzeczywistość, człowiek ten urodził się na moje utrapienie, bo przez tę jego ucieczkę ominęła nas pyszna gratka, panowie, gratka, z której zyskałoby się sto, a może i więcej pistolew.

— W jaki sposób?... — zapytali razem Porthos i Aramis.

Athos zaś, nie sprzeniewierzając się milczeniu, zadowolili się spojrzeniem.

— Planchet — krzyknął d'Artagnan na sługę, który wyścibił głowę przez drzwi uchylone dla przysłuchania się rozmowie — idź do mojego gospodarza, pana Bonacieux i powiedz mu, aby nam przysłał pół tuzina butelek wina Beaugency, które nad wszystkie inne przekładam.

— Cóż to, masz otwarty kredyt u swego gospodarza? — zapytał Prothos.

— Tak — odparł d'Artagnan — od dzisiaj i, bądźcie spokojni, jeżeli wino będzie nietęgę, pošlemy do niego po inne.

— Trzeba używać, a nie nadużywać — sentencjonalnie odezwał się Aramis.

— Zawsze mówiłem, że d'Artagnan to najtęższa głowa z nas wszystkich — rzekł Athos i, wygłosivszy tę opinię, na którą d'Artagnan odpowiedział ukłonem, pogrzył się natychmiast w zwykłym milczeniu.

— Ale koniec końców, radziłyśmy wiedzieć, co to takiego? — zapytał Porthos.

— Tak — dodał Aramis — powiedz nam, przyjacielu drogi, jeżeli tylko nie zaplątana jest w to cześć jakiej damy, bo w takim razie lepiej by było, ażebyś zamilczał o wszystkim.

— Bądźcie spokojni — odparł d'Artagnan — nie ucierpi na tem niczyj honor, ani cześć. — I opowiedział dosłownie przyjaciółom, co zaszło pomiędzy nim, a gospodarzem, i że człowiek, który porwał żonę godnego właściciela domu, jest tym samym, z którym i on miał na pieńku.

— Niezła sprawa — rzekł Athos, ze znanstwem próbując wina i skinieniem głowy dając poznać, że mu smakuje — można będzie wyciągnąć z pocziwca pięćdziesiąt do sześćdziesięciu pistolew. A teraz, przekonać by się należało, czy dla takiej sumki warto narażać cztery głowy.

— Ależ zastanów się — zawołał d'Artagnan — tu chodzi o kobietę, o kobietę porwaną, której bez wątpienia grożą, torturują zapewne, za to jedynie, że wierną jest swej pani!

— Strzeż się, d'Artagnan, ostrożnie! — odezwał się Aramis — mojem zdaniem, zanadto bierzesz do serca los pani Bonacieux. Kobieta stworzona została na zgubę naszą, ona jest przyczyną wszystkich naszych nieszczęść.

Na tę sentencję Aramisa Athos ściągnął brwi i przygryzł wargi.

— Nie o panią Bonacieux ja się troszczę — zawołał d'Artagnan — ale o królową, zaniedbaną przez króla, prześladowaną przez kardynała, która widzi, jak jedna po drugiej spadają głowy tych, którzy jej sprzyjają.

— A czemu kocha tych, których my najbardziej w świecie nienawidzimy?... Hiszpanów i Anglików?

— Hiszpanja jest jej ojczyzną — odrzekł d'Artagnan — rzecz prosta, że kocha Hiszpanów, jako dzieci jednej z nią ziemi. Co do drugiego zarzutu, jaki jej robicie, slyszalem, że ona kocha nie Anglików, tylko jednego Anglika.

— E!... na honor — wtrącił Athos — trzeba przyznać, że ten Anglik godzien jest kochania. Wspanialszej od jego postawy nie widziałem nigdy.

— Dodajmy, że ubiera się, jak nikt dotąd — podchwycił Porthos. — Byłem w Luwrze, gdy perły rozrzucił i, dalipan, podniosłem dwie z nich, które, rozumie się, sprzedałem po dziesięć pistołów. Ty, Aramisie, znasz go?

— Tak dobrze, jak i wy, panowie; byłem bowiem jednym z tych, którzy przytrzymali go w ogrodzie w Amiens, gdzie wprowadził mnie pan de Putange, koniuszy królowej. Byłem wówczas w seminarjum, i zdarzenie to, ze względu na króla, wydało mi się okrutne.

— Co nie przeszkodziłoby mi jednak — odezwał się d'Artagnan — gdybym wiedział, gdzie się znajduje książę de Buckingham, wziąć go za rękę i zaprowadzić do królowej, choćby tylko dlatego, ażeby kardynała doprowadzić do wściekłości; bo, panowie, naszym niezaprzeczoną, jedyną, wiekuistą nieprzyjacielem, jest tylko kardynał; i gdybyśmy w stanie byli wynaleźć sposób wyplatania mu figła potężnego, przyznaję, iż głowę własną chętnie bym za to oddał.

— I gospodarz ci mówił, d'Artagnanie — podjął Athos — że królowa przypuszcza, jakoby Buckingham zwabiony został fałszywym wezwaniem?

— Lęka się tego.

— Czekajcie! — odezwał się Aramis.

— Co takiego? — zapytał Porthos.

— Mówcie swoje, a ja postaram się przypomnieć sobie niektóre okoliczności.

— Jestem przekonany, — rzekł d'Artagnan — że porwanie kobiety, należącej do służby królowej, pozostaje w związku z wypadkami, o których mówimy, a może nawet i z obecnością pana de Buckingham w Paryżu.

— Nasz gaskończyk pełen jest pomysłów — rzekł z uwielbieniem Porthos.

— Bardzo go lubię słuchać — rzekł Athos.

— Panowie!... — zaczął Aramis — słuchajcie!...

— Słuchajmy, co powie!... — odezwali się trzej przyjaciele.

— Byłem wczoraj u pewnego uczonego doktora teologii, u którego zasięgam niekiedy rad co do moich studjów...

Athos uśmiechnął się.

— Mieszka on w pustej dzielnicy — ciągnął dalej Aramis — jego upodobania, powołanie, wymagają tego. Otóż w chwili, gdy wychodziłem od niego...

Tutaj Aramis zaciął się.

— Cóż dalej? — zapytali słuchacze — w chwili, gdy wychodziłeś od niego...

Widocznie Aramis czynił wysiłek, jak człowiek, który, zapędziwszy się w kłamstwie, naraz widzi nieprzewidzianą przeszkodę; lecz oczy trzech towarzyszy były w nim utkwione, słuch wyteżony, cofać się już nie mógł.

— Doktor ten ma siostrzenicę — ciągnął dalej Aramis.

— A! siostrzenicę!... — przerwał mu Porthos.

— Osobę wielce czcigodną — rzekł Aramis.

Trzej przyjaciele wybuchnęli śmiechem.

— Jeżeli śmiać się będziecie, lub wątpić, nie dowiecie się niczego.

— Jesteśmy pełni wiary, jak wyznawcy Mahometa i niemi, jak groby — rzekł Athos.

— Wracam zatem do rzeczy — począł Aramis. — Siostrzenica ta czasami odwiedza wuję; otóż, wczoraj, przypadkiem, znalazła się tam jednocześnie ze mną, byłem więc zmuszony odprowadzić ją do karety.

— A! siostrzenica doktora ma karete? — przerwał mu Porthos, którego jedną z licznych wad była ogromna niepewnościliwość języka — to piękna znajomość, przyjacielu.

— Porthosie — odparł Aramis — nieraz już zwracałem twoją uwagę, że brak ci zupełnie dyskrecji, i to ci szkodzi u kobiet.

— Panowie, panowie — zawołał d'Artagnan, który sprawę tę uważał za coraz ważniejszą — rzecz to nie bez znaczenia i prosiłbym w żarty jej nie obracać. Kończ, Aramisie, kończ.

— Naraz, mężczyzna wysoki, brunet, gładkiego obejścia... wiesz co? zupełnie w rodzaju twojego, d'Artagnanie.

— Może to ten sam... — rzekł d'Artagnan.

— Prawdopodobnie... — kończył Aramis — zbliżył się do mnie, a za nim szło kilku ludzi, i głosem uprzejmym odezwał się: — „Mości książę, i pani także...” — dodał zwracając się do damy, którą prowadziłem pod rękę...

— Do siostrzenicy doktora?

— Cicho bądź, Porthosie! — odezwał się Athos — nieznosny jesteś.

— „Raczie wsiąść do tej karety, bez oporu i najmniejszego hałasu.”

— Wziął cię za Buckingham! — wykrzyknął d'Artagnan.

— Tak sędzę — odrzekł Aramis.

— A tę damę? — zapytał Prothos.

— Wziął ją za królową! — podchwycił d'Artagnan.

— Nie inaczej — odparł Aramis.

— To djabeł z tego gaskończyka! — zawołał Athos nic nie ujdzie jego uwadze.

— To fakt — wtrącił Porthos — że Aramis ma postawę i ułożenie pięknego księcia; lecz zdaje mi się, że ubiór muszkieterski...

— Miałem na sobie płaszcz szeroki — rzekł Aramis.

— W lipcu, do djabła! — zauważył Porthos — czy doktor nie obawia się przypadkiem, abyś nie był poznany?

— To jeszcze rozumiem — rzekł Athos — że szpieg mógłby się złudzić postawą, lecz twarz...

— Miałem wielki kapelusz — rzekł Aramis.

— Boże wielki! — wykrzyknął Porthos — co tu ostrożności dla studjowania teologii!...

— Panowie, panowie — odezwał się d'Artagnan — nie traćmy czasu na drobnostki; rozbiegnijmy się na wszystkie strony i szukajmy żony gospodarza, w tem jest klucz całej intrygi.

— Przecież to kobieta pochodzenia tak niskiego, d'Artagnanie? — odezwał się Porthos, wykrzywiając wzgardliwie usta.

— To chrześniaczka de La Porta, zaufanego sługi królowej, wszak mówiłem wam o tem, panowie? Wreszcie, może to jest przezorność Jej Wysokości, że w tym razie szuka pomocy niżej. Głowy, sterczące wysoko, są bardzo widoczne, a kardynał ma dobre oczy.

— A zatem! — odezwał się Porthos — najpierw potarguj się ze swym gospodarzem, a targuj się dobrze.

— To niepotrzebne — odparł d'Artagnan — sędzę bowiem, że jeżeli nam zapłaci, to bardzo dobrze będziemy wynagrodzeni.

W tejże chwili odgłos szybkich kroków rozległ się na schodach, drzwi otworzyły się z traskiem i nieszczęsny kramarz wpadł do pokoju, gdzie odbywała się narada.

— Panowie! — krzyknął — ratujcie, na imię Boskie!... ratujcie mnie!... czterech ludzi przyszło i chcą mnie uwięzić, ratujcie mnie, ratujcie!...

Porthos i Aramis zerwali się z miejsca.

— Chwilkę, panowie — zawołał d'Artagnan, dając im znak, aby schowali szpady, na pół już wydobyte z pochew — chwilkę, potrzeba tutaj nie odwagi, lecz roztropności.

— O! — zawołał Porthos — nie pozwolimy!...

— Pozwólcie działać d'Artagnanowi — rzekł Athos — raz jeszcze powtarzam, że to najtęższa z nas wszystkich głowa. Ja obowiązuję się słuchać go we wszystkim. Rób, jak chcesz, d'Artagnanie.

Czterech ludzi ze straży policyjnej ukazało się we drzwiach pokoju, ale na widok trzech muszkietarów ze szpadami u boku, stojących pośrodku, zawahali się, czy mają się dalej posunąć.

— Wejdźcie, panowie, wejdźcie — zawołał d'Artagnan — jesteście tutaj u mnie, a jak nas widzicie, wszyscyśmy wierni słudzy króla i pana kardynała.

— Zatem, panowie, nic nie będziecie mieli przeciw temu, abyśmy spełnili dane nam rozkazy? — zapytał ten, który wyglądał na dowódcę wyprawy.

— I owszem, nawet pomożemy wam, panowie, jeżeli tego będzie potrzeba.

— Co on gada?... — mruknął Porthos.

— Cicho, gapiu! — szepnął Athos.

— A jednak obiecaliście mi... — cichutko wybąkał kramarz.

— Możemy cię ratować, gdy sami zostaniemy wolni — rzucił mu w ucho d'Artagnan — a jeżeli okażemy chęć bronięcia cię, razem nas z tobą wezmą.

— A jednak, zdaje mi się...

— Chodźcie, panowie, chodźcie — głośno powiedział d'Artagnan — nie mam żadnego powodu bronić tego pana. Pierwszy raz w życiu widziałem go dzisiaj, a przyszedł po to, ażeby się dopominać o komorne. Wszak prawda, panie Bonacieux? Odpowiadaj!

— Najczystsza prawda — zawołał gospodarz — lecz nie powiedział pan jeszcze...

— Ani słowa o mnie, ani o przyjaciółach moich, a o królowej nade wszystko — szepnął mu — albo zaprzepaścisz wszystkich, a siebie nie zbawisz. No!... panowie, dalej, zabierajcie tego jegomościa.

I d'Artagnan popchnął gospodarza ku straży, mówiąc:

— Bezwstydnym łotrem jesteś, mój drogi... przychodzisz upominać się o pieniądze, u mnie!... u muszkietera!... Do więzienia z nim!... Panowie, raz jeszcze powtarzam, zabierzcie go do więzienia i trzymajcie pod kluczem jak można najdłużej, zyskam przynajmniej na czasie, aby mu zapłacić.

Słudzy policyjni, rozwodząc się w podziękowaniach, uprowadzili swą zdobycz.

W chwili, gdy wychodzili już, d'Artagnan uderzył po ramieniu ich przywódcę, mówiąc:

— Może wypijemy za wspólne zdrowie nasze? — i napełnił dwa kubki winem Beaugency, pochodzącym z hojności pana Bonacieux.

— Będzie to dla mnie niemałym zaszczytem — odparł tenże — i z wdzięcznością przystaję.

— Do ciebie, zatem, panie... jakże się nazywasz?

— Boisrenard.

— Panie Boisrenard!

— Za zdrowie twoje, szlachetny panie: jak godność pańska, jeżeli wolno zapytać?

— A nade wszystko — krzyknął d'Artagnan, jakby zapalem uniesiony — za zdrowie króla i kardynała.

Może być, iż miałby jaką wątpliwość, co do szczerości d'Artagnana, gdyby wino było liche, lecz że było wyborne, przekonany więc został zupełnie.

— Co za paskudztwo zrobiłeś, u diabła? — zapytał Porthos, skoro wyszedł przywódca zbirów, gdy pozostali tylko we czterech. — Fe! czterej muszkietierowie pozwalają aresztować w obecności swojej nieszczęśliwca, który woła o pomoc. Szlachcic trąca się kieliszkiem z pacholkiem więziennym.

— Porthosie!... — odezwał się Aramis — Athos ci dowiódł już, że jesteś gapiem, teraz i ja po stronie jego stoję. D'Artagnanie, jesteś wielki, i kiedy będziesz już na miejscu pana de Tréville, zamawiam sobie protekcję u ciebie, abym dostał opactwo.

— Doprawdy, nic nie pojmuję! — odrzekł Porthos — wy pochwalacie to, co zrobił d'Artagnan?...

— Spodziewam się — odezwał się Athos — ja nie tylko pochwalam, ale mu wieszczę.

— A teraz, panowie — rzekł d'Artagnan, nie troszcząc się bynajmniej o wyjaśnienie postępowania swego Porthosowi — wszyscy za jednego, jeden za wszystkich, to nasze hasło, nieprawdaż?

— Jednakże — zaczął Porthos.

— Ręka do góry i przysięgnij! — zawołali razem Athos i Aramis.

Zwyciężony przykładem, klnąc z cicha, Porthos podniósł rękę i czterej towarzysze powtórzyli rotę przysięgi, podyktowanej przez d'Artagnana.

„Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich”.

— Tak... dobrze, a teraz, każdy niech idzie do domu rzekł d'Artagnan tonem takim, jak gdyby całe życie rozkazy tylko wydawał — i bacność, bo od tej chwili idziemy z kardynałem w zapasy.

ROZDZIAŁ X. PUŁAPKA Z SIEDEMNASTEGO WIEKU

Ponieważ czytelnicy nasi nie są prawdopodobnie oswojeni z gwarą policji francuskiej, należy wytłumaczyć im, co to jest pułapka.

Jeżeli w jakimś domu zaaresztowano osobę, podejrzaną o jaki występki, aresztowanie pozostawało w najgłębszej tajemnicy. Kilku ludzi ukrywano w pierwszym pokoju i ktokolwiek zapukał do tego mieszkania, wpuszczano go i także aresztowano. W ten

sposób, w ciągu dwóch lub trzech dni, wszyscy członkowie rodziny i przyjaciele domu obwinionego wpadali w ręce policji.

Taką była owa pułapka.

Tym razem sporządzono pułapkę z mieszkania, zajmowanego przez imci pana Bonacieux, i każdy, kto się tam ukazał, chwytyany był i badany przez ludzi pana kardynała. Wejście do mieszkania d'Artagnana było oddzielne, odwiedzający go zatem wolni byli od wszelkiej kontroli.

Zresztą odwiedzali go tylko trzej muszkietierowie. Wszyscy oni i każdy z osobna, rzucili się do poszukiwań i nic nie znaleźli, nic nie odkryli.

Athos zapytywał pana de Tréville, co ze względu na nieme jego usposobienie, wiele zdziwiło kapitana. Pan de Tréville jednak nie wiedział nic, zauważył tylko, że gdy ostatnim razem widział kardynała, króla i królowę, kardynał wyglądał zgnębiony, król niespokojny, a zaczerwienione powieki królowej zdradzały nocę bezsenne lub łzy. Ostatnia okoliczność jednak mało go uderzyła, królowa bowiem od chwili swojego małżeństwa, zawsze nie sypiała i płakała wiele.

Na wszelki wypadek jednak pan de Tréville polecił Athosowi baczność gorliwą względem króla, a nade wszystko względem królowej, prosząc, aby oznajmił to samo i towarzyszom.

D'Artagnan tymczasem nie ruszył się z mieszkania. Pokój swój zamienił w czatownię. Widział z okien tych wszystkich, którzy dali się złapać; następnie, wyjąwszy taflę z posadzki, wygrzebał dół w tem miejscu, tak, że tylko cienki sufit przedzielał go od pokoju na dole, gdzie odbywały się badania. Wszystko więc słyszał, co się działo między badającymi i obwinionymi.

Badania, poprzedzone najszczegółowszemi pytaniami, dokonywane na osobach aresztowanych, były mniej więcej w tych słowach zawarte:

— Czy pan Bonacieux nie wręczył ci czego dla żony, lub dla kogokolwiek?

— Czy jedno lub drugie z nich nie uczyniło ci jakiego zwierzenia?

— Gdyby ci badający wiedzieli choć cośkolwiek, nie wypytywaliby tak gorliwie — pomyślał d'Artagnan. — A teraz, o czym pragną oni tak się dowiedzieć? Czy niema czasami księcia de Buckingham w Paryżu i czy widział się, lub ma się widzieć z królową?

D'Artagnan zatrzymał się na tym domyśle, któremu, według tego, co słyszał, nie zbywało na prawdopodobieństwie. Tymczasem pułapka nie ustawała, ale i czujność d'Artagnana także.

Wieczorem, dnia następnego po uwięzieniu biednego Bonacieux, gdy tylko Athos pożegnał d'Artagnana, by się udać do pana de Tréville i zaledwie wybiła dziewiąta, a Planchet, nie posławszy jeszcze łózka swojego pana, zabierał się do tej czynności, dało się słyszeć pukanie do drzwi od ulicy. Otwarto je i zatrzaśnięto natychmiast; znowu ktoś wpadł w pułapkę.

D'Artagnan rzucił się do miejsca w podłodze bez tafli, położył się na brzuchu i słuchał.

Wkrótce rozległy się krzyki, potem jęki, które widocznie tłumić usiłowano. O badaniach mowy nie było.

— Do diabła! — pomyślał d'Artagnan — zdaje mi się, że to kobieta; rewidują ją, opiera się, używają przemocy, nędnicy!

Pomimo całej roztropności, d'Artagnan, o mało nie wyskoczył ze skóry, chcąc wnieść się do sceny, rozgrywającej się na dole.

— Mówię wam, panowie, iż jestem panią tego domu; jestem panią Bonacieux; mówię wam, że do królowej należę! — wykrzykiwała nieszczęsna kobieta.

— Pani Bonacieux! — wyszeptał d'Artagnan — byłbym tak szczęśliwy, iż znalazłem to, czego tak szukają wszyscy?

— Na panią właśnie czekaliśmy — odpowiedzieli badający.

Głos stawał się coraz bardziej stłumiony, szamotanie rozległo się pomiędzy ścianami. Ofiara opierała się o tyle, o ile kobieta zdoła się opierać czterem mężczyznom.

— Łaski, panowie, łaski... — szeptał głos urywanymi i niewyraźnymi dźwiękami.

— Zatykają jej usta i zawloką do więzienia!... — krzyknął d'Artagnan, skoczywszy, jak na sprężynie. — Szpady! dobrze, mam ją u boku. Planchet!

— Słucham pana.

— Pędź co tchu po Athosa, Porthosa i Aramis. Jeden z nich na pewno musi być u siebie, a może i wszyscy trzej już powrócili. Niech wezmą broń i przychodzą, niech się śpieszą. A! przypominam sobie, Athos jest u pani de Tréville.

— Lecz pan dokąd idzie?... dokąd?...

— Wychodzę oknem — zawołał d'Artagnan — prędkiej stanę na miejscu! a ty połóż taflę, gdzie należy, zamieć podłogę, wyjdź drzwiami i pędź, dokąd ci mówiłem.

— O! panie, panie, zabijesz się jeszcze! — krzyczał Planchet.

— Milcz, durniu! — zawołał d'Artagnan. — Uchwycił się futryny okna, i z pierwszego piętra, które, na szczęście, nie było zbyt wysokie, zsunął się bez najmniejszej szkody dla siebie. Natychmiast poszedł do drzwi zapukać, mruczając pod nosem:

— I ja także dam się wziąć w pułapkę, ale biada kotom, które się o taką myszkę obetrą.

Zaledwie rozległ się odgłos młotka pod ręką młodzieńca, zgiełk ustał natychmiast, słychać było zbliżające się kroki, drzwi się rozwarły i d'Artagnan ze szpadą obnażoną wpadł do mieszkania pana Bonacieux, a drzwi, będące widocznie na sprężynie, zatrzasnęły się za nim.

Wtedy ci, którzy mieszkali w nieszczęsnym domu Bonacieux i sąsiedzi najbliżsi, usłyszeli krzyki przeraźliwe, bieganie, szcęk stali i przeciągły loskot łamiących się sprzętów. Nareszcie, po niedługiej chwili, ci, których hałas zwabił do okien, zobaczyć mogli otwierające się gwałtownie drzwi, i czterech ludzi, czarno ubranych, wyszło, a raczej wyleciało przez nie, jak spłoszone kruki, pozostawiając na ziemi połamane pióra u kapeluszków i strzępy swego ubrania.

Przyznać należy, iż d'Artagnan został zwycięzcą bez wielkiego trudu, tylko bowiem jeden policjant był uzbrojony i bronił się, lecz dla formy jedynie. Trzech innych próbowało wprawdzie zasypać d'Artagnana krzesłami, taboretami i całą masą garnków i rondli, lecz parę zadraśnień wypolerowaną szpadą gaskończyka przeraziło ich okrutnie. Dziesięć minut czasu wystarczyło, aby zostali pokonani i d'Artagnan ujrzał się panem placu bitwy.

Sąsiedzi, którzy pootwierali okna, z zimną krwią, właściwą mieszkańcom Paryża w owych czasach zaburzeń i nieustanych bójek, pozamykali je, skoro tylko ujrzeli uciekających czterech ludzi czarnych; przecucie mówiło im, że, jak na teraz, wszystko było skończone. Zresztą noc już zapadała, a onego czasu, również jak i dziś, wcześniej zabierano się do snu w dzielnicy luksemburskiej.

D'Artagnan pozostał sam z panią Bonacieux i stanął przed nią. Biedna kobieta leżała na fotelu na wpeł zemdlna. Obrzucił ją szybkim wejrzeniem.

Była to zachwycająca dwudziestopięcioletnia kobieta, brunetka, z niebieskimi oczyma, z noskiem lekko zadartym, zębami prześlicznymi, z cerą zabarwioną lekkim szkarłatem, z odbłyskami opalu. Tu jednak był koniec oznakom, przy których mogła uchodzić za wielką damę. Ręce jej były białe, lecz za mało drobne, nogi zaś nie zdradzały kobiety wyższego pochodzenia. Na szczęście, d'Artagnan nie był jeszcze wybredny, szczegóły te więc nie zajmowały go wcale.

Gdy się tak wpatrywał w panią Bonacieux, stojąc tuż przed nią, dostrzegł leżącą na ziemi chusteczkę batystową, którą, według zwyczaju podniósł, a na rogu jej poznał te same wyszyte litery, jak na chusteczce, która o mało nie spowodowała starcia śmiertelnego z Aramisem. Nie ufał on odtąd chusteczkom z cyframi i herbami, schował ją więc w milczeniu do kieszeni pani Bonacieux.

Właśnie zemdlna zaczęła powracać do zmysłów. Otworzyła oczy i, z przerażeniem wiodąc niemi dokoła, ujrzała pokój pusty zupełnie, i zobaczyła, że się znajduje sama ze swym wybawcą. Wyciągnęła ku niemu ręce, uśmiechając się słodko. Pani Bonacieux miała najcudniejszy w świecie uśmieszek.

— O!... panie — odezwała się — tyś mnie ocalił, pozwól niech ci podziękuję.

— Pani — odrzekł d'Artagnan — spełniłem to, co każdy szlachcic na mojem miejscu byłby zrobił, wcale więc nie zasługuję na podziękowanie.

— O! nie mów pan tak, a ja mam nadzieję, że będę mogła dowieść, iż przysługa twoja nie trafiła na niewdzięczną...

— Ale cóż ci ludzie chcieli ode mnie?... zrazu wzięłam ich za złodziei; a! dlaczego nie ma tutaj pana Bonacieux!...

— Pani, ludzie ci byli niebezpieczniejsi od złodziei, to służalcy pana kardynała; a męża pani, pana Bonacieux — nie ma, bo wczoraj go stąd zabrano i zaprowadzono do Bastylji.

— Mego męża do Bastylji!... — krzyknęła pani Bonacieux — O! mój Boże! a cóż on zrobił biedaczysko?... on, uosobiona niewinność?...

I coś na kształt uśmiechu zarysowało się na wystraszonej jeszcze twarzy młodej kobiety.

— Co zrobił? — podchwycił d'Artagnan — Mnie się zdaje, że jedyną jego zbrodnią jest to, iż ma szczęście i zarazem nieszczęście być mężem pani...

— Więc pan wiesz...

— Wiem, że pani była porwana.

— A czy pan wiesz przez kogo? O! jeżeli wiesz, powiedz mi, proszę.

— Przez człowieka czterdziestokilkolletniego, bruneta, ogorzałej twarzy, z blizną na lewej skroni.

— Tak, tak; ale jak się nazywa?

— O! tego nie wiem wcale.

— A mąż mój, czy wiedział co o mojem porwaniu?

— Dowiedział się o tem z listu, który sam napastnik do niego napisał.

— I podejrzewa przyczynę tego wypadku? — pytała pani Bonacieux z pewnem zaniepokojeniem.

— Zdaje mi się, iż przypisuje go powodom politycznym.

— Wiesz pan, i ja teraz tak myślę, jak pan... A więc, kochany Bonacieux nie posądzał mnie ani na chwilę.

— A! o sto mil był od takiej myśli!... on szczyci się zacnością pani, a nade wszystko miłością.

Drugi uśmiezek, niedostrzegalny prawie, przemknął po szkarłatnych usteczkach pięknej kobietki.

— Ale — kończył d'Artagnan — w jaki sposób zdołałaś pani uciec?

— Skorzystałam z chwili, w której pozostawiono mnie samą, a ponieważ od razu wiedziałam, co mam myśleć o mojem porwaniu, z pomocą prześcieradeł zsunęłam się z okna; wtenczas, w przekonaniu, iż zastanę tu męża, podążyłam do niego.

— Aby szukać obrony?

— O! nie, biedaczysko drogi, wiem, że nie jest do tego zdolny, ale mógłby nam być do czego innego przydatny, chciałam go więc uprzedzić.

— O czym?

— O! tajemnica nie do mnie należy, nie mogę więc mówić o niej z panem.

— Zresztą — zauważył d'Artagnan — przepraszam panią, że, jakkolwiek młodszy od niej wiekiem, przypominam jej potrzebę ostrożności; zresztą, zdaje mi się, iż nie miejsce tutaj na zwierzenia. Ludzie, wygnani przeze mnie, w większej liczbie powrócą niedługo; jeżeli nas tu zastaną, jesteśmy zgubieni. Kazałem wprawdzie zawiadomić trzech moich przyjaciół, lecz kto wie, czy zastano ich w domu!

— Tak, tak... masz pan słuszność — z przerażeniem wykrzyknęła pani Bonacieux — uciekajmy, skryjmy się czem prędzej.

To mówiąc, wsunęła rączkę pod ramię d'Artagnana, pociągając go za sobą.

— Lecz dokąd uciekać? — pytał d'Artagnan — gdzie się schronić?

— Przede wszystkim oddalmy się z tego domu, a potem zobaczymy.

I oboje, nie zadając sobie nawet trudu, aby drzwi zamknąć za sobą, szybko przebiegli ulicę Grabarzy, zboczyli w ulicę des Fossées-Monsieur-le-prince, i zatrzymali się dopiero na placu ś-go Sulpicjusza.

— A teraz... co pocniemy z sobą? — zagadnął d'Artagnan — dokąd mam panią zaprowadzić?

— Przyznaję, iż nie wiem sama, co mam panu odpowiedzieć — odrzekła pani Bonacieux — miałam zamiar przez męża zawiadomić pana de la Porte, aby nam mógł powiedzieć dokładnie, co zaszło w ciągu trzech ostatnich dni w Luwrze, i czy przyjsie moje nie grozi tam niebezpieczeństwem.

— To ja mogę zawiadomić pana de la Porte — rzekł d'Artagnan.

— Zapewne, ale na nieszczęście w Luwrze znają pana Bonacieux, i jegoby z łatwością wpuszczono, gdy pana nie znają wcale i drzwi przed panem zamkną.

— E! — odparł d'Artagnan — musisz pani mieć w Luwrze przychylnego odzwiernego, a dzięki umówionemu hasłu...

Pani Bonacieux bystro spojrzała na młodzieńca.

— A gdybym panu powiedziała to hasło?... — rzekła — czy zapomniałbyś je natychmiast potem?

— Słowo honoru! słowo szlacheckie! — odrzekł d'Artagnan z taką szczerością w głosie, że niepodobieństwo mu było nie ufać...

— Wierzę panu; wyglądasz na młodzieńca uczciwego, zresztą, może w przyszłości spotka cię nagroda za poświęcenie dzisiejsze.

— I bez tych obietnic sumiennie spełnię wszystko, ażeby usłużyć królowi i stać się użytecznym królowej — rzekł d'Artagnan — rozporządzaj mną pani, jak przyjacielem.

— A gdzie mnie pan przez ten czas podziejesz?

— Czy nie masz pani nikogo, skądby cię mógł pan de la Porte zabrać?

— Nie, nikomu zwierzać się nie chcę.

— Zaraz — rzekł d'Artagnan — wszak jesteśmy przede drzwiami Athosa... tak, nie myślę się.

— Któż to jest Athos?

— Jeden z moich przyjaciół.

— A jeżeli jest w domu i mnie zobaczy?

— Nie ma go, a gdy wprowadzę panią do jego mieszkania, zabiorę klucz ze sobą.

— A jeżeli powróci?

— Nie powróci; wreszcie, powiem mu, że przyprowadziłem kobietę, i że ta kobieta u niego się znajduje.

— Ależ to mnie może straszliwie skompromitować!

— Cóż to panią obchodzi?... nikt pani nie zna; zresztą znajdujemy się w takim położeniu, iż nie zważa się na żadne konwenanse.

— Chodźmy więc do pańskiego przyjaciela. Gdzież on mieszka?

— Przy ulicy Feron, stąd parę kroków.

— Chodźmy.

I puścili się w drogę. Jak przewidział d'Artagnan, Athosa nie było w domu; wziął więc klucz, który dawano mu zwykle, jako przyjacielowi domu, wszedł na piętro, i wprowadził panią Bonacieux do mieszkania, znanego nam już z opisu.

— Jesteś pani, jak u siebie — powiedział jej — zamknij drzwi od wewnątrz i nie otwieraj nikomu, dopóki nie usłyszysz pukania trzykrotnego w ten sposób: uważaj pani. — I zapukał trzy razy: dwa razy szybko i dość mocno, a trzeci raz po niejakej przerwie i znacznie lżej.

— Dobrze — rzekła pani Bonacieux — teraz kolej na mnie dać panu wskazówki.

— Słucham.

— Stań pan przy furtce, prowadzącej do Luwru od strony ulicy Drabiniastej i zapytaj o Germana.

— Dobrze, a potem?

— Będzie on pana wypytywał, Bóg wie o co, a ty mu odpowiesz na to wszystko tylko dwoma słowami: Tours i Bruksella. Wtedy będzie już na twe rozkazy.

— A co ja mam mu rozkazać?

— Każesz mu pan iść do pana de la Porte, pokojowca królowej.

— A jak pan de la Porte przyjdzie?

— Przyślesz go pan do mnie...

— Dobrze, ale gdzież i jak się znowu z panią zobaczę?

— Czy bardzo panu o to chodzi?

— Naturalnie!

— To już mnie pan pozostaw i bądź spokojny.

— Liczę na słowo pani.

— Może pan liczyć.

D'Artagnan pożegnał panią Bonacieux, rzucając jej najczulsze spojrzenie, jakim mógł objąć zachwycającą jej osobkę, a kiedy schodził na dół, usłyszał, jak drzwi za nim zamknęła na dwa spusty. W paru podskokach przybył do Luwru. Gdy przystąpił do furtki od ulicy Drabiniastej, była godzina dziesiąta.

Przebieg wypadków, które opisaliśmy, trwał pół godziny zaledwie. Wszystko stało się tak, jak powiedziała pani Bonacieux.

Na umówione hasło, German skłonił się nisko; w dziesięć minut potem pan de la Porte był już u furtki; w paru słowach d'Artagnan objaśnił go o stanie rzeczy i wskazał, gdzie pani Bonacieux się znajduje. De la Porte upewnił się po dwakroć o dokładności adresu i pędem tam podążył. Zaledwie jednak uszedł dziesięć kroków, zawrócił.

— Młodzieńcze — rzekł do d'Artagnana — dam ci jedną radę.

— Jaką?

— Mógłbyś być niepokojonym za to wszystko, co zaszło.

— Tak pan sądzi?

— Tak. Czy masz jakiego przyjaciela, u którego zegar się spóźnia?...

— Bo co?

— Udaj się do niego, aby mógł zaświadczyć, że odwiedziłeś go o godzinie wpół do dziesiątej. Według prawa, to się nazywa alibi.

D'Artagnan ocenił zdrową radę; wziął nogi za pas i nie oparł się, aż u pana de Tréville. Zamiast jednak wejść do salonu, gdzie wszyscy byli zebrani, prosił, aby go wpuszczono do gabinetu. Ponieważ d'Artagnan był tam gościem codziennym, bez trudności żądanie jego spełniono i dano znać panu de Tréville, że młody ziomek jego, mając coś ważnego do powiedzenia, prosi o posłuchanie na osobności.

W pięć minut potem, pan de Tréville zapytywał młodzieńca, czem mógłby mu służyć, i czemu zawdzięcza odwiedzin w porze tak spóźnionej.

— Przepraszam pana — rzekł d'Artagnan, który skorzystał z chwili, gdy sam pozostał, by cofnąć o trzy kwadransy wskazówkę — myślałem, że skoro jest dopiero dwadzieścia pięć minut po dziewiątej, to czas jeszcze przedstawić się panu.

— Dwadzieścia pięć minut po dziewiątej! — zawołał pan de Tréville, spoglądając na zegar — ależ to niepodobieństwo!

— Zechciej się pan przekonać, zdaje mi się, że zegar nie zwodzi.

— Tak — rzekł pan de Tréville, — sądziłem, że już znacznie później. No cóż tam, czego sobie życzysz?

Wtedy d'Artagnan opowiedział panu de Tréville szczegółowo historję, dotyczącą królowej. Przedstawił mu obawy, jakie powziął ze względu na jej Królewską Wysokość; opowiedział mu, co zasłyszał o zamiarach kardynała względem Buckinghama, a wszystko to mówił z takim spokojem i pewnością siebie, że pan de Tréville z tem większem słuchał go zajęciem, bo sam, jak wspomnieliśmy, dostrzegł coś nowego pomiędzy kardynałem, królem i królową.

Biła godzina dziesiąta, gdy d'Artagnan pożegnał pana de Tréville, który dziękował mu za wskazówkę, i polecił służyć serdecznie królowi i królowej, poczem wrócił do salonu. Lecz d'Artagnan, gdy był już na dole, przypomniał sobie, iż zostawił laskę; wbiegł więc szybko na górę, wpadł do gabinetu i palcem zwrócił wskazówkę na właściwą godzinę, aby nazajutrz nie dostrzeżono, że była cofnięta, i pewny już, że ma świadka, który w potrzebie dowiódłby jego alibi, zbiegł ze schodów i znalazł się wkrótce na ulicy.

ROZDZIAŁ XI. INTRYGA ZAWIAZUJE SIĘ

Po wyjściu od pana de Tréville, d'Artagnan zamyślony powracał do domu drogą, jak mógł najdalszą.

O czem mógł myśleć, że tak zbaczał z drogi, spoglądając na gwiazdy, z westchnieniem, to z uśmiechem naprzemian!

Myślał o pani Bonacieux. Dla takiego muszkietera w związku, kobieta młoda była nieledwie ideałem miłości. A ta była ładna, tajemnicza i przypuszczona do wszystkich nieledwie sekretów dworskich, które taką uroczą powagą odbijały się na jej powabnych rysach, a dawały do myślenia, że nie jest dlań nieczułą, co zawsze stanowiło nieprzeparty powab dla niewytrawnych kochanków; dla d'Artagnana zaś było to tem bardziej obiecujące, że wybawił ją przecież z rąk szatanów kardynalskich.

Szybkim lotem pędzą marzenia na skrzydłach wyobraźni. D'Artagnanowi zdawało się już, że go dogania wysłaniec młodej kobiety i oddaje mu jakiś bilecik, wyznaczający schadzkę, czy też wręcza mu łańcuch złoty a może brylant. Mówiliśmy już, iż młodzi rycerze bez obrazy przyjmowali datki królewskie, dodajmy jeszcze, że w owych czasach łatwej moralności nie wstydzili się też brać ich od swoich kochanek, które często obdarzały

ich pamiątkami cennymi i trwałymi, jak gdyby chciały zwalczać nietrwałość ich uczuć mocą podarunków.

Torowano sobie drogi przez kobiety, nie tając się z tem bynajmniej. Te, które prócz piękności nic nie miały więcej, oddawały swoją urodę. Bogate znowu dawały część swoich pieniędzy i możnaby wymienić spory zastęp bohaterów z tej miłej epoki, którzy nie dostąpiliby nigdy naprzód ostróg, ani nie wygrywaliby następnie bitew, gdyby nie woreczek mniej lub więcej napełniony, który wielbiciele do siodła ich przyczepiali.

D'Artagnan nie posiadał nic zgoła; nieśmiałość młodzieńcza, ta barwa mglista, kwiat krótkotrwały, ten puszek brzoskwini ulotniły się od podmuchu rad, niezbyt zgodnych z przepisami moralności, jakich trzech muszkietierowie udzielali przyjacielowi. Idąc za dzikim zwyczajem ówczesnym, d'Artagnan w Paryżu czuł się, jak na wojnie, mniej więcej, jak gdyby to było we Flandrii: tam Hiszpan, a tu kobieta. I tu i tam, wróg był do zwyciężenia i kontrybucje do ściągnięcia. Nadmienić nam wypada, że, jak na teraz, nastrój uczuć d'Artagnana szlachetniejszy był i bezinteresowny. Gospodarz wyznał mu, że jest bogaty, łatwo więc było odgadnąć, iż przy tak ograniczonym mężu żona trzymała klucz od kasy, nie to jednak wpłynęło na uczucie, wywołane widokiem pani Bonacieux, a iskra miłości nic prawie wspólnego nie miała z rachubą. Mówimy: nic prawie, gdyż świadomość, że kobieta młoda, piękna i rozumna jest bogata zarazem, nie osłabia miłości, przeciwnie, potęguje ją jeszcze.

W dostatkach bywa moc nawyknień i wybryków arystokratycznych, które piękności dodają uroku. Cieniutka jedwabna pończoszka, suknia ozdobna, zarzutka z cennych koronek, piękny trzewiczek, wstążka świeża we włosach, nie upiększą kobiety brzydkiej, lecz podnoszą urodę pięknej.

Zresztą nie ukrywaliśmy przed naszymi czytelnikami stanu majątkowego d'Artagnana. Nie był on miljonerem bynajmniej. Wprawdzie nie brakło mu nadziei zostania nim w przyszłości, lecz czas, który oznaczył sobie na tę szczęśliwą przemianę, dość był jeszcze daleki. A co za rozpacz widzieć kobietę ukochaną, pragnącą tysiąca drobnostek, składających się na jej szczęście, i nie mieć możliwości ich dostarczenia. Przeciwnie, gdy kochanka jest bogata, to, choć kochanek jej ubogi i ofiarować nic nie może, sama sobie starczy na wszystko — zazwyczaj z pieniędzy mężowskich, za co wprawdzie wdzięczność przypada w udziale bynajmniej nie mężowi.

Ale d'Artagnan, usposobiony na jak najtkliwszego kochankę, nie przestał być wiernym przyjacielem. Wśród zamiarów miłosnych względem żony gospodarza, nie zapomniał o swoich widokach.

Można było poszczycić się tą śliczną kobietką nietylko na przechadzkach w Saint-Denis, lub też w Saint-Germain na jarmarku, ale też i w towarzystwie Athosa, Porthosa i Aramis, którym z dumą pokazałby mógł taką zdobycz. Że zaś po dłuższej przechadzce przychodzi głód, co miał sposobność zauważyć szczególnie od pewnego czasu, spożywanoby miłutkie obiadki, w czasie których on miałby po jednej stronie rękę przyjaciela, po drugiej nóżkę kochanki. Wreszcie w wypadkach kłopotliwych, w ciężkich chwilach mógłby być zbawieniem dla przyjaciół.

A cóż się działo z panem Bonacieux, którego d'Artagnan oddał zbirom w ręce, wyparłszy się go głośno, a którego po cichu obiecał wybawić? Przyznać musimy, że przez myśl mu nawet nie przeszedł, a jeżeli wspominał o nim, to tylko, aby sobie powiedzieć, iż dobrze mu tam, gdzie jest, gdziekolwiekby nawet się znajdował. Najbardziej samolubną namiętnością jest miłość.

Wszelako niechaj czytelnicy nasi wolni będą od obawy. Jeżeli d'Artagnan udawał tylko, czy rzeczywiście zapomniał o swoim gospodarzu, pod pozorem, iż nie wiedział, dokąd go wzięto, my nie zapomnimy o nim, a wiemy, gdzie się znajduje. Na chwilę jednak idźmy za przykładem rozkochanego gaskończyka.

D'Artagnan, zamyślony o swej przyszłej miłości, przemawiając do ciemności nocnych, do gwiazd się uśmiechając, szedł prosto ulicą Cherche Midi. A ponieważ była to dzielnica, w której mieszkał Aramis, przyszła mu myśl odwiedzenia przyjaciela, aby go objaśnić, dlaczego przysłał Plancheta z wezwaniem doń, iżby niezwłocznie stanął się w pułapce.

Alarm ten zasługiwał na wyjaśnienie, tak przynajmniej sądził d'Artagnan.

W duchu zaś dodawał jeszcze, że jest to dla niego sposobność pomówienia o ładniutkiej pani Bonacieux, która, jeżeli nie serce jego, to umysł przepelniała bezmiernie.

Nie można wymagać od pierwszej miłości, aby była dyskretna.

Pierwszemu uczuciu takiemu towarzyszy tak bezbrzeżna radość, że, gdyby nie dozwolić jej ujść na zewnątrz, zdławiłaby swoim ogromem.

Już od dwóch godzin światła pogasły w Paryżu, na ulicach robiło się pusto. Wszystkie zegary przedmieścia Saint-Germain wydzwoniły jedenastą; pogoda była łagodna i cicha. D'Artagnan postępował zaułkiem, gdzie dziś ulica d'Assas, i oddychał przyniesioną powiewem wiatru od strony ulicy Vaugirard, wonią, którą słały ogrody, odświeżone rosą wieczorną i chłodem cichej nocy letniej.

Z daleka brzmiały, przygłuszone szczelnie zamkniętymi okiennicami, śpiewy pijaków zapóźnionych w różnych szynkowniach. Doszedłszy do końca zaułka, d'Artagnan zawrócił na lewo. Dom, w którym mieszkał Aramis, znajdował się pomiędzy ulicą Casette a ulicą Sarvandoni. Minął ulicę Casette i drzwi domu przyjaciela rysowały się już przed nim w ciemności, otulone gąszczem bluszczu i klonów, gdy dostrzegł coś na kształt cienia, wysuwającego się z ulicy Sarvandoni.

To coś płaszczem było osłonięte tak, że zrazu d'Artagnan sądził, iż jest to mężczyzna; lecz wzrost mały, chód niepewny i lękliwe ruchy, wkrótce dały mu poznać, iż była to kobieta. Co więcej, kobieta owa, jak gdyby wątpiąc w tożsamość domu, do którego dążyła, oglądała się dokoła, stawała, zawracała i szła znowu dalej.

D'Artagnan zapalał ciekawością.

— A gdybym jej ofiarował swe usługi! — pomyślał. — Z ruchów znać, że jest młoda, a może i ładna. O! z pewnością! kobieta, przebiegająca o tej porze ulicę, po to jedynie wychodzi, aby spotkać się z kochankiem. E! do licha! gdybym schadzce przeszkodził, nieosobliwe wybrałbym drzwi do wejścia w stosunki przyjazne.

Kobieta ciągle postępowała dalej, licząc domy i okna. Nietrudna to zresztą i niedługa była historia. W tej części ulicy trzy tylko znajdowały się domy mieszkalne. Dwoje okien wychodziło na nią: jedno w pawilonie, równoległym do zamieszkanego przez Aramisa, drugie z jego własnego mieszkania.

— Do kaduka — mruknął d'Artagnan, któremu przyszła na myśl siostrzenica teologa — a to byłoby zabawne, gdyby ta gołąbka zapóźniona szukała domu naszego przyjaciela. Na honor, jakoś bardzo mi na to wygląda. Kochany Aramisie... teraz już żadnej wątpliwości mieć nie chcę.

I kuląc się jak mógł najbardziej, przyparł się do muru, obok ławki kamiennej, w głębi framugi.

Młoda kobieta szła wciąż, a chód lekki znamionował jej młodość; od czasu do czasu pokaszliwała leciutko, zdradzając przy tej sposobności dźwięczny i świeży głosik. D'Artagnanowi przyszło na myśl, że kaszel ten może być hasłem umówionem.

Czy odpowiedziano na ten znak umówiony innym odpowiednim znakiem, który rozproszył niepewność gościa nocnego, czy też bez pomocy cudzej poznała, że stoi u celu wycieczki, dość że śmiało przystąpiła do okiennicy Aramisa i zapukała w trzech równych przerwach zgiętym paluszkami.

— Ani chybi, że to do niego — mruknął d'Artagnan. — A! panie hipokryto!... mam cię, kochanku, jak nad teologią pracujesz!...

Zaledwie dało się słyszeć pukanie, otworzyło się okno wewnętrzne i przez szpary okiennicy światło się pokazało.

— Ho! ho! — z cicha szepnął podsłuchujący nie pod drzwiami, lecz pod oknami. — O! wizyta była oczekiwana. A teraz okiennica się otworzy i damulka wdrapie się przez okno. Wybornie!

Lecz, ku wielkiemu jego zdziwieniu, okiennica pozostała zamknięta. Co więcej, światło które zabłysło na chwilę, zniknęło i wszystko pogrążyło się w ciemnościach.

D'Artagnan, pewny, że to nie potrawa długo wytrzeszczał oczy i słuch wyteżał pilnie.

Miał słusność, w kilka sekund zaledwie, dwa urywane uderzenia rozległy się wewnątrz.

Kobieta z ulicy odpowiedziała jednym i okiennica się otworzyła.

Łatwo pojąć, jak d'Artagnan patrzył i słuchał z chciwością. Na nieszczęście, światło przeniesiono do innego pokoju! Ale oczy młodzieńca oswoiły się z ciemnością. Zwłaszcza, iż oczy gaskończyków, jak mówią, mają własność taką, jak oczy kocie: wybornie widzą wśród nocy.

D'Artagnan zobaczył więc, że młoda kobieta dobyteła z kieszeni jakiś biały przedmiot, który, gdy go rozłożyła, przybrał kształt chusteczki. Rozłożywszy ją, pokazała rożek osobie, będącej w mieszkaniu.

Co u diabła, miała znaczyć ta chusteczka?

Z miejsca, gdzie stał d'Artagnan, nie mógł widzieć twarzy Aramis, ale nie wątpił ani na chwilę nawet, że to jego przyjaciel prowadzi rozmowę z wewnątrz z damą stojącą na zewnątrz. Ciekawość jednak przemogła rozsądek. Korzystając więc z zajęcia, w jakim widok chusteczki zdawał się pograżać dwie osoby, wchodzące w grę, wyszedł ze swej kryjówki i, szybki jak błyskawica, tłumiąc odgłos kroków, przypadł do rogu muru, skąd wzrok jego jak najlepiej zagłębić się mógł do wnętrza mieszkania Aramis.

Stanąwszy tam, o mało nie wydał okrzyku zdumienia. To nie Aramis prowadził rozmowę z damą pod oknem, lecz kobieta; d'Artagnan widział o tyle w ciemnościach, że mógł rozróżnić ubranie, nie widział jednak tyle, aby mógł zobaczyć rysy.

Jednocześnie prawie ta, która stała w pokoju, wyjęła z kieszeni drugą chusteczkę, zamieniając na tę, którą jej pokazano. Następnie obie kobiety powiedziały do siebie słów kilka. Nareszcie obie kobiety się zamknęły; kobieta, stojąca pod oknem, zawróciła i przeszła o parę kroków od d'Artagnana, zakrywając się kapturkiem płaszcza. Ostrożność ta jednak za późno została przedsięwzięta, bo przedtem już d'Artagnan poznał panią Bonacieux.

Pani Bonacieux! Podejrzał on już, że to była ona, gdy zobaczył chusteczkę, wyjętą z kieszeni; nie przypuszczał jednak, aby pani Bonacieux, która posłała po pana de la Porte, by ją do Luwru odprowadził, uganiała się sama jedna po ulicach Paryża o wpół do dwunastej w nocy, narażając się na powtórne porwanie. Musiał być powód nader ważny; a jakż może on być dla kobiety dwudziestopięcioletniej? Miłość. Ale, czy to na rachunek własny, czy na cudzy, wystawiała się na nocne przygody? Pytanie to dręczyło młodzieńca, któremu szatan zazdrości pożerał serce, ni mniej ni więcej, jakgdyby już był uprawnionym kochankiem.

Ażeby przekonać się, dokąd pójdzie pani Bonacieux, pozostawał mu jedyny sposób: iść za nią. D'Artagnan instynktownie użył tego sposobu. Lecz, na widok mężczyzny, który oderwał się od muru, jak posąg od framugi, i na odgłos kroków, rozlegających się poza nią, pani Bonacieux wydała lekki okrzyk i poczęła uciekać.

D'Artagnan pogonił. Nietrudną było rzeczą dopędzić kobietę, której płaszcz krępował ruchy. Wkrótce też znalazł się tuż przy niej. Nieszczęsna, wyczerpana była nie zmęczeniem, lecz przerażeniem i, gdy d'Artagnan położył rękę na jej ramieniu, przykłękła na jedno kolano, głosem zdławionym wołając:

— Zabij mnie, ale nic się nie dowiesz!

D'Artagnan podniósł ją, wpół obejmując. Lecz, czując po ciężarze, że bliska jest zemdlenia, jął uspakając ją najczulszemi słowy. Słowa te nie wpłynęły na uspokojenie pani Bonacieux, tak samo odzywać się mógł ktoś, mający zamiary jak najgorsze w świecie; lecz tu stanowił o wszystkim głos. Brzmienie jego wydało się jej znajome. Uchyliła powieki i szybkim wejrzaniem ogarnęła tego, który tak strasznie ją przeraził, a poznawszy d'Artagnana, wykrzyknęła radośnie.

— O! to pan! to ty!... dziękuję ci, Boże!

— Tak, to ja — odrzekł d'Artagnan — ja, zesłany przez Boga, abym czuwał nad panią.

— Czy i w tym zamiarze śledził pan mnie? — z uśmiechem zalotnym spytała młoda kobieta, której usposobienie drwiące poczynało się objawiać, bo znikły obawy wszelkie jej z chwilą, kiedy poznała przyjaciela w tym, którego uważała za wroga.

— Nie — odrzekł d'Artagnan — przynaję, że nie; wypadek postawił mnie na drodze pani. Widząc kobietę, pukającą do okna jednego z moich przyjaciół...

— Jednego z przyjaciół pańskich? — przerwała pani Bonacieux.

— Bez wątpienia, Aramis jest najlepszym moim przyjacielem.

— Aramis! Któż to taki?

— Cóż znowu?... chcesz pani powiedzieć może, iż nie znasz Aramis?

— Pierwszy raz w życiu słyszę to nazwisko.

— Więc to po raz pierwszy do domu tego przychodzisz pani?

— Rozumie się.

— I nie wiedziałaś pani, że w nim mieszka człowiek młody?

— Nie.

— Muszkietier?

— Nic nie wiedziałam.

— Więc pani nie do niego przysłaś?

— Wcale nie. Wreszcie widziałeś pan dobrze, że osoba, z którą rozmawiałam, jest kobietą.

— Prawda, lecz ta kobieta jest jedną z przyjaciółek Aramisa.

— Nie wiem.

— Skoro u niego przebywa...

— To do mnie nie należy.

— Więc ktoś to taki?

— O! to nie moja tajemnica.

— Droga pani Bonacieux, jesteś czarującą, ale zarazem strasznie tajemniczą kobietą...

— Czy na tem coś tracę?

— Nie, przeciwnie, jesteś godna ubóstwienia.

— Kiedy tak, podaj mi pan ramię.

— Najchętniej. A teraz?

— A teraz prowadź mnie.

— Dokąd?

— Tam, dokąd idę.

— A dokąd pani idzie?

— Zobaczysz pan, ponieważ u drzwi mnie opuścisz.

— Czy będzie można poczekać na panią?

— Byłoby to daremne.

— Powrócisz więc pani sama?

— Może tak, a może nie.

— Ale ktoś pani towarzyszyć będzie, mężczyzna, czy kobieta?

— Nic jeszcze nie wiem.

— No to ja będę wiedział.

— W jaki sposób?

— Poczekam, ażeby zobaczyć, jak pani będzie wychodziła.

— Kiedy tak, to żegnam!

— Dlaczego?

— Nie potrzebuję pana.

— Ależ pani żądała...

— Pomocy szlachcica, a nie dozoru szpiega.

— Słówko trochę za ostre.

— A jak nazywają tych, którzy śledzą ludzi wbrew ich woli?

— Niedyskretnymi.

— Nazwa trochę za łagodna.

— Cóż robić, widzę że trzeba tak chcieć, jak pani chce.

— Czemuż ująłeś pan sobie zasługi, nie czyniąc tego od razu?

— Czyż nie ma ludzi bez winy i żalu?

— Żałujesz więc pan prawdziwie i szczerze?

— Sam nie wiem, doprawdy. To tylko wiem, że przyrzekam spełnić wszystkie pani rozkazy, jeżeli pozwolisz mi towarzyszyć tam, dokąd idziesz.

— I zostawisz mnie pan potem samą?

— Tak.

— I nie będziesz śledził mnie, gdy wychodzić będę?

— Nie.

— Słowo honoru?

— Słowo szlacheckie!

— Więc daj mi pan rękę i chodźmy.

D'Artagnan podał jej ramię, na którym oparła się na wpół roześmiana, na wpół drżąca, i udali się oboje w górę ulicy de la Harpe.

Doszedłszy tam, młoda kobieta zawahała się widocznie, tak samo, jak na ulicy Vaugirard. Musiała bramy domów poznawać po jakichś znakach, podchodząc ku nim.

— Teraz panie — rzekła — tutaj właśnie mam czynność do załatwienia; tysiącne dzięki za twoje zacne towarzystwo, które uchroniło mnie od wszelkich niebezpieczeństw, na jakie, idąc sama, byłabym wystawiona. Nadeszła chwila dotrzymania danego mi słowa, przyszedłam na miejsce przeznaczenia.

— I nie będziesz pani miała żadnej obawy, powracając?

— Obawiać się mogę tylko złodziei.

— Czyż to nie dość?

— Cóżby mi zabrać mogli? szeląga przy sobie nie mam.

— Zapominasz pani o chusteczce z herbami haftowanymi.

— O jakiej?

— O tej, którą u nóg twoich znalazłem i do kieszeni jej włożyłem.

— Milcz! milcz! nieszczęsny! — krzyknęła kobieta — czy chcesz mnie zgubić?

— Widzisz więc pani, że ci jeszcze grozi niebezpieczeństwo, bo przyznajesz, że, gdyby słowo to usłyszane zostało, byłabyś zgubiona. O pani, wysłuchaj mnie — zawołał d'Artagnan, ujmując jej rękę i obejmując ją płomiennym wejrzeniem — wysłuchaj! bądź laskawszą dla mnie i zaufaj mi; czyż nie wyczytałaś z mych oczu, iż serce moje przepelnione poświęceniem i sympatją dla ciebie!

— Wierzę — odrzekła pani Bonacieux. — Zażądaj pan tajemnic moich, a powiem ci je wszystkie, lecz nic domagaj się tych, które nie należą do mnie.

— Dobrze — odrzekł d'Artagnan — sam je więc odkryj; skoro tajemnice te mają mieć wpływ na życie pani, muszę je poznać.

— Strzeż się pan — zawołała młoda kobieta, z powagą, która dreszczem mimowolnym przejęła d'Artagnana. — O! nie mieszaj się do tego, co do mnie należy, nie usiłuj dopomagać mi w tem, co spełniam sama; żądam tego w imię sympatji, jaką budzę w panu, w imię przysługi, którą mi wyświadczyłeś, a której, póki życia, nie zapomnę. Chciej uwierzyć raczej w to, co mówię. Nie zajmuj się pan mną więcej, niech nie istnieję dla ciebie, niechaj tak będzie, jak gdybyś mnie nie widział nigdy w życiu.

— Czy i Aramis winien tak samo, jak ja uczynić? — zapytał do żywego dotknięty d'Artagnan.

— Pan już dwa, czy trzy razy powtórzył to imię, a mówiłam ci, że go wcale nie znam.

— Nie znasz pani człowieka, do którego okiennicy pukalaś przed chwilą? Pani masz mnie za zbyt naiwnego!

— Przyznaj pan, że układasz całą historję, aby wyciągnąć mnie na słówka, i tego Aramisa wymyśliłeś po prostu.

— Nic nie wymyśliłem, ani nic nie układam, prawdę tylko mówię najszczerzą.

— Utrzymujesz więc, iż jeden z przyjaciół twoich mieszka w tym domu?

— Powiedziałem i po raz trzeci powtarzam, iż dom ten zamieszkaný jest przez mego przyjaciela, a jest nim Aramis.

— Wszystko to wyjaśni się później — szepnęła kobieta — a teraz milcz, błagam pana.

— Gdybyś pani w serce moje zajrzeć była w stanie — odezwał się d'Artagnan — wyczytałabyś w niem tyle ciekawości, iż litość byś dla mnie uczuła, a miłości tyle, iż zaspokoiłabyś natychmiast moją ciekawość. Nie powinniśmy się obawiać tych, którzy nas kochają.

— Zaprędko prawisz o miłości, mój panie! — odezwała się młoda kobieta, potrząsając głową.

— Bo miłość ta przyszła na mnie nagle i to po raz pierwszy; nie mam jeszcze dwudziestu lat.

Kobieta spojrzała na niego ukradkiem.

— Posłuchaj mnie, pani, już wpadłem na ślady — rzekł d'Artagnan. — Trzy miesiące temu o mało nie doszło do pojedynku z Aramisem o chustkę podobną do tej, którą pokazywałaś damie, przebywającej u niego, o chusteczkę, w ten sam sposób znaczoną. Pewny tego jestem.

— Panie — odpowiedziała młoda kobieta — przysięgam ci, iż męczysz mnie okrutnie tem badaniem.

— Ale ty, pani, tak przezorna, pomyśl, że gdybyś została uwięziona z chusteczką tą; gdyby ci ją pochwycono, nie byłabyś skompromitowana?

— Z jakiej racji, wszak litery moje są: K. B., Konstancja Bonacieux.

— Albo też Kamilla de Bois-Tracy.

— Cicho, panie, cicho! Jeżeli nie powstrzymuje cię myśl o mojem niebezpieczeństwie, pomyśl o tem, na które sam się narażasz!

— Ja?

— Tak, dla ciebie niebezpieczeństwo więzienia, dla mnie niebezpieczeństwo śmierci!

— To ja pani nie odstąpię.

— Panie — odezwała się, błagalnie składając ręce — panie, na imię boskie, na honor żołnierski, w imię uczciwości szlacheckiej, oddal się; słuchaj, północ już bije, to godzina, o której na mnie czekają.

— Pani — rzekł młodzieniec z ukłonem — nie jestem w stanie odmówić, gdy mnie ktoś prosi w ten sposób; bądź zadowolona, odchodzę.

— I nie będziesz pan szedł za mną, nie będziesz mnie śledził?

— Wracam natychmiast do siebie.

— O! wiedziałam to od razu, że zacnym młodzieńcem jesteś! — zawołała pani Bonacieux, podając mu rękę, a drugą biorąc za młotek u maleńkich drzwi, ukrytych w murze.

D'Artagnan pochwyił podaną sobie rękę i wycisnął na niej gorący pocałunek.

— O! wołałbym, gdybyśmy się nigdy nie spotkali — zawołał z tą naiwną prostotą, która więcej ujmuje kobiety, niż gładkie słówka grzeczności, odślania ona bowiem głębi myśli i dowodzi, że uczucie bierze nad rozumem górę.

— Kiedy tak!... — odrzekła pani Bonacieux głosem pieszczotliwym nieledwie, ścisnąc rękę d'Artagnana, który przytrzymał jej rączkę — kiedy tak, to kto wie, czy wtedy, gdy z przysięgi zwolnioną już będę, nie uczynię zadość ciekawości pańskiej?...

— A dla miłości mojej, czy to samo mi obiecujesz? — zawołał d'Artagnan w uniesieniu radosnem.

— O! co do tego, nie chcę się zobowiązywać, zależeć to będzie od uczuć, jakie potrafisz wzbudzić.

— Zatem dziś, pani...

— Dziś, panie, wdzięczność jedynie mam dla ciebie.

— O! jesteś pani zachwycająca nad wyraz — rzekł ze smutkiem d'Artagnan — i nadużywasz mojej miłości.

— Nie, korzystam tylko z pańskiej szlachetności, ot i wszystko. Wierź mi jednak szczerze, iż są ludzie, u których nic się nigdy nie traci.

— O! pani, najszczęśliwszym z ludzi mnie czynisz. Nie zapomnij wieczoru dzisiejszego, nie zapomnij swojej obietnicy.

— Bądź pan spokojny, w chwili przyjaznej przypomnę sobie o wszystkim. A teraz, odejdz pan, na imię boskie! Spóźniłam się już, czekano mnie o samej północy.

— Pięć minut upłynęło zaledwie.

— Tak, lecz w niektórych razach pięć minut staje się pięćmioma wiekami.

— Wtedy, gdy kochamy.

— A któż panu mówi, że nie mam do czynienia z zakochanym?

— Więc to mężczyzna oczekuje na panią? — wykrzyknął d'Artagnan — mężczyzna!

— O! znów zaczyna się rozprawa — zauważyła pani Bonacieux, na wpół z uśmiechem, na wpół ze zniecierpliwieniem.

— Nie, nie, odchodzę już, uciekam; wierzę w ciebie, pani, bo pragnę mieć zasługę w poświęceniu mojem dla ciebie, choćby nawet miało być ono głupotą, żegnaj mi pani, żegnaj!

I, jak gdyby nie czuł się na siłach, aby oderwać się od ręki, którą w dłoniach trzymał, zrobił ruch gwałtowny i pędem się oddalił, gdy pani Bonacieux tak samo, jak do okiennicy, po trzykroć zapukała uderzeniem powolnem i miarowem. Dobiegłszy do rogu ulicy, obejrzał się, drzwiczki się otwały i zamknęły i piękna żona kupca zniknęła za niemi.

D'Artagnan szedł dalej. Dał słowo, że nie będzie szpiegował pani Bonacieux i gdyby nawet życie jego zależało od tego, dokąd się uda, lub od osoby, która towarzyszyć jej miała, wróciłby do siebie, bo powiedział, że wróci.

W pięć minut był już na ulicy Grabarzy.

— Biedny Athos — mówił sam do siebie — nic on wiedzieć nie będzie, co to wszystko znaczy. Zasnął może, czekając na mnie, lub może powrócił do siebie i dowiedział się, że kobieta znajduje się w jego mieszkaniu. Kobieta u Athosa! No, przecież była tam jakaś u Aramis. Wszystko to jest niesłychanie dziwne, i mocno jestem ciekawy, jak się to skończy.

— Źle, panie, źle — odpowiedział mu głos, po którym d'Artagnan poznał Plancheta, gdyż, rozmawiając z sobą głośno, jak zwykle ludzie roztargnieni, wszedł do sieni, z której schody prowadziły do jego mieszkania.

— Jakto, źle? co ty pleciesz, durniu? — zapytał d'Artagnan — co się takiego stało?

— Nieszczęście!

— Jakie?

— Najpierw, pan Athos uwięziony.

— Uwięziony?... Athos?... za co?

— Zastano go u pana, i za pana go wzięto.

— A któż go aresztował?

— Straż przyprowadzona przez czarnych ludzi, których pan zmusiłeś do ucieczki.

— Czemuż nie powiedział, jak się nazywa? Czemuż nie powiedział, że do tej sprawy wcale nie należy?

— Tego się właśnie wystrzegaliśmy najbardziej; zbliżył się do mnie, mówiąc: „Pan twój nade wszystko winien teraz wolnym pozostać, a nie ja, ponieważ on wie o wszystkim, ja o niczym. Będą myśleli, że go mają, przez co zyska na czasie; za trzy dni powiem im, kim jestem i muszą mnie wypuścić”.

— Brawo!... Athos!... szlachetne serce!... — mruknął d'Artagnan — to patrzy na niego! A co zrobili zbiry?

— Czterech poprowadziło go nie wiem dokąd, do Bastylji, czy też do fortu Biskupiego; dwóch zaś pozostało z czarnymi ludźmi, którzy, wszystkie zakątki przetrząsnawszy, zabrali papiery, jakie tylko były. Dwóch wreszcie, w ciągu tej czynności, stało u drzwi na straży; potem, gdy wszystko już się skończyło, odeszli, zostawiając dom pusty i otwarty.

— A Porthos i Aramis?

— Nie zastałem ich, więc nie przyszli.

— Mogą jednak przyjść lada chwila, bo powiedziałaś im przecie, iż czekam na nich?

— Tak, panie.

— Zatem, nie rusz się stąd ani na krok; jeżeli przyjdą, powiedz im, co się zdarzyło, niech poczekają na mnie w oberży *Pod Jabłkiem*; tutaj mogłoby być niebezpiecznie, dom może być strzeżony. Ja śpieszę do pana de Tréville, by mu o wszystkim oznajmić i sam do nich przyjdę.

— Dobrze, proszę pana.

— Ale ty zostaniesz i nie będziesz się bał! — rzekł, powracając jeszcze d'Artagnan, aby zalecić odwagę słuzącemu.

— Niech pan będzie spokojny — rzekł Planchet — O! pan mnie jeszcze nie zna, jak sobie powiem, to jestem odważny, muszę tylko sobie powiedzieć; zresztą jestem pikardczykiem.

— Więc zrozumiałeś już: zabić się raczej dasz, a nie opuścisz tego domu.

— Tak, panie; o! nie ma rzeczy, którejby nie uczynił, by panu dowieść mego przywiązania.

— Dobrze — rzekł w duchu d'Artagnan — widocznie metoda, której użyłem względem tego chłopca, bardzo była trafna, przy sposobności będę ją nadal stosował.

I, o ile mu na to pozwoliły nogi, bo już czuł się zmęczony bieganiną, popędził na ulicę du Vieux Colombier.

Nie zastał pana de Tréville w domu; oddział jego był w Luwrze na służbie i on razem ze swym oddziałem. Potrzeba było dotrzeć do niego koniecznie i zawiadomić o tem, co się dzieje. D'Artagnan postanowił więc wcisnąć się do Luwru.

Mundur straży pana Desessarts winien mu być utorować drogę. Zszedł więc na ulicę Augustynów i zawrócił na bulwar, aby przejść przez Nowy Most. Powziął na chwilę zamiar przepłynąć się promem przez rzekę, lecz, stanąwszy już nad brzegiem, wsunął machinalnie rękę do kieszeni i przekonał się, iż nie ma czem przewoźnika zapłacić.

Gdy podążył już w górę ulicy Guenegaud, dostrzegł dwie osoby, wychodzące z ulicy Dauphine, a powierzchowność ich mocno go uderzyła: była to kobieta i mężczyzna.

Pierwsza przypominała panią Bonacieux, drugi podobny był do Aramisa.

Nadto kobieta była okryta takim samym płaszczem, jaki zarysował mu się na tle okiennicy przy ulicy Vaugirard i na drzewczkach ulicy de la Harpe.

Co więcej, mężczyzna miał na sobie mundur muszkieterski.

Kobieta szła z zapuszczonym kapturkiem, mężczyzna trzymał przy twarzy chusteczkę. Ostrożność ta wskazywała, że, jak jej, tak i jemu zależało na tem, aby ich nie poznano.

Weszli na most.

Tą drogą miał iść i d'Artagnan do Luwru; poszedł więc za nimi.

Nie zrobił jeszcze dwudziestu kroków, gdy upewnił się w podejrzeniu, że kobietą jest pani Bonacieux, a mężczyzną Aramis.

Wszystkie podejrzenia zazdrości wstrząsnęły mu serce.

Pani Bonacieux przysięgała mu, że Aramisa nie zna, a w kwadrans po tych zakłękciach, spotyka ją oto przy boku Aramisa!

Nie zastanowił się tylko, że znał piękną żonę kupca od trzech godzin zaledwie, że nic mu winna nie była, prócz nieco wdzięczności za wyrwanie z rąk czarnych ludzi, którzy porwać ją chcieli, i że żadnych mu nie dała obietnic. Wszakże, miał się za kochanka shańbionego, zdradzonego, sponiewieranego. Zakipiał gniewem, krew mu uderzyła do skroni, postanowił wszystko wyjaśnić.

Dwoje młodych ludzi spostrzegło, iż są śledzeni, podwoili więc kroku.

D'Artagnan pośpieszył, wyminął ich, następnie zawrócił i poszedł ku nim w chwili, gdy przechodzili pod latarnią, która rzuciła światło na całą tę część mostu.

Zatrzymał się przed nimi i oni też stanęli.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał muszkietier akcentem cudzoziemskim, jakby chciał dowiedzieć d'Artagnanowi, iż myli się co do swych przypuszczeń.

— To nie Aramis! — wykrzyknął.

— Nie, panie, wcale nie Aramis, a po wykrzykniku tym, widzę, że za kogo innego mnie wzięłeś, przebaczam więc panu.

— Przebaczasz mi pan? — zawołał d'Artagnan.

— Tak — odrzekł nieznajomy — ustąp pan więc z drogi, skoro nie do mnie masz interes.

— Bardzo słusznie, mój panie! — odparł d'Artagnan — nie do pana, lecz do pani mam interes...

— Do pani?... wcale jej nie znasz!... — rzekł nieznajomy.

— Mylisz się pan, ja ją znam!

— O! — odezwała się pani Bonacieux z wymówką. — O, panie! dałeś mi słowo szlacheckie, spodziewam się, iż mogę na nie liczyć.

— A mnie — odezwał się w zakłopotaniu d'Artagnan — mnie pani przyrzekałaś...

— Weź mnie pani pod rękę — rzekł cudzoziemiec i chodźmy dalej.

D'Artagnan oszołomiony, zdrętwiały tern wszystkim, co go spotkało, stał jak wryty z rękami na piersiach skrzyżowanymi, przed muszkietierem i panią Bonacieux.

Muskietier zrobił dwa kroki i ręką odsunął na bok d'Artagnana.

Ten rzucił się w tył i dobył szpady.

Jednocześnie, z błyskawiczną szybkością nieznajomy uczynił to samo.

— *Milordzie*, na Boga! — krzyknęła pani Bonacieux, rzucając się pomiędzy walczących i rękami chwytając za ostrza.

— *Milord!*... — zawołał d'Artagnan, myślą nagłą oświecony — *milord!*... Wybacz panie, byłżebyś...

— *Milord*, książę de Buckingham — odezwała się półgłosem pani Bonacieux — a teraz możesz nas wszystkich zgubić.

— *Milordzie*, pani, przebaczenia! po tysiąc razy przebaczenia!... ale ja kochałem ją i byłem zazdrosny, a wiesz przecie, *milordzie*, co to kochać: przebacz mi i powiedz, w jaki sposób życie za ciebie oddać.

— Dzielnym z ciebie młodzieniec — rzekł Buckingham, podając mu rękę, którą tenże uściśnął z szacunkiem — ofiarujesz mi usługi swoje, przyjmuję; idź za nami o dwadzieścia kroków aż do Luwru; gdyby nas kto śledził, zabij go!

D'Artagnan wziął pod pachę szpadę obnażoną, pozwolił pani Bonacieux i Buckinghamowi wyprzedzić się o dwadzieścia kroków i postępował za nimi, gotów spełnić co do litery zlecenia świętego ministra Karola I-go.

Na szczęście jednak młodzieniec nie miał najmniejszej okazji, aby dowieść wierności, i młoda kobieta z pięknym muszkietierem dostali się do Luwru przez furtkę od ulicy Drabiniastej bez najmniejszej przeszkody.

D'Artagnan zaś udał się niezwłocznie do oberży *Pod Jabłkiem*, gdzie zastał oczekujących na siebie Porthosa i Aramis.

Nie tłumacząc się ze sprawionego im niepokoju, oświadczył tylko, iż sam zakończył sprawę, do której chwilowo odwołał się o ich współudział.

A teraz, idąc za biegiem naszego opowiadania, zostawiwszy trzech przyjaciół, wracających do domu, zapuścmy się w zaułki Luwru, za księciem de Buckingham i jego przewodniczką.

ROZDZIAŁ XII. JERZY VILLIERS, KSIĄŻĘ BUCKINGHAM

Pani Bonacieux i książę bez żadnych trudności weszli do Luwru; pierwsza, jako należąca do służby królowej, książę zaś dzięki mundurowi muszkietierów pana de Tréville, którzy, jak wiadomo, byli tego wieczora na służbie. Wreszcie German sprzyjał królowej, a w najgorszym wypadku tylko pani Bonacieux byłaby obwiniona o wprowadzenie kochanka swego do Luwru. Całą winę brała ona na siebie.

Dostawszy się na dziedziniec, oboje postępowali pod murem ze dwadzieścia pięć kroków. Potem pani Bonacieux nacisnęła kławkę drzwiczek służbowych, w dzień otwartych, lecz w nocy zwykle zamkniętych.

Wszedłszy tam, znaleźli się w ciemnościach.

Lecz pani Bonacieux знаła wszelkie zaułki w tej części Luwru, która przeznaczoną była dla służby.

Zamknęła drzwi za sobą, wzięła księcia za rękę, przeszła kilka kroków po omacku, uchwyciła za poręcz, postawiła na stopniu nogę i zaczęła wchodzić na górę: książę naliczył dwa piętra.

Wtedy zawróciła na prawo, minęła długi korytarz, zeszła w dół jedno piętro, jeszcze kilka kroków i klucz włożyła w zamek.

Drzwi się otwarły, a książę wpuszczony został do komnaty, oświetlonej jedną tylko lampą nocną.

Wówczas rzekła do niego:

— Zaczekaj tu, milordzie, wkrótce nadejdzie.

Wyszła temi samymi drzwiami, zamykając je na klucz, tak że książę literalnie był uwięziony.

Jakkolwiek tak osamotniony, książę ani na chwilę nie doznał obawy.

Jedną z najwybitniejszych cech jego charakteru było uganianie się za przygodami i zamięłaniem w romantycznych zdarzeniach.

Odważny, zuchwały i przedsiębiorczy, nie po raz pierwszy narażał życie dla podobnych zachcianek.

Dowiedział się już, iż rzekome wezwanie Anny Austriackiej, na które przybył do Paryża po prostu było zasadzką. Zamiast powrócić do Anglii, skorzystał ze sposobności, jaką mu nastęrczono, i oznajmił królowej, że nie odjedzie dopóki się z nią nie zobaczy.

Zrazu królowa odmówiła stanowczo, później zdjął ją strach, aby zrozwaczony książę nie popełnił jakiego szaleństwa. Gotowa już była przyjąć go i błagać, aby natychmiast odjechał, kiedy tego wieczora, gdy przychyliła się do próśb jego, pani Bonacieux, mająca polecenie pójść po księcia i przyprowadzić go do Luwru, została porwana. W ciągu dwóch dni nie wiedziano wcale, co się z nią dzieje, i wszystko zostało w zawieszaniu. Skoro się jednak uwolniła i porozumiała z La Portem, rzeczy na nowo bieg swój przybrały i pani Bonacieux spełniła to niebezpieczne zadanie, które, gdyby nie uwięzienie jej, trzy dni przedtem doszłoby do skutku.

Buckingham, pozostawszy sam, stanął przed lustrem. Ślicznie wyglądał w ubraniu muszkieterskim.

W trzydziestym piątym roku życia, słusznie uchodził za najpiękniejszego mężczyznę i najwytworniejszego kawalera zarówno we Francji, jak w Anglii. Ulubieniec dwóch królów, milioner, wszechwładny w królestwie, gdzie sprawiał przewroty według fantazji i poskramiał według zachcianek, Jerzy Villiers, książę de Buckingham, wiódł życie w sposób tak bajeczny, że z biegiem wieków pozostawić mogło podziw u potomności.

Pewny siebie, przeświadczony o swojej władzy, spokojny, iż prawa, rządzące innymi, jego osiągnąć nie mogą, szedł prosto do zamierzonego celu, choćby był on tak wysoki i olśniewający, że dla innego szaleństwem byłoby nawet o nim pomyśleć.

Dzięki temu dostąpił już kilkakrotnie zbliżenia do pięknej i dumnej Anny Austriackiej i, oczarowawszy ją, zmusił do kochania.

Stanął teraz przed lustrem, jak powiedzieliśmy, przywrócił pięknym jasnym włosom ich falistość, która zniknęła pod ciężarem kapelusza, podkreślił wąsami i z sercem, wezbranym radością, szczęśliwy i dumny z dostąpienia chwili, której tak pragnął od dawna, uśmiechał się do siebie, przejęty nadzieją i dumą.

Naraz otworzyły się drzwiczki, ukryte w obiciu, i ukazała się kobieta.

Była to królowa.

Anna Austriacka miała wtedy dwadzieścia pięć do dwudziestu siedmiu lat i była w całym blasku piękności.

Chód jej był chodem królowej i bogini zarazem, oczy z odbłyskiem szmaragdu wprawiły w zachwyt niewypowiedziany, spojrzenie ich tchnęło słodyczą i majestatem. Usteczka mała i pąsowa, a jakkolwiek warga dolna, jak u wszystkich księżąt domu austriackiego, wystawała bardziej niż górna, uśmiech rozciągał urok niepomierny.

Umiała jednak ustom nadać też wyraz okrutnie wzgardliwy, gdy chciała wyrazić nienawiść.

Płeć jej słygnęła z miękkości i puszystości, ręce i ramiona zadziwiałały pięknnością i wszyscy poeci ówcześni opiewali je, jako niezrównane.

Wreszcie włosy jasne w pierwszej młodości, a teraz ciemniejsze, upudrowane, okalały cudownie jej twarz, od której krytyk najostrzejszy mógłby tylko wymagać nieco mniej różu, a rzeźbiarz najwybredniejszy trochę delikatniejszych linii nosa.

Buckingham stanął olśniony.

Nigdy tak piękną mu się nie wydała, ani na balach, uroczystościach, ani na turniejach, jak obecnie, w skromnej sukni z białego atłasu, mając przy boku donnę Estefanę, jedyną z dam hiszpańskich, która nie została wygnana przez zazdrość króla, ani przez prześladowanie Richelieu'ego.

Anna Austriacka postąpiła parę kroków.

Buckingham rzucił się jej do kolan i, zanim zdołała mu przeszkodzić, ucałował brzeg jej sukni.

— Książę, wiesz już, że to nie ja pisałam do ciebie.

— O! tak pani, o! tak królowo — wykrzyknął książę — wiem, iż byłem szaleńcem, nierozumnym, sądząc, iż lód się ożywi, marmur ogrzeje; lecz, co począc, gdy kochamy, łatwo w miłość wierzymy; wreszcie nic na tej podróży nie straciłem, skoro cię oglądam.

— Tak — odrzekła Anna — lecz pan wiesz, dlaczego i w jakim celu widzę się z tobą, bo nieczuły na wszystkie moje udręczenia, uparłeś się pozostawać w mieście, gdzie narażasz swoje życie a moją cześć; przyszłam, ażeby powiedzieć panu, iż wszystko nas przedziela, głębokość morza, nieprzyjaźń rządów i świętość przysięgi. Świętokradztwem jest walczyć przeciw takim siłom, milordzie. Wreszcie, widzę się z tobą, aby ci jeszcze powiedzieć, że więcej widywać się nie możemy.

— Mów pani, mów królowo — rzekł Buckingham — słodycz głosu twego łagodzi gorzyc twoich słów. O świętokradztwie mówisz! ależ świętokradztwem jest rozłąka dwojga serc, które Bóg jedno dla drugiego stworzył.

— Milordzie!... — zawołała — zapominasz, iż nigdy nie powiedziałam, że cię kocham!...

— Lecz nigdy mi nie powiedziałeś także, że nie kochasz mnie pani wcale i doprawdy wyrzec takie słowa za wielką byłoby niewdzięcznością ze strony Waszej królewskiej mości. Bo powiedz mi, gdzie znajdziesz miłość podobną do mojej, miłość, której ani czas, ani oddalenie, ani rozpacz nie mogą ugasić; miłość, która się zadowala wstążką zgubioną,

wejrzaniem przelotnym, słówkiem nieobliczonym. Trzy lata temu, pani, po raz pierwszy cię ujrzałem i odtąd w ten sposób cię kocham. Czy chcesz, abym ci powiedział, jak byłaś ubrana, gdy po raz pierwszy cię ujrzałem? Chcesz, abym opisał szczegółowo każdą ozdobę twojego ubioru? Racz słuchać, królowo, widzę cię jeszcze: siedziałaś na ziemi, według obyczaju hiszpańskiego, miałaś suknię z zielonego atlasu, złotem i srebrem haftowaną, rękawy rozwarte i djamentami podpięte na pięknych ramionach, na tych ramionach cudownych; pod szyją kryzę miałaś, małeńki birecik na głowie tegoż koloru, co suknia, a na nim wspaniałe pióro czaple. O! słuchaj, zamykam oczy i widzę cię taką, jaką byłaś wtenczas; otwieram je i widzę cię taką, jaką jesteś teraz, czyli stokroć piękniejszą jeszcze!

— Co za szaleństwo!... — szepnęła Anna Austrjacka, nie mając odwagi gniewać się na księcia, że tak wiernie zachował w sercu swem jej obraz — co za szaleństwo karmić namiętność daremną takimi wspomnieniami!...

— A czemuż żyć mogę? nic nie posiadam, prócz moich wspomnień. To szczęście moje, mój skarb, moja nadzieja. Za każdym razem, gdy widzę ciebie, jeden djament przybywa do skarbcza mojego serca. Ten jest czwartym, który mi rzucasz, a ja go podnoszę skwapliwie; bo w ciągu trzech lat, pani, cztery razy widziałem cię tylko: pierwszy, jak już wspomniałem, u pani de Cheyreuse drugi, a trzeci w ogrodach w Amiens.

— Księżę — rumieniąc się rzekła królowa — nie wspominaj tego wieczoru.

— O! pani, przeciwnie, wspominajmy, mówmy o nim: to promienny i najszczęśliwszy wieczór w moim życiu. Czy przypominasz sobie tę noc przecudną? Jak ciepłe i wonne było powietrze, niebo błękitne, gwiazdami usiane!

O! ten raz jeden, pani, przez chwilę mogłem sam pozostać z tobą; gotowa byłaś wtedy wypowiedzieć mi wszystko, życia twego osamotnienie, smutki serdeczne twoje. Wsparta byłaś na moim ramieniu, o patrz, na tem właśnie. Czulem, skłaniając ku tobie głowę, włosy piękne, twarz mi muskające, a za każdym dotknięciem takim drżenie przenikało całą moją istotę.

O! królowo, królowo! o! ty wiesz, ile szczęścia niebiańskiego, rozkoszy, rajów chwile podobne zawierają w sobie. Pani! majątek mój, sławę, lata, które mi do przeżycia pozostają, wszystkobyłem oddał za chwilę taką, za noc podobną! bo nocy tej, przysięgam, kochałaś mnie pani szczerze.

— Być może, milordzie, że tak było: wpływ otoczenia, urok pięknego krajobrazu, potęga twego wzroku, tysiące okoliczności wreszcie, które się zbiegają, aby zgubić kobietę, obiegły tego nieszczęsnego wieczoru. Widziałeś jednak, milordzie, jak królowa przyszła w pomoc kobiecie słabnącej. Za pierwszym słowem, które wyrzec się poważyłaś, za zuchwalstwem, któremu winna byłam odmówić, wezwałam pomoc.

— O! tak, to prawda i każda inna a nie moja miłość nie zniosłaby takiej próby; lecz moja wyszła z niej tem gorętsza, tem bardziej nieskończona... Sądziłaś, że, wracając do Paryża, uciekniesz przede mną, że nie poważę się opuścić skarbu, nad którym pan mój czuwać mi polecił. O! cóż mnie obchodzić mogą wszystkie skarby świata, wszyscy ziemscy królowie!

W tydzień już byłem z powrotem, pani. Tym razem nic mi nie miałaś do zarzucenia: zlekceważyłem moje stanowisko, życie, aby ujrzeć cię na sekundę; ręki twej nie dotknąłem nawet, a wtedy, widząc mnie tak uległego i skruszonego, przebaczyłaś mi pani.

— Tak, lecz oszczerstwo pochwyciło te wszystkie szaleństwa, w których nie brałam udziału, wiesz dobrze o tem, milordzie. Król, podżegany przez kardynała, wybuchnął strasliwym gniewem, pani de Vernet została wypędzona, Putange na wygnanie skazany, pani de Cheyreuse wpadła w niełaskę i, kiedy chciałaś jako ambasador do Francji powrócić, sam król, pamiętasz to dobrze, milordzie, król sam oparł się temu.

— Tak, i Francja zapłaci wojną za odmowę swojego władcy. Nie mogę cię już widywać, pani; chcę zatem, byś nieustannie słyszała mówiących o mnie!

Jaki cel, myślisz pani, miała wyprawa na Charente i związek z protestantami Rochelli, który projektuję? O! tylko rozkosz widywania ciebie, królowo!

Nie mam, co prawda, nadziei dotrzeć z bronią w rękę do samego Paryża; lecz wojna może sprowadzić pokój i w takim razie niezbędny będzie pełnomocnik do układów, a pełnomocnikiem tym będę ja. Wtenczas nie poważą się odmówić mi, powrócę do Paryża, ujrzę cię znowu i przez chwilę chociaż szczęśliwym się stanę. Tysiące ludzi wprawdzie szczęście moje życiem przypłaci; lecz cóż mnie to obchodzi, bylebym ciebie mógł znowu

zobaczyć. Wszystko to może jest szalone i nierozumne, lecz powiesz mi, królowo, która kobieta miała kochanka więcej rozmiłowanego, jaka władczyni gorliwszego służyć?

— Milordzie, milordzie, na obronę swoją wywołujesz rzeczy, które cię potępiają tylko, wszystkie dowody miłości, jakie dać mi zamýślasz, są nieledwie zbrodnią.

— Bo nie kochasz mnie, pani, wcale, bo, gdybyś mnie kochała, inaczej zapatrywałabyś się na to; bo, gdybyś mnie kochała, o! gdybyś mnie kochała!... byłby to nadmiar szczęścia, oszalałbym chyba!... Pani de Chevreuse, o której wspomniałaś przed chwilą, mniej, niż ty, pani, była okrutna. Holand ją kochał i odwzajemniała mu się miłością.

— Pani de Chevreuse nie była królową — szepnęła Anna Austrjacka, pomimo woli zwyciężona wyrazem tak głębokiej miłości.

— Więc kochałabyś mnie, pani? gdybyś nie była królową, kochałabyś mnie zatem? Mogę więc wierzyć, że godność stanowiska twego jedynie czyni cię dla mnie okrutną; mogę myśleć, iż gdybyś panią de Chevreuse była, biedny Buckingham mógłby mieć nadzieję?

Dzięki ci za te słodkie słowa, o piękna królowa moja, stokrotne dzięki.

— A! milordzie, przesyłałaś się i źle zrozumiałaś; nie chciałam powiedzieć...

— Cicho! cicho! — odezwał się książę — jeżeli szczęśliwy z pomyłki, nie popełniaj pani okrucieństwa, uwalniając mnie od niej. Sama to powiedziałaś, iż w sidła mnie wciągnęto, położę w nich moje życie może, bo, słuchaj, to dziwna, od jakiegoś czasu mam przeczucie, że umrę niedługo.

I uśmiechnął się smutnie a zarazem czarująco.

— O! mój Boże! — zawołała Anna Austrjacka z przerażeniem, które dowodziło, iż więcej, niż wyznać chciała, obchodził ją książę.

— Nie dlatego bynajmniej to mówię, aby cię, pani, przerazić, o nie; to śmieszne nawet, iż o tem wspomniałem, i wierzą mi, że rojenia podobne nie zajmują mnie wcale. Lecz słowo to, które wyrzekłaś, nadzieja, którą mi dałaś nieledwie, starczą za wszystko, nawet za całe życie.

— O! książę, i ja mam przeczucia, sny jakies okropne. Śniłam, iż widzę cię, broczącego we krwi, rannego okrutnie.

— W serce, wszak tak, i to nożem ugodzonego? — przerwał jej Buckingham.

— O! tak, milordzie, tak samo, z lewego boku nożem. Kto ci mógł sen mój opowiedzieć? Bogu jednemu zwierzyłam się tylko w moich modlitwach.

— Niczego nie żądam więcej, kochasz mnie pani, to dosyć.

— Ja, pana kocham?...

— Tak, pani, czyżby Bóg zsyłał ci te same sny, gdybyś mnie nie kochała? Moglibyśmy mieć jedne przeczucia, gdyby istnienia nasze sercem się nie łączyły? Kochasz mnie, o, królowo, i oplakiwać mnie będziesz!

— O! Boże, mój Boże! — zawołała Anna Austrjacka — to już nad moje siły. Słuchaj, książę, zaklinam cię na Boga, oddal się, odjeżdżaj; ja nie wiem, czy kocham cię, czy nie, to tylko wiem, że nigdy nie złamię przysięgi. Ulituj się więc nade mną i odejdz. O! jeżeli we Francji nieszczęście spadnie na ciebie, jeżeli tu życie położysz, o! jeżelibym musiała przypuszczać, że miłość dla mnie stała się przyczyną twej śmierci, byłabym niepocieszona, oszalałabym z pewnością. Odjeżdżaj zatem, odjeżdżaj, błagam cię o to!

— O! jakaś ty piękna! Jakże ja cię kocham!... moja królowo!... — mówił Buckingham wzruszony.

— Oddal się, oddal!... błagam cię raz jeszcze, a później powracaj; powracaj jako ambasador, jako minister, otoczony strażą, która cię bronić będzie, służbą, która czuwać nie przestanie. Wtedy nie będę drżała o życie twoje i sprawisz mi szczęście twoim widokiem.

— O! prawdą to jest, co mi pani mówisz?

— Tak...

— Daj mi więc zakład przebaczenia twego, rzecz jaką, należącą do ciebie, któraby mi przypominała, że to nie było snem; coś, co nosiłaś na sobie, co mógłbym nosić także, pierścień, naszyjnik lub łańcuch.

— A czy odjedziesz, czy odjedziesz, gdy ci dam, czego żądasz ode mnie?

— Tak.

— Natychmiast?

- Tak.
— Opuścisz Francję, powrócisz do Anglii?
— Tak, przysięgam pani.
— Zaczekaj więc, zaczekaj.

Anna Austrjacka wróciła do pokoju i wyszła z niego za chwilę, niosąc szkatułkę z drzewa różanego z jej cyfrą, złotem nabijaną.

— Weź to, milordzie — rzekła — i zachowaj po mnie na pamiątkę.

Buckingham wziął szkatułkę i po raz drugi padł na kolana.

— Obiecałeś mi pan, że odjedziesz — wyrzekła królowa.

— Dotrzymam słowa. Podaj mi rękę, królowo, odjeżdżam.

Podawała mu rękę, zamykając oczy i opierając się drugą na ramieniu donny Estefany, czuła bowiem, że ją opuszczają siły.

Buckingham przyłgał ustami namiętnie do tej pięknej ręki i, powstając, rzekł:

— Za sześć miesięcy, jeżeli nie umrę, ujrzę cię znowu, pani, choćbym miał całym światem wstrząsnąć!

I, wierny przyrzeczeniu, wybiegł z pokoju.

W korytarzu spotkał oczekującą nań panią Bonacieux, która równie ostrożnie i szczęśliwie wyprowadziła go z Luwru.

ROZDZIAŁ XIII. PAN BONACIEUX

W tych wszystkich wypadkach brała też udział pewna osobistość, którą z przyczyny podrzędnego jej stanowiska, zajmowano się miernie, pan Bonacieux, czcigodna ofiara intryg politycznych i miłosnych, tak splątanych z sobą w owej epoce rycerskiej i kochliwej razem.

Przypominają sobie czytelnicy, a może i nie przypominają, iż przyrzekliśmy nie stracić go z oczu.

Żandarmi, którzy go aresztowali, zaprowadzili go wprost do Bastylji, gdzie, drżącemu ze strachu, kazali przejść obok gromadki żołnierzy, nabijających muszkiety.

Stamtąd wprowadzony do niskiej galerji podziemnej, stał się dla tych, co go przywieźli, przedmiotem najboleśniejszych pośmiewisk i najdzikszego obejścia.

Widząc, że nie ze szlachcicem mają do czynienia traktowali go, jak ostatniego włóczkę.

Po upływie blisko pół godziny woźny położył koniec jego męczarniom, lecz nie uspokoił go bynajmniej, wygłaszając rozkaz, aby zaprowadzono pana Bonacieux do sali badań. Badano zwykle więźniów na miejscu, lecz z panem Bonacieux nie robiono zachodów.

Dwóch stróżów pochwyciło kramarza, przeprowadziło przez dziedziniec i kazało mu wejść do korytarza, w którym trzech żołnierzy stało na warcie.

Otworzono drzwi i wepchnięto go do pokoju niskiego, którego umeblowanie stanowił stół i krzesło. Zastępca sędziego siedział na krześle i zajęty był pisaniem przy stole.

Stróże przywieźli więźnia przed stół i na znak zastępcy sędziego oddalili się, aby nie słyszeli badania.

Zastępca sędziego, trzymający dotąd nos w papierach, podniósł głowę, iżby zobaczyć, z kim ma do czynienia.

Był to człowiek o obliczu odpychającym, z nosem spiczastym, żółtemi i wydętymi policzkami, o oczach małych, lecz badawczych i żywych. Fizjognomja jego stanowiła coś pośredniego pomiędzy kuną a lisem. Głowa, osadzona na szyi długiej i ruchliwej, wydobywała się z czarnej sukni, kołysząc się na kształt głowy żółwia, wzierającego z twardej swojej skorupy.

Rozpoczął badanie, zapytując pana Bonacieux o imię, nazwisko, wiek, stan i miejsce zamieszkania.

Oskarżony odpowiedział, że nazywa się Jakób-Michał Bonacieux, że ma lat pięćdziesiąt jeden, że zwinął handel i mieszka przy ulicy Grabarzy Nr. 11.

Wtedy zastępca, zamiast prowadzić dalsze badanie, wypalił mówkę o niebezpieczeństwie mieszania się w sprawy publiczne takiemu, jak on pacholłowi.

Naukę tę pogmatwał z wykazaniem władzy i czynów pana kardynała, ministra niezrównanego, zwycięzcy dawnych ministrów, będącego wzorem dla przyszłych. Czynom

jego i władzy nikt bezkarnie nie może stanąć na przeszkodzie.

Skończywszy część drugą przemowy, przeszył wzrokiem jastrzębim biednego Bonacieux i wezwał go do zastanowienia się, co ma myśleć o ważności obecnego położenia. Kramarz już się zastanowił, co ma myśleć, i do wszystkich djabłów odsyłał chwilę, kiedy panu de La Porte przyszło do głowy żenić go ze swoją chrześniaczką, a nade wszystko tę, kiedy żona przyjęta została na dozorczynię bielizny królowej.

Podstawą charakteru imci pana Bonacieux był głęboko zakorzeniony egoizm w połączeniu z brudnym skąpstwem, a wszystko to zaprawne wysokim tchórzostwem. Miłość, jaką w nim wzbudziła młoda żona, była uczuciem drugorzędnym, nie mogącym walczyć z wrodzonymi uczuciami, które wyliczyliśmy przed chwilą.

Zastanowił się nareszcie Bonacieux i nad tem, co mu powiedziano przed chwilą.

— Ależ, panie sędzio — odezwał się z zimną krwią — wierzaj mi, iż więcej, niż ktokolwiek, znam i oceniam zasługi niezrównane eminencji, przez którego mamy zaszczyt być rządzeni.

— Doprawdy? — z powątpiewaniem spytał urzędnik — gdyby to było prawdą, w jaki sposób znalazłbyś się w Bastylji?

— W jaki sposób, a raczej, dlaczego tu jestem — odrzekł pan Bonacieux — tego właśnie nie mogę w żaden sposób wytłumaczyć panu, bo sam nic a nic nie rozumiem; lecz tego tylko pewny jestem, że w niczem nie obraziłem pana kardynała, przynajmniej, o ile mi wiadomo.

— Musiałeś się jednak ciężkiej zbrodni dopuścić, skoro obwiniony jesteś o najwyższą zdradę.

— O zdradę?... — wykrzyknął przerażony Bonacieux — o zdradę najwyższą?... Skądże skromny kramarz, brzydzący się Hugonotami i nienawidzący Hiszpanów, może być obwiniony o nią? Zastanów się, panie, to niemożliwe.

— Panie Bonacieux — odezwał się zastępca sędziego, świdrując go małemi oczkami, jak gdyby rzeczywiście miały dar czytania w najskrytszych tajnikach serc ludzkich — pan masz żonę, panie Bonacieux?

— Tak, panie — odpowiedział kramarz ze drżeniem, czując, że tutaj właśnie sprawa może się wikłać — to jest miałem ją, panie.

— Jak to?... miałeś ją?... a cóżeś z nią zrobił, jeśli już jej nie masz?

— Porwano mi ją, panie.

— Czy tak?... O!...

Wykrzyknik ten dał kramarzowi do myślenia, że sprawa płące się coraz więcej.

— Porwano ci ją?... — ciągnął dalej — a czy wiesz, kto ten gwałt popełnił?

— Zdaje mi się, że wiem.

— Któż taki?

— O! proszę pana, ja na pewno nie twierdzę, ale tylko podejrzewam.

— Kogóż mianowicie? No, odpowiadaj otwarcie.

Pan Bonacieux znalazł się w opałach; miałże przeczyć wszystkiemu, czy mówić? Przecząc, ściągnąć mógł na siebie podejrzenie, iż za wiele wiedział, a nic nie chciał wyznać; mówiąc zaś, dawał dowody dobrych chęci.

Postanowił mówić.

— Posądzam — rzekł — wysokiego bruneta, o dumnej postawie, wyglądającego na wielkiego pana; śledził nas kilkakrotnie, jak mi się zdawało, gdy chodziłem na spotkanie żony do furtki Luwru, aby ją zaprowadzić do domu.

Urzędnik okazał pewne zaniepokojenie.

— Jakże się nazywa? — zapytał.

— O! tego wcale a wcale nie wiem. Gdybym go jednak spotkał, poznałbym natychmiast, zaręczam, choćby wśród tysiąca ludzi.

Zachmurzyło się czoło urzędnika.

— Poznałbyś go wśród tysiąca, powiadasz? — ciągnął dalej.

— To jest — podchwycił Bonacieux, czując, że się zanadto pospieszył — chciałem powiedzieć...

— Mówiłeś, że poznałbyś go — rzekł zastępca sędziego — dosyć zatem na dzisiaj; zanim dalej pójdziemy, musi być ktoś zawiadomiony, iż znasz tego, który ci porwał żonę.

— Ależ ja nie mówiłem, że go znam! — zawołał zrozpaczony Bonacieux — powiedziałem przeciwnie...

— Wyprowadzić więźnia — rzekł do stróża urzędnik.

— A dokąd?... — zapytał woźny.

— Do lochu?

— Do którego?

— O! do pierwszego lepszego, byle dobrze zamknąć — odrzekł zastępca sędziego z obojętnością, która zgrozą przejęła biednego Bonacieux.

— O! biada nieszczęsnej mej głowie!... — mówił sobie w duchu — żona moja widocznie przeszkrobała straszliwie; myślą, że jestem jej współnikiem i razem z nią karać mnie będą: wygada się, przyzna, że zwierzyła mi się ze wszystkiego; kobieta to zawsze kiepska głowa! Do pierwszego lepszego lochu!... tak! noc tylko mignie, a jutro pod koło lub na szubienicę! O! Boże mój, Boże! ulituj się nade mną!...

Nie zważając bynajmniej na lamentacje imci pana Bonacieux, z którymi zresztą oswojeni byli, dwaj stróże ujęli więźnia pod pachy i uprowadzili, gdy tymczasem komisarz pisał naprędce list, na który czekał woźny. Bonacieux ani oka nie zmrużył, nie dlatego, ażeby więzienie było zbyt nieprzyjemne, ale, że go dręczył straszliwy niepokój.

Całą noc przesiedział na stołku, drżąc za najmniejszym szelestem, a gdy pierwsze promienie słońca wdarły się do więzienia, wydało mu się, jakoby poranek przywdział barwy żałobne.

Naraz wzdrygnął się cały, usłyszał bowiem odsuwanie rygli. Pewien był, iż przychodzą, aby go na rusztowanie poprowadzić; kiedy więc zamiast kata, którego się spodziewał, ujrzał po prostu znanego mu zastępcę sędziego i woźnego, gotów był rzucić się im na szyję.

— Sprawa twoja, mój pocziwczu, zawikłała się okrutnie od wczorajszego wieczora — rzekł doń urzędnik — i radzę ci prawdę całą wyznać, bo tylko skrucza twoja, może zażegnać gniew kardynała.

— Ależ gotów jestem wszystko powiedzieć... wszystko przynajmniej, co wiem. Pytaj mnie pan, proszę.

— Najpierw, gdzie jest twoja żona?

— Powiedziałem przecie panu, iż mi ją porwano.

— Tak, lecz wczoraj o piątej po południu uciekła dzięki twojej pomocy.

— Żona moja uciekła!... — krzyknął Bonacieux — O! nieszczęsna! Panie, jeżeli się tak stało, to nie z mojej winy, przysięgam!...

— Cóż więc robiliś u pana d'Artagnan, sąsiada twojego, z którym w ciągu dnia miałeś długą naradę?

— A! tak panie sędzio, to prawda, przyznaję, iż zawiniłem. Byłem u niego.

— Jaki był cel tych odwiedzin?

— Prośba, aby mi dopomógł w odnalezieniu żony. Sądziłem, iż mam prawo upominać się o nią; byłem widocznie w błędzie, błagam więc pana o przebaczenie.

— A pan d'Artagnan cóż na to?

— Przyobiecał mi pomoc, spostrzegłem jednak wkrótce, że mnie zdradza.

— Zeznajesz to w obliczu sprawiedliwości. Pan d'Artagnan zawiązał z tobą przymierze, na mocy którego zmusił do ucieczki służbę policyjną, która przyaresztowała twoją żonę i ukrył ją przed wszelkiem poszukiwaniem.

— Pan d'Artagnan moją żonę wykradł?... Co pan mówisz?

— Na szczęście, mamy go już w ręku i będziesz z nim skonfrontowany.

— A! i owszem — zawołał Bonacieux — bardzo mi będzie przyjemnie twarz znajomą zobaczyć.

— Wprowadzić tu pana d'Artagnana — rzekł komisarz do stróżów.

Wprowadzono Athosa.

— Panie d'Artagnan — rzekł do niego urzędnik — zeznaj, co zaszło pomiędzy tobą a tym oto panem.

— Ależ to nie pan d'Artagnan! — zawołał Bonacieux.

— Jakto? nie pan d'Artagnan? — wykrzyknął zastępca sędziego.

— Nie!... ależ nigdy w świecie!... — odrzekł Bonacieux.

— Więc jak się ten pan nazywa? — zapytał urzędnik.

— Nie mogę panu powiedzieć, bo go nie znam.

— Co?... nie znasz go?

— Nie.

— Nie widziałeś go nigdy?

— I owszem, ale nie wiem, jak się nazywa.

— Nazwisko pańskie? — zapytał urzędnik.

— Athos — odpowiedział muszkieter.

— Ależ to nazwisko nie człowieka, tylko góry! — zawołał badacz, tracąc poniekąd głowę.

— To jest moje nazwisko — odrzekł spokojnie Athos.

— Powiedziałeś jednak, że nazywasz się d'Artagnan.

— Ja?

— Tak, pan.

— Właściwie to mnie powiedziano: „Jesteś panem d'Artagnan?” Odpowiedziałem: „Czy tak?” Stróże wasi zakrzyczeli mnie, że są tego pewni. Nie chciałem im przeczyć. Zresztą mogłem się mylić.

— Panie, ubliżasz pan majestatowi sprawiedliwości.

— Bynajmniej — odparł spokojnie Athos.

— Pan jesteś d'Artagnan?

— Widzisz pan, że sam mówisz to jeszcze.

— Ależ... powiadam panu sędziemu — zawołał z kolei Bonacieux — iż nie ma najmniejszej wątpliwości. Pan d'Artagnan jest moim lokatorem, a że nie płaci mi komornego, tembardziej muszę go przecie znać. Pan d'Artagnan to młodzieniec najwyżej dwudziestoletni, a ten pan ma co najmniej trzydzieści lat. Pan d'Artagnan służy w pułku pana Desessarts, a ten pan jest z kompanji muszkieterów pana de Tréville. Przypatrz się, panie sędzio, mundurowi.

— To prawda — mruknął urzędnik — prawda, do licha!...

W tej chwili drzwi otwarto z pośpiechem i posłaniec, wprowadzony przez jednego z odźwiernych Bastylji, doręczył urzędnikowi list.

— O! nieszczęsna!... — wykrzyknął zastępca sędziego.

— Co takiego?... o kim pan mówisz?... spodziewam się, że nie o mojej żonie?...

— Przeciwnie, o niej... Słuchaj, nietęga twoja sprawa.

— Masz tobie!... — wykrzyknął zrozpaczony kramarz — racz mi pan powiedzieć, czy sprawa moja pogorszyć się może przez to, co zrobiła żona podczas pobytu mojego w więzieniu!...

— Z pewnością, gdyż to, co zrobiła, jest następstwem planu, ułożonego pomiędzy wami, piekielnego planu.

— Przysięgam ci, panie sędzio, że mylisz się najokrutniej. Ja nic a nic w świecie nie wiem o tem, co ona miała zrobić, i wszystko, co zrobiła, jest mi zupełnie obce, a jeżeli głupstwo jakie popełniła, wyrzekam się jej, wypieram, wyklinam raz na zawsze!...

— Koniec końców — rzekł Athos do urzędnika — jeżeli już niepotrzebny tu jestem, wypraw mnie gdziekolwiek, strasznie nudny jest ten twój pan Bonacieux.

— Odprawdź więźniów do ich cel — rzekł zastępca sędziego, wskazując Athosa i Bonacieux — i strzeż ich pilnie, niż dotąd.

— A jednak — odezwał się Athos z właściwym sobie spokojem — jeżeli pan masz z d'Artagnanem do czynienia, nie rozumiem w czem ja go tu mogę zastąpić.

— Zrobić tak, jak mówiłem — krzyknął urzędnik — i pilnować najściślej! Rozumiecie!

Athos wzruszył ramionami, poszedł za strażnikami, a narzekania pana Bonacieux zmiękczyłyby mogły nawet serce tygrysie.

Wprowadzono kramarza do tej samej celki, w której noc przepędził, i pozostawiono go tam przez dzień cały.

Wieczorem, około dziewiętej, gdy już był zdecydowany położyć się do łóżka, usłyszał na korytarzu kroki, które zatrzymały się przed drzwiami jego więzienia.

Ukazała się straż.

— Proszę za mną — rzekł oficer służbowy, postępujący za strażą.

— Za panem!... — wykrzyknął Bonacieux — za panem!... i dokąd że to, mój Boże?...

— Tam, dokąd mamy rozkaz pana zaprowadzić.

— Ależ to nie jest odpowiedź.

— Tę tylko dać ci możemy.

— A! Boże mój! Boże!... — szepnął biedny kramarz — teraz już po wszystkim!...

I powłókł się bezmyślnie, bez najmniejszego oporu za strażą, która po niego przyszła.

Prowadzono go tą samą drogą, którą już przebywał; u bramy wjazdowej nareszcie zastał karetę, otoczoną przez 4-ch konnych strażników. Kazano mu wsiąść do powozu, oficer zajął miejsce obok niego, drzwiczki zamknięto na klucz, i znaleźli się obydwaj w więzieniu na kołach.

Powóz potoczył się z wolna, jak wóz pogrzebowy. Więzień widział przez zamknięte kraty: domy, bruk i nic więcej nad to; lecz, jako prawdziwy paryżanin, poznawał każdą ulicę po szyldach, słupach i latarniach.

W chwili, kiedy powóz zbliżył się do Saint-Paul, miejsca, gdzie tracono skazanych z Bastylji, Bonacieux o mało nie zemdlął i przeżegnał się dwa razy, myśląc, że tu się zatrzyma, ale pojazd toczył się dalej.

Później, strach go ogarnął jeszcze większy, gdy mijali cmentarz Ś-go Jana, gdzie chowano przestępców stanu. Jedna myśl go tylko pocieszała, a mianowicie, że, zanim ich grzebano, ucinano im głowy, a jego głowa siedziała jeszcze mocno na karku. Ale kiedy powóz zawrócił w kierunku placu de la Greve, kiedy zobaczył spiczaste dachy ratusza i powóz podjechał pod arkady, myślał, że wszystko się dla niego skończyło i chciał się wypowiedzieć oficerowi. Gdy ten odmówił, krzyknąć zaczął tak niemiłosiernie, że zagrożono mu zakneblowaniem gęby. Groźba ta pocieszyła trochę biednego Bonacieux, bo i na cóż mieliby go kneblować, gdyby miał być stracony.

Minęli też fatalny plac, nie zatrzymując się wcale.

Obawiać się teraz można było tylko la Croix-du-Trahoir, a powóz w tym właśnie potoczył się kierunku.

Teraz nie było już wątpliwości, w la Croix-du-Trahoir miał zakończyć i podróż swoją i żywot!

Nie mógł dojrzeć jeszcze straszego tego krzyża (Croix), ale czuł go już blisko.

Kiedy oddzielała go już tylko odległość nie więcej nad dwadzieścia kroków, usłyszał gwar jakiś i powóz się zatrzymał.

Tego już było zanadto dla biednego Bonacieux. Zgnębiony wzruszeniami, które przechodził, jęknął słabo jękiem, jaki można było wziąć za ostatnie westchnienie umierającego, i zemdlął.

ROZDZIAŁ XIV. NIEZNAJOMY Z MEUNG

Tłum hałaśliwy, na jaki natrafiono, zebrał się nie w oczekiwaniu na powieszenie człowieka, lecz dla przyjrzenia się już powieszonemu.

Powóz, zatrzymany przez chwilę, puścił się w dalszą drogę i, przebijając się przez tłuszcę, przeciął ulicę Ś-go Honoryusza, zawrócił na ulicę Dobrych dzieci i stanął przed niepozorną furtką.

Drzwiczki karety otwarto, dwóch ze straży pochwyliło w objęcia swoje pana Bonacieux, podtrzymywanego przez oficera; wepchnięto go do sieni, później na schody i wprowadzono do przedpokoju.

Wszystko to odbyło się bez jego wiedzy.

Szedł tak, jakby się znajdował we śnie. Przedmioty wszystkie mgła mu przesłaniała, słuch chwytął dźwięki, nie rozumiejąc ich wcale. Dałby się był zaprowadzić na rusztowanie i głowę na pniu położyłby, nie kiwnąwszy nawet palcem dla obrony, i aniby nawet pisał błaganiami o litość.

Pozostał tak, jak go posadzono na ławeczce, plecami oparty o ścianę, z rękami zwieszonymi i przyręczonymi oczyma.

Gdy ośmielił się otworzyć powieki, nie zobaczył dokoła żadnego przedmiotu groźnego, mogącego wskazywać mu niebezpieczeństwo.

Ławeczka wysłana była wygodnie, ściany pokryte piękną skórą kordubańską, u okien zwieszały się wielkie firanki z czerwonej materji, podtrzymywane złotymi przepaskami.

Zrozumiał, iż przestрах jego był przesadzony, i począł kręcić głową to w prawo, to w lewo, to na dół, to do góry.

Ponieważ nikt nic nie miał przeciw tym poruszeniom, nabral trochę odwagi i spróbował wysunąć najpierw jedną, a potem drugą nogę; nareszcie, podparwszy się na rękach, podniósł się z ławeczki i stanął.

W tejże chwili oficer pięknej powierzchowności uchylił portjery, kończąc jeszcze rozmowę z osobą, w przyległym pokoju będącą, i zwróciwszy się do więźnia, rzekł:

— To pan nazywasz się Bonacieux?

— Tak, panie oficerze, do usług pańskich — wybelkotał na wpół żywy kramarz.

— Proszę wejść — rzekł oficer.

I usunął się na bok, aby przepuścić kramarza, który usłuchał ślepo i wszedł do pokoju, gdzie go oczekiwano widocznie.

Był to obszerny gabinet o ścianach, przybranych bronią zaczepną i obronną, wysłany dywanami i zaciszny, a w kominku, pomimo końca września zaledwie, płonął suty ogień.

Stół czworokątny, pokryty książkami i papierami, pomiędzy którymi rozłożony był olbrzymi plan miasta Rochelli, zajmował środek pokoju.

Przed kominkiem stał mężczyzna średniego wzrostu, postawy wyniosłej i dumnej, z oczami przenikliwymi, twarzą wychudłą, którą wydłużała jeszcze spiczasta bródka, a ponad nią wznosiły się cienkie wąsiki.

Jakkolwiek mężczyzna ten miał zaledwie trzydzieści siedem lat, włosy, wąsy i bródka siwieć mu już poczynały. Gdyby nie brak szpady, wygląd miałby rycerski; buty ze skóry bawolej, lekko jeszcze pyłem pokryte, świadczyły, iż w ciągu dnia musiał dosiadać konia.

Był to Armand-Jan-Duplessis, kardynał de Richelieu, ale nie taki, jak go nam przedstawiają, starzec, wiekiem złamany, cierpiący, jak męczennik, z ciałem bezsilnym, zagasłym głosem, pogrążony w fotelu, jak w przedwczesnym grobie, żyjący tylko siłą swego genjuszu i wytrzymujący walkę z Europą przez nieustanny wysiłek myśli.

Był on taki, jak rzeczywiście wyglądał w owej epoce. Zręczny kawaler światowy, słaby ciałem, lecz podtrzymywany władzą ducha, która czyniła z niego jedną z najwybitniejszych postaci w świecie; przygotowujący się teraz, po osadzeniu księcia de Nemours w księstwie Mantui, po wzięciu Nimes, Castres i Uzès, do wypędzenia Anglików z wyspy Re i do oblężenia Rochelli.

Na pierwsze wejrzenie nic w nim nie zdradzało kardynała i tym, którzy nie znali go z twarzy, trudno było odgadnąć, kogo mają przed sobą.

Biedny kramarz stał przy drzwiach, kiedy oczy osobistości, przez nas opisaną utkwione w nim były, i, jakby się goniąc, sięgały do głębi jego duszy.

— Więc to ów Bonacieux? — zapytał po chwili milczenia.

— Tak, monsiniorze — odrzekł oficer.

— Dobrze, podaj mi te papiery i zostaw nas samych.

Oficer wziął ze stołu wskazane papiery, podał je żądającemu, skłonił się do ziemi i wyszedł.

W papierach tych poznał Bonacieux protokół swój z Bastylji.

Od czasu do czasu mężczyzna, stojący przed kominkiem, odrywał oczy od pisma i zatapiał je, jak sztylety w serce biednego gospodarza.

Po dziesięćminutowem czytaniu i chwili badania wzrokiem zdanie kardynała zostało ustalone.

— Głowa ta nie spiskowała nigdy, — wyszeptał — lecz mniejsza o to, przekonajmy się sami.

— Obwiniony jesteś o zradę — rzekł przeciągle kardynał.

— Powiedziano mi to właśnie, monsiniorze — zawołał Bonacieux, używając tytułu, jaki słyszał od oficera, — lecz przysięgam, iż nic o tem nie wiem.

Kardynał powstrzymał uśmiech.

— Spiskowałeś z żoną swoją, z panią de Chevreuse i księciem de Buckingham.

— Rzeczywiście, monsiniorze — odparł gospodarz — słyszałem, jak wymawiała wszystkie te nazwiska.

— W jakich okolicznościach?

— Mówiła ona, iż kardynał de Richelieu ściągnął do Paryża księcia Buckingham, aby go razem z królową zgubić.

— Ona to mówiła? — zawołał kardynał gwałtownie.

— Tak, monsiniorze; powiedziałem jej, iż źle robi, plotąc podobne rzeczy, i że jego eminencja nie byłby zdolny...

— Milcz, jesteś głupiec — przerwał mu kardynał.

— Zupełnie to samo powiedziała mi żona, monsiniorze.

— Czy wiesz, kto twoją żonę porwał?

— Nie, monsiniorze.

— Masz jednak jakieś podejrzenia?

— Tak, lecz one nie w smak były panu sędziemu, więc już ich nie mam wcale.

— Żona twoja wydostała się na wolność. Wiedziałeś o tem?

— Nie, monsiniorze, dowiedziałem się w więzieniu dopiero i to z ust pana sędziego, wielce miłego człowieka!

Uśmiech znów się ukazał na ustach kardynała.

— Nie wiesz zatem, co się z żoną twoją stało po ucieczce?

— Nic zgoła nie wiem, monsiniorze, musiała pewnie powrócić do Luwru.

— O pierwszej w nocy nie było jej tam jeszcze.

— A! mój Boże! cóż się więc z nią stało?...

— To się wyda, bądź spokojny; nic się przed kardynałem nie ukryje, kardynał wie o wszystkim.

— W takim razie, monsiniorze, czy sądzisz, iż kardynał zgodzi się, powiedzieć mi, co się stało z moją żoną?

— Być może, ale najpierw musisz wyznać wszystko, co wiesz o stosunkach żony twojej z panią de Chevreuse?

— Kiedy ja nie wiem o niczem, monsiniorze; nigdy jej nie widziałem.

— Gdy chodziłeś po nią do Luwru, czy wracała prosto do domu?

— Nigdy prawie: miała interesy do sklepów z płótnem, dokąd ją też odprowadzałem.

— A wielu kupców takich było?

— Dwóch, monsiniorze.

— Gdzie mieszkali?

— Jeden, przy ulicy Vaugirard, drugi przy ulicy de la Harpe.

— Czy wchodziłeś z nią do nich?

— Nigdy, monsiniorze; czekałem przede drzwiami.

— A czem się tłómaczyła, że wchodzi sama?

— Nie tłómaczyła się nigdy; kazała mi czekać i czekałem.

— Wygodny z ciebie małżonek, drogi mój panie Bonacieux! — rzekł kardynał.

— On mnie drogim swoim panem nazywa! — rzeki sobie w duchu kramarz. —

Nieźle już rzeczy stoją!

— Czy poznałbyś te drzwi?

— Poznałbym.

— A pamiętasz numery domów?

— Pamiętam.

— Jakież więc?

— Nr. 25 przy ulicy Vaugirard; Nr. 75 ulica de la Harpe.

— Dobrze — rzekł kardynał.

To mówiąc, zadzwonił; wszedł oficer.

— Idź po Rocheforta — rzekł doń półgłosem — niech przyjdzie tu natychmiast, jeżeli już powrócił.

— Hrabia jest już tutaj — odrzekł oficer — i pragnie usilnie mówić z waszą eminencją!

— Niech przyjdzie, niech przyjdzie! — rzekł porywczo kardynał.

Oficer wybiegł z pokoju z pośpiechem, właściwym tym wszystkim, którzy kardynałowi służyli.

— Z waszą eminencją! — mrucał Bonacieux, tocząc błędnym wzrokiem.

W kilka minut zaledwie po wyjściu oficera drzwi się otworzyły i weszła nowa figura.

— To on! — wykrzyknął Bonacieux.

— Co za on? — zapytał kardynał.

— Ten, co żonę mi porwał.

Kardynał znowu zadzwonił. Oficer wszedł.

— Oddaj tego człowieka w ręce stróżów i niechaj czeka, aż go wezwę do siebie.

— Nie, monsiniorze! nie, to nie on! — wołał Bonacieux — nie, ja się pomyliłem: to ktoś inny, wcale do niego niepodobny! Ten pan jest człowiekiem uczciwym.

— Precz z tym durniem! — zawołał kardynał.

Oficer wziął kramarza pod pachę i wyprowadził do przedpokoju, gdzie oczekiwali dwaj jego dozorczy.

Nowoprzybyły powiódł wzrokiem niecierpliwym za wychodzącym Bonacieux, a skoro drzwi zamknęły się za nim, rzekł:

— Widzieli się.

— Kto? — zapytał kardynał.

— On i ona.

— Królowa i księżę?

— Tak.

— Gdzie?

— W Luwrze.

— Jesteś tego pewny?

— Najzupełniej.

— Kto ci to mówił?

— Pani de Launay, która jak Waszej eminencji wiadomo, oddana mi jest zupełnie.

— Czemuż wcześniej tego nie powiedziała?

— Bo przypadkowo, a może też przez nieufność, królowa rozkazała pani de Surgis spać w swoim pokoju i cały dzień nie puściła jej od siebie.

— Ha! jesteśmy pobici. Postarajmyż się o odwet.

— Bądź spokojny, monsiniorze, pomogę ci z całej duszy.

— Jakże to było?

— O godzinie wpół do pierwszej w nocy królowa była w otoczeniu dam swoich...

— Gdzie?

— W sypialni swojej.

— Dobrze.

— Gdy wtem wręczono jej chusteczkę, przyniesioną przez dozorczynię bielizny...

— Cóż dalej?

— Nagłe wzruszenie ogarnęło królową i pomimo różu, którym twarz miała pokrytą, zbladła.

— Cóż dalej?... prędeży!

— Podniosła się jednakże i głosem niepewnym: moje panie — powiedziała — za dziesięć minut powrócę, poczekajcie na mnie. Otworzyła drzwi alkowy i wyszła.

— Dlaczego pani de Launay nie dała ci o tem znać natychmiast?

— Nic jeszcze nie było pewnego; zresztą królowa powiedziała: — moje panie, poczekajcie na mnie — nie śmiała więc sprzeciwić się rozkazowi królowej.

— Jak długo nie było królowej w jej pokoju?

— Trzy kwadransy.

— Czy żadna z dam nie poszła razem z nią?

— Donna Estefana tylko.

— A potem królowa wróciła?

— Tak, aby zabrać szkatułkę z drzewa różanego z cyfrą swoją, i wyszła znowu.

— A jak wróciła wreszcie, czy przyniosła szkatułkę?

— Nie.

— Czy pani de Launay wiedziała, co zawiera szkatułka?

— Tak, zapinki djamentowe, które król ofiarował królowej.

— Zatem bez szkatułki wróciła?

— Tak.

— Zdaniem pani de Launay, oddała ją Buckinghamowi?

— Jest tego pewną.

— Dlaczego?

— Gdyż pani de Launay, jako dama usługująca królowej przy toalecie, szukała brylantów wszędzie w ciągu dnia, udając zaniepokojenie wielkie, a nie znalazłszy, zapytała królowej, co się z niemi stać mogło.

— A cóż na to królowa?...

— Zacerwieniła się okropnie i odpowiedziała, iż uszkodziwszy wczoraj jedną z zapinek, posłała ją swemu jubilerowi do naprawy.

— Trzeba udać się do niego i przekonać, czy to prawda, czy nie.

— Byłem już tam.

— I cóż jubiler?...

— Nie słyszał o niczem.

— Dobrze! słuchaj, Rochefortcie, nie wszystko jest stracone, a może... dobrze się nawet stało!...

— O! nie wątpię, że genjusz waszej eminencji...

— ...naprawi głupstwa swego agenta, wszak tak?

— To właśnie miałem powiedzieć, gdyby wasza eminencja była mi dozwoliła dokończyć zdania.

— A teraz, czy wiesz gdzie się ukrywali księżna de Chevreuse i książę de Buckingham?

— Nie, monsiniorze, ludzie moi nie mogli mi nic pewnego powiedzieć.

— A ja, wiem.

— Wy, monsiniorze?

— Tak, a przynajmniej przypuszczam. Obrali sobie siedzibę, jedną przy ulicy Vaugirard Nr. 25, drugą przy ulicy la Harpe Nr. 75.

— Czy wasza eminencja życzy sobie, ażeby ich kazał aresztować?

— Za późno, już ich tam nie znajdują.

— Bądź co bądź, przekonać się można.

— Weź z sobą dziesięciu z przybocznych moich i przetrząśnijcie obydwie domy.

— Idę, monsiniorze.

Rochefort wybiegł z pokoju.

Kardynał, pozostawszy sam, wpadł w chwilową zadumę, następnie zadzwonił po raz trzeci.

Oficer wszedł.

— Wpuść tu więźnia — odezwał się kardynał.

Bonacieux znowu został wprowadzony, oficer zaś na znak kardynała wyszedł.

— Oszukałeś mnie!... — surowo rzekł kardynał.

— Ja?... — wykrzyknął Bonacieux — ja miałbym oszukać waszą eminencję?...

— Żona twoja, idąc na ulicę Vaugirard i de la Harpe, wcale nie do kupców płótna wstępowała.

— Boże sprawiedliwy! a gdzie chodzićby mogła?...

— Do księżnej de Chevreuse i księcia de Buckingham.

— Tak — rzekł Bonacieux, przypomniawszy sobie wszystko — tak, wasza eminencja ma słuszość. Nieraz ja jej mówiłem, że to dziwnie, aby kupcy płótna w takich domach mieszkali, gdzie żadnych nie ma sztyldów, a ona wtedy się śmiała. O!... monsiniorze — wołał Bonacieux, rzucając się do nóg eminencji. — O! prawdziwie wielkim kardynałem jesteś, człowiekiem genjuszu, którego świat cały uwielbia!...

Jakkolwiek drobnym był triumf, odniesiony nad istotą tak pospolitą, jak Bonacieux, ucieszył on jednak kardynała na chwilę. Naraz nowa myśl widocznie zaświeciła w jego umyśle, uśmiech przebiegł mu po ustach, i, podając rękę kramarzowi, wyrzekł:

— Powstań, przyjacielu, dobry z ciebie człowiek.

— Kardynał dotknął mojej ręki! ja dotknąłem ręki wielkiego człowieka! — zawołał Bonacieux — przyjacielem swoim mnie nazwał!

— Tak, przyjacielem, tak! — rzekł kardynał tonem ojcowskim, jaki niekiedy potrafił przybierać, wprowadzając tem jednak w błąd tylko tych, którzy go nie znali, — a ponieważ posądzono cię niesłusznie, słuchaj, należy ci się wynagrodzenie. Patrz, weź tę sakiewkę ze stoma pistolami, i nie gniewaj się na mnie.

— Ja mam się gniewać na pana, monsiniorze! — rzekł Bonacieux, wahając się, czy ma przyjąć sakiewkę, obawiał się bowiem, aby ten dar proponowany nie był tylko żartem. — Wolno ci było, eminencjo, kazać mnie uwięzić, wolno ci teraz brać mię na tortury, powiesić, jesteś panem życia i śmierci, a mnie nie godzi się słówka nawet wypuścić z ust. I ja mam się na pana gniewać? żartujesz chyba, eminencjo?...

— O! drogi mój panie Bonacieux, widzę żeś szlachetny i dziękuję ci za to. Weźmiesz więc sakiewkę i odejdiesz, nie mając do mnie urazy?

— Odchodzę, zachwycony waszą eksceleńcją.

— Żegnam cię więc, a raczej mówię do widzenia, bo mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze!...

I pożegnał go ręką, na co Bonacieux odpowiedział niskim ukłonem aż do ziemi; wyszedł, cofając się, a gdy już był w przedpokoju, kardynał usłyszał, jak uniesiony zapalem, wrzeszczał na całe gardło: Niech żyje monsinior! niech żyje jego eminencja! niech żyje wielki kardynał!

Z uśmiechem przysłuchiwał się kardynał tym hałaśliwym objawom uczuć zapalającego się imcipana Bonacieux.

Gdy wreszcie krzyki te rozplynęły się w oddali, rzekł sam do siebie:

— Znowu jeden, który da się zabić za mnie.

I z największą uwagą przyglądał się już mapie Roszelli, znacząc ołówkiem linię, gdzie miała być przeprowadzona sławna tama, która w osiemnaście miesięcy potem zamykała port oblężonego miasta.

Gdy tak pogrążył się w rozmyślaniach strategicznych, drzwi się uchyliły i stanął w nich Rochefort.

— I cóż? — zapytał kardynał gwałtownie, zrywając się szybko od stołu, co świadczyło, jak go ta sprawa obchodzi.

— Tak — odrzekł tenże — kobieta młoda, około dwudziestu sześciu lat mająca, i mężczyzna trzydziestopięcioletni przebywali rzeczywiście, ona cztery, on pięć dni, w domach, wskazanych przez Waszą eminencję; ale kobieta wyjechała tej nocy, a mężczyzna dziś z rana.

— To oni! — zawołał kardynał, patrząc na zegar — a teraz — mówił — za późno już puszcząć się za nimi w pogoń. Księżna jest w Tours, a książę w Boulogne. Dogonić ich należy w Londynie.

— Jakie są rozkazy waszej eminencji?

— Ani słówka o tem, co zaszło. Królowa niech będzie zupełnie spokojna, niech nie przypuszcza, iż znamy jej tajemnicę, niech myśli, że szukamy dopiero jakiegoś spisku. Przyślij mi tu wielkiego kanclerza Seguier.

— A co wasza eminencja zrobiła z tym człowiekiem?

— Z jakim? — zapytał kardynał.

— Z tym Bonacieux.

— Zrobiłem, co się dało. Szpiega własnej jego żony.

Hrabia de Rochefort skłonił się, jakby uznając widocznie wyższość swego mistrza, i wyszedł.

Kardynał, znalazłszy się sam, usiadł przy biurku, napisał list i, zapieczętowawszy osobistą pieczęcią, zadzwonił.

Oficer znowu się stawił.

— Posłać mi po Vitraya — rzekł — i powiedziec mu, aby przygotował się do podróży.

W chwilę potem człowiek, którego sobie życzył, stał przed nim w butach podróżnych z ostrogami.

— Vitray — rzekł — puścisz się pędem do Londynu. Ani chwili nie zatrzymasz się w drodze. List ten oddasz milady. Oto kwit na dwieście pistolów, udaj się do mojego skarbnika i każ sobie wypłacić. Dostaniesz drugie tyle, jeżeli za sześć dni będziesz z powrotem i spełnisz dobrze zlecenie.

Bez słowa odpowiedzi wysłaniec skłonił się, zabrał list i kwit i wyszedł.

Oto, co list ten zawierał:

„Milady!

Bądź na pierwszym balu, na którym znajdować się będzie książę de Buckingham. Będzie on miał dwanaście zapinek przy ubraniu swoim, zbliż się do niego i dwie mu z nich obetnij.

Skoro je będziesz miała, zawiadom mnie niezwłocznie”.

ROZDZIAŁ XV. URZĘDNICY I WOJSKOWI

Nazajutrz po wypadkach, wyżej opowiedzianych, gdy Athos nie pokazywał się, d'Artagnan i Porthos zawiadomili o jego zniknięciu pana de Tréville. Aramis zaś, zażądawszy pięciodniowego urlopu, wyjechał do Rouen, gdzie, jak mówiono, miał do załatwienia interesy familijne.

Pan de Tréville był ojcem dla swoich podwładnych.

Najpodrzedniejszy z nich, skoro tylko nosił mundur oddziału, pewien był jego pomocy i poparcia, jak u rodzzonego brata.

Tréville, dowiedziawszy się o wypadku z Athosem, udał się natychmiast do urzędnika, mającego kontrolę nad sprawami kryminalnymi. Sprowadzono oficera, dowodzącego wartą w więzieniu Krzyża Czarnego, i z jego objaśnień dowiedziano się, że Athos osadzony był czasowo w Forcie Biskupim.

Athos przeszedł wszystkie takie same przykrości, jakie znieść musiał Bonacieux.

Obecni byliśmy przy konfrontacji dwóch więźniów.

Athos, który milczał dotąd z obawy, aby d'Artagnanowi nie zbrakło potrzebnego czasu, oświadczył teraz stanowczo, iż nazywa się Athos, a nie d'Artagnan.

Dodał, iż nie zna ani pani, ani pana Bonacieux; że nie mówił z nimi nigdy; że przyszedł odwiedzić d'Artagnana około dziewiętej wieczorem, a przedtem był u pana de Tréville, u którego obiadował; dodał i to również, iż dwudziestu świadków może stwierdzić ten fakt i wymienić kilkanaście osób, wysoko postawionych, a pomiędzy innymi księcia de la Trémouille.

Drugi zastępca sędziego, również jak i pierwszy, uczul się oszołomiony tem jasnym i stanowczem zeznaniem muszkietera, któremu rad byłby pokazać swą wyższość, jako urzędnik cywilny człowiekowi, noszącemu szpadę; lecz nazwisko pana de Tréville i księcia de la Trémouille, zwróciło jego uwagę.

Odesłano Athosa do kardynała, lecz na nieszczęście był on wtedy w Luwrze u króla.

Była to właśnie pora, w której pan de Tréville, wyszedłszy od urzędnika, rozpatrującego sprawy kryminalne i od naczelnika Fortu Biskupiego, nie znalazł Athosa i przybył do Jego Królewskiej Mości. Jako dowódca muszkietarów, pan de Tréville miał wstęp do króla o każdej godzinie.

Wiadomo, jakie były uprzedzenia króla względem królowej, uprzedzenia, zrzęcznie podsycane przez kardynała, który pod względem intryg nieskończenie więcej nie dowierzał kobietom, aniżeli mężczyznom.

Jedną z najgłówniejszych przyczyn tego uprzedzenia, była przyjaźń Anny Austrjackiej dla pani de Chevreuse.

Dwie te kobiety więcej mu sprawiały niepokoju, niż wojna z Hiszpanją, zatargi z Anglią i finansowe kłopoty.

W jego przekonaniu, pani de Chevreuse, przewyższała królową nie tylko w intrygach politycznych, ale, co go znacznie więcej dręczyło, i w intrygach miłosnych.

Kiedy więc kardynał powiedział królowi, że pani de Chevreuse, która za karę zesłana była do Tours, przyjechała do Paryża, przebywała tu pięć dni, zmyliła tropy policji, król wpadł w gniew gwałtowny.

Kapryśny i niestały, chciał, aby go nazywano: Ludwikiem Sprawiedliwym i Ludwikiem Skromnym.

Potomność z trudnością zrozumie ten charakter, który historia wyjaśnia faktami, a nigdy rozumowaniem.

Gdy zaś kardynał dodał, że pani de Chevreuse nie tylko przyjechała do Paryża, ale królowa zawiązała z nią jeszcze na nowo tajemniczą korespondencję, gdy zapewnił, że miał już w rękach nitkę tej zawilej intrygi, a byłby nawet całą rzecz pochwylił na gorącym uczynku, lecz pewien muszkietier, wysłaniec królowej, poważył się z bronią w ręku napaść na czcigodnych sadowników, badających bezstronnie tę sprawę, Ludwik XIII-ty, nie będąc w stanie zapanować nad sobą, podążył ku apartamentom królowej, z bładą twarzą, z niemą pogardą i oburzeniem, które, gdy wybuchnęło, doprowadzało do najchłodniejszego okrucieństwa.

A jednak w tern, co mówił kardynał, nie było jeszcze ani wzmianki o Buckinghamie.

Wtedy właśnie wszedł pan de Tréville, zimny, grzeczny i ubrany bez zarzutu.

Obecność kardynała i widok zmienionego oblicza króla ostrzegły go, co zaszło pomiędzy nimi, i poczuł się silnym, jak Samson wobec Filistynów.

Ludwik XIII brał już za klamkę u drzwi.

Na szmer, sprawiony przez wchodzącego pana de Tréville, obejrzał się.

— O! w porę pan przychodzisz — odezwał się król, który, wpadłszy już w pasję, powściągnąć jej nie był w stanie — pięknych rzeczy dowiaduję się o pańskich muszkietarach.

— A ja — rzekł z zimną krwią de Tréville — piękne rzeczy mam donieść Waszej Królewskiej Mości o jego cywilnych urzędnikach.

— Co takiego? — zapytał wyniośle król.

— Mam zaszczyt oznajmić Waszej Królewskiej Mości — mówił dalej Tréville tym samym tonem — iż pewni prokuratorzy, komisarze i niżsi urzędnicy policji, ludzie wielce szanowni, lecz, jak widać, mocno zaciekli przeciw mundurowi wojskowemu, pozwolili sobie aresztować w domu i wrzucić do więzienia jednego z moich, a raczej z twoich muszkietarów, Najjaśniejszy Panie, człowieka bez zarzutu, nieledwie znakomitego, którego Wasza Królewska Mość zna z dobrej strony, bo jest nim pan Athos.

— Athos — machinalnie powtórzył król — tak, w istocie znam to nazwisko.

— Racz przypomnieć sobie, Najjaśniejszy Panie mówił dalej Tréville — iż pan Athos jest tym muszkietarem, który w owym smutnej pamięci pojedynku zranił tak niebezpiecznie pana de Cahusac. Ale, monsiniorze — ciągnął dalej Tréville, zwracając się do kardynała — spodziewam się, iż pan de Cahusac przyszedł już zupełnie do zdrowia?

— Dziękuję!... — odparł kardynał, przygryzając ze złości wargi.

— Otóż pan Athos poszedł odwiedzić jednego ze swoich przyjaciół, którego nie zastał, młodego bearnieńczyka, kadeta z gwardji Jego Królewskiej Mości, z oddziału Des-sarts, zaledwie jednak zdążył usiąść i wziąć książkę do ręki, aby skrócić oczekiwanie na przyjaciela, gdy chmara pacholków i żołnierzy otoczyła dom, i kilkoro drzwi wyłamała...

Kardynał uczynił królowi znak porozumienia, jakby chciał wypowiedzieć: „To właśnie ta sprawa, o której mówiłem”.

— Znane nam jest to wszystko — odpowiedział król a stało się to dla naszego dobra.

— Więc — rzekł Tréville — dla dobra Waszej Królewskiej Mości także pochwycono jednego z niewinnych muszkietarów moich, osadzono w więzieniu, jak zloczyńcę, i wśród urągających tłumów prowadzono tego zacnego rycerza, który po dziesięćkroć przelewał krew swoją w usługach Waszej Królewskiej Mości i gotów powtórzyć to zawsze.

— Ba! — odezwał się król z pewnem wahaniem — to się tak rzeczy miały?

— Pan de Tréville przemilczał — podchwycił z najwyższą flegmą kardynał — iż ten niewinny muszkietar, ten zacny rycerz, na godzinę przedtem, z bronią w ręku, napadł na czterech urzędników sądowych, wydelegowanych przeze mnie dla wyświecenia sprawy jak najdrażliwszej.

— Wzywam Waszą Eminencję, aby tego dowiódł — wykrzyknął Tréville z prawdziwie gaskońską otwartością i z czysto żołnierską szorstkością — na godzinę bowiem przedtem pan Athos, który, jak zwierzyć się muszę Waszej Królewskiej Mości, jest człowiekiem wielce znakomitego rodu, zaszczycał nas, po skończonym obiedzie, rozmową w moim salonie, z księciem de la Trémouille, z hrabią de Chalus, którzy również z nim byli.

Król popatrzył na kardynała.

— Protokół zaświadcza — odezwał się kardynał, w odpowiedzi na nieme pytanie króla — że ludzie pobici zeznali to, co miałem zaszczyt przedstawić Waszej Królewskiej Mości.

— Protokół urzędników cywilnych nie wart słowa honoru żołnierskiego — z dumą odparł Tréville.

— No, no, Tréville, cicho bądź — rzekł król.

— Jeżeli jego eminencja, ma jakieś podejrzenia względem którego z moich muszkietarów — odezwał się Tréville — sprawiedliwość pana kardynała dość jest znana, abym sam zażądał śledztwa.

— W domu, gdzie śledztwo sądowe było zarządzane — kończył obojętnie kardynał — mieszka, zdaje mi się, pewien bearnieńczyk, przyjaciel muszkietarów.

— Wasza eminencja chce mówić o panu d'Artagnan?

— Chcę mówić o młodzieńcu, którego protegujesz, panie de Tréville.

— Tak, eminencjo, ten sam.

— Czy nie przypuszczasz pan, iż młodzieniec ów namawiał do złego....

— Pana Athosa, człowieka dwa razy odeń starszego? — przerwał mu Tréville — nie, monsiorze. Zresztą, pan d'Artagnan wieczór ten u mnie przepędził.

— Masz tobie! — rzekł kardynał — wszyscy więc spędzili wieczór u pana?

— Miałaby wasza eminencja nie wierzyć słowu mojemu? — rzekł Tréville z rumieńcem gniewu na czole.

— Nie, Boże uchowaj! — odrzekł kardynał — ale o której godzinie był u pana?

— O! mogę to na pewno powiedzieć waszej eminencji, ponieważ, kiedy wszedł do mnie, zauważyłem, iż było wpół do dziesiątej, chociaż sądziłem, że już znacznie później.

— A o której od pana wyszedł?

— O wpół do jedenastej, w godzinę po wypadku.

— Ależ koniec końców — odrzekł kardynał, który ani na chwilę nie wątpił o prawości Trévilla, a czuł wymykające mu się zwycięstwo — Athos aresztowany został w domu przy ulicy Grabarzy.

— Czyż nie wolno przyjacielowi odwiedzić przyjaciela?... muszkieterowi z mojego oddziału bratać się z kadetem z oddziału pana Desessarts?

— Zapewne, ale dom, w którym on się brata z przyjacielem swoim, jest bardzo podejrzany.

— Tak, dom ten podejrzany jest. Trévillu — odezwał się król — może sam nie wiedziałeś o tem?

— W istocie, Najjaśniejszy Panie, nie wiedziałem. W każdym razie dom może być podejrzany wszędzie, prócz części zamieszkaanej przez pana d'Artagnana; bo, jeżeli mi wolno zaręczyć, Najjaśniejszy Panie, i wierzyć słowom jego, nie znajdzie się przywiązany poddany Waszej Królewskiej Mości i większy wielbiciel pana kardynała.

— Czy to nie ten d'Artagnan, który ranił kiedyś Jussaca, w nieszczęsnem spotkaniu przy klasztorze Karmelitów Bosych? — zapytał król, spoglądając na kardynała, który zacerwienił się ze złości.

— A nazajutrz potem, ranił Bernajoux. Tak, Najjaśniejszy Panie, tak, ten sam; dobrą pamięć ma Wasza Królewska Mość.

— A zatem, co postanowimy? — zagadnął król.

— Więcej to Waszej Królewskiej Mości dotyczy, aniżeli mnie — odpowiedział kardynał. — Ja uznałbym czyn za karygodny.

— A ja go nie uznaję — rzekł Tréville. — Lecz Jego Królewska Mość ma sędziów; ich rzeczą jest sądzić, niech sądzą.

— Tak, tak — podchwycił król — odeślijmy sprawę do sądu: rzeczą sędziów jest sądzić, niech więc sądzą.

— Ale — ciągnął dalej Tréville — smutne to, iż w nieszczęsnych naszych czasach życie bez skazy, cnota niezaprzeczona nie uwalnia człowieka od potwarzy i prześladowania. Wojsko też niezbyt zadowolone będzie, mogę ręczyć, będąc narażone na obejście się srogie z powodu spraw policyjnych.

Słowa te były niebaczne; lecz pan de Tréville rzucił je ze świadomością skutku.

Pragnął wybuchu, gdyż mina, zapalając się płomieniem, rozświeca.

— Sprawy policyjne! — wykrzyknął król, podejmując słowa Trévilla — sprawy policyjne! Co tobie, mój panie, do tego? Patrz swych muszkieterów i nie zwracaj mi głowy. Słyszac cię, możnaby myśleć, że gdy nieszczęściem zaaresztują muszkietera, już cała Francja przepadnie. Patrzcie, co tu hałasu o jednego muszkietera! Rozkażę aresztować dziesięciu, do licha starego! stu, cały oddział! i nie pozwolę słowa się nawet odezwać.

— Z chwilą, gdy są podejrzani przez Waszą Królewską Mość, muszkieterowie stają się winnymi; jak widzisz zatem, Najjaśniejszy Panie, gotów jestem oddać ci szpadę moją, gdyż nie wątpię, iż pan kardynał, obwiniwszy żołnierzy moich, skończy na oskarżeniu i mnie samego; pójdę lepiej do więzienia z panem Athosem, który już się tam znajduje, i z panem d'Artagnan, którego zaaresztują na pewno.

— Skończysz ty raz, gaskońska głowo? — rzekł król.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się Tréville, bynajmniej głosu nie zniżając — rozkaż, by mi oddano muszkietera mojego, albo niechaj go sądzą.

— Osądzą go — rzekł kardynał.

— Tem lepiej! gdyż w takim razie, żądać będę pozwolenia od Jego Królewskiej Mości, abym mógł bronić jego sprawy.

Król obawiał się wybuchu.

— Jeżeli jego eminenca — rzekł — nie ma względów osobistych.

Kardynał, widząc zwrot do siebie, wystąpił pierwszy:

— Przepraszam — rzekł — lecz odkąd Wasza Królewska Mość widzi we mnie sędziego niesprawiedliwego, usuwam się.

— Słuchaj — powiedział król — czy przysięgasz mi na pamięć ojca mojego, iż pan Athos u ciebie się znajdował podczas wypadku i że udziału w nim nie miał?

— Na pamięć pełnego chwały ojca twojego i na ciebie, Najjaśniejszy Panie, który jesteś tym, którego kochani i czczą nad wszystko na świecie, przysięgam!

— Racz się zastanowić, Najjaśniejszy Panie — odezwał się kardynał. — Jeżeli w ten sposób uwolnimy więźnia, trudno będzie dojść prawdy.

— Pan Athos zawsze będzie gotowy odpowiadać, kiedy się spodoba urzędnikom cywilnym wezwać go na badanie. On nie ucieknie, panie kardynale; bądź spokojny, ja za niego ręczę.

— Rzeczywiście, on nie ucieknie — powtórzył król — znajdą go zawsze, jak mówi pan de Tréville. Zresztą — dodał, zniżając głos i błagalnie patrząc na eminencję — dajmy im bezpieczeństwo, to będzie politycznie.

Polityka Ludwika XIII wywołała uśmiech na usta Richelieu'go.

— Rozkazuj, Najjaśniejszy Panie — rzekł — masz prawo ulaskawiania.

— Prawo ulaskawiania stosuje się tylko do winowajców — odezwał się Tréville, chcąc mieć ostatnie słowo — muszkietier mój jest niewinny, nie dasz więc Najjaśniejszy Panie ulaskawienia, ale sprawiedliwość wymierzysz.

— On jest w Forcie Biskupim? — zapytał król.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, w celi więziennej, pod zamknięciem, jak najstraszniejszy zbrodniarz.

— Tam do djabła! — mruknął król — co tu począć?

— Podpisać rozkaz uwolnienia i na tem koniec — odparł kardynał — ja również, jak Wasza Królewska Mość, sądzę, iż poświadczenie pana de Tréville jest aż nadto wystarczające.

Tréville nisko się skłonił z radością, która nie była jednak wolna od obawy; przekładałby najtwardszy upór kardynała nad to nagłe ustępstwo.

Podpisał król rozkaz uwalniający i Tréville zabrał go natychmiast.

Gdy miał wychodzić, kardynał uśmiechnął mu się przyjaźnie, mówiąc do króla:

— Porozumienie i harmonja przykładna panuje między wodzami a żołnierzami w muszkietierach twoich, Najjaśniejszy Panie; jest to bardzo korzystne dla służby i zaszczytne dla wszystkich.

— Wyplata mi on figla — rzekł do siebie w duchu Tréville — z takim człowiekiem nigdy nie można mieć ostatniego słowa. Śpieszmy jednak, bo król może zmienić zdanie natychmiast.

Pan de Tréville odbył triumfalne wejście do Fortu Biskupiego, skąd wyswobodził muszkietera, którego nie opuściła bynajmniej pełna spokoju obojętność.

Następnie, pierwszy raz po tem widząc d'Artagnana, rzekł mu:

— Dobrze ci się udaje; już ci zapłacono za cięcie szpadą Jussaca. Pozostaje ci jeszcze Bernajoux, nie trzeba jednak szczęściu zbyt mocno ufać.

Pan de Tréville miał zupełną słuszość, iż nie dowierzał kardynałowi, zaledwie bowiem drzwi się za nim zamknęły, eminenca przemówił do króla w te słowa:

— Teraz, gdyśmy we dwóch pozostali, porozmawiamy poważnie, jeżeli łaska Waszej Królewskiej Mości. Najjaśniejszy Panie, ksiązę de Buckingham od pięciu dni w Paryżu przebywał i dopiero dziś rano go opuścił.

ROZDZIAŁ XVI. PAN DE SEGUIER UCZUWA GWAŁTOWNIEJSZĄ, NIŻ DAWNIEJ, POTRZEBĘ UDERZENIA W DZWON

Niepodobna przedstawić wrażenia, jakie wywarły te słowa na Ludwiku XIII.

Zaczerwienił się i zbladł.

Kardynał zrozumiał, iż za jednym zamachem odzyskał stracone stanowisko.

— Buckingham w Paryżu! — wykrzyknął — co on tutaj robił?

— Spiskował bez wątpienia z wrogami Waszej Królewskiej Mości, z Hugonotami i Hiszpanami.

— Dość tego na Boga! spiskował przeciw czci mojej z panią de Chevreuse, panią de Longueville i Kondeuszami!

— O! Najjaśniejszy Panie, co za myśl! Królowa zanadto jest cnotliwa, a nade wszystko przywiązana do Waszej Królewskiej Mości.

— Słaba jest kobieta, panie kardynale — rzekł król — a o przywiązaniu jej do mnie, o jej miłości wiem dobrze, co myśleć.

— Bądź co bądź utrzymuję — rzekł kardynał — iż księżę de Buckingham przyjechał do Paryża w celach czysto politycznych.

— A ja pewny jestem, że zupełnie po co innego, panie kardynale; lecz jeżeli winna jest królowa, biada jej!

— Ostatecznie, jakkolwiek wzdygam się na myśl o zdradzie podobnej, Wasza Królewska Mość daje mi do myślenia: pani de Launay, którą z rozkazu Waszej Królewskiej Mości pytałem kilkakrotnie, mówiła mi dziś rano, iż nocy poprzedniej królowa długo czuwała, dziś płakała bardzo i cały dzień prawie pisała.

— Do niego, z pewnością, do niego — podchwycił król. — Kardynale, ja muszę mieć jej listy.

— Ale jakże je dostać, Najjaśniejszy Panie? Zdaje mi się, iż ani ja, ani Wasza Królewska Mość nie możemy się podjąć tej sprawy.

— A jakże poradzono sobie z marszałkową d'Ancre? krzyknął król w najwyższym uniesieniu — zrewidowano wszystkie jej szafy, a wreszcie i ją samą.

— Bo była ona tylko marszałkowa d'Ancre, awanturnicą florencką, i nic więcej, gdy dostojna małżonka Waszej Królewskiej Mości jest Anną Austrjacką, królową Francji, czyli najpierwszą monarchinią w świecie.

— Pomimo to występna jest, panie kardynale! Im więcej zapomniała o swoim wysokim stanowisku, tem niżej upadła. Wreszcie postanowiłem już od dawna położyć kres tym politycznym i miłosnym intrygom. Ma ona także za sobą niejakiego La Porta...

— Którego ja uważam za główną sprężynę w tem wszystkim — podchwycił kardynał.

— Zgadzasz się więc ze mną, że ona mnie zwodzi? — zagadnął król.

— Przypuszczam tylko i powtarzam Waszej Królewskiej Mości, że królowa spiskuje przeciw potędze króla swojego, lecz nie mówię, iż przeciw jego czci.

— A ja ci mówię, panie kardynale, że czyni jedno i drugie; mówię ci, że królowa nie kocha mnie; że kocha tego bezecnika Buckinghama. Czemu nie kazałeś go uwięzić, kiedy był w Paryżu?

— Uwięzić księcia! pierwszego ministra Karola I! Niepodobna!... Taki rozgłos! a gdyby wreszcie podejrzenia Waszej Królewskiej Mości, które za mylne pragnę uważać, miały jaką podstawę, co za skandal straszliwy! przygnębiający!

— Lecz jeśli narażał się, jak włóczęga, jak złodziej, trzeba było...

Zaciął się Ludwik XIII, przerażony własnymi słowy, a Richelieu nadstawił ucha, daremnie wyczekując słowa, które zamarło na ustach królewskich.

— Trzeba było?

— Nic, nic — rzekł król. — Lecz czy w ciągu pobytu jego w Paryżu, nie straciłeś go z oczu?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Gdzie mieszkał?

— Przy ulicy de la Harpe Nr. 75.

— Gdzież to jest?

— W okolicy Luksemburgu.

— I pewny jesteś, że królowa nie widziała się z nim?

— Sądzę, iż królowa nazbyt ceni swoje obowiązki, Najjaśniejszy Panie.

— Lecz porozumiewali się piśmiennie, panie kardynale; do niego to cały dzień pisała królowa; kardynale, ja muszę mieć te listy!

— A jednak, Najjaśniejszy Panie...

— Mości książę, niech się co chce stanie, żądam ich.
 — Pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę Waszej Królewskiej Mości...
 — Czyż i ty nie zdradzasz mnie także, panie kardynale, sprzeciwiając się woli mojej?
 Czyż i ty także trzymasz z Hiszpanami, Anglikami, z panią de Chevreuse i królową?
 — Najjaśniejszy Panie — z westchnieniem odezwał się kardynał — sądziłem, że mogę być wolny od podobnego podejrzenia.
 — Panie kardynale, rozumiesz mnie; ja chcę tych listów.
 — Jeden tylko byłby na to sposób.
 — Jaki?
 — Powierzyć te zadanie wielkiemu kanclerzowi, panu Segurier. Rzecz ta najzupełniej wchodzi w jego obowiązki.
 — Niech poślą po niego natychmiast!
 — Musi on być u mnie w tej chwili; kazałem go prosić do siebie, a wyjeżdżając do Luwru zostawiłem rozkaz, jeżeli się stawi, by zaczekał.
 — Niech pójdą po niego bez zwłoki.
 — Według rozkazu Waszej Królewskiej Mości, lecz...
 — Lecz cóż?
 — Lecz może królowa odmówi posłuszeństwa.
 — Moim rozkazom?
 — Tak, jeżeli nie będzie wiedziała, że pochodzi od króla.
 — Ha! to, aby nie miała wątpliwości, sam ją o tem uprzedzę.
 — Wasza Królewska Mość niechaj nie zapomina, że czyniłem wszystko, co mogłem, aby zażegnać burzę.
 — Tak, mój książę, wiem, iż nader jesteś względny dla królowej, może nawet aż nazbyt i uprzedzam cię, że będziemy mieli do pomówienia o tem jeszcze później.
 — Kiedy się Waszej Królewskiej Mości podoba; zawsze jednak szczęśliwy i dumny będę, poświęcając się dla zgody, którą utrzymać pragnę pomiędzy Waszą Królewską Mością i królową Francji.
 — Dobrze, kardynale, dobrze; lecz tymczasem poślij po wielkiego kanclerza; ja zaś idę do królowej.

I, otworzywszy drzwi, prowadzące do jej apartamentów, udał się korytarzem, prowadzącym do Anny Austrjackiej.

Królowa otoczona była damami, panią de Guemence, de Sable, de Montbazon i de Guilot. W rogu pokoju siedziała pokojówka Hiszpanka, donna Estefana, która z nią przybyła z Madrytu. Pani de Guemence czytała głośno; słuchano jej z uwagą z wyjątkiem tylko królowej, która umyślnie prosiła o czytanie, aby, udając, że słucha, mogła tem swobodniej puścić wodze własnym swoim myślom.

Myśli te, choć ozłocone ostatnim odbłyskiem miłości, były niemniej smutne.

Anna Austrjacka pozbawiona była zaufania męża i prześladowana nienawiścią kardynała, nie mogącego jej przebaczyć odtrącenia najśłodszego jego uczuć. Widziała ona dokoła siebie upadających najbardziej oddanych jej ludzi, powierników najzaufañszych, najdroższych swoich ulubieńców.

Zdawaćby się mogło, iż posiada dar oplakany przynoszenia niedoli wszystkiemu, czego się tylko dotknęła; przyjaźń jej dla kogoś była hasłem do prześladowań.

Panie de Chevresse i de Vernet skazane zostały na wygnanie; La Porte na koniec nie tań przed władczynią swoją, iż lada chwila spodziewał się uwięzienia.

Kiedy właśnie najwięcej pogrążona była w ponurych i ciężkich myślach swoich, drzwi się otworzyły i wszedł król.

W tej chwili umilkła lektorka, powstały damy i zapanowało milczenie głębokie.

Król zaś bez najmniejszej oznaki grzeczności, rzekł głosem wzburzonym, zatrzymując się przed królową:

— Pani, będziesz tu miała wizytę pana kanclerza, obarczonego przeze mnie sprawami, które ci opowie.

Nieszczęśliwa królowa, której nieustannie grożono rozwodem, wygnaniem, a nawet sądem, zbladła pod powłoką różu, nie mogąc się powstrzymać od zapytania:

— Lecz po co ta wizyta, Najjaśniejszy Panie? Co pan kanclerz powiedzieć mi może, czego by Wasza Królewska Mość sam oznajmić mi nie mógł?

Król, nic nie odpowiedział, wykręcił się na pięcie, a w tejże chwili kapitan straży, pan de Guitot, oznajmił wizytę kanclerza.

Gdy ten się ukazał, król zniknął już poza drugimi drzwiami.

Wszedł kanclerz, na pół uśmiechnięty, na pół zarumieniony wstydliwie.

Ponieważ spotkamy się z nim jeszcze w ciągu opowieści naszej, nie zawadzi przeto, aby czytelnicy zawarli z nim znajomość.

Kanclerz ów był uciészonym człowiekiem. Kanonik katedralny, nazwiskiem Des Roches le Masles, który był poprzednio pokojowcem kardynała, nastęrczył go Eminencji jako człowieka pewnego. Richelieu mu zaufał i dobrze mu z tem było. Opowiadano o nim przeróżne historie, a między innymi następującą:

Spędziwszy burzliwie młodość, schronił się do klasztoru, aby czas jakiś przynajmniej pokutować za wybryki lat młodzieńczych. Lecz, wchodząc w to święte miejsce, biedny pokutnik nie mógł tak szybko zatrasnąć drzwi za sobą, aby namiętności, przed którymi zmykał, nie wdarły się tam z nim razem. Nagabywany też był przez nie ustawicznie, a przełożony, któremu się ze stanem swym zwierzył, chcąc ustrzec go, o ile to było w jego mocy, polecił mu dla odpędzenia czarta kusiciela, szukać ucieczki w sznurze od dzwonu, chwycić za niego i dzwonić co siły na trwogę. Na odgłos dzwonu, zwiastującego iż pokusy oblegać zaczynały jednego z braciszków, mnisi uprzedzeni o przyczynie alarmu, winni byli całym zastępem udawać się na modlitwę.

Spodobała się ta rada przyszłemu kanclerzowi. Począł więc odpędzać złego ducha nawalem modłów mnisich; lecz djabeł nie łatwo da się usunąć z miejsca, które zajął i w miarę podwajania egzorcyzmów, potęgował nagabywania swoje tak, że dzwon bił na trwogę i we dnie i w nocy, oznajmiając ciągle pokusy, jakim podlegał pokutnik.

Mnisi pozbawieni zostali spoczynku. We dnie nic nie robili innego, tylko biegali do kaplicy w górę i na dół z powrotem po schodach; w nocy zaś prócz ostatniej godziny kanonicznej i jutrzni, dwadzieścia razy jeszcze z łóżek zrywać się musieli, bijąc zawzięcie czołem o kamienne tafle celi klasztornej.

Nie wiadomo, czy djabeł opuścił stanowisko, czy też mnisi się zmęczyli; dość, że po upływie trzech miesięcy, pokutnik na nowo ukazał się w świecie z reputacją najstrasliwszego opętańca, jaki był kiedy na ziemi.

Wyszedłszy z klasztoru, został urzędnikiem, otrzymał prezydenturę z biretem, po śmierci wuja, przyłączył się do partji kardynalskiej, co było dowodem niepośledniej przenikliwości, i został nareszcie kanclerzem, służąc gorliwie jego eminencji w nienawiści jego przeciw królowej matce i zemście przeciw Annie Austriackiej, podżegając sędziów w sprawie de Chalais, nareszcie, obdarzony zupełnem zaufaniem kardynała, na które zasługiwał należycie, dostał niezwykłego polecenia i, aby je spełnić, stawiał się u królowej. Anna Austriacka jeszcze stała, gdy wszedł, lecz zaledwie go ujrzała, usiadła znowu na fotelu, dając znak damom, aby zajęły swoje miejsca na taburetach i poduszkach, i tonem wyniosłym zapytała:

— Czego żądasz, mój panie, w jakim celu tutaj przychodzisz?

— W imieniu króla, bez urazy Waszej Wysokości, przychodzę odbyć szczegółową rewizję w papierach pani.

— Jak to!... rewizję w moich papierach... do mnie należących! Ależ to niegodne!

— Zechciej mi pani wybaczyć, lecz w tym razie jestem tylko narzędziem, którem posługuje się król. Wszak był tu przed chwilą i czyż me oznajmił pani, abyś była przygotowana do tych odwiedzin.

— Rewiduj pan więc, widocznie jestem zbrodniarką: Estefano, daj klucze od moich stolików i biurka.

Dla formy jedynie przejrzał kanclerz sprzęty, bo dobrze o tem wiedział, że nie tam królową ukryła list, dnia tego pisany.

Gdy po razy dwadzieścia otwierał i zamykał szufladki biurka, trzebaż było nareszcie, pomimo doznawanego wahania, raz już przystąpić do zakończenia tej sprawy, czyli do zrewidowania samej królowej.

Zbliżył się więc kanclerz do królowej i tonem mocno niepewnym, z wyrazem wielkiego zakłopotania, rzekł:

— A teraz pozostaje mi do spełnienia rewizja najgłówniejsza.

— Jaka? — zapytała królowa, nie rozumiejąc, a raczej nie chcąc rozumieć.

— Jego Królewska Mość jest pewny, że list był przez panią pisany dnia dzisiejszego; wie o tem, iż nie został wysłany według adresu. Listu tego nie ma ani w stoliku, ani w szufladkach biurka, a jednakże musi gdzieś być.

— Śmiałybyś podnieść rękę na swoją królową? — odezwała się Anna Austriacka, wyprostowawszy się dumnie, mierząc kanclerza oczami nieledwie groźnemi.

— Pani, jestem wiernym poddanym króla i spełniam wszystko, co on mi rozkaże.

— A! więc tak! szpiegi pana kardynała sprawili się dobrze. Prawda, pisałam dziś list, który nie został wysłany. List ten znajduje się tutaj. I przyłożyła piękną rękę do stanika.

— A zatem oddaj mi pani ten list — rzekł kanclerz.

— Oddam go tylko królowi — odparła Anna.

— Pani, gdyby król był chciał, aby list jemu został wręczony, sam by go zażądał. Ale powtarzam, iż mnie polecił upomnieć się o list, a gdybyś mi go pani nie oddała...

— To co?

— Musiałbym go wziąć sam.

— Jak to, co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Że rozkazy mi dane sięgają daleko, i że upoważniony zostałem do szukania papierów podejrzanych przy własnej osobie Waszej Wysokości.

— Co za ohyda! — zawołała królowa.

— Zechciej więc pani postępować zgodniej.

— Postępek ten jest gwałtem nikczemnym; czy wiesz o tem mój panie?

— Wybacz mi pani, tutaj król tylko rozkazuje.

— Ja tego nie zniosę! nie, nie, umrę raczej, a nie zezwolę na to! — krzyknęła królowa, w której zawrzała krew hiszpańska i austriacka.

Kanclerz skłonił się głęboko i w widocznym zamiarze spełnienia polecanej mu czynności, z miną pacholka katowskiego podszedł do Anny Austriackiej, z której oczu trysnęły łzy wściekłego bólu.

Królowa była, jak powiedzieliśmy, piękna niepospolicie.

Zlecenie, dane kanclerzowi, było nader delikatnej natury, lecz król, z niesłychanej zazdrości o Buckingham, doszedł już do takiego zaślepienia, że o nikogo więcej nie był zazdrosny.

Bez wątpienia, iż Segurier szukał w tej chwili oczami sznura od owego pamiętnego dzwonu; nie mogąc go jednak znaleźć, pogodził się z losem i wyciągnął rękę w kierunku tym, gdzie, jak mówiła królowa, znajdował się list.

Anna Austriacka skoczyła w tył tak biała, jak gdyby śmierć jej zajrzała w oczy, i, aby nie upaść, wsparła się lewą ręką na stojącym poza nią stole, prawą zaś wydobyla z za gorsu list i podała go kanclerzowi.

— Oto list, weź go pan — zawołała urywanym i drżącym głosem — zabierz go i uwolnij mnie od wstrętnej swojej osoby.

Kanclerz, drżąc ze wzruszenia, łatwego do pojęcia, wziął list, skłonił się do ziemi i wyszedł.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, królowa na pół zemdlona, upadła na ręce otaczających ją kobiet.

Kanclerz zaniósł list królowi, nie przeczytawszy z niego ani słówka. Król drżącą ręką go pochwycił, daremnie dopatrując adresu, zbladł okropnie, otworzył go z wolna, i, poznawszy z pierwszych wyrazów, iż pisany jest do króla hiszpańskiego, przeczytał go skwapliwie.

Zawierał on plan przeciw kardynałowi. Królowa namawiała brata swego oraz cesarza austriackiego, aby pod pozorem urazy ku Richelieu'emu za jego politykę, której wiekuiastą dążnością było poniżenie domu austriackiego, wypowiedzieli Francji wojnę i postawili za warunek pokoju — odprawę kardynała.

Lecz w liście tym o miłości nie było nawet wzmianki.

Król, uradowany, kazał się dowiedzieć, czy kardynał znajduje się jeszcze w Luwrze. Odpowiedziano mu, że w gabinecie do pracy oczekuje na rozkazy Jego Królewskiej Mości.

Król udał się do niego niezwłocznie.

— Słuchaj, książę — rzekł doń — miałeś słuszność, a ja byłem w błędzie; cała intryga opiera się na polityce, a o miłości w liście tym mowy niema wcale. Chodzi tu natomiast

o ciebie.

Kardynał wziął list i czytał z wielką uwagą, a skończywszy go, powtórnie jeszcze przebiegł.

— A co — odezwał się — widzisz teraz, Najjaśniejszy Panie, do czego są zdolni nieprzyjaciele moi; dwiema wojnami ci grożą, jeżeli mnie nie usuniesz. Doprawdy, Najjaśniejszy Panie, na twojem miejscu będąc, ustąpiłbym naleganiom tak potężnym, a ja czułbym się wielce szczęśliwym, usuwając się od moich spraw.

— Co ty wygadujesz, książę?

— Mówię, Najjaśniejszy Panie, iż tracę zdrowie w tych uciążliwych walkach i wiekistej pracy. Mówię, iż prawdopodobnie nie będę mógł przenieść trudów, przy oblężeniu Rochelli i że lepiej byłoby mianować na moje miejsce pana Kondeusza, lub de Bassompierre, lub wreszcie jakiegoś dzielnego człowieka, któremu z zawodu wypada prowadzić wojnę, a nie mnie, człowieka duchownego, którego nieustannie od powołania mego odrywają ku rzeczom, do których żadnej nie mam zdolności. Będziesz przytem szczęśliwszym, Najjaśniejszy Panie, w wewnętrznych swoich stosunkach i nie wątpię, iż niemniej wielkim pozostaniesz dla obcych.

— Mości książę — rzekł król — rozumiem, bądź spokojny; wszyscy wymienieni w tym liście ukarani będą, jak na to zasługują, nawet sama królowa.

— Co mówisz, Najjaśniejszy Panie? Boże uchwaj, aby z mojej przyczyny królowa miała doznać najmniejszej choćby przykrości! Zawsze mnie poczytywała za swego nieprzyjaciela, Najjaśniejszy Panie, chociaż Wasza Królewska Mość zaświadczyłyby mogła, jak wytrwale stawałem w jej obronie, nawet przeciw tobie, panie. O! gdyby cię, Najjaśniejszy Panie, zdradzała pod względem czci, to coś innego zupełnie, pierwszybym wtedy powiedział: „Królu, bądź bez litości, bądź nieubłagany dla występnej!” Na szczęście, nie ma tego wypadku, jak nowe zdobyłeś dowody, Najjaśniejszy Panie.

— To prawda — rzekł król — i jak zawsze tak i tym razem miałeś słuszność, panie kardynale; lecz królowa niemniej na mój gniew zasługuje.

— To ty, Najjaśniejszy Panie, jej gniew ściągnąłeś na siebie i nie dziwiłbym się doprawdy, gdyby poważną urazę żywiła do Waszej Królewskiej Mości: Najjaśniejszy Panie, postąpiłeś z nią tak surowo!...

— Zawsze tak postępować będę z moimi i twoimi, książę, wrogami, choćby najwyższe zajmowali stanowisko i choćby mi przez to groziło największe niebezpieczeństwo.

— Królowa jest moją, lecz nie twoją nieprzyjaciółką, Najjaśniejszy Panie; przeciwnie, jest przywiązaną małżonką, uległą i bez zarzutu; pozwól mi więc, Najjaśniejszy Panie, wstawić się za nią do Waszej Królewskiej Mości.

— Niechaj się upokorzy i pierwsza do mnie przyjdzie.

— Przeciwnie, Najjaśniejszy Panie, od ciebie powinien wyjść przykład; pierwszy zawiniłeś, gdyż sam posądziłeś królową.

— Ja! pierwszy krok tam zrobić! nigdy!

— Najjaśniejszy Panie, błagam cię.

— Zresztą, jak się do tego wziąć?

— Sprawiając jej, Najjaśniejszy Panie, jaką przyjemność.

— Jakąż?

— Dać bal, na przykład; wiesz przecie, Najjaśniejszy Panie, jak królowa lubi taniec; zaręczam ci, iż uraza jej nie wytrzyma tej próby.

— Panie kardynale, wiesz przecie, iż nie jestem za uciechami światowemi.

— Tem więcej będzie ci wdzięczna królowa, znając twój wstręt do zabaw, Najjaśniejszy Panie; zresztą, będzie to dla niej sposobność włożenia tych pięknych zapinek dżamentowych, niedawno jej przez Waszą Królewską Mość w dzień imienin ofiarowanych, w które ustroić się nie miała dotąd sposobności.

— Zobaczymy, panie kardynale, zobaczymy — odrzekł król, który z radości, iż znalazł królową winną występku, o który niewiele się troszczył, a niewinną grzechu, którego mocno się obawiał, gotów był się z nią pogodzić — zobaczymy, ale, na honor, nadto pobłażliwym jesteś, panie kardynale.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się kardynał — surowość pozostaw ministrom, pobłażliwość zaś jest cnotą królewską; posługuj się nią, a zobaczysz, iż dobrze ci z tem będzie.

To rzekłszy, kardynał, słysząc zegar, wydzwanający godzinę jedenastą, złożył ukłon głęboki, prosząc króla o pozwolenie oddalenia się i błagając go, aby się pojednał z królową.

Anna Austrjacka, która po przejściu tego listu, spodziewała się wymówek, mocno była zdziwiona, widząc nazajutrz króla, usiłującego się z nią pojednać.

Pierwsze jej uczucie było odpychające; duma kobiety i godność królowej tak okrutnie były w niej obrażone, iż zrazu przyjść do siebie nie mogła; lecz, pokonana radami swych dam przybocznych, zgodziła się na koniec, aby pozornie chociaż puścić to wszystko w niepamięć.

Król skorzystał z chwili sposobnej, aby jej oznajmić, iż nosi się z myślą wydania wielkiego balu.

Wszelka rozrywka była tak niezwykłą rzeczą dla biednej Anny Austrjackiej, iż na zapowiedź tę, jak nie mylił się kardynał, zniknął ostatni cień urazy, jeżeli nie w sercu, to przynajmniej na pięknym jej obliczu.

Zapytała o dzień, na jaki uroczystość była oznaczona, lecz król jej odpowiedział, iż należało mu wprawdzie porozumieć się pod tym względem z kardynałem.

W istocie, król zapytywał codziennie kardynała, kiedy będzie ów bal i zawsze zwlekał pod różnemi pozorami z oznaczeniem dnia tego. Upłynęło tak dni dziesięć.

W tydzień po zajściu przez nas opowiedzianem kardynał otrzymał list, opatrzony marką z Londynu, zawierający kilka wierszy następującej treści:

„Mam je, lecz ruszyć się nie mogę z Londynu, dla braku pieniędzy; proszę przysłać mi pięćset pistoletów, w cztery lub pięć dni po ich odbiorze, stanę w Paryżu”.

W dniu, kiedy kardynał odebrał ten list, król powtórzył znów pytanie zwykle.

Richelieu policzył na palcach i rzekł sobie w duchu:

— Przybędzie tu w cztery lub pięć dni po odbiorze pieniędzy, a że pieniądze tyleż czasu idą, wszystko zatem wyniesie dni dziesięć; przypuśćmy jeszcze wiatr przeciwny, wypadki nieprzewidziane, dolegliwości kobiece, a przeciągnąć się to może do dni dwunastu.

— I cóż? mości książę! — odezwał się król, — czy już obliczyłeś?

— Już, Najjaśniejszy Panie; dziś mamy 20 września; urzędnicy miejscy wydadzą ucztę 3 października Najwyborniej się więc składa; nie będzie to wyglądało, że pragniesz powrócić do królowej, Najjaśniejszy Panie.

A po chwili dodał:

— Ale, Najjaśniejszy Panie, zechciej nie zapomnieć i powiedzieć królowej z powodu balu, iż pragniesz zobaczyć, czy jej do twarzy w owych djamentowych zapinkach.

ROZDZIAŁ XVII. MAŁŻEŃSTWO BONACIEUX

Po raz drugi kardynał wspominał przy królu o zapinkach djamentowych, uczynił to widocznie nie bez ukrytego celu.

Król czuł się tem niejednokrotnie poniżony, iż kardynał, przy pomocy swej tajnej policji, lepiej niż on bywał powiadomiony o wszystkich jego sprawach domowych.

Ludwik XIII miał mieć nadzieję, iż, porozmawiawszy z Anną Austrjacką, sam wszystko wyświekli i poszczyci się przed eminencją tajemnicą, znaną kardynałowi, lub nieznaną, co w każdym razie podniesie go nieskończenie w oczach jego ministra.

Poszedł więc do królowej i, według zwyczaju, wystąpił z nowymi groźbami przeciw tym, którzy ją otaczali.

Anna Austrjacka opuściła głowę, pozwalając spłynąć potokowi bez słówka odpowiedzi, w nadziei, że król wyczerpie swe groźby, ale co innego zamierzał Ludwik XIII, pragnął on starcia zdań, z którego wynikłoby światło.

Doszedł na koniec do pożądanego rezultatu, obstając przy najrozmaitszych oskarżeniach.

Anna Austrjacka, zmęczona czczeni napaściami, zawołała:

— Ależ, Najjaśniejszy Panie, czemu nie wypowiesz tego, co masz na sercu. Cóżem uczyniła? Powiedz, jakiej dopuściłam się zbrodni? Niepodobna, aby Wasza Królewska Mość tak się srożył o jeden list, do brata mego pisany.

Król, zaskoczony tem pytaniem, nie wiedział co odpowiedzieć; sądził więc, że najważniejszej będzie, gdy się odezwie z zaleceniem, które winien był uczynić w przeddzień balu.

— Pani — rzekł wyniośle — niebawem dany będzie bal w ratuszu; mojem zdaniem, aby uczcić naszych znacznych urzędników, winnaś pani wystąpić w stroju uroczystym, a nade wszystko w tych zapinkach djamentowych, które ci dałem w dzień twoich imienin. Oto moja odpowiedź.

Odpowiedź ta była przerażającą.

Anna Austrjacka sądziła, iż Ludwik XIII wie o wszystkim i że kardynał zobowiązał go do kilkodniowego milczenia, które wreszcie leżało w charakterze króla.

Zbladła straszliwie, oparłszy na konsoli cudnej piękności rękę, która się stała przezroczysta jak z wosku.

Patrzyła na króla wystraszonemi oczami, nie odpowiedziawszy ani słowa.

— Czy rozumiesz, pani — rzekł król, rozkoszując się w całej pełni tym niepokojem, choć nie odgadywał jego przyczyny — rozumiesz pani?

— Rozumiem, Najjaśniejszy Panie — wyjąkała królowa.

— I ukazesz się na tym balu?...

— Tak.

— Przybrana w zapinki?...

— Tak.

Bladość królowej stałaby się silniejsza, gdyby to jeszcze było możliwe; król zauważył to i tembardziej lubował się zimnem okrucieństwem, stanowiącem stronę ujemną jego charakteru.

— Dobrze — odezwał się król — to wszystko, co miałem pani do powiedzenia.

— A na kiedy oznaczony jest ten bal? — spytała Anna Austrjacka.

Ludwik XIII czuł instynktownie, iż nie powinien odpowiadać na to pytanie, które królowa zadała głosem nieledwie konającym.

— Ależ bardzo niedługo — rzekł — dnia jednak dokładnie nie przypominam sobie, zapytam o to kardynała.

— A! więc to kardynał oznajmił ci, Najjaśniejszy Panie, o tej uroczystości? — zawołała królowa.

— Tak, pani — odparł zdziwiony król — czemu mnie o to pytasz?

— Więc to za jego radą poleciłeś mi ubrać się w te zapinki?

— To jest, pani...

— Więc to on, Najjaśniejszy Panie, to on?...

— No tak, lecz cóż cię to obchodzi, czy on, czy też ja? Alboż polecenie takie jest zbrodnią?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Zatem będziesz pani na balu?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— To dobrze — rzekł król, odchodząc — dobrze!... liczę na to z pewnością.

Królowa złożyła ukłon, nie tyle nawet przez etykietę, ale iż kolana ugięły się pod nią. Król wyszedł zachwycony.

— Zgubiona jestem — wyszeptała królowa — zgubiona jestem, bo kardynał wie o wszystkim. On to kieruje królem, który nie wie jeszcze o niczem, lecz wkrótce się o wszystkim dowie. Zgubiona jestem! Mój Boże! mój Boże! mój Boże!...

Padła na kolana i modlić się poczęła, ujawszy głowę drżącemi rękami.

W istocie położenie było straszne.

Buckingham powrócił do Londynu, pani de Chevreuse była w Tours. Królowa, więcej, niż kiedykolwiek, strzeżona, przeczuwała instynktownie, iż zdradza ją jedna z jej dam, lecz która, nie wiedziała na pewno.

La Porte nie mógł wydaleć się z Luwru; żywej duszy nie było, której mogłaby się zwierzyć.

Wobec grożącego nieszczęścia i opuszczenia swojego, wybuchnęła płaczem.

— Czy nie mogłabym przysłużyć się czem Waszej Królewskiej Mości — odezwał się naraz głos, pełen słodyczy i współczucia.

Szybko obejrzała się królowa, trudno bowiem było się omylić, brzmienie głosu tego zwiastowało, iż tylko przyjaciółka może tak przemawiać.

I istotnie we drzwiach, prowadzących do pokoju królowej, ukazała się ładniutka pani Bonacieux; była ona zajęta układaniem sukien i bielizny w przyległym gabinecie wówczas, gdy wszedł król; nie mogła się oddalić i słyszała wszystko.

Królowa, widząc, że została podpatrzona, krzyknęła przeraźliwie, gdyż w pomieszeniu nie poznała od razu młodej kobiety, danej jej przez La Porta.

— O! nie lękaj się pani niczego — rzekła pani Bonacieux, składając ręce i płacząc sama nad ciężkim strapieniem królowej — oddana ci jestem duszą i ciałem, Najjaśniejsza Pani, i jakkolwiek daleka i tak nisko postawiona przy Waszej Królewskiej Mości, sądzę, iż znalazłam sposób wybawienia jej z kłopotu.

— Ty? o nieba! ty?... — wykrzyknęła królowa — lecz słuchaj, spojrzij mi w oczy. Ze wszystkich stron jestem zdradzana; czyż tobie mogę zaufać?...

— O! pani! — zawołała młoda kobieta, padając na kolana — klnę się w zbawienie duszy, iż gotowa jestem umrzeć dla Waszej Królewskiej Mości.

Wykrzyknik ten z głębi serca pochodził i również, jak pierwszy, wzbudził zaufanie.

— Tak — ciągnęła dalej pani Bonacieux — tak, pełno tu zdrajców dokoła; lecz przysięgam na święte imię Marji Dziewicy, że nikt nie jest tak oddany Waszej Królewskiej Mości, jak ja. Zapinki te, o które dopomina się król, dałaś pani księciu de Buckingham, nieprawdaż? Były one w owej szkatułce z różanego drzewa, którą niósł w rękę? Może się mylę? może nie o to chodzi?...

— O Boże! mój Boże!... — wyszeptwała królowa, której zęby szczykały z przerażenia.

— Te zapinki należy odzyskać — mówiła pani Bonacieux.

— Tak, bez wątpienia, potrzeba koniecznie! — zawołała królowa — lecz, co począć, jak temu zaradzić?...

— Trzeba posłać kogoś do księcia.

— Lecz kogo?... kogo?... kogo?... komuż mogę zaufać?...

— Mnie, Najjaśniejsza Pani, zaufaj; uczyni mi ten zaszczyt, a ja znajdę posłańca!

— Lecz trzeba będzie napisać!

— O, tak. To nieodzowne. Dwa słowa ręką Waszej Królewskiej Mości z pieczęcią osobistą.

— Lecz te dwa słowa to potępienie moje, to rozwód, wygnanie!...

— Tak, jeżeli wpadną w niegodne ręce. Lecz zaręczam, iż dojdą według adresu.

— O! mój Boże!... trzeba więc, abym w twoje ręce powierzyła moje życie, cześć i dobre imię!...

— Tak, Najjaśniejsza Pani, trzeba, a ja wszystko ocale.

— Ale w jaki sposób? powiedz mi to przynajmniej.

— Mąż mój parę dni temu został wypuszczony na wolność; nie miałam jeszcze czasu go odwiedzić. Jest to poczciwe człowieczysko, nie żywiący dla nikogo ani nienawiści, ani miłości. Wszystko, czego zażądam, uczyni; na mój rozkaz pójdzie, i odda list Waszej Królewskiej Mości, według wskazanego adresu, nie wiedząc nawet, co mieści.

Królowa w namietnym uniesieniu ujęła obie ręce młodej kobiety, wpatrzyła się w nią, jakby chciała do głębi serca przeniknąć, a widząc najczystsza szczerość w jej oczach, czule ją uściskała.

— Uczyni to! — zawołała — a ocalisz mi życie, cześć moją ocalisz!...

— O! Najjaśniejsza Pani, nie przeszkadzaj przysługę, jaką mam szczęście ci oddać; nie ma nic, czegobym nie uczyniła dla Waszej Królewskiej Mości, która jesteś jedynie ofiarą przewrotnych intryg.

— To prawda, moje dziecię — odparła królowa — masz zupełną słuszność.

— Daj mi, Najjaśniejsza Pani, ten list, bo czas nagli.

Królowa pobiegła do stolika, na którym znajdował się atrament, papier i pióra, napisała dwa wiersze, zapieczętowała je pieczęcią własną i oddała pani Bonacieux.

— A teraz... — odezwała się królowa — zapominamy o rzeczy potrzebnej.

— O jakiej?

— O pieniądzach...

Pani Bonacieux zarumieniła się.

— To prawda — odrzekła — a wyznać muszę Waszej Królewskiej Mości, iż mąż mój...

— Iż mąż twój ich nie ma, to chciałaś powiedzieć.

— I owszem ma je, lecz jest skąpy okrutnie i to jedyna jego wada. Wszelako niechaj Wasza Królewska Mość nie troszczy się, znajdziemy sposób...

— Właśnie, że i ja ich także nie mam — odezwała się królowa; tych, którzy czytać będą pamiętniki pani de Motteville, odpowiedź ta nie zadziwi — ale poczekaj...

Królowa pobięła do kasetki z klejnotami.

— Masz — powiedziała — oto pierścień drogocenny, jak mówią wszyscy; pochodzi on od brata mojego, króla Hiszpanji, należy do mnie i rozporządzać nim mogę. Weź ten pierścień, zamień na pieniądze i niechaj mąż twój jedzie.

— Rozkazy twe, Najjaśniejsza Pani, spełnione będą za godzinę.

— Czy widzisz adres — oddała królowa zaledwie dosłyszalnym głosem.

Do milorda księcia de Buckingham w Londynie.

— List doręczony zostanie jemu samemu.

— Szlachetne dziecię! — zawołała Anna Austrjacka.

Pani Bonacieux ucałowała rękę królowej, ukryła list za stanikiem i zniknęła lekka, jak ptaszek.

W dziesięć minut była już u siebie.

Od czasu uwolnienia męża nie widziała go jeszcze, nie wiedziała o zmianie, jaka w nim zaszła co do kardynała, o zmianie, wywołanej paru wizytami hrabiego de Rochefort, który stał się najlepszym przyjacielem pana Bonacieux, co prawda, bez wielkich trudów natchnąwszy go wiarą, iż żadne uczucie występne nie spowodowało porwania jego żony, lecz jedynie przezorność polityczna.

Zastała samego. Biedaczysko przyprowadzał dom swój z wielkim mozołem do ładu. Został sprzęty pogruchothane i szafy wypróżnione, sprawiedliwość bowiem nie należała wówczas do tych trzech rzeczy, które król Salomon wymienia, jako niepozostawiające śladu po swoich stopach. Służąca zaś, z chwilą uwięzienia pana, uciekła. Biedna dziewczyna, przejęta strachem, umknęła z Paryża i oparła się dopiero w Burgundji, swoim kraju rodzinnym.

Czcigodny kramarz, ujrawszy małżonkę, nie omieszkiał jej opowiedzieć o swoim szczęśliwym powrocie. Żona zaś odpowiedziała, winszując mu, iż skorzystała z pierwszej chwili, kiedy mogła się zwolnić od swych obowiązków i przybywa teraz, ażeby cała się jemu poświęcić.

Chwila ta wprawdzie dała czekać na siebie całe dni pięć, co w każdej innej okoliczności wydałoby się mogło panu Bonacieux nieco za długo, lecz z powodu wizyty swej u kardynała i odwiedzin Rocheforta, miał dużo do myślenia, a wiadomo, iż nic tak nie skraca czasu, jak dumanie.

Nadewszystko zaś, iż dumanie to miało barwę różową.

Rochefort nazywał go swoim przyjacielem, drogim Bonacieux i nieustannie kładł mu w uszy, iż kardynał ceni go wielce.

Kramarz widział się już na drodze do zaszczytów i majątku.

Pani Bonacieux rozmyślała także, lecz treścią jej rozmyślań nie była żądza wyniesienia.

Mimowolnie myśli jej obracały się nieustannie koło tego pięknego młodzieńca tak dzielnego i tak widocznie w niej srodze zakochanego.

W osiemnastym roku życia wydana za mąż za pana Bonacieux, żyjąc jedynie w kółku przyjaciół męzkowskich, niezdolnych natchnąć najmniejszym uczuciem młodej kobiety, której serce wznioślejsze było, niż stanowisko, jakie zajmowała, pani Bonacieux pozostała nieczuła na pospolite pokusy. Lecz, w owej epoce nade wszystko, tytuł szlachecki wielki wpływ wywierał na mieszczaństwo, a d'Artagnan był szlachcicem; co więcej, nosił mundur gwardji, który po muszkieterskim najwięcej był ceniony przez niewiasty.

Był on, powtarzamy, piękny, młody, odważny na wszystko; mówił o miłości, jak człowiek rozkochany i spragniony kochania; było to więcej, niż potrzeba, ażeby zawrócić dwudziestotrzyletnią główkę, a pani Bonacieux znajdowała się właśnie w tym szczęśliwym okresie życia.

Jakkolwiek małżonkowie od tygodnia już przeszło nie widzieli się z sobą, a w ciągu tego czasu wypadki ważne stały się pomiędzy nimi, powitali się wszelako z pewnem

roztargnieniem; niemniej jednak pan Bonacieux okazał radość nieklamana i przyjął żonę z otwartymi rękami. Pani Bonacieux podała mu do pocałowania czoło.

— Pomówmy trochę — rzekła ona.

— O czym?... — zapytał zdziwiony Bonacieux.

— Tak... coś bardzo ważnego mam ci do powiedzenia.

— Co prawda, i ja też mam zadać ci kilka poważnych pytań. Wytłumacz mi, proszę, swoje porwanie.

— Nie o to idzie... jak na teraz przynajmniej — odparła pani Bonacieux.

— A o cóż chodzi? o moje uwięzienie?

— Dowiedziałam się o niem od razu; lecz ponieważ nie byłeś winny żadnego występu, ani też żadnej intrygi i nie wiedziałeś o niczym, co by mogło ciebie lub kogokolwiek skompromitować, więc też nie przywiązywałam większej wagi do tego wypadku, niżby na to zasługiwał.

— Łatwo ci tak mówić, moja pani! — odparł Bonacieux, urażony tym brakiem współczucia — a czy wiesz, że siedziałem dzień jeden i noc w podziemnym więzieniu w Bastylji?...

— Ten dzień i noc jak nic ci przemknęły; dajmy więc pokój uwięzieniu twojemu, a powróćmy do tego, co mnie tu sprowadza.

— Jak to! co cię do mnie sprowadza? Czyż to nie pragnienie ujżenia męża, z którym rozłączona byłaś od tygodnia przeszło? — zagadnął kramarz, dotknięty do żywego.

— Najpierw to, a potem co innego.

— Mów.

— Rzecz wielkiej wagi, od której szczęście nasze zależeć może w przyszłości.

— Losy nasze zmieniły postać swoją, moja pani, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, i byłbym zdziwiony, gdyby od dziś za kilka miesięcy, położenie moje nie obudziło w wielu ludziach zazdrości.

— Zapewne, zwłaszcza jeżeli postąpisz według wskazówek, które otrzymasz ode mnie.

— Ja, od ciebie?

— Tak, ty. Jest do spełnienia dobry i święty uczynek, mój panie, a przytem zarobić na tem możesz dużo pieniędzy.

Wiedziała dobrze pani Bonacieux, iż, mówiąc mężowi o pieniądzach, trafiała w słabą jego stronę.

Lecz nie wiedziała o tem, że człowiek ten stał się innym, odkąd przez dziesięć minut rozmawiał z kardynałem.

— Dużo pieniędzy do zarobienia?... — powtórzył Bonacieux, wydłużając wargi.

— Tak, dużo.

— Ile też, mniej więcej?...

— Może tysiąc pistołów.

— A czy to bardzo ważne, czego chcesz żądać ode mnie?

— Tak.

— Cóż robić potrzeba?

— Pojedziesz natychmiast. Ja ci powierzę list, którego nie dasz sobie odebrać w żaden sposób i oddasz go do rąk własnych.

— A dokądże mam jechać?

— Do Londynu.

— Ja? do Londynu?... Cóż znowu, kpisz sobie chyba, ja nie mam żadnego interesu w Londynie.

— Lecz inni potrzebują, ażebyś się tam udał.

— Co za inni?... Uprzedzam cię, iż nie myślę dłużej postępować na ślepo i chcę wiedzieć, nie tylko, na co się narażam, ale i dla kogo.

— Osoba bardzo wysoko postawiona posyła cię, a druga również dostojna oczekuje na ciebie. Nagroda przewyższy twoje żądania, oto wszystko, co ci mogę przyobieczać.

— Znowu intrygi! zawsze intrygi!... dziękuję, będę się teraz miał na ostrożności, pan kardynał już mnie objaśnił w tym względzie.

— Kardynał?... — wykrzyknęła pani Bonacieux — widziałeś się z kardynałem?

— Wezwał mnie do siebie!... — odparł dumnie kramarz.

— I poszedłeś na to wezwanie, niebaczny?...

— Wyznać muszę, iż nie miałem do wyboru iść, albo nie iść, bo znajdowałem się pomiędzy dwoma stróżami. Prawdę powiedziawszy, ponieważ nie znałem wtedy jego eminencji, więc gdybym był mógł się uwolnić od tej wizyty, z przyjemnością byłbym to uczynił.

— Źle się więc z tobą obszedł? groził ci?...

— Podał mi rękę i przyjacielem mnie swoim nazwał, przyjacielem! rozumiesz, moja pani? jestem przyjacielem wielkiego kardynała!

— Wielkiego kardynała!

— Jak to czybyś przeczyła temu tytułowi, moja pani?

— Nie zaprzeczam mu niczego, lecz mówię ci, że łaska ministra prędko przemija i że szalonym być trzeba, aby przywiązywać się do ministra; są władze wyższe od tej, które spoczywają na kapryśkach ludzkich lub chwilowych wypadkach, z temi należy się łączyć.

— Bardzo mi przykro, moja pani, lecz nie znam wyższej władzy, niż wielkiego człowieka, któremu mam zaszczyt służyć.

— Ty służysz kardynałowi?

— Tak pani, i jako wierny sługa jego, nie pozwolę, abyś mieszała się do spisków przeciw rządowi i abyś służyła intrygom kobiety, która nie jest francuzką, a serce ma hiszpańskie. Na szczęście, jest wielki kardynał, a jego czujne oko strzeże i przenika aż do głębi serca.

Bonacieux powtarzał słowo w słowo frazes, zasłyszany od hrabiego de Rochefort; lecz biedna kobieta, która liczyła na swego męża, i w tej nadziei zaręczyła za niego królowej, zdradzała na myśl o niebezpieczeństwie, w jakie o mało co nie wpadła.

Znając jednak słabość, a nade wszystko chciwość małżonka swego, nie traciła jednak nadziei, iż trafi z nim do ładu.

— A! jesteś kardynalistą, mój panie? — zawołała — to tak? służysz stronnictwu, które poniewiera twoją żonę i lży twoją królowę.

— Interesa prywatne niczem są wobec interesów ogółu. Trzymam z tymi, którzy zbawiają państwo — odparł z przesadą Bonacieux.

Był to inny frazes hrabiego de Rochefort, który to frazes Bonacieux zapamiętał i teraz zużytkował go przy sposobności.

— A czy wiesz, co to jest państwo, o którym rozprawiasz? — odezwała się pani Bonacieux, wzruszając ramionami. — Ciesz się, że jesteś zakutym mieszczaninem i zwróć się w tę stronę, skąd cię większą korzyścią obdarzą.

— E! e!... — rzekł Bonacieux, uderzając się po trzosie zaokrąglonym, który wydał dźwięk metaliczny — a cóż ty na to, pani kaznodziejko?

— Skąd masz te pieniądze?

— Nie domyślasz się?

— Od kardynała?

— Od niego i od mego przyjaciela hrabiego de Rochefort.

— Hrabiego de Rochefort?... ależ to on mnie porwał.

— Być może, moja pani.

— I ty przyjmujesz pieniądze od tego człowieka?

— A czyś mi nie powiedziała, że porwanie twoje było czyste polityczne?

— Nie przeczę, lecz miało ono na celu zmusić mnie do zdradzenia mojej pani, za pomocą tortur wydrzeć mi zeznania, które mogłyby narazić cześć, a może i życie mojej dostojnej władczyni.

— Moja pani — odparł Bonacieux — dostojna władczyni twoja jest przewrotną Hiszpanką, a co kardynał robi, to dobrze robi!...

— Mój panie — rzekła młoda kobieta — znałam cię, jako tchórza, skąpca i głupca, lecz nie wiedziałam, że jesteś nikczemny!

— Pani! — rzekł Bonacieux, który nigdy nie widział żony tak rozszłoszczonej, a unikał klótni małżeńskiej — pani!... co ty mówisz?

— Mówię, że jesteś nędznikiem! — ciągnęła pani Bonacieux, widząc, że bierze przewagę nad mężem. — A!... więc ty się zajmujesz polityką, ty! i do tego kardynalistowską. A! sprzedajesz się czartowi za pieniądze, z duszą i ciałem?...

— Wcale nie czartowi, bo kardynałowi.

— To wszystko jedno! — krzyknęła młoda kobieta — Richelieu to szatan!...
— Cicho bądź, pani, milcz!... mógłby cię jeszcze kto usłyszeć.
— Tak, masz słusność i musiałabym się wstydzić za twoje tchórzostwo.
— Czegóż więc ode mnie żadasz? zobaczymy!
— Mówiłam ci już, abys natychmiast pojechał i uczciwie spełnił zlecenie, którem raczę cię obarczyć, a pod tym warunkiem zapomnę i przebaczę ci wszystko; co więcej — wyciągnęła rękę do niego — zwrócę ci moją przyjaźń.

Bonacieux był tchórzem i skąpcem, lecz kochał swoją żonę, rozczulił się.

Mężczyzna pięćdziesięcioletni nie może długo chować urazy do dwudziestoletniej żony. Pani Bonacieux dostrzegła to wahanie.

— I cóż, namyśliłeś się? — zapytała.

— Ależ, droga moja, zastanów się, czego żadasz ode mnie; Londyn bardzo daleko od Paryża, a kto wie, czy ze zleceniem, jakie mi powierzasz, nie łączy się niebezpieczeństwo!

— Mniejsza o to, jeżeli go unikniesz.

— Słuchaj, pani Bonacieux, słuchaj, ja stanowczo odmawiam: przerażają mnie intrygi. Ja widziałem Bastylję. Brrrrr! straszna ta Bastylja! Dość o niej pomyśleć, a dostaję gęsiej skórki. Torturą mi grożono. Czy ty wiesz, co to są tortury? Kliny drewniane, które ci między nogi wbijają, dopóki nie potrzaskają kości! Nie, nie pojedę stanowczo. A czemuż do licha, sama tam nie pojedziesz? bo, doprawdy, zdaje mi się, że myliłem się co do twojej płci! ty jesteś mężczyzną; to najzapamiętałem!

— A ty jesteś babą, babą nikczemną, głupią i zbestwioną. A! tchórzysz! Więc dobrze, jeżeli nie jedziesz natychmiast, każę cię z rozkazu królowej aresztować i wpakować do Bastylji, której się tak lękasz.

Bonacieux pogrążył się w głębokiem zamyśleniu, a w umyśle swym wziął na szalę te dwa gniewy, kardynała i królowej: pierwszy przeważał ogromnie.

— Każ mnie aresztować w imieniu królowej — rzekł — a ja powołam się na jego eminencję.

Pani Bonacieux przerażona spostrzegła od razu, iż zagalopowała się zanadto.

Ze strachem wpatrzyła się przez chwilę w to oblicze głupie, pełne stanowczości niezwalczonej, jak zwykle u ludzi ograniczonych, którzy się boją.

— Ha! niech i tak będzie — rzekła. — Wreszcie może masz słusność; mężczyzna zawsze więcej, niż kobieta, zna się na polityce, a ty, panie Bonacieux szczególnie, ty, który rozmawiałeś z kardynałem... A jednak — dodała — bardzo to bolesne, iż mąż mój, na którego przywiązanie liczyłam, tak mało uprzejmości ma dla mnie i nigdy nie chce zadowolić moich życzeń.

— Bo te życzenia zbyt daleko zaprowadzić mogą — odrzekł Bonacieux triumfująco — więc im nie dowierzam.

— Ha! to rzekam się ich — rzekła z uśmiechem — dobrze, nie mówmy już o tem.

— Gdybyś mi powiedziała przynajmniej, co ja tam będę robić w Londynie — odezwał się Bonacieux, który przypomniawszy sobie, lecz trochę za późno, iż Rochefort zalecił mu podchwytować tajemnice żony.

— Na cóż ci ta wiadomość — rzekła młoda kobieta, którą nieufność instynktowna zaczęła powstrzymywać — chodziło tu o rzecz małej wagi, jak zwykle, o zachcianki kobiecie, o pewien sprawunek, na którym możnaby grubo zarobić.

Im więcej jednak stawała się skryta, tem bardziej dawała mu do myślenia, iż kryła przed nim ważną tajemnicę.

Postanowił więc udać się natychmiast do hrabiego de Rochefort, aby mu powiedzieć, iż królowa poszukuje posłańca do Londynu.

— Wybacz, że cię zostawiam, droga pani — rzekł — lecz, nie wiedząc, że do mnie przyjdiesz, umówiłem się z jednym z przyjaciół moich; powrócę za chwilę i jeżeli pół minutki poczekać na mnie zechcesz, to skoro tylko się tam załatwię, przyjdę, ażeby odprowadzić cię do Luwru, gdyż już zaczyna się ściemniać.

— Dziękuję panu — odparła pani Bonacieux — nie dość odważny jesteś, abys mi był przydatny, i sama potrafię powrócić do Luwru.

— Jak się pani podoba — odpowiedział jej kramarz. — Kiedyż cię znowu ujrzę?

— Niedługo; mam nadzieję iż w przyszłym tygodniu będę wolniejsza od służby, skozystam więc z tego, aby powrócić, dla zaprowadzenia ładu w gospodarstwie naszym,

które musi być nieco nadwyrężone.

— To dobrze: będę cię oczekiwać. Czy nie masz do mnie urazy?

— Ja! bynajmniej.

— Do widzenia zatem...

— Do widzenia.

Bonacieux pocałował żonę w rękę i popędził jak strzała.

— No, tego tylko brakowało, aby ten błazen został kardynałem! — powiedziała do siebie pani Bonacieux, skoro się drzwi za jej mężem zamknęły. — A ja zaręczyłam królowej, obiecałam pani mojej... A! Boże mój, Boże! weźmie mnie za jedno z tych nędznic, od których roi się w pałacu, a które pomieszczono przy niej, aby ją szpiegowały! Ha! mój panie Bonacieux!... nie kochałam cię nigdy zbyt mocno; a teraz nienawidzę! i dam słowo, że mi za to zapłacisz!

W chwili, gdy to mówiła, pukanie w suficie zmusiło ją do spojrzenia w górę, a głos z nad sufitu odezwał się do niej:

— Droga pani Bonacieux, otwórz mi drzwiczki od schodów, abym mógł do ciebie przyjść.

ROZDZIAŁ XVIII. KOCHANEK I MĄŻ

— A! pani — rzekł d'Artagnan, wchodząc drzwiami, które mu otworzyła młodzianka kobieta — pozwól powiedzieć sobie, iż nieosobliwego masz męża.

— Więc pan słyszałeś naszą rozmowę? — żywo spytała pani Bonacieux, patrząc z niepokojem na d'Artagnana.

— Caluteńką.

— Ale w jakim sposobie, mój Boże?

— Za pomocą środka mnie tylko znanego, dzięki któremu słyszałem wprzód rozmowę daleko bardziej ożywioną, jaką pani miałaś z kardynalskimi zbirami.

— A cóżes pan sobie pomyślał o tem, co mówiliśmy?

— Różne rzeczy. Najpierw, że mąż pani jest, na szczęście, ciemną i głupcem, następnie, że pani jesteś w kłopotach, z czego mocno się cieszę, bo mi to daje sposobność oddania się na twoje usługi, a Bogu wiadomo, czy nie jestem gotów rzucić się w ogień dla ciebie; na koniec, że królowa potrzebuje człowieka odważnego, przytomnego i oddanego sobie, któryby odbył podróż do Londynu. Z trzech tych żądanych rzeczy, dwie co najmniej posiadam, i czekam na rozkazy.

Pani Bonacieux nic nie odpowiedziała, lecz serce jej biło z radości i nadzieją ukrytą zabłysła w jej oczach.

— A jaką mi pan dasz pewność — rzekła — gdybym przystała na powierzenie ci tego posłannictwa?

— Miłość moją dla pani! Dalej, mów, rozkazuj: cóż należy czynić?

— Boże mój! Boże!... — szepnęła młoda kobieta — czyż mogę powierzyć panu taką tajemnicę? Jesteś prawie dzieckiem!

— Ha, widocznie potrzeba pani kogoś, coby za mną zaręczył.

— Przyznaję, iż bardzoby mnie to upewniło.

— Znasz pani Athosa?

— Nie.

— Porthosa?

— Nie.

— Aramis?

— Nie. Któż są ci panowie?

— Muszkietierowie królewscy...

— A czy znasz pani pana de Tréville, ich kapitana?

— O! tak, tego znam, nie osobiście, lecz ze słyszenia, i nieraz mówiono o nim królowej, jako o dzielnym i zacnym szlachcicu.

— I nie obawiasz się, pani aby on cię dla kardynała zdradził, wszak prawda?

— O! nie, nie!

— To daj mu pani poznać swoje tajemnicę, i zapytaj go, czy choćby była najważniejsza i najstraszniejsza, może mi być powierzona.

— Ależ tajemnica nie do mnie należy i odkrywać mu jej nie mogę.

— A o mało co nie zwierzyłaś się panu Bonacieux — odezwał się d'Artagnan ze złością.

— Tak, jak się powierza list wydrążeniu w drzewie, skrzydłu gołębia, lub psiej obroży.

— A jednak, wiesz pani doskonale, że cię kocham.

— Tak pan mówisz przynajmniej.

— Jestem człowiekiem prawym.

— Wierzę.

— Odważnym!

— O! tego jestem pewna.

— Zatem wystaw mnie pani na próbę.

Pani Bonacieux spojrzała na młodzieńca, powstrzymywana resztą lękliwego wahania. Lecz tyle w oczach jego było zapału, głos tak był przekonujący, iż uczuła odwagę zaufać mu zupełnie.

Wreszcie w takich się znajdowała okolicznościach, w jakich stawka równa się wygranej.

Królowa mogła być zgubiona tak dobrze przez zbytnią ostrożność, jak i wskutek zbytniego zaufania.

Przynajmy też, iż mimowolne uczucie, którego doznawała dla tego opiekuńczego młodzieńca, skłoniło ją na koniec do omówienia.

— Posłuchaj pan — rzekła — powierzam się pańskiemu honorowi, zapewnienia twoje skłaniają mnie do tego. Lecz przysięgam przed Bogiem, który nas słyszy, że jeżeli zdradzisz mnie, a nieprzyjaciele moi zostawią mnie przy życiu, zabiję się, a ciebie obwinę o moją śmierć.

— A ja przysięgam przed Bogiem — rzekł d'Artagnan — że jeśli zostaną ujęty, spełniając twoje rozkazy, umrę wpierw, zanim zrobię lub powiem coś, co by kogokolwiek mogło narazić.

Wtedy młoda kobieta powierzyła mu straszliwą tajemnicę, której część odkrył w przypadek na moście, przy latarni Samarytanki.

Było to dla nich wspólnym wyznaniem miłości.

D'Artagnan promieniał radością i dumą.

Posiadana tajemnica i kobieta ukochana przez niego, jednym słowem zaufanie i miłość czyniły go olbrzymem.

— Jadę — rzekł — jadę natychmiast!...

— Jak to! jedziesz pan — zawołała pani Bonacieux — a pułk twój, a dowódca?...

— Na honor, o wszystkim przez ciebie zapomniałem, ukochana Konstancjo. Tak! masz słusność, muszę mieć urlop.

— Jeszcze jedna przeszkoda — wyszeptła z goryczą pani Bonacieux.

— O! co do tej — rzekł po chwilowym namyśle d'Artagnan — bądź spokojna, usunę ją.

— Jakim sposobem?

— Jeszcze dziś wieczorem pójdę do pana de Tréville i zobowiążę go, aby wyjednał dla mnie tę łaskę, od swojego szwagra, pana Desessarts.

— A teraz druga rzecz jeszcze.

— Jaka? — zagadnął d'Artagnan, widząc, że pani Bonacieux waha się z wypowiedzeniem swej myśli.

— Może nie masz pieniędzy?

— Nie mylisz się pani — rzekł uśmiechając się d'Artagnan.

— Otóż — odparła pani Bonacieux, wyjmując z szafy trzos, który przed pół godziną mąż jej z taką miłością pieścił — weź to.

— Pieniądze kardynalskie — zawołał d'Artagnan, wybuchając śmiechem, wiemy bowiem, iż dzięki wyjętej tafli w posadzce, ani słówka nie stracił z rozmowy kramarza z żoną.

— Kardynalskie — odparła pani Bonacieux — widzisz przecie, że trzos ten przedstawia się dość przyzwoicie.

— Jak mi Bóg miły! — wykrzyknął d'Artagnan — to będzie ucieszna historia, pieniędzmi jego eminencji ocalę królowę!

— Miły i zachwycający z ciebie chłopiec — rzekła pani Bonacieux. — Wierzaj mi, iż Jej Królewska Mość nie okaże się dla ciebie niewdzięczną.

— O! jestem już wynagrodzony wspaniale — zawołał d'Artagnan. — Pozwalasz mi powiedzieć, iż cię kocham; to większe szczęście, niż mogłem się spodziewać.

— Cicho! — odezwała się pani Bonacieux, zadrżawszy.

— Co takiego?

— Słyszę na ulicy rozmowę.

— To głos...

— Mojego męża. Tak, to on!

D'Artagnan rzucił się do drzwi i zasunął rygiel.

— Nie wejdzie, dopóki ja stąd nie wyjdę — rzekł otworzysz mu, kiedy mnie już nie będzie.

— Lecz i ja tu być nie powinnam. Jeżeli zostanę, jak usprawiedliwię zniknięcie pieniędzy?

— Słusznie, trzeba wyjść.

— Wyjść, a jak nas zobaczy?

— To trzeba wejść do mnie.

— A! mówisz to takim tonem, że mnie przerażasz — zawołała pani Bonacieux.

Słowa te wyrzekła ze łzami w oczach.

Dostrzegł jej d'Artagnan i pomieszany, zmiękczonej, rzucił się jej do kolan.

— U mnie — rzekł — będziesz bezpieczna, jak w świątyni, słowem szlacheckiem ci ręczę.

— Idźmy — rzekła — ufam ci, mój drogi.

D'Artagnan odsunął ostrożnie rygiel, i oboje, jak dwa lekkie cienie, przesunęli się przez drzwi wewnętrzne do korytarza, bez szelestu przebyli schody i weszli do pokoju d'Artagnana.

Znalazłszy się u siebie, młodzieniec, dla wszelkiego bezpieczeństwa zabarykadował drzwi.

Podeszli tu do okna i przez szparę w okiennicy ujrzeli pana Bonacieux, rozmawiającego z mężczyzną w płaszczu.

Na widok tego ostatniego, d'Artagnan skoczył jak oparzony i, chwytając rękojeść szpady rzucił się ku drzwiom.

Był to mężczyzna z Meung.

— Co robić zamysłasz? — krzyknęła pani Bonacieux — chcesz nas zgubić!

— Ależ przysięgam sobie zabić tego człowieka — odparł d'Artagnan.

— Życie twoje nie do ciebie teraz należy. Zabraniam ci, w imieniu królowej, narażać się na niebezpieczeństwa, nie mające łączności z twoją podróżą.

— A w swoim imieniu, czy nic mi nie rozkazujesz?

— W moim — odrzekła z żywym wzruszeniem pani Bonacieux — w moim imieniu proszę cię o to. Lecz posłuchajmy, zdaje mi się, iż mówią o mnie.

D'Artagnan zbliżył się do okna i nadstawił ucha.

Pan Bonacieux otworzył drzwi i, widząc, że mieszkanie puste, powrócił do mężczyzny w płaszczu, którego pozostawił na chwilę samego.

— Wysła — rzekł — musiała powrócić do Luwru.

— Pewny zatem jesteś — odparł obcy mężczyzna — że nie przypuszcza, w jakich zamiarach wyszedłeś?

— Nie — odrzekł zrozumiąle Bonacieux — ona w ogóle mało myśli, to kiepska głowa kobieca!...

— A ten kadet z gwardji czy jest w domu?

— Chyba że nie, bo, jak pan widzisz, okiennica u niego zamknięta i żadnego światła nie widać przez szpary.

— To nic, należałoby się przekonać.

— W jaki sposób?

— Zapukać do jego drzwi.

— Zapytam służącego.

Bonacieux wszedł do mieszkania, przeszedł drzwiami, którymi umknęli zbiegi, stanął w sieni d'Artagnana i zapukał.

Nikt się nie odezwał. Porthos, dla większej parady u siebie, pożyczył na ten wieczór Plancheta. D'Artagnan zaś nie myślał dawać znaku życia.

W chwili, gdy palec pana Bonacieux odbił się o drzwi, dwojgu młodym ludziom o mało serce nie wyskoczyło z piersi.

— Nie ma nikogo — rzekł Bonacieux.

— Mniejsza o to, wejdźmy w każdym razie do pana, bezpieczniejsi będziemy, niżli tu na progu.

— A! mój Boże! — szepnęła pani Bonacieux — nic już nie usłyszymy.

— Przeciwnie — odparł d'Artagnan — i to daleko lepiej.

Odsunął taflę z posadzki, która tworzyła z pokoju jego coś na kształt ucha Djonizuszowego, rozpostarł na ziemi dywan, ukląkł na nim, dając znak pani Bonacieux, aby również, jak on, pochyliła się nad otworem.

— Przekonany jesteś, że nie ma tam nikogo? — rzekł obcy mężczyzna.

— Ręczę za to — odrzekł Bonacieux.

— I myślisz, że twoja żona?...

— Powróciła do Luwru.

— Nie widząc się z nikim, prócz z tobą?

— Jestem tego pewny.

— W tem grunt... rozumiesz?

— O!... rozumiem, że nowina, którą powiedziałem panu, jest ważna...

— Nadzwyczajnie, drogi mój Bonacieux, nie taję tego bynajmniej.

— Więc kardynał będzie ze mnie zadowolony?

— Spodziewam się.

— Wielki kardynał!...

— Czy pewny jesteś, że żona w rozmowie z tobą nie wymieniła żadnego nazwiska?

— Nie zdaje mi się.

— Nie wymieniała ani pani de Chevreuse, ani pana de Buckingham, ani pani de Vernet?

— Nie, powiedziała tylko, że wyprawiłaby mnie do Londynu dla załatwienia sprawy jakiejś osobistości, wysoko położonej.

— Zdrajca!... — szepnęła pani Bonacieux.

— Cicho! — rzekł d'Artagnan, ujmując jej rączkę, którą mu bezwiednie oddała.

— W każdym razie — ciągnął mężczyzna w płaszczu — jesteś niedołągą, bo trzeba ci było udać, iż przyjmujesz zlecenie, byłbyś już teraz w posiadaniu listu; rząd, któremu grożą, byłby ocalony, a ty...

— A ja?...

— Ha!... a tobie, kardynał dałby dyplom szlachecki!...

— Powiedział to panu?

— Rozumie się, iż chciał ci sprawić tę niespodziankę.

— Bądź pan spokojny — odrzekł Bonacieux — żona moja ubóstwia mnie, jeszcze czas.

— Dureń! — szepnęła pani Bonacieux.

— Cicho! — rzekł d'Artagnan, ściskając mocniej jej rękę.

— Jak to?... jeszcze czas? — zapytał mężczyzna w płaszczu.

— Pędzę do Luwru, wywołuję panią Bonacieux, powiem jej, że się namyśliłem, dostaję list i lecę z nim do kardynała.

— To śpiesz się! ja tu powrócę wkrótce, aby się dowiedzieć, coś uczynił.

I wyszedł.

— Podły! — rzekła pani Bonacieux, i tę nazwę jeszcze stosując do męża.

— Cicho!... — odezwał się d'Artagnan, coraz mocniej ściskając jej rączkę.

Naraz, straszny ryk przerwał uwagę dwojga młodych ludzi.

Był to głos małżonka pani Konstancji, który, dostrzegłszy zniknięcie trzosa, darł się na całe gardło, że go okradziono.

— O! Boże!... — zawołała pani Bonacieux — gotów całą dzielnicę poruszyć.

Długo krzychał Bonacieux; lecz hałasy podobne, dlatego że często się powtarzały wówczas, nikogo już nie zwabiały na ulicę Grabarzy, a przytem dom kramarza nie tęga już miał reputację.

Widząc więc, że nikt nie przybywa, wybiegł z domu, krzyżąc nieustannie i słychać już tylko było głos jego, oddalający się w kierunku ulicy du Bac.

— A teraz, kiedy już poszedł sobie, na pana kolej, abyś wyszedł — rzekła pani Bonacieux — odwagi, a przede wszystkim roztropności, pamiętaj, że teraz należysz do królowej.

— Do niej i do ciebie! — zawołał d'Artagnan. — Bądź spokojna, piękna Konstancjo, stanę się godny jej wdzięczności; lecz czy powrócę, godny twojej miłości?

Młoda kobieta odpowiedziała mu na to żywym rumieńcem, który okraślił jej lica.

W kilka chwil potem d'Artagnan wyszedł osłonięty szerokim płaszczem.

Pani Bonacieux powiodła za nim rozkochanemi oczyma, lecz skoro zniknął przy zakręcie ulicy, padła na kolana i złożyła ręce.

— O! Boże!... — zawołała — weź w swoją opiekę królową i nie opuszczaj mnie!...

ROZDZIAŁ XIX. PLAN WYPRAWY

D'Artagnan udał się wprost do pana de Tréville. Rozważył, iż za chwilę kardynał uprzedzony zostanie przez tego potępięca, który widocznie był jego agentem, i słusznie sądził, iż nie ma czasu do stracenia. Serce młodzieńca radością było wezbrane.

Zdarzała mu się sposobność, w której były jednocześnie sława i pieniądze do zdobycia, a na domiar czynniki te, jak gdyby na zachętę, zbliżały go do kobiety, którą ubóstwiał. Wypadek więc czynił dla niego, niżby śmiało żądać od Opatrzności.

Pan de Tréville znajdował się w salonie, jak zwykle, otoczony szlachtą.

D'Artagnan, którego znano, jako dobrze widzianego, udał się prosto do gabinetu i polecił, aby dano znać, iż czeka w sprawie nader ważnej.

Po upływie pięciu minut wszedł pan de Tréville.

Na pierwszy rzut oka, poznał zacny kapitan z oblicza, na którym radość się malowała, iż zaszło rzeczywiście coś niezwykłego.

Przez całą drogę d'Artagnan stawiał sobie pytanie: czy wypadało zwierzyć się panu de Tréville, czy też żądać tylko udzielenia odeń pozwolenia na zupełnie swobodne działanie w tajemnej sprawie. Lecz pan de Tréville tak nieskończenie dobry był dla niego, a sam tak oddany królowi i królowej, tak serdecznie przytem nienawidził kardynała, iż młodzieniec postanowił opowiedzieć mu wszystko.

— Żądałeś widzenia mnie, młody mój przyjacielu? — odezwał się pan de Tréville.

— Tak, panie — rzekł d'Artagnan — i mam nadzieję, iż pan mi przebaczy, że go trudzę, gdy się dowiesz, o co tu chodzi.

— Mów więc, słucham.

— Chodzi tu ni mniej ni więcej — rzekł d'Artagnan, głos zniżając — o cześć, a może nawet i o życie królowej.

— Co mówisz?... — zagadnął pan de Tréville, potoczywszy wzrokiem dokoła, dla upewnienia się, czy są sami i skupiając wejrzenie badawcze na d'Artagnanie.

— Mówię panu, iż wypadek uczynił mię panem tajemnicy...

— Którą spodziewam się, młodzieńcze, iż zachowasz kosztem twojego życia.

— Ale winienem ją powierzyć panu, bo ty jedynie dopomóc mi możesz w spełnieniu zlecenia, które otrzymałem od Jej Królewskiej Mości.

— Czy tajemnica ta do ciebie należy?

— Nie, panie, lecz do królowej.

— A czyś upoważniony do powierzenia mi jej?

— Nie panie, zlecono mi najgłębszą tajemnicę.

— Dlaczegoż więc chcesz ją zdradzić przede mną?...

— Ponieważ, mówię, bez pana nie mogę nic zrobić, a lękam się, byś nie odmówił mi łaski, której żądać przychodzę, jeżeli nie będziesz wiedział, w jakim celu o nią proszę.

— Zachowaj tę tajemnicę, młodzieńcze, i mów, czego pragniesz?

— Pragnę, abyś pan dla mnie otrzymał od pana Desessarts, urlop dwutygodniowy.

— Kiedy?

— Tej nocy jeszcze.

— Opuszczasz Paryż?

— Jadę z poleceniem.

— Czy możesz mi powiedzieć dokąd?
 — Do Londynu.
 — Czy zależy komu na tem, abyś się tam nie dostał?
 — Sądzę, iż kardynał dałby wszystko na świecie, aby mi w tem przeszkodzić.
 — Sam jedziesz?
 — Sam.
 — W takim razie nie dojedziesz nawet do Bondy: ja ci to mówię, słowo Trévilla.
 — Dlaczego?
 — Zamordować cię każą.
 — Umrę, spełniając swój obowiązek.
 — Lecz posłannictwo twoje nie będzie spełnione.
 — To prawda — zauważył d'Artagnan.
 — Wierź mi — ciągnął dalej Trévillle — w przedsięwzięciach tego rodzaju na czterech, jeden tylko dotrzeć może do miejsca.
 — A! masz pan słuszność — rzekł d'Artagnan — lecz znasz przecie Athosa, Porthosa i Aramis i wiesz, czy mogą nimi rozporządzać.
 — Ale nie powierzaj im tajemnicy, której i ja znać nie chcę.
 — Raz na zawsze przysięgliśmy sobie ślepe zaufanie i wierność bez granic; wreszcie pan może im powiedzieć, iż ufasz mi zupełnie, a tak samo, jak pan, i oni mi zawierają.
 — Mogę każdemu z nich posłać dwutygodniowy urlop, nic więcej; Athosowi, któremu rana dolega, aby udał się do wód w Forges; Porthosowi zaś i Aramisowi, aby towarzyszyli przyjacielowi, który potrzebuje ich pomocy w chorobie. Doręczenie urlopu będzie dowodem, iż upoważniam ich do podróży.
 — Dzięki, panie, jesteś nieskończenie dobry.
 — Idź więc do nich natychmiast i niech wszystko będzie tej nocy gotowe. A!... napisz-że mi zaraz prośbę do pana Desessarts. Być może, iż miałeś szpiega za piętami, a w takim razie odwiedziny twoje znane są już kardynałowi, będą tem przynajmniej uprawnione.
 D'Artagnan napisał prośbę, a pan de Trévillle, biorąc ją do ręki, zaręczył, iż przed drugą po północy cztery urlopy przesłane zostaną do własnych mieszkań muszkietarów.
 — Zechciej pan odesłać mój do Athosa — rzekł d'Artagnan. — Przy powrocie do siebie, lękam się jakiego zdradzieckiego spotkania.
 — Bądź spokojny. Bywaj zdrow i szczęśliwej drogi! Ale! ale! — rzekł Trévillle, przywołując go na powrót.
 D'Artagnan zawrócił.
 — A masz ty pieniądze?
 D'Artagnan zabrzączał trzosem w kieszeni.
 — Ale czy dosyć? — zapytał de Trévillle.
 — Trzysta pistołów.
 — To dobrze, można z tem na koniec świata zajechać; ruszaj więc.
 D'Artagnan pożegnał pana de Trévillle, który podał mu rękę, młodzieniec uściśnął ją z szacunkiem i wdzięcznością.
 Odkąd przybył do Paryża, mógł tylko poszczycić się tym niezrównanym człowiekiem, którego w każdym wypadku znajdował zawsze zacnym, prawym i wielkim.
 Najpierw udał się do Aramisa, a nie był u niego od owego pamiętnego wieczoru, kiedy śledził panią Bonacieux.
 Co więcej, ile razy widział go odtąd, spostrzegał smutek głęboki, rozlany na jego obliczu.
 Tego wieczora również Aramis siedział chmurny i zamyślony.
 D'Artagnan zagadnął go o tę ponurą melancholję, lecz Aramis zwał wszystko na komentarze nad osiemnastym rozdziałem świętego Augustyna, które napisać był zmuszony na tydzień następnny i to, jak mówił, tak go wielce zajmowało.
 Gdy rozmawiali już czas jakiś, wszedł służący pana de Trévillle, niosąc papiery zapieczętowane.
 — Cóż to takiego? — zapytał Aramis.
 — Urlop, żądany przez pana — odrzekł lokaj.
 — Przeze mnie? ja wcale nie żądałem urlopu.

— Nic nie mów, tylko bierz — odezwał się d'Artagnan — ty, przyjacielu, masz pół pistola za fatygę; podziękuj bardzo panu de Tréville od pana Aramis. Ruszaj.

Służący skłonił się nisko i wyszedł.

— Cóż to znaczy? — zapytał Aramis.

— Wybieraj się w podróż dwutygodniową i chodź ze mną.

— Ależ ja teraz właśnie nie mogę wyjechać z Paryża, nie wiedząc...

Aramis zaciął się.

— Co się z nią stało, nieprawdaż? — dokończył d'Artagnan.

— Z kim? — podchwycił Aramis.

— Z damą, która tu była, z damą o haftowanej chusteczce.

— Kto ci o tem powiedział? — zawołał Aramis, blednąc jak chusta.

— Widziałem ją.

— I ty wiesz, kto ona jest?

— Domyślam się przynajmniej.

— Słuchaj — rzekł Aramis — skoro tyle rzeczy już ci wiadomo, może wiesz także, co się z nią stało?

— Sądzę, iż powróciła do Tours.

— Do Tours? a tak, więc znasz ją widocznie. Lecz, jak mogła tam powrócić, nie powiedziawszy mi o tem ani słowa?

— Obawiała się, aby nie aresztowano.

— Czemu nie napisała do mnie?

— Bo lękała się tem skompromitować ciebie.

— D'Artagnanie, życie mi zwracasz! — zawołał Aramis. — Sądziłem już, że mną wzgardzono, że mnie zdradzono. Tak szczęśliwy się czułem, ujrawszy ją znowu! Nie mogłem uwierzyć, aby narażała swoją wolność dla mnie; a jednak jaka przyczyna sprowadzić ją mogła do Paryża?

— Przyczyna, dla której dziś wyruszamy do Londynu.

— A coż to za przyczyna? — zapytał Aramis.

— Dowiesz się o niej kiedyś, Aramisie; na teraz chcę naśladować powściągliwość w mowie siostrzenicy doktora.

Uśmiechnął się Aramis, przypomniał sobie bowiem bajkę, opowiedzianą przyjacielom.

— Dobrze! skoro więc wyjechała z Paryża, a ty pewny tego jesteś, d'Artagnanie, nic mnie już nie zatrzymuje, i gotów jestem z tobą pojechać... Dokądże teraz idziesz?

— Do Athosa, ale proszę cię, śpiesz się, bo dużo czasu już straciliśmy. Zawołaj Bazina.

— Czy i on z nami pojedzie?

— Może. W każdym razie byłoby dobrze ażeby z nami poszedł do Athosa.

Aramis przywołał Bazina i rozkazał mu podążyć za nimi do Athosa.

— Chodźmy — rzekł biorąc płaszcz, szpadę i trzy pistolety i otwierając wszystkie szufladki dla przekonania się, czy w nich nie znajdzie choć kilku zabłąkanych pistoletów.

Przekonawszy się ostatecznie, że poszukiwania te są zbyteczne, ruszył za d'Artagnanem, rozmyślając, w jaki sposób młody kadet z gwardji tak dobrze, jak i on, wiedział, kto była ta dama, której udzielił gościnności u siebie, i że lepiej jeszcze wiedział od niego, co się z nią stało.

Wychodząc, Aramis położył rękę na ramieniu d'Artagnana i wpatrzywszy się w niego badawczo, rzekł:

— Nie mówiłeś o niej nikomu?

— Nikomu w świecie.

— Ani Athosowi, ani Porthosowi nawet?

— Nie pisałem ani słówka.

— Tem lepiej.

Spokojny już zupełnie, Aramis szedł obok d'Artagnana, wkrótce obydwaj przybyli do Athosa.

Zastali go z urlopem w jednej i listem od pana de Tréville w drugiej ręce.

— Czy nie moglibyście mnie objaśnić, co znaczy ten urlop i ten list, który odebrałem? — zapytał ich zdziwiony.

„Drogi mój Athosie, i ja chciałbym, skoro zdrowie twoje koniecznie tego wymaga, abys mógł odpocząć przez parę tygodni. Wybierz się więc do wód w Forges, lub dokąd ci się podoba, i powróć należycie do zdrowia.

Dobrze ci życzący,

Tréville.”

- List ten i urlop znaczą, Athosie, że potrzeba jechać ze mną.
- Do wód w Forges?
- Wszystko jedno dokąd.
- W usługach króla?
- Króla i królowej, bo czyż nie jesteśmy sługami ich królewskich mości?
- W tej chwili wszedł Porthos.
- Co u licha — rzekł — dziwne rzeczy się dzieją; odkądże to w muszkietierach udzielają ludziom urlopów, gdy o nie nie proszą wcale?
- Odtąd, odkąd mają przyjaciół, którzy żądają tego w ich imieniu — rzekł d’Artagnan.
- A! a! — zawołał Porthos — widocznie coś tu nowego się święci?
- Tak — rzekł Aramis — jedziemy.
- Dokąd?
- Na honor, nie mam pojęcia — odezwał się Athos — zapytaj d’Artagnana.
- Do Londynu, panowie — odrzekł tenże.
- Do Londynu! — wykrzyknął Porthos — a cóż my tam będziemy robili?
- Tego właśnie powiedzieć wam nie mogę, trzeba mi zaufać.
- Ależ na podróż taką potrzeba pieniędzy — dodał Porthos — a ja ich nie mam wcale.
- Ani ja — odezwał się Aramis.
- Ani ja — rzekł Athos.
- Ja mam — odparł d’Artagnan, wyciągając skarb swój z kieszeni i kładąc go na stole. — Trzos ten zawiera trzysta pistolów; każdy z nas weźmie po siedemdziesiąt pięć; to wystarczy, aby zjechać do Londynu i powrócić stamtąd. Zresztą, bądźcie spokojni, nie wszyscy my tam dojedziemy.
- A to czemu?
- Bo według wszelkiego prawdopodobieństwa, niektórzy z nas pozostaną w drodze.
- Czyż to jaka wyprawa wojenna?
- I to najniebezpieczniejsza, oznajmiam wam, moi panowie.
- Masz tobie! lecz jeżeli mamy iść na śmierć, chciałbym przynajmniej wiedzieć, dlaczego? — rzekł Porthos.
- O! dużo na tem skorzystasz — odezwał się Athos.
- Jednakże i ja jestem tego zdania, co Porthos — rzekł Aramis.
- A czy słyszeliście kiedy, aby król nam zdawał sprawę? Nie; mówi wam ot po prostu: Panowie, biją się w Gaskonji, czy też we Flandrji; idźcie tam bić się!... i idźcie. Dlaczego? wszak to was nie obchodzi bynajmniej.
- Słusznie powiada d’Artagnan — przemówił Athos — mamy trzy urlopy od pana de Tréville i mamy trzysta pistolów, nie wiem od kogo. Idźmy więc dać się zabić tam, dokąd nas posyłają. Czyż życie warte jest tyle rozpraw? D’Artagnanie, gotów jestem z tobą iść.
- Ja także — rzekł Porthos.
- I ja też — dodał Aramis. — Zwłaszcza, że chętnie opuszczę Paryż. Potrzebuję rozrywki.
- Tem lepiej! będziecie jej mieć niemało, moi panowie, bądźcie tego pewni! — podchwycił d’Artagnan.
- No, a teraz, kiedyż jedziemy? — zagadnął Athos.
- Natychmiast — odparł d’Artagnan — nie mamy do stracenia ani chwili.
- Hola! Grimaud, Planchet, Mousqueton, Bazin! — krzyknęły czterej młodzieńcy, przywołując swoich pacholków — czyścić nam buty i sprowadzić konie ze stajni pałacowej.

Każdy muszkietier trzymał w stajni ogólnych koszar konia swego i swego pacholka. Wszyscy czterej służący popędzili cwałem.

— A teraz ułożmy plan wyprawy — odezwał się Porthos. — Dokąd najpierw jedziemy?

— Do Calais — odparł d'Artagnan — jest to droga najprostsza do Londynu.

— Niech i tak będzie! — rzekł Porthos — ale ja bym coś powiedział...

— Mów.

— Czterej mężczyźni, podróżujący razem, wyglądają zawsze podejrzanie: D'Artagnan da każdemu z nas zlecenie. Ja najprzód wyruszę drogą do Boulogne, we dwie godziny po mnie Athos wypuści się w stronę Amiens; Aramis podąży za nami drogą do Noyon; d'Artagnan zaś pojedzie, którego mu się spodoba, w ubraniu Plancheta, gdy tymczasem Planchet uda się za nami, przebrany za d'Artagnana w mundurze gwardzistów.

— Panowie — odezwał się Athos — mojem zdaniem, me należy wtajemniczać pacholków w sprawy tego rodzaju: szlachta nieraz zdradza tajemnice podobne, służba sprzedaje je zawsze.

— Plan Porthosa wydaje mi się niepraktycznym, z tego względu, iż ja sam nie wiem, jakie zlecenia dać mu mogę. Jestem oddawcą listu, nic więcej. Nie mam i nie mogę stworzyć trzech kopii tego pisma koło zamknięte jest pieczęcią; według mego więc zdania, wypada nam podróżować wspólnie. List ten tu się znajduje, w tej oto kieszeni.

I wskazał, gdzie list ma ukryty.

— Jeżeli zabity zostanie, jeden z was go weźmie i dalej pojedzie; gdy padnie ten drugi, przyjdzie kolej na innego, i tak następnie; chodzi przecie o to, aby choć jeden dotarł do miejsca.

— Brawo, d'Artagnan! zgadzam się z tobą zupełnie rzekł Athos. — Nade wszystkim należy być konsekwentnym; ja mam się leczyć kąpielami, wy mi towarzyszyć będziecie; jestem wolny. Jeżeli zechcą nas aresztować, pokażę list pana de Tréville, a wy wasze urlopy; jeżeli napastować was będą, bronić się będziemy razem; jeżeli sądzić nas będą, utrzymywać będziemy do ostatniego, że nie mieliśmy innego zamiaru, prócz kąpania się w morzu; pojedynczo nie trudno byłoby nam poradzić, gdy tymczasem czterech mężczyzn razem tworzy już zastęp pokazny. Uzbroimy czterech pacholków w pistolety i muszkiety; gdyby nawet armję przeciw nam wysłano, stawimy jej czoło, a ten, który przeżyje, jak mówi d'Artagnan, doręczy list.

— Dobrze powiedział — zawołał Aramis — nie często mówisz, Athosie, lecz, gdy się odezwiesz, to już, jak święty Jan Złotousty. Ja przyjmuję plan Athosa. A ty, Porthosie?

— Ja także — odrzekł tenże — jeżeli tylko podoba się d'Artagnanowi. On, jako oddawca listu, jest z natury rzeczy wodzem wyprawy; niech postanowi, a my wykonamy.

— A więc! — odezwał się d'Artagnan — postanawiam, iż przyjmujemy plan Athosa i że za pół godziny wyruszymy w drogę.

I każdy z nich, sięgnąwszy ręką do trzosa, wziął siedemdziesiąt i pięć pistoletów i przygotowywał się do wyjazdu o umówionej godzinie.

ROZDZIAŁ XX. PODRÓŻ

O drugiej nad ranem czterej ochotnicy nasi, wyjechali z Paryża przez rogatkę Ś-go Dionizego.

Noc usposabiała ich do milczenia; mimowoli ulegli wpływowi ciemności i wszędzie podejrzewali zasadzki.

Pierwszy brzask dzienny rozwiązał im języki. Wesołość powraca ze słońcem.

Jak gdyby w przeddzień potyczki, serca im biły, oczy się świeciły, czuli, że życie, które może im przyjdzie pożegnać, jest bądź co bądź skarbem drogocennym.

Zastęp ich wyglądał nader groźnie.

Kare konie muszkietierów, postawa ich wojenna, miarowy z nawyknięcia chód koni, aż nadto wyraźnie zdradzały ich sekretne incognito.

Za nimi jechali pacholki, zbrojni od stóp do głów.

Wszystko szło jak najlepiej aż do Chantilly, dokąd przybyli około godziny ósmej z rana. Należało spożyć śniadanie. Zatrzymali się przed oberżą, którą zalecał znak, przedstawiający świętego Marcina, oddającego ubogiemu połowę swojego płaszcza.

Przykazano pachołkom nie rozsiodływać koni i być w pogotowiu do niezwłocznego wyjazdu.

Weszli do sali ogólnej i zasiedli do stołu.

Jakiś szlachcic, przybyły drogą od Dammartin, jadł śniadanie przy tym samym stole. Wdał się z nimi w rozmowę o pogodzie i deszczu; podróżni nasi odpowiadali mu; wypił za ich zdrowie, ci znów odwzajemnili się mu grzecznością za grzeczność.

W chwili jednak, gdy Mousqueton oznajmił, że konie gotowe, i zaczęto wstawać od stołu, nieznajomy zaproponował Porthosowi wypić za zdrowie kardynała. Porthos zgodził się na to chętnie, z warunkiem, że szlachcic wypije też za zdrowie króla. Nieznajomy odparł mu ostro, że nie zna innego króla, prócz jego eminencji. Wtedy Porthos nawymyślał mu od pijaków, a tamten pochwycił za szpadę.

— Głupstwo zrobiłeś — rzekł Athos — trudna rada, nie ma teraz sposobu wycofania się, zabij tego człowieka i dopędź nas, jak możesz najprędzej.

I wszyscy trzej dosiedli koni i puścili się cwałem, a Porthos obiecywał przeciwnikowi swojemu, że przedziurawi go wszystkimi pchnięciami, znanymi w szermierce.

— Już nas o jednego mniej — rzekł Athos, odjechawszy pięćset kroków.

— Dlaczego ten człowiek przyczepił się do Porthosa, a nie do którego z nas? — zapytał Aramis.

— Bo Porthos ze wszystkich nas krzyczy najgłośniej, wziął go więc za przywódcę — odrzekł d'Artagnan.

— Zawsze mówiłem, że ten kadet gaskoński jest studnią mądrości — mruknął pod nosem Athos.

I dalej jechali.

W Beauvais zatrzymali się przez dwie godziny, dla wytchnienia koni i chcąc poczekać na Porthosa. Po upływie jednak tego czasu, ponieważ ani jego ani wieści o nim nie było, w dalszą ruszyli drogę.

O miłą za Beauvais, w miejscu, gdzie droga wiała się wąwozem pomiędzy wzgórzami, napotkali ośmiu czy dziesięciu ludzi, którzy nie wiadomo po co kopali tu ziemię i w miękkim gruncie tworzyli kałuże błotniste.

Aramis, bojąc się zawałania buczków w tych sztucznych trzęsawiskach, zgromił ich ostro.

Athos chciał go powstrzymać, lecz było już za późno.

Robotnicy odpowiedzieli drwinkami.

Wobec takiego zuchwalstwa nawet chłodny Athos stracił głowę i na jednego z nich najechał koniem.

Wtedy ludzie ci cofnęli się do przydrożnego rowu i pochwycili ukryte muszkiety.

Wycelowali do siedmiu naszych podróżnych.

Aramisowi kula przebiła ramię, inna utkwiała Mousquetonowi w mięśniu, będącym przedłużeniem niższej części krzyża.

Mosqueton spadł z konia wprawdzie nie dlatego, że rana jego była niebezpieczna, lecz że jej obejrzeć nie mógł i sądził zapewne, że jest groźniejszą.

— To zasadzka — odezwał się d'Artagnan — nie dajmy się wziąć na wędkę! dalej w drogę!...

Aramis, choć ranny, chwycił się grzywy konia, który uniósł go za innymi.

Wierzchowiec Mousquetona także ich dognał i galopował w szeregu bez jeźdźca.

— Będziemy mieli konia zapasowego — rzekł Athos.

— Wolałbym kapelusz — odezwał się d'Artagnan — mój zdmuchnęła mi kula. Całe szczęście, na honor, że list się w nim nie znajdował.

— Otóż masz! gotowi zabić biednego Porthosa, jak będzie tamtędy przejeżdżał — zauważył Aramis.

— E!... gdyby był na nogach, dopędziłby nas już dotąd — rzekł Athos. — Wszystko mi się zdaje, że ten pijak trzeźwym już był przy pojedynku.

I pędzili jeszcze galopem przez godzin parę, choć konie tak były zmęczone, że obawiano się, aby wkrótce nie odmówiły posługi.

Podróżni jechali na przelaj, w nadziei, iż tym sposobem unikną zaczepki; lecz w Crevecoeur Aramis oświadczył, że dalej jechać nie może.

W istocie trzeba było wielkiej jego odwagi, ukrytej pod elegancką powierzchownością i gładkiem obejściem, aby wytrwać aż dotąd.

Co chwila bladł straszliwie i musiano go podtrzymywać na koniu; zsadzono go przed bramą oberży, pozostawiono z nim Bazina, który więcej zawadzał, niż pomagał, w utarczce, i puszczono się w drogę, w nadziei, że noc będzie można przepędzić w Amiens.

— Do diabła! — zaklął Athos, gdy znowu jechali poczem, zmniejszonym do dwóch panów i tyluż pacholków — do diabła! już więcej nie dam się złapać i przyrzekam, że nie otworzę gęby, ani szpady nie dotknę, aż do samego Calais. Przysięgam...

— Nie przysięgajmy!... — odezwał się d'Artagnan — pędźmy co tchu, jeżeli tylko przystaną na to nasze konie.

I, spinając ostrogami boki wierzchowców, podniecali słabnące w nich siły.

O północy stanęli w Amiens i zatrzymali się w oberży pod Żłotą Lilją.

Oberżysta wyglądał na człowieka najuczciwszego pod słońcem, przyjął podróżnych ze świecą w jednej, a szlafmycą w drugiej ręce; ofiarowywał każdemu z nich osobny śliczny pokoik.

Na nieszczęście dwa te pokoje położone były na przeciwnych krańcach oberży.

D'Artagnan i Athos odmówili; gospodarz odpowiedział, że nie rozporządzał innymi pokojami, godnymi tak wielkich panów; ci zaś oświadczyli, iż gotowi są przespać się w izbie ogólnej, choćby na materacu, rzuconym na ziemię.

Oberżysta nalegał, oni nie ustąpili; trzeba było nareszcie zrobić tak, jak chcieli.

Ale tylko co przyrzadzili sobie posłanie i zatarasowali drzwi od wewnątrz, gdy ktoś zapukał do okiennicy od podwórza.

Spytali: kto tam? a poznawszy głosy pacholków swoich otworzyli.

Rzeczywiście byli to Planchet i Grimaud.

— Grimaud sam dopilnuje koni... — odezwał się Planchet — a ja, jeżeli panowie zechcą pozwolić, położę się pod ich drzwiami i będzie pewność, że nikt tutaj nie wejdzie.

— A na czym się położysz? — zapytał d'Artagnan.

— Mam posłanie — odparł Planchet, wskazując na wiązki słomy.

— A to chodź — rzekł d'Artagnan, — nawet może i masz słusność; twarz tego oberżysty nie bardzo mi się podoba, zanadto jest uprzejmy.

— I mnie także niekoniecznie — odezwał się Athos.

Planchet wdrapał się oknem i położył się w poprzek drzwi, a Grimaud zamknął się w stajni, zaręczając, iż o piątej z rana wraz z końmi będzie gotowy.

Noc upłynęła dość spokojnie, jednakże około drugiej nad ranem, ktoś próbował drzwi; ponieważ jednak Planchet, obudzony się nagle zawołał: kto tam? odpowiedział ten ktoś, że się pomylił i odszedł.

O czwartej posłyszano hałas okrutny w stajni.

Grimaud chciał zbudzić parobków, a ci go zaczęli bić.

Śpiący w oberży, otworzywszy okno, ujrzeli biedaka bez przytomności, z głową rozciętą trzonkiem od widel.

Planchet wyskoczył na podwórze, chcąc siodłać konie, i lecz były ochwacone. Jeden tylko wierzchowiec Mousquetona, który przez kilka godzin podróż odbywał bez jeźdźca, mógł służyć do dalszej drogi, jednak przez pomyłkę, trudną do pojęcia, weterynarz, po którego posłano, jak się pokazało, dla puszczenia krwi koniowi oberżysty, uczynił to z koniem Mousquetona.

Wszystko to stawało się niepokojącym, bo przygody ubiegłe mogły być wprawdzie zrzędzeniem wypadku, lecz tak dobrze i wynikiem planu, uknutego z góry.

Athos i d'Artagnan pozostali, Planchet tymczasem poszedł się dowiedzieć, czy niema gdzie w pobliżu trzech koni do nabycia.

Przed bramą stały założone dwa konie, osiadlane do drogi, wypoczęte i silne. Dobrze się to zdarzyło.

Planchet zapytał, gdzie są ich właściciele, odpowiedziano mu, że nocowali w oberży i w tej chwili rachowali się z gospodarzem.

Athos udał się także dla załatwienia rachunku, d'Artagnan zaś i Planchet pozostali w bramie.

Oberżysta siedział w pokoju odległym, na dole, poproszono więc Athosa, aby się tam udał.

Athos, nie podejrzewając nic, przystąpił do oberżysty i wyjął z kieszeni dwa pistole, oberżysta siedział przy biurku, którego jedna z szufladek była otwarta.

Wziął od Athosa pieniądze i począł je oglądać na wszystkie strony, poczem krzyknął, że są fałszywe, oświadczając, że każe aresztować jego i towarzysza, jako podrabiaczy pieniędzy.

— Hultaju — syknął Athos, podchodząc do niego — uszy ci poobcinam.

W tej chwili czterech ludzi zbrojnych wpadło drzwiami bocznymi i rzuciło się na Athosa.

— Schwytano mnie — krzyknął Athos na całe gardło — d'Artagnan, uciekaj! — i strzelił po dwakroć z pistoletu.

D'Artagnan i Planchet nie w ciemną bicia, nie czekając na powtórny rozkaz, odwiązali konie, które stały przed bramą, skoczyli na nie, spięli ostrogami i popędzili cwałem.

— Czy ty wiesz, co się z Athosem stało? — zagadnął w pędzie d'Artagnan Plancheta.

— A! panie mój! — odparł Planchet — widziałem, jak dwa te strzały położyły dwóch ludzi i zdaje mi się, że widziałem także przez szyby, jak rąbał się z innymi.

— Dzielny Athos! — szepnął d'Artagnan. — Ciężko pomyśleć, że opuścić go muszę! Zresztą, kto wie, co nas tu niedługo czeka. Naprzód Planchet, naprzód! zuch z ciebie, mój chłopcze.

— Ja panu mówiłem — odrzekł tenże — że Pikardyjczycy, to taki naród, co go w potrzebie poznaje się dopiero, a teraz na swojej ziemi jestem, to mi ducha dodaje.

I obadwaj, sadząc, co koń wyskoczy, przybyli jednym tchem do Saint Omer.

Tam, zarzuciwszy cugle na ramię, dali wytchnąć koniom, sami przekąsili naprędce, stojąc na ulicy, i dalej pocwałowali.

O sto kroków od bram Calais koń d'Artagnana padł, z nozdrzy i oczu krew mu się rzuciła, i nie było sposobu ratować; był jeszcze wierzchowiec Plancheta, lecz i ten się rozparł i niepodobna było zmusić go do dalszej drogi.

Na szczęście, blisko już mieli do miasta, porzuciwszy więc wierzchowce swoje na środku drogi, pośpieszyli do portu.

Planchet zwrócił uwagę swego pana na jakiegoś szlachcica, idącego ze służącym, o jakie pięćdziesiąt kroków przed nim.

Zrównali się z nim czempredzej; wyglądał na mocno zajętego, obuwie miał pyłem pokryte, i dopytywał, czy nie mógłby się natychmiast przeprawić na brzeg angielski.

— Nic łatwiejszego — odpowiedział właściciel statku, gotowego do odpłynięcia — lecz dziś z rana przyszedł rozkaz, aby nie przewozić nikogo, bez szczególnego pozwolenia kardynała.

— Ja też je posiadam — rzekł szlachcic, wyjmując papier z kieszeni — oto jest.

— Każ je pan poświadczyć przez naczelnika przystani — rzekł właściciel statku.

— Gdzież znajdę naczelnika?

— Na letniem mieszkaniu.

— A w której to stronie?

— O ćwierć mili od miasta, nawet widać stąd dom, ten dach, pokryty dachówką, pod wzgórzem.

— Bardzo dobrze! — rzekł młody szlachcic.

I, skinąwszy na służącego swego, poszedł w tamtą stronę.

D'Artagnan i Planchet udali się za nim, w odległości pięciuset kroków.

Wydostawszy się z miasta, d'Artagnan przyspieszył kroku i zrównał się ze szlachcicem przed samym laskiem.

— Panu, jak mi się zdaje, bardzo pilno? — zagadnął go d'Artagnan.

— Ogromnie, mój panie.

— Bardzo mi przykro — rzekł d'Artagnan — lecz i mnie pilno niezmiernie, chciałem więc prosić pana o wyświadczenie mi przysługi.

— Jakiej?

— Ażebym ja był pierwej od pana.

— Niepodobna — odparł młody szlachcic — przebyłem sześćdziesiąt mil w ciągu czterdziestu czterech godzin, a jutro w południe muszę być w Londynie.

— Tę samą drogę i ja przebyłem w ciągu czterdziestu godzin, a jutro o dziesiątej rano muszę być w Londynie.

— Mocno mnie to boli, lecz ja pierwszy przybyłem, i wyprzedzić się nie pozwolę.

— I mnie bardzo przykro, lecz przybyłem później, a pierwszy tam stanę.

— Sprawa królewska!... — odezwał się szlachcic.

— A moja sprawa osobista!... — odparł d'Artagnan.

— Ależ, o ile mi się zdaje, szukasz pan ze mną zaczepki?

— A cóż pan chcesz, żeby to było, u licha!...

— Czego więc pan żądasz ode mnie?

— Chcesz się pan dowiedzieć?

— Zapewne.

— Otóż żądam rozkazu, który pan masz przy sobie, bo ja go nie posiadam, a jest mi bardzo potrzebny.

— Żartujesz pan chyba?...

— Nie żartuję nigdy!...

— Ustąp mi pan z drogi!...

— Nie przejdiesz!

— Mój ty zuchu, chcesz, abym ci łeb roztrzaskał?... Hola! Lubin! podaj pistolety.

— Planchet — odezwał się d'Artagnan — zabierz się do służki, ja pana biorę na siebie. Ośmielony poprzedniem powodzeniem, Planchet rzucił się na Lubina, a ponieważ był krzepki, przewrócił go na wznak i ukląkł mu na piersiach.

— Rób pan, co do pana należy — rzekł Planchet — ja zrobiłem już swoje.

Szlachcic, widząc to, dobył szpady i uderzył na Artagnana, lecz trafił na silnego przeciwnika.

W ciągu trzech sekund d'Artagnan zadał mu trzy pchnięcia, mówiąc za każdym:

— To za Athosa, to za Aramisa, a to za Porthosa.

Za trzeciem pchnięciem, szlachcic padł, jak kłoda.

D'Artagnan sądził, że umarł, a co najmniej zemdłony. Schylił się, aby zabrać, mu rozkaz kardynalski, lecz w chwili, gdy sięgnął ręką, aby go zrewidować, ranny, który nie wypuścił z ręki szpady, pchnął go w same piersi, mówiąc:

— A to dla ciebie...

— To dla mnie?... zobaczymy, czyje na wierzchu!... — krzyknął wściekły d'Artagnan, przybijając go do ziemi czwartem pchnięciem w brzuch.

Teraz już szlachcic zamknął oczy i zemdlął.

D'Artagnan poszukał w jego kieszeniach, zabrał rozkaz wolnego przejazdu, wypisany na imię hrabiego de Wardes.

Następnie, spojrzawszy po raz ostatni na pięknego młodzieńca, liczącego zaledwie dwadzieścia pięć lat wieku, którego zostawić miał leżącego bez czucia, a może i bez życia, westchnął nad dziwnem przeznaczeniem, doprowadzającym ludzi do wzajemnego tępienia się na rzecz tych, którzy obcymi są im zupełnie, a często nie wiedzą nawet o ich istnieniu.

Lecz z tej zadumy wyrwał go Lubin, który wydawał chrapliwe krzyki, wzywające o pomoc.

Planchet ścisnął go z całych sił za gardło.

— Panie — rzekł tenże — jak ja go tak trzymam, to nie krzyczy, ale niechno go popuszczę, zaczyna na nowo. Widzę, że to Normandczyk, a to naród uparty.

— Zaczekaj! — odezwał się d'Artagnan i, wzięwszy chustkę, zatkał Lubinowi usta.

— A teraz — rzekł Planchet — przywiążmy go do drzewa.

Skrępowali go sumiennie, hrabiego de Wardes złożyli przy nim, a ponieważ i pan i służa leżeli w głębi lasu, a dzień miał się ku schyłkowi, nie uległo wątpliwości, iż pozostaną tak do dnia następnego.

— A teraz — odezwał się d'Artagnan — do naczelnika.

— Ale pan ranny jest, o ile mi się zdaje? — rzekł Planchet.

— To nic, zajmijmy się tem, co ważniejsze; później pomyślimy o mojej ranie, która zresztą nie wydaje mi się zbyt niebezpieczna.

I puścili się wyciągniętym krokiem w kierunku siedziby urzędnika.

Oznajmiono mu hrabiego de Wardes.

D'Artagnan został wpuszczony.

— Pan masz rozkaz z podpisem kardynała? — zapytał naczelnik.
— Tak panie, oto jest — odrzekł tenże.
— A! tak, w zupełnym jest porządku — rzekł naczelnik.
— Rzec prosta — odrzekł d'Artagnan — należę do jego najwierniejszych.
— Jego eminencja widocznie chce komuś przeszkodzić w wyjeździe do Anglii.
— Tak, niejakiemu d'Artagnanowi, szlachcicowi bearnieńskiemu, który z Paryża wyjechał wraz z trzema swymi przyjaciółmi do Londynu.
— Znasz go pan osobiście? — zapytał naczelnik.
— Kogo?
— A tego d'Artagnana.
— Wybornie.
— Proszę zatem o jego rysopis.
— O! z przyjemnością.
I d'Artagnan podał co do joty rysopis hrabiego de Wardes.
— A miał kogo przy sobie?
— Tak, służącego Lubina.
— O! będziemy ich pilnowali, jeżeli tylko wpadną w nasze ręce. Jego eminencja może być spokojny, odstawimy ich do Paryża pod dobrą eskortą.
— O! panie naczelniku, dobrze się zasłużysz kardynałowi.
— Czy pan zobaczysz się z nim po powrocie?
— Bez najmniejszej wątpliwości.
— Powiedz mu, proszę, że jestem wiernym jego sługą.
— Nie omieszka.

Uradowany tem zapewnieniem naczelnik poświadczył rozkaz wolnego przejazdu i wrócił go d'Artagnanowi.

Ten zaś, nie tracąc czasu na zbyteczne grzeczności, pożegnał naczelnika, dziękując mu, i odszedł.

Wydostawszy się stamtąd, obydwaj z Planchetem puścili się pędem, nakładając drogi dla ominięcia lasku, i powrócili inną bramą.

Statek stał jeszcze gotowy do drogi, właściciel zaś oczekiwał w porcie.

— I cóż?... — zagadnął, ujrawszy d'Artagnana.

— Oto karta moja poświadczona — rzekł tenże.

— A ten drugi pan?

— Nie popłynię dzisiaj, lecz proszę być spokojnym, za nas obydwóch zapłacę.

— To ruszajmy — rzekł kapitan.

— Ruszajmy — powtórzył d'Artagnan.

I razem z Planchetem wskoczył do łodzi, a w pięć minut potem stał na pokładzie.

Było to w sam czas, gdyż zaledwie pół mili upłynęli od brzegu, d'Artagnan ujrzał błysk, a następnie strzał obił się o jego uszy.

Strzelano z armaty, na znak zamknięcia portu.

Teraz należało pomyśleć o ranie.

Nie mylił się d'Artagnan, na szczęście bynajmniej nie była ona groźna; ostry koniec szpady natrafił na żebro i wzdłuż niego się ześlizgnął, co więcej, koszula przywarła do rany, z której zaledwie kilka kropeł krwi się wydobyło.

Czuł się tylko okrutnie strudzony, położono mu na pokładzie materac, padł na niego i zasnął.

Nazajutrz, skoro świt, znalazł się o cztery mile najwyżej od brzegów Anglii; w nocy wiatr był słaby i płynęli wolno.

O dziesiątej z rana, statek zarzucił kotwicę w porcie Douvres.

O wpół do jedenastej, d'Artagnan stanął na ziemi angielskiej, mówiąc:

— Jestem nareszcie!

Nie koniec na tem; trzeba było dostać się do Londynu.

W Anglii poczta była dobra. D'Artagnan z Planchetem wzięli po podjeźdźku, pocztyljon popędził przed nimi; w cztery godziny stanęli u bram stolicy.

Gaskończyk nasz nie znalazł ani miasta ani języka; napisał wszakże na kawałku papieru nazwisko Buckinghama, a każdy mógł wskazać drogę do pałacu księcia.

Książę był w Windsorze na polowaniu z królem.

D'Artagnan zażądał widzenia się z zaufanym księciem pokojowcem, który, podróżując ze swoim panem, wybornie mówił po francusku; powiedział mu, iż przybywa z Paryża w sprawie, w której idzie o życie lub śmierć, i że zmuszony jest natychmiast mówić z jego panem.

Stanowczość, z jaką się d'Artagnan wyrażał, przekonała Patrycego — takie było imię tego pokojowca.

Kazał osiodłać dwa konie i podjął się przewodniczyć młodemu gwardziście. Plancheta zaś zsadzono z siodła, zesztyniałego, jak kij.

Biedny chłopak, gonił już ostatkami sił; d'Artagnan wydawał się żelaznym.

Przybywszy do zamku, rozpytywano się; król i Buckingham polowali z sokołami o milę stamtąd. W pół godziny niespełna znaleźli się w miejscu oznaczonym.

Patrycy posłyszał głos pana swego, przywołujący sokoła.

— Kogo mam oznajmić jego książęcej mości? — zapytał d'Artagnana.

— Młodego człowieka, który pewnego wieczora szukał z nim zaczepki na Nowym Moście przy latarni Samarytanki.

— Dziwna rekomendacja!

— Przekonasz się pan, że taka dobra, jak inna.

Patrycy puścił konia galopem, dotarł do księcia i oznajmił mu w słowach powyższych, że oczekuje go jakiś wysłaniec.

Buckingham poznał d'Artagnana od razu i domyślając się, że coś zaszło we Francji, o czym chcą mu dać wiadomość, zapytał tylko, gdzie jest ten, który nowiny przynosi, a ujrawszy z daleka mundur gwardji królewskiej, spiął konia ostrogami i prosto do niego popędził.

Dyskretny Patrycy, pozostał na uboczu.

— Czy nie zdarzyło się królowej jakie nieszczęście? — zawołał Buckingham, całą myśl i uczucie swoje w pytanie to przelewając.

— Nie sędzę; przypuszczam jednak, iż w niebezpieczeństwie wielkiem się znajduje, z którego Wasza Miłość jedynie może ją wybawić.

— Ja?... — zawołał Buckingham — byłbym tyle szczęśliwym, iżbym mógł stać się jej przydatnym w czemkolwiek! Mów! mów! proszę!...

— Oto list — rzekł d'Artagnan.

— List! od kogo?...

— Od Jej Królewskiej Mości, jak mi się zdaje.

— Od królowej — rzekł Buckingham, blednąc tak straszliwie, że d'Artagnan sądził, iż mdleje.

I złamał pieczęć.

— Co znaczy to miejsce przetarte? — zapytał, pokazując d'Artagnanowi w liście dziurę na wylot.

— A! a! — odparł tenże — nie widziałem tego; to szpada hrabiego de Wardes przedziurawiła list, przy pchnięciu mnie w piersi.

— Jesteś pan raniony? — zapytał Buckingham, zrywając pieczęć.

— O! nic to — rzekł d'Artagnan — lekkie draśnięcie.

— Boże sprawiedliwy! o czym ja się dowiaduję! wykrzyknął książę. — Patrycy! pozostań tutaj, a raczej towarzyszyć królowi wszędzie i powiedz, że błagam go pokornie, aby mi wybaczył, lecz sprawa wielkiej wagi powołuje mnie do Londynu. Jedźmy, panie, jedźmy!

I puścili się obaj galopem drogą do stolicy.

ROZDZIAŁ XXI. HRABINA DE WINTER

Przez drogę książę kazał opowiadać sobie wszystko, o czym wiedział d'Artagnan.

Porównyując to, to słyszał z ust młodzieńca, ze wspomnieniami własnymi, mógł sobie wytworzyć dokładne pojęcie o ważności położenia, którego wreszcie list królowej, jakkolwiek krótki i niejasny, dawał niemyślną miarę.

Lecz to go dziwiło najmocniej, że kardynałowi, pomimo wszelkich zabiegów, nie udało się młodzieńca zatrzymać w drodze. Gdy objawił zdziwienie swoje, wtedy d'Artagnan opowiedział mu o przedsięwziętych ostrożnościach i jak, dzięki poświęceniu trzech przyjaciół, których pozostawił skrwawionych po drodze, dostał się nareszcie do Anglii kosz-

tem pchnięcia szpadą, które list królowej przebiło, a które oddał panu de Wardes z procentem lichwiarskim.

Śluchając tego opowiadania, pełnego prostoty, książę ze zdziwieniem spoglądał na młodzieńca, jakgdyby pojąć nie mógł, aby tyle roztropności, odwagi i poświęcenia mogło się łączyć z twarzą, mającą lat najwyżej dwadzieścia.

Konie pędziły, jak wicher, tak że w kilka minut jeźdźcy stanęli u bram Londynu.

Mysłał d'Artagnan, iż, wjeżdżając do miasta, książę zwolni biegu swego wierzchowca, lecz on pędził, co koń wyskoczy, nie troszcząc się o tych, których, znalazłszy na drodze, niemilosiernie trawował.

W istocie, kiedy przejeżdżali przez starą część miasta, zdarzyło się parę takich wypadków; Buckingham jednak nie obejrzał się nawet za tymi, których roztratował w przejeździe. D'Artagnan podążał za nim wśród krzyków, bardzo podobnych do złorzeczeń.

Wjechawszy w dziedziniec pałacowy, Buckingham zeskoczył z siodła i, nie troszcząc się o konia, zarzucił mu cugle na szyję i pędem wbiegł na ganek.

D'Artagnan poszedł za jego przykładem, z pewnym niepokojem jednak o te szlachetne zwierzęta, których wartość miał już sposobność ocenić; uspokoił się przecie, zobaczywszy, że z kuchni i stajni wypadło kilku służących, aby końmi zaopiekować się natychmiast.

Książę biegł tak szybko, że d'Artagnan z trudnością mógł za nim zdążyć.

Przebył kilka salonów tak wspaniałych, o jakich panowie francuscy pojęcia nawet nie mieli i dostał się na koniec do sypialni, będącej wytworem najwyższego gustu i bogactwa.

We framudze tego pokoju znajdowały się drzwi, przybrane draperją, które książę otworzył złotym kluczem, zawieszonym u szyi na złotym łańcuszku.

D'Artagnan przez dyskrecję pozostał w tyle, Buckingham zaś w chwili, gdy miał próg przestąpić, odwrócił się i, widząc wahanie młodzieńca, rzekł doń:

— Pójdź, a skoro będziesz miał szczęście stanąć przed królową, opowiedz jej, co tu widziałeś.

Ośmielony wezwaniem, poszedł d'Artagnan za księciem, który zamknął drzwi za nim.

Znaleźli się w kapliczce, wybitej perską materją, haftowaną złotem, i oświetlonej cudownie gorejącymi świecami.

Powyżej pewnego rodzaju ołtarza, pod baldachimem z aksamitu błękitnego, przybranym w białe i czerwone pióra, umieszczony był portret wielkości naturalnej, przedstawiający Annę Austriacką, tak zadziwiająco podobny, że zjawisko to wyrwało okrzyk z piersi d'Artagnana.

Na ołtarzu, poniżej portretu, stała skrzyneczka z zapinkami djamentowemi.

Książę przystąpił do ołtarza, przyklęknął, następnie otworzył skrzyneczkę.

— Patrz pan — rzekł doń, wyjmując z niej wielką kokardę z błękitnej wstążki, iskrzącą się brylantami — patrz pan, oto są te nieocenione zapinki, z którymi, przysiągłem sobie, będę pochowany. Królowa dała mi je, królowa mi je odbiera: wola jej, jak boska, niech będzie spełniona we wszystkim.

I całował jedną po drugiej zapinki, z którymi miał się rozłączyć.

Naraz krzyknął straszliwie.

— Co się stało? — zapytał niespokojny d'Artagnan — co ci się stało, milordzie?

— Wszystko stracone — zawołał Buckingham, blednąc jak trup — brakuje dwóch zapinek, zostało ich tylko dziesięć.

— Milordzie, miałeśbyś je zgubić, a może przypuszczasz, że ci je skradziono?

— Skradziono mi je — odparł książę — a cios ten od kardynała pochodzi. Patrzaj pan, wstążki, na których były przymocowane, zostały nożyczkami ucięte.

— Może milord się domyśla, kto spełnił kradzież?... Kto wie, czy nie znajdują się one jeszcze w jego ręku.

— Zaczekaj! zaczekaj! — zawołał książę. — Raz tylko miałem na sobie te zapinki, a było to tydzień temu w Windsorze na balu u króla. Hrabina de Winter, z którą się poróżniłem dawniej, pogodziła się ze mną tego wieczora. Zbliżenie to było zemstą kobiety zazdrosnej. Nie widziałem jej odtąd. Ona jest agentką kardynała.

— Miałeśby kardynał mieć agentów we wszystkich stronach świata! — zawołał d'Artagnan.

— O! tak, tak — rzekł Buckingham, zgrzytając zębami ze złości — tak!... straszny z niego przeciwnik. A na kiedy ten bal jest oznaczony?

— Na przyszły poniedziałek.

— Na przyszły poniedziałek!... To więcej czasu, niż nam potrzeba. Patrycy! — zawołał książę, otwierając drzwi od kapliczki — Patrycy!

Zaufany pokojowiec stawił się natychmiast.

— Jubilera mojego i sekretarza!

Pokojowiec zniknął szybko i w milczeniu, co znamionowało nawyknięcie do ślepego posłuszeństwa, bez żadnych uwag.

Chociaż jubiler wezwany był pierwszy, zjawił się wprzód od niego sekretarz. Rzecz prosta, mieszkał w pałacu.

Zastał on Buckinghama w sypialnym pokoju przy stole, piszącego własnoręcznie rozkazy.

— Panie Jackson — rzekł doń — udasz się natychmiast do lorda-kanclerza i powiesz, że polecam mu wykonać te rozkazy. Żądam, aby zaraz zostały ogłoszone.

— Ale, jasnie panie, jeżeli lord-kanclerz zapyta o powody jakie skłonić mogły Waszą miłość do tak niezwykłych środków, cóż ja jemu odpowiem?

— Że tak mi się podoba, że nie jestem obowiązany z zachceń swoich zdawać komukolwiek sprawę.

— Więc kanclerz odpowiedź taką ma udzielić i Jego Królewskiej Mości — odparł sekretarz z uśmiechem — a gdyby przypadkiem przyszła królowi ciekawość dowiedzieć się, dlaczego żaden statek wypłynąć nie może z portów Wielkiej Brytanji?

— Masz słuszność — odrzekł Buckingham — mógłby pomyśleć, że zamierzam wypowiedzieć wojnę i że to pierwszy krok nieprzyjacielski przeciw Francji.

Sekretarz skłonił się i wyszedł.

— Z tej strony jesteście już zapewnieni — rzekł Buckingham, zwracając się do d'Artagnana. — Jeżeli zapinki wysłane miały być do Francji, później, niż pan, tam przybędą.

— Jakto?

— Każę nie wypuszczać statków, znajdujących się obecnie w portach Jego Królewskiej Mości i bez szczególnego pozwolenia żaden z nich nie poważy się podnieść kotwicy.

Z osłupieniem patrzył d'Artagnan na człowieka, który władzą nieograniczoną, daną mu w zaufaniu przez króla, posługiwał się dla zaspokojenia fantazji miłosnych.

Buckingham odgadnął z wyrazu twarzy młodzieńca, co działo się w myśli jego, i uśmiechnął się.

— Tak — ciągnął dalej — tak, gdyż Anna Austriacka jest moją rzeczywistą królową; na jedno jej słowo gotów jestem zdradzić swój kraj, króla, Boga mojego bym zdradził. Chciała, abym nie posyłał protestantom w Rochelli obiecanej im przeze mnie pomocy i uczyniłem tak. Nie dotrzymam słowa, to mniejsza, lecz pozostałem posłuszny jej życzeniom; czyż nie byłem wynagrodzony wspaniale za moje posłuszeństwo, powiedz sam... widzisz, temu to zawdzięczam ten portret.

D'Artagnan nie mógł wyjść z podziwu na jakiej to nikłej i niewidzialnej nitce zawieszane zostają losy całego narodu i życie tylu ludzi.

Gdy stał tak zadumany głęboko, wszedł jubiler.

Był to Irlandczyk, bardzo biegły w swej sztuce, który przyznawał sam, iż sto tysięcy liwrow zarabiał rocznie na księciu de Buckingham.

— Panie O'Reilly — rzekł książę, prowadząc go do kaplicy — obejrzyj te zapinki djamentowe i powiedz mi, ile każda z nich warta.

Jubiler jednym rzutem oka ocenił niepospolitą ich oprawę, obliczył wartość djamentów i odparł bez zająknięcia:

— Tysiąc pięćset pistolów sztuka, milordzie.

— Ile dni potrzeba na zrobienie dwóch takich zapinek? Widzisz, że ich tu brakuje.

— Osiem dni, milordzie.

— Zapłacę trzy tysiące pistolów za sztukę, a muszę je mieć pojutrze.

— Milord będzie je miał.

— Nieoceniony z ciebie człowiek, panie O'Reilly, lecz tego nie dosyć; zapinki nie mogą być powierzone nikomu, trzeba, aby zostały zrobione w tym pałacu.

— Niepodobieństwo, milordzie, ja mogę je tylko wykonać tak, iż nie będzie różnicy między nowymi a dawniejszemi.

— Dobrze, kochany panie O'Reilly, ale dlatego też więźniem moim jesteś, i teraz już, choćbyś chciał wyjść z mego pałacu, nie możesz; poddaj się więc losowi. Powiedz mi nazwiska pomocników swoich, których potrzebować będziesz, i wskaż mi narzędzia, jakie ci mają przynieść.

Jubiler znał księcia, wiedział, iż wszelkie uwagi byłyby daremne, zdecydował się więc od razu.

— Czy będzie mi wolno zawiadomić moją żonę? — zapytał.

— O! możesz się nawet z nią widzieć, kochany panie O'Reilly; uspokój się, niewola twoja będzie przyjemna, a ponieważ każdy trud wymaga nagrody, oto kwit na tysiąc pistoletów, niezależnie od tego co kosztować mają dwie zapinki, abys puścił w niepamięć przykrość, jaką ci wyrządzam.

D'Artagnan z podziwu w podziw przechodził, wobec tego ministra, który pełnemi garściami przerzucał ludźmi i milionami.

Jubiler napisał do żony, dołączając do listu kwit na tysiąc pistoletów i zobowiązując, aby w zamian przysłała mu najrzęczniejszego ucznia, garnitur djamentów z oznaczeniem wagi i wartości oraz potrzebne mu narzędzia według dołączonego wykazu.

Buckingham poprowadził jubilera do przeznaczonego mu pokoju, który w ciągu pół godziny został przeistoczony w pracownię.

Następnie rozstawił warty przy wszystkich drzwiach z rozkazem, aby nikomu nie było wolno przestąpić progu, z wyjątkiem pokojowca Patrycego.

Zbytecznym byłoby dodawać, że O'Reillemu i pomocnikowi jego wzbroniono się wydać dla jakiegobądź powodu.

Załatwiwszy się z tem, książę odezwał się do d'Artagnana:

— A teraz, młody mój przyjacielu — rzekł — Anglja należy tylko do nas dwóch; czegoś żadasz, czego pragniesz?

— Łóżka — odparł gwardzista — przynaję, że, jak teraz, jest ono jedyną rzeczą, której potrzebuję najwięcej.

Buckingham dał mu gabinet, przyległy do jego pokoju.

Chciał mieć go pod ręką, nie dlatego, aby mu niedowierzał, lecz pragnął mieć kogoś, z kim mógłby mówić bezustannie o królowej.

W godzinę później ogłoszony został w Londynie rozkaz nie wypuszczania z portów żadnego statku do Francji, ani nawet statku pocztowego, przewożącego listy.

W oczach wszystkich było to wypowiedzeniem wojny pomiędzy dwoma królestwami.

Trzeciego dnia o jedenastej rano dwie zapinki djamentowe gotowe już były i tak doskonale naśladowane, tak podobne, iż sam Buckingham odróżnić nie był w stanie nowych od dawniejszych i najbieglejsi nawet znawcy równie, jak on, mogliby być oszukani.

Zaraz więc kazał wezwać d'Artagnana.

— Słuchaj pan — rzekł — oto zapinki djamentowe, po które przyjechałeś, a bądźże mi świadkiem, że wszystko spełniłem, co tylko było w mocy ludzkiej.

— Bądź spokojny, milordzie; opowiem, co widziałem; lecz książę oddajesz mi zapinki bez szkatułki?

— Ona by ci tylko zawadzała, a dla mnie tem droższą jest, skoro sama mi tylko pozostaje. Powiesz, żem ją zachował.

— Dosłownie zlecenie wasze spełnię, milordzie.

— A teraz — odezwał się Buckingham, patrząc bystro na młodzieńca — czem ci się zdołam uiścić z długu?

D'Artagnan zaczerwienił się aż po białka oczu.

Zrozumiał, iż książę szuka sposobu zmuszenia go do przyjęcia czegoś, a myśl, że krew towarzyszy i jego własna miałyby być zapłacona złotem angielskiem, wstręt w nim obudziła.

— Porozumiejmy się milordzie — odrzekł — a najpierw rozważmy fakta należycie, aby uniknąć pomyłki. Jestem w służbie króla i królowej Francji i należę do oddziału gwardji pana Desessarts, który, zarówno jak szwagier jego pan de Tréville, jest nadewszystko przywiązany do tronu. Wszystko, co spełniłem, to dla królowej jedynie, a nie dla waszej miłości. Co więcej, może byłbym niczego nie dokonał, gdyby mi nie szło o przypodobanie się damie mego serca, która jest dla mnie tem, czem dla was królowa.

— Zapewne — odrzekł książę z uśmiechem — i zdaje mi się nawet, że znam tę osobkę, jest to...

— Milordzie, imienia jej nie wymówiłem — przerwał z żywością młodzieniec.

— Słusznie — podchwycił książę — jej więc winienem wdzięczność za twoje poświęcenie.

— Nie przeczę, milordzie, bo właśnie w tym czasie, gdy się zanosi na wojnę, przyznaję, że widzę w waszej miłości tylko Anglika, a więc wroga, którego wolałbym spotkać na polu bitwy, aniżeli w parku Windsorskim lub korytarzach Luwru; nie przeszkodzi mi to wszelako wykonać sumiennie zlecenia, i jeżeli zajdzie potrzeba, dać się zabić, byle je spełnić wiernie.

— U nas jest przysłowie: „Hardy, jak Szkot” — mruknął Buckingham.

— A u nas: „Hardy, jak Gaskończyk” — odrzekł d’Artagnan. — Gaskończycy są Szkotami Francji.

Z temi słowy skłonił się księciu i zabierał się do odwrotu.

— Cóż znowu?... idziesz już sobie?... którędy?... w jaki sposób?...

— A prawda!

— Panie odpuść! ci Francuzi zawsze są pewni siebie!...

— Zapomniałem, że Anglja jest wyspą, a wy królem na niej, milordzie.

— Udać się do portu, zapytaj o dwumasztowiec *Zund* i doręcz ten list kapitanowi; on cię zaprowadzi do małej przystani, gdzie na pewno nie spodziewają się ciebie, a dokąd zwykle przybijają tylko statki rybackie.

— Jak się nazywa ta przystań?...

— Saint-Valery; ale czekaj: gdy tam przybędziesz, idź do nędznej oberży bez nazwy i znaku, prawdziwej nory dla majtków; trudno ci się będzie omylić, jest tam tylko jedna.

— A potem?

— Zapytasz tam o gospodarza i powiesz mu: *For ward*.

— Co ma znaczyć?...

— Naprzód! — jest to hasło. On ci da konia osiodlanego i wskaże drogę, na której znajdziesz następne cztery przepręgi. Jeżeli chcesz, zostaw każdemu z nich adres swój w Paryżu, a cztery te konie podążą za tobą; dwa z nich już znasz; wierz mi, reszta gorsza od nich nie będzie. Cztery te konie są, jak na wojnę, przybrane. Choćbyś był najdumniejszy, nie odmówisz przyjęcia jednego z nich, a do przyjęcia innych nakłonisz trzech swoich towarzyszy, choćby się na nich później mieli bić z nami. Dla Anglika cel uświęca środki, tak przynajmniej utrzymujecie wy, Francuzi, wszak prawda?

— Dobrze, milordzie, przyjmuję — rzekł d’Artagnan — i, da Bóg, dobry użytek uczynimy z waszego podarku.

— A teraz podaj mi rękę, młodzieńcze; niedługo może spotkamy się na polu bitwy; lecz tuszę sobie, iż zanim to nastąpi, rozstajemy się, jak przyjaciele.

— Tak, milordzie, lecz z nadzieją, iż wkrótce zostaniemy wrogami.

— Bądź spokojny, przyrzekam ci.

— Liczę na słowo wasze, milordzie.

D’Artagnan pożegnał nareszcie księcia i udał się z pośpiechem do portu.

Wprost Wieży Londyńskiej zastał wskazany statek, oddał kapitanowi list, ten kazał go poświadczyć przez naczelnika przystani i rozwinął żagle natychmiast.

Oczekiwało tam pięćdziesiąt statków, gotowych do drogi.

Przepływając obok jednego z nich, d’Artagnanowi zdawało się, że poznaje kobietę, widzianą w Meung, tę, którą ów szlachcic nieznany nazywał milady, a która tak piękną wydała się d’Artagnanowi, ale skutkiem wartkiego prądu rzeki i silnego powiewu wiatru, okręt jego tak szybko pruł wody, iż za chwilę stracili się z oczu.

Nazajutrz o dziewiątej z rana wylądowano w Saint-Valery.

D’Artagnan udał się prosto do wskazanej oberży, poznał ją od razu po krzykach, wydobywających się z jej wnętrza.

Rozprawiano o wojnie między Anglją i Francją, jako o rzeczy bliskiej i niewątpliwej, a weseli majtkowie hulaszco się bawili.

D’Artagnan przecisnął się przez ciżbę, dotarł do gospodarza i wymówił umówione *For ward*.

Gospodarz w tej chwili skinął, aby szedł za nim, i zaprowadził go do stajni, gdzie koń w pełnym rynsztunku czekał na niego, i zapytał d'Artagnana, czy nie potrzebuje jeszcze czego więcej.

— Potrzebuję dowiedzieć się, którędy mam jechać — odparł tenże.

— Udaj się pan stąd do Blangy, a z Blangy do Neufchatel. Tam zajedź do oberży pod „Złotą Broną”, daj hasło oberżyskie, a znajdziesz także konia, gotowego do podróży.

— Co się należy? — zapytał d'Artagnan.

— Wszystko już zapłacone sowicie. W drogę, mój panie, i niech cię Bóg prowadzi!

— Amen! — dokończył młodzieniec, puszczając się galopem.

W cztery godziny potem, był już w Neufchatel.

Pilnował się ściśle danych mu zleceń; tutaj, jak w Saint-Valery, zastał oczekującego wierzchowca; chciał zabrać pistolety z poprzedniego siodła, lecz w olstrach u konia znalazł inne.

— Jaki jest adres pański w Paryżu?

— Pałac gwardji oddziału pana Des Essarts.

— Dobrze — odpowiedziano.

— Którędy mam jechać — zapytał z kolei d'Artagnan.

— Drogą do Rouen, lecz miasto należy zostawić na prawo. W wiosce d'Ecouis zatrzymasz się pan przed jedyną oberżą pod „Talarem francuskim”. Niech pana nie zraża jej powierzchowność, w stajni znajdzie się koń nie gorszy od tego.

— Hasło to samo?

— Zawsze to samo.

— Żegnaj, panie gospodarzu!

— Szczęśliwej drogi, dostojny panie; może czego potrzebujesz?

D'Artagnan przecząco potrząsnął głową i spiąwszy konia ostrogą, ruszył z kopyta.

W d'Ecouis powtórzyło się to samo.

Zastał gospodarza również uprzejmego, konia rączego i wypoczętego; zostawił tam swój adres i popędził do Pontoise.

Tam zmienił wierzchowca po raz ostatni, a o dziesiątej wpadł jak wichler na dziedziniec pałacu pana de Tréville.

W ciągu dwunastu godzin upalił sześćdziesiąt mil francuskich.

Pan de Tréville przyjął go, jak gdyby rozstali się dopiero z rana, ale, ściskając rękę mocniej, niż zazwyczaj, oznajmił mu, że oddział pana Des Essarts, jest na służbie w Luwrze i że może udać się na swoje stanowisko.

ROZDZIAŁ XXII. BALET MERLAISSON

Dnia następnego w całym Paryżu mówiono tylko o balu, który panowie urzędnicy miejsca wydali na cześć króla i królowej, a w którym Ich Królewskie Moście mieli tańczyć balet „Merlaison”, będący ulubionym tańcem króla.

Od tygodnia przygotowywano wszystko w ratuszu do tego uroczystego wieczoru.

Stolarze miejsca ustawiali trybuny, na których miały zająć miejsca zaproszone damy; kupcy korzenni przyozdobili salony dwustu świecami z białego wosku, co w owych czasach było niesłychanym zbytkiem; wreszcie zamówiono dwudziestu skrzypków za cenę podwójną, z racji, jak świadczy kronika, że mieli rzępolić noc całą.

O dziesiątej z rana niejaki pan de la Coste, chorąży gwardji królewskiej, po nim dwóch oficerów i kilku łuczników, zażądali od pisarza sądu trybunału, nazwiskiem Clement kłuczy od wszystkich drzwi pokojów i sal ratusza.

Klucze te wręczone im zostały natychmiast. Przy każdym z nich była karta z oznaczeniem, jakie drzwi otwierał, a od chwili tej imci pan de La Coste poleconą miał straż nad wszystkimi wejściami i przejściami pałacu.

O jedenastej nadszedł znowu Duhallier, kapitan gwardji, prowadząc za sobą pięćdziesięciu łuczników, których porozstawiał w ratuszu, pod wyznaczonemi im drzwiami.

O trzeciej przybyły dwa oddziały straży, jedna francuska, druga szwajcarska. Oddział francuski składał się w połowie z podkomendnych pana Duhallier, a w połowie z podkomendnych pana Des Essarts.

O szóstej wieczorem zaczęli zjeżdżać się zaproszeni. W miarę jak przybywali, rozmieszczano ich w wielkiej sali na przygotowanych wzniesieniach.

O dziewiątej zjawiała się pani prezydentowa miasta. Jako osoba, zajmująca pierwsze po królowej miejsce w uroczystości, powitana została przez dostojników miasta i zasiadła w łoży naprzeciw tej, którą miała zająć królowa.

O dziesiątej w małej sali od strony kościoła świętego Jana, przed srebrnym bufetem, strzeżonym przez czterech luczników, zastawiono kolację dla króla, składającą się z konfitur.

O północy rozległy się niezliczone okrzyki na cześć króla, który zbliżał się ulicami, prowadzącymi z Luwru do ratusza, teraz uiluminowanymi latarniami w przeróżnych kolorach.

Panowie urzędnicy miejscy, przybrani w suknie sukienne, poprzedzani przez sześciu policjantów z pochodniami, wyruszyli co tchu naprzeciw króla i spotkali go na schodach, gdzie starszy cechu kupieckiego składał mu hołd i dzięki za przybycie, na co Jego Królewska Mość odpowiedział, zwalając opóźnienie swoje na kardynała, z którego winy teraz dopiero przybywa, gdyż zatrzymał go do godziny jedenastej roztrząsaniem spraw państwowych.

Jego Królewska Mość w stroju balowym znajdował się w towarzystwie brata swego, hrabiego de Soissons, wielkiego jałmużnika, księcia de Longueville, księcia d'Elbeuf, hrabiego d'Harcourt, hrabiego de la Roche-Guyon, pana de Liancourt, pana de Baradas, hrabiego de Cramail i kawalera de Souveray.

Wszyscy zauważyli, że troska jakaś osiadła na czole królewskim.

Osobny gabinet przygotowany był dla króla, a osobny dla brata królewskiego. W każdym z nich gotowe były ubrania.

Tak samo przysposobiono wszystko dla królowej i dla pani prezydentowej.

Panowie i panie, należący do świty królewskiej, mieli się ubierać po dwie osoby razem w pokojach, na ten cel przeznaczonych.

Król, zanim wszedł do gabinetu, wydał rozkaz, ażeby go zawiadomiono o przybyciu kardynała.

W pół godziny po ukazaniu się króla nowe okrzyki oznajmiły przybycie królowej.

Panowie urzędnicy wyruszyli znów na spotkanie dostojnego gościa.

Królowa weszła do sali. Zauważono, iż również jak król miała wygląd smutny, a nade wszystko znużony.

W chwili, gdy wchodziła, zapuszczone dotąd firanki małej łoży rozchyliły się, a z poza nich wyjrzało blade oblicze kardynała, przybranego w strój hiszpański.

Utkwił wzrok w oczach królowej, a uśmiech szatański okolił jego usta. Nie miała na sobie zapinek djamentowych.

Królowa zatrzymała się chwilę, aby przyjąć powitania panów miejskich i odpowiedzieć na ukłony dam.

Naraz w drzwiach sali zjawił się król, a za nim kardynał. Ten mówił coś z cicha do niego, a król był śmiertelnie błydy.

Bez maski, mając na sobie zaledwie narzucony kaftan, z niezawiązanymi wstążkami, król przebił się przez tłumy, stanął przed królową i odezwał się zmienionym głosem:

— Pani, dlaczego nie masz na sobie zapinek djamentowych, skoro wiesz przecie, że przyjemnie byłoby mi je widzieć?

Królowa potoczyła wzrokiem dokoła i ujrzała za sobą kardynała z piekielnym uśmiechem na ustach.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła głosem niepewnym — nie wzięłam ich, gdyż lękałam się, ażeby w tłoku takim nie uległy jakiemu wypadkowi.

— Źle zrobiłaś, pani. Jeżeli ci je dałem, to, abyś się w nie ubierała. Mówię ci, że źle zrobiłaś...

Głos króla drżał z gniewu; wszyscy ze zdziwieniem patrzyli i słuchali, nie pojmując, co to miało znaczyć.

— Najjaśniejszy Panie — odezwała się królowa — mogę posłać po nie do Luwru, gdzie się znajdują i życzenia Waszej królewskiej Mości zostaną spełnione.

— Zrób tak, pani, i to jak można najprędzej, gdyż za godzinę zaczną się tańce.

Królowa skłoniła głowę z uległością i poszła za damami, które miały zaprowadzić ją do gabinetu, dla niej przygotowanego.

Król zaś udał się do swego gabinetu. W sali nastąpiło chwilowe zamieszanie i niepokój.

Wszyscy zdołali spostrzec, że coś zaszło pomiędzy królewską parą; lecz tak cicho mówili oboje, a przez uszanowanie każdy się usunął, nikt zatem nic nie słyszał.

Skrzypki rzępoliły co siłą, lecz nikt na nie nie zważał.

Pierwszy wyszedł król ze swego gabinetu.

Miał na sobie wytworny strój myśliwski, a brat królewski i inni panowie podobnie byli ubrani. Królowi ten strój najlepiej przypadał do twarzy, wyglądał w nim rzeczywiście, jak najpierwszy dostojnik swego królestwa.

Kardynał podszedł do króla i oddał mu pudełeczko. Król otworzył je, znalazł dwie zapinki djamentowe.

— Co to ma znaczyć? — zapytał kardynała.

— Nic — odrzekł tenże — ale, jeżeli królowa ukaże się w zapinkach, o czym wątpić sobie pozwalam, przelicz je, Najjaśniejszy Panie, a jeżeli dziesięć ich tylko będzie, zapytaj Jej Królewską Mość, kto mógł jej te dwie wykraść?

Król badawczo spojrzął na kardynała, lecz nie miał czasu na pytanie. Z ust obecnych wyrwał się okrzyk uwielbienia.

Jeżeli król był najpiękniejszym mężczyzną w królestwie, królowa niezaprzeczenie była najpiękniejszą kobietą we Francji.

W istocie strój łowiecki precyzyjnie przypadał jej do twarzy; miała kapelusik pilśniowy z błękitnymi piórami, obcisły surducik z perłowego aksamitu, spięty djamentowymi guzikami, spódniczkę błękitną atlasową, haftowaną srebrem. Na lewym ramieniu iskrzyły się zapinki, podtrzymywane węzłem tegoż koloru, co pióra i spódniczka.

Król zadrzał z radości, a kardynał zatrząsł się z gniewu. Ponieważ jednak stali z daleka od królowej, nie mogli żadną miarą policzyć zapinek.

Królowa je miała, lecz czy było ich dziesięć, czy dwanaście?...

W tej chwili dały skrzypki znak do rozpoczęcia baletu. Król podszedł do panizydentowej, z którą miał tańczyć, a brat królewski do królowej.

Stanęli w miejscach właściwych, i rozpoczęto taniec z figurami.

Król tańczył naprzeciw królowej, a za każdym razem, gdy się z nią mijał, pożerał oczami zapinki, nie mogąc ich się doliczyć.

Czoło kardynała zimny pot oblewał.

Balet ciągnął się całą godzinę, składał się on z szesnastu figur.

Skończył się nareszcie, wśród ogólnych zachwyty i oklasków; każdy z tańczących odprowadził damę swoją na miejsce; król zaś, skorzystawszy z przywileju opuszczenia damy tam, gdzie stanęli, czem prędzej zbliżył się do królowej.

— Dzięki ci, pani — rzekł — za względy, jakie okazałaś dla życzeń moich, lecz zdaje mi się, iż brakuje ci dwóch zapinek i oto je pani odnoszę.

Z temi słowy podał królowej dwie zapinki, oddane mu przez kardynała.

— Jak to? Najjaśniejszy Panie — zawołała królowa, udając najwyższe zdziwienie — dodajesz mi jeszcze dwie zapinki, to będę ich miała już czternaście.

Rzeczywiście król naliczył brylantów dwanaście na ramieniu królowej.

Przywołał kardynała.

— Cóż to ma znaczyć, panie kardynale? — zapytał go król surowo.

— To znaczy, Najjaśniejszy Panie — odparł tenże — iż pragnąłem, aby królowa przyjęła ode mnie te zapinki, a nie śmiać ofiarować ich sam, uciekłem się do tego sposobu.

— Tem więcej wdzięczna jestem waszej eminencji — odrzekła królowa z uśmiechem, dowodzącym, iż nie dała się złapać na tę tak mądrze obmyślaną grzeczność kardynała — a przekonana jestem, iż dwie te zapinki więcej cię kosztują, niż tamte dwanaście Jego Królewską Mość kosztowały.

Pożegnawszy następnie króla i kardynała, skierowała się w stronę pokoju, w którym się ubierała i gdzie miała się rozebrać.

Cała uwaga, jaką przy zaczęciu tego rozdziału zmuszeni byliśmy zwrócić na dostojne osobistości, przez nas wprowadzone, oddaliła nas na chwilę od tego, któremu Anna Austrjacka zawdzięczała swój niesłychany triumf, jaki odniosła nad kardynałem.

Człowiek ten, zapomniany, nieznany, zamieszany w tłumie, zalegającym jedno z wejść do sali, przypatrywał się stamtąd scenie, rozumiałej dla czterech jedynie osób: króla, królowej, jego eminencji i dla niego.

Królowa powróciła do swego pokoju, d'Artagnan zaś gotował się do odejścia, gdy uczuł na ramieniu lekkie dotknięcie.

Obejrzał się i spostrzegł młodą kobietę, dającą mu znak, aby szedł za nią.

Twarz jej była ukryta pod czarną aksamitną maską, lecz pomimo tej ostrożności, przedsięwziętej raczej dla innych, niż dla niego, poznał od razu zwykłą przewodniczkę swoją, zręczną i dowcipną panią Bonacieux.

W przeddzień zaledwie spojrzeć na siebie mogli w łoży szwajcara Germana, dokąd d'Artagnan wywołać ją kazał.

Jej zaś tak spieszo było zanieść królowej dobrą nowinę o szczęśliwym powrocie wyśłańca, iż kochankowie zaledwie słów parę zamienić z sobą zdołali.

Udał się więc d'Artagnan za panią Bonacieux, podniecony dwoistem uczuciem, miłości i ciekawości.

Przez całą drogę, w miarę jak korytarze coraz bezludniejsze się stawały, d'Artagnan chciał ją pochwycić, zatrzymać, bodaj chwilę na nią popatrzeć; lecz, jak ptaszyna lekka, wymykała mu się z rąk, a gdy przemówić chciał do niej, z wyrazem rozkazującym, a pełnym wdzięku kładła mu na usta paluszek, co przypominało, iż jest pod panowaniem tej, której winien ślepe posłuszeństwo, a która me pozwalala ani trochę się zbliżyć.

Nareszcie po paru minutach kołowania, otworzyła drzwi i wprowadziła młodzieńca do zupełnie ciemnego gabinetu. Dając mu nowy znak milczenia, otworzyła ukryte za draperją drzwi drugie, przez które wpadło światło jaskrawe, i zniknęła.

D'Artagnan stał nieruchomy przez chwilę, zadając sobie pytanie, gdzie się znajduje, lecz wkrótce promyk światła, wpadający do pokoju, a z nim ciepłe i wonne powietrze, które go owiało, rozmowa kilku kobiet, odzywających się z szacunkiem i elegancją zarazem, po kilkakroć powtórzone słowo „Królewska mość”, dowiodły mu jasno, iż znajduje się w gabinecie, przytykającym do pokoju królowej.

Stał więc w cieniu i czekał.

Królowa była widocznie wesoła i uszczęśliwiona, co zdawało się mocno dziwić otaczające je osoby, które przywykły widzieć ją z wiekuiłą troską na czole.

Radosne to uczucie składała na karb pięknej uroczystości i przyjemności, jaką sprawił jej balet, a ponieważ królowej przeczyć nie wolno, czy się uśmiecha, czy płacze, unoszono się ogólnie nad uprzejmością panów urzędników miasta Paryża.

D'Artagnan, chociaż nie znał wcale królowej, odróżnił jednak głos jej pomiędzy innymi, najpierw po lekkim cudzoziemskim akcencie, nareszcie po mimowolnej wyniosłości, z jaką wyrażają się zwykle ludzie, najwyższą piastujący władzę.

Słyszał, jak zbliżała i oddalała się od drzwi otwartych, parę razy nawet widział cień jej postaci, przesłaniający światło.

Nareszcie z poza draperyj wysunęła się ręka przecudnych kształtów i białości; zrozumiał, że to jest nagroda dla niego: padł na kolana, ujął tę rękę i wycisnął na niej pełen uszanowania pocałunek.

Ręka usunęła się następnie, pozostawiając mu przedmiot, w którym rozpoznał pierścień.

W tej chwili drzwi się zamknęły i znalazł się pogrążony w ciemności.

D'Artagnan włożył na palec pierścionek i znowu czekał.

Widocznem było, że nie wszystko jeszcze skończone.

Po nagrodzie za wierność, nadchodziła nagroda jego miłości.

Zresztą balet był skończony, lecz zabawa zaledwie rozpoczęta.

Kolacja miała być o trzeciej, a zegar na wieży Ś-go Jana, wydzwonił przed chwilą trzy kwadransy do drugiej.

W istocie głosy zaczęły cichnąć w pokoju sąsiednim; nareszcie oddaliły się zupełnie.

Na koniec drzwi pokoju, w którym stał d'Artagnan, otworzyły się znowu i ukazała się w nich pani Bonacieux.

— A! jesteś nareszcie! — zawołał d'Artagnan.

— Cicho — rzekła młoda kobieta, kładąc rączkę swą na ustach młodzieńca — cicho! i wychodź, którędy przyszedłeś.

— Lecz gdzie i kiedy znowu cię ujrzę? — gorączkowo zagadnął d'Artagnan.

— Powie ci to bilecik, który, wróciwszy, zastaniesz u siebie. Odejdź już, odejdź!

To mówiąc, otworzyła drzwi, prowadzące na korytarz, i wypchnęła go z gabinetu.

Posłuszny był jak dziecko, bez najmniejszego oporu i trudności, co dowodzi, że naprawdę był zakochany.

ROZDZIAŁ XXIII. SCHADZKA

D'Artagnan pędem powrócił do siebie, a chociaż było już po trzeciej po północy i najgorsze dzielnice Paryża miał do przebycia, nie wydarzyło mu się jednak nic złego.

Wiadomo, iż jest jakiś bożek, strzegący pijaków i zakochanych.

Zastał drzwi wchodowe uchylone, wszedł na schody i zapukał leciutko, w sposób, umówiony pomiędzy nim a służącym.

Planchet, którego odprawił z ratusza przed dwiema godzinami z zaleceniem, aby na niego czekał, otworzył drzwi.

— Czy przyniesiono list do mnie? — żywo zapytał.

— Nikt nie przynosił listu — odpowiedział Planchet; lecz jest tu taki, który nie wiadomo skąd sam się wziął.

— Co przez to rozumiesz, błaznie?

— Chcę powiedzieć, że, wróciwszy, zastałem w pana pokoju na stole list, chociaż klucz od mieszkania miałem ciągle w kieszeni i na chwilę nie wyjmowałem go stamtąd.

— A gdzie on jest?

— Zostawiłem go tam, gdzie leżał. To coś nadprzyrodzonego, żeby listy w ten sposób przychodziły do ludzi. Gdyby chociaż okno było otwarte lub uchylone, to nie mówię; lecz gdzie tam, wszystko szczelnie było zamknięte. Panie, strzeż się, w tem jest jakaś nieczysta siła.

W trakcie tej rozmowy młodzieniec wskoczył do pokoju i rozerwał list.

Był on od pani Bonacieux i zawierał te słowa:

„Gorące podziękowania czekają na ciebie. Bądź dziś wieczorem, o godzinie dziesiątej, w Saint-Cloud, przed pawilonem, który się wznosi na rogu domu pana d'Estrées.

K. B.”

D'Artagnan czytając, uczuł w sercu taki skurcz rozkoszy, jaki dręczy i uszczęśliwia zarazem serca kochanków.

Był to pierwszy w życiu bilecik i pierwsza schadzka, jaką mu wyznaczono.

Serce jego, wezbrane upajającą rozkoszą, zdawało się zamierać pod nawalem szczęścia, na wstępie do tego raju ziemskiego, który zwie się miłością.

— A co?... panie — odezwał się Planchet, widząc go płonącego i blednącego kolejno — a co? wszak zgadłem, że to jakaś sprawa nieczysta?

— Mylisz się, Planchetku, a na dowód masz talara i wypij za moje zdrowie.

— Dziękuję panu za talara i przyrzekam spełnić święcie jego rozkazy; lecz nie dowód to, żeby listy, które dostają się do zamkniętych domów...

— Spadają z nieba, mój drogi; z nieba prościuteńko.

— Więc jest pan bardzo zadowolony?

— Drogi Planchetku, jestem najszczęśliwszym z ludzi!

— Mogę więc skorzystać ze szczęścia pańskiego i spać się położyć?

— I owszem, kładź się.

— Oby wszystkie błogosławieństwa nieba spadły na pana, lecz prawdą a Bogiem, że ten list...

I Planchet oddalił się, potrząsając głową z powątpiewaniem, którego szczodrość d'Artagnana nie była w stanie rozproszyć.

D'Artagnan, pozostawszy sam, jął znowu odczytywać bilecik, obcałował każdą literkę, skreślona ręką ślicznej swojej kochanki.

Położył się nareszcie i zasnął, snując sny złote.

O siódmej z rana zerwał się na równe nogi i zawołał Plancheta, który na powtórne wezwanie otworzył drzwi i zjawił się z twarzą, na której chmura niepokojów wczorajszych jeszcze zalegała.

— Planchecie, — rzekł doń d'Artagnan — wychodzę na cały dzień prawdopodobnie, jesteś więc do siódmej wieczorem wolny; lecz o tej godzinie bądź w pogotowiu i miej dwa konie.

— Masz tobie! znowu nam mają podziurawić skórę!

— Zabierzesz z sobą muszkiet i pistolety.

— A co? nie mówiłem? — wykrzyknął Planchet. — Byłem tego pewny! przekłety list!

— Nie bój się, głupcze, idzie tu po prostu o przejażdżkę dla przyjemności.

— Zapewne! tak, jak tamta, gdzie kule gradem padały, a pułapki wyrastały z pod ziemi!...

— Zresztą, jeżeli tchórzysz, panie Planchecie — przerwał mu d'Artagnan — obejdę się bez ciebie; wolę podróżować sam, aniżeli mieć towarzysza, który trzęsie się ze strachu.

— Pan mi ubliża — rzekł Planchet — a o ile mi się zdaje, widział mnie pan w góraczych wypadkach.

— Widziałem, lecz sądziłem, iż za jednym razem wyszafowałeś całą swoją odwagę.

— Zobaczysz pan, że znajdzie się ona jeszcze w potrzebie; ale proszę pana, nie trwoń jej zbyt, jeżeli pan chce, aby wystarczyła na dłużej.

— A jak myślisz, czy masz jej jakikolwiek zapasik na dzisiejszy wieczór?

— Spodziewam się.

— A zatem liczę na ciebie.

— Będę gotów o oznaczonej godzinie, lecz ja myślałem, że pan jednego miał tylko konia w stajni gwardyjskiej.

— Być może, iż w tej chwili jeden jest tylko, lecz wieczorem będzie ich cztery — rzekł d'Artagnan i, skinąwszy Planchetowi głową, wyszedł.

Pan Bonacieux stał w drzwiach swego mieszkania. D'Artagnan chciał go ominąć, nie mówiąc nic do niego, lecz małżonek Konstancji tak mu się słodko i dobrodusznie uklonił, że w ten sposób zniewolił swego lokatora nie tylko do odwzajemnienia się, lecz i do zawiązania rozmowy.

Jakże tu wreszcie nie mieć choć odrobiny pobjaźnienia dla męża, którego żona wyznaczyła schadzki.

Zbliżył się więc do niego z miną jak najbardziej uprzejmą.

Rzecz prosta, iż rozmowa zesłała na uwięzienie biedaka.

Bonacieux, nie wiedząc, że d'Artagnan wysłuchał jego rozmowę z nieznanym z Meung, opowiedział młodemu lokatorowi o prześladowaniach tego potwora, pana de Laffemas, którego nie przestawał tytułować katem kardynalskim, przyczem rozwodził się obszernie o Bastylji, ryglach, zasuwkach, okienkach, kratkach i przyrządach torturowych.

D'Artagnan słuchał z przykładną uwagą, nareszcie, gdy właściciel domu skończył mówić, odezwał się:

— A czy wiesz pan już, kto porwał panią Bonacieux? nie zapomniałem bowiem, iż tej właśnie przykłej okoliczności zawdzięczam szczęście poznania pana.

— O!... — odrzekł Bonacieux — mieli się oni dobrze na baczności i nie powiedzieli mi tego, a żona przysięga się na wszystkie świętości, że nic o tem nie wie. Ale cóż to się działo z panem tych dni ubiegłych — ciągnął dalej Bonacieux z miną najdobroduszniejszą — nie widywałem ani pana, ani przyjaciół pańskich, a sądzę, iż nie na bruku paryskim zebrałeś ten kurz, który wczoraj wieczorem Planchet z butów pańskich omiatał.

— Masz słuszność, drogi panie Bonacieux, przyjaciele moi i ja, odbyliśmy małą podróż.

— Daleko?

— O! mój Boże! czterdzieści mil zaledwie, odprowadziliśmy pana Athosa do wód w Forges, gdzie przyjaciele moi zostali.

— A pan powróciłeś, nieprawdaż? — mówił dalej Bonacieux, przybierając wyraz twarzy, jak mógł najzłośliwszy. — Taki piękny chłopiec, jak pan, nie dostaje długiego urlopu od kochanki. Z wielką niecierpliwością byliśmy oczekiwani w Paryżu nieprawdaż?

— Słowo daję, nie przeczę — odparł młodzieniec ze śmiechem — a mówię to tem bardziej, bo widzę, że nic się przed panem nie ukryje. Tak, byłem oczekiwany, i bardzo niecierpliwie, zaręczam.

Lekka chmurka przemknęła po czole kramarza, lecz tak lekka, że d'Artagnan jej nie dostrzegł.

— I zostaniemy sownie wynagrodzeni za pośpiech? — ciągnął kramarz z lekkim wzruszeniem w głosie, wzruszeniem, którego także nie zauważył d'Artagnan, jak i poprzedniej chmury, która zaciemniła oblicze godnego człowieka.

— A!... bodajbyś pan był dobrym prorokiem! — zawołał d'Artagnan wesoło.

— E!... ja pytam tylko dlatego, aby wiedzieć, czy późno pan wrócisz?

— A na co ci to pytanie, gospodarzu drogi? — podchwycił d'Artagnan — czy chcesz czekać na mnie?

— Nie, ale od czasu uwięzienia mego i kradzieży, spełnionej w mym domu, gdy kto otworzy drzwi, strach mnie przejmuje, a szczególnie w nocy. Cóż chcesz, u licha!... nie jestem żołnierzem!...

— Nie przestraszaj się pan więc, jeżeli wrócę o pierwszej, drugiej lub trzeciej nad ranem; a jeżeli wcale się nie zjawię, nie przerażaj się także.

Zapowiedź ta przyprawiła pana Bonacieux o taką bladłość, że d'Artagnan nie mógł już jej nie spostrzedz i spytał o przyczynę.

— Nic, nic — odrzekł Bonacieux. — Widzisz pan, ja, od czasu moich nieszczęść, ulegam nagłym osłabieniom, a w tej chwili właśnie uczułem dreszcze. Nie zważaj pan na to i zajmij się raczej swoim szczęściem.

— Nie brak mi tego zajęcia, bo jestem szczęśliwy.

— Jeszcze nie, zaczekaj trochę, sam przecież mówiłeś że to dopiero wieczorem.

— Da Bóg, wieczór ten nadejdzie, może i pan oczekujesz go z równą niecierpliwością. Może pani Bonacieux ma odwiedzić gniazdo małżeńskie?

— Pani Bonacieux będzie dzisiejszego wieczora zajęta — odparł małżonek z powagą — zatrzymuje ją w Luwrze jej obowiązek.

— Tem gorzej dla ciebie, drogi gospodarzu, tem gorzej; ja, gdy jestem szczęśliwy, chciałbym świat cały takim widzieć, ha! widocznie to niemożliwe.

I, śmiejąc się na całe gardło z żartu, który, jak sądził, sam tylko rozumie, pożegnał kramarza.

— Przyjemnej zabawy! — odezwał się głosem grobowym Bonacieux.

D'Artagnan był za daleko, aby mógł usłyszeć, a choćby nawet i usłyszał, nie zwróciłby na te słowa uwagi, tak miał rozpromieniony umysł na myśl o tem, co go czekało.

Poszedł prosto do pałacu pana de Tréville; przypominamy sobie, iż wczorajsze odwiedziny trwały krótko i nie dały żadnego wyjaśnienia.

Zastał pana de Tréville wielce rozradowanego.

Na balu król i królowa uprzejmi byli dla niego nad wyraz. Kardynał zaś kwaśny był okrutnie.

Richelieu, pod pozorem niedyspozycji, wymknął się z balu o pierwszej. Ich Królewskie Moście bawili się do szóstej z rana.

— A teraz — odezwał się pan de Tréville zniżonym głosem i, rozglądając się po wszystkich kątach pokoju, dla przekonania, czy sami są zupełnie — a teraz o tobie pomówmy, mój drogi. Jasnym jest, iż powrót twój szczęśliwy przyczynił się do rozradowania króla, triumfu królowej i pognębienia kardynała. Otóż musisz się mieć na baczności.

— A czegoż mam się lękać — odparł d'Artagnan — dopóki będę miał szczęście cieszyć się łaską Ich Królewskich Mości?

— Wszystkiego, wierzaj mi. Kardynał nie jest człowiekiem, któryby zapomniał, że wywiedziono go w pole i nie omieszka załatwić rachunków z winowajcą, a zdaje mi się, że jest nim pewiem znajomy mój, gaskończyk.

— Czy pan sądzisz, że kardynał również wie tyle, co i pan, że wiadomo mu o bytności mojej w Londynie?

— Do diabła!... w Londynie byłeś? Czyż to stamtąd wywiozłeś ten piękny djament, błyszczący na twoim palcu? Strzeż się, drogi d'Artagnanie, dar nieprzyjaciela to rzecz niedobra; opiewają to pewne wiersze łacińskie... Poczekaj no...

— Tak, niezawodnie — odparł d'Artagnan, który nigdy był nigdy w stanie wpakować sobie do głowy najpierwszych zasad łaciny, czem do rozpaczy przywodził nauczyciela swego — tak, zapewne, muszą być jakieś wiersze, które się do tego stosują.

— Z pewnością, że są — odparł pan de Tréville, który miał pociąg do literatury — cytował mi je niedawno pan de Beuserade... Zaraz, zaraz... poczekaj... A! wiem już:

...*Timeo Danaos et dona ferentes.*

Co ma znaczyć: „Nie dowierzaj nieprzyjacielowi, nawet gdy cię obdarza”.

— Djament ten nie od nieprzyjaciela, lecz od królowej pochodzi — rzekł na to d'Artagnan.

— Od królowej! o! o!... — odezwał się Tréville. — W istocie to klejnot prawdziwie królewski, wart tysiąc pistołów, jak jeden grosz. Przez kogóż kazała ci go doręczyć?

— Sama mi go dała.

— Gdzie?...

— W gabinecie przyległym do pokoju, w którym zmieniała ubranie.

— W jaki sposób?

— Podając mi rękę do pocałowania.

— Pocałowałeś w rękę królowę!... — wykrzyknął Tréville, wpatrując się w d'Artagnana.

— Jej Królewska Mość zrobiła mi zaszczyt, wyświadczając mi tę łaskę.

— I to przy świadkach? niebaczna!... po trzykroć niebaczna!...

— Uspokój się, panie, nikt tego nie widział — rzekł d'Artagnan.

I opowiedział jak się to stało.

— O kobiety! o kobiety!... — zawołał stary żołnierz — znam ja waszą wyobraźnię romantyczną; wszystko, co na tajemnicę zakrawa, zachwyca was; a zatem nie widziałeś nic więcej prócz ramienia i mógłbyś, spotkawszy królowę, nie poznać jej, a ona także, zobaczywszy ciebie, nie wiedziałaby kto jesteś.

— Zapewne, lecz dzięki temu klejnotowi... — podjął młodzieniec.

— Słuchaj — rzekł pan de Tréville — czy chcesz, abym ci dał radę, dobrą radę przyjacielską?

— Zaszczyt mi pan zrobi — odpowiedział d'Artagnan.

— Słuchaj więc: idź do pierwszego lepszego jubilera i sprzedaj ten djament za cenę, jaką ci ofiaruje, a choćby żydem był nawet, dostaniesz zawsze ośmset pistołów za niego. Pieniądze są bez nazwy, a pierścień ten posiada ją i to straszną, która zdradzić może tego, co go nosi.

— Sprzedać go?... pierścień od monarchini mojej?... nigdy! — zawołał d'Artagnan.

— Obróć go więc kamieniem pod spód, biedny szaleńcze, wiadomo bowiem, iż kadet gaskoński nie znajduje podobnych klejnotów w skarbcu swojej matki.

— Myślisz więc, panie, iż mam się czego obawiać?... — zagadnął d'Artagnan.

— Można by powiedzieć, młodzieńcze, że ten, co zasypia na minie, której lont jest zapalony, uważać może się za bezpieczniejszego w porównaniu z tobą.

— Do diabła! — rzekł d'Artagnan, którego przekonywająca mowa pana de Tréville zaczęła niepokoić — do diabła! co tu począć?...

— Przede wszystkim mieć się bezustanku na bacności. Kardynał ma pamięć zawziętą, a rękę, sięgającą daleko; wierzaj mi, że on ci wypłata figła.

— Ale jakiego?...

— E, czy ja wiem!... posiada on wszystkie sztuczki djabelskie, którymi się posługuje! co najmniej spotkać cię to może, że cię uwiężą.

— Jakto! poważonoby się uwięzić człowieka, zostającego w służbie Jego Królewskiej Mości?

— O! przecież z Athosem nie robiono ceremonji. W każdym razie wierzaj człowiekowi, który trzydzieści lat spędził u dworu; nie zasypia spokojny, albo jesteś zgubiony. Przeciwnie, ja ci to mówię, wszędzie wroga upatruj. Gdy będzie szukał z tobą zaczepki, unikaj go, choćby to było dziecię dziesięcioletnie; jeżeli zostaniesz napadnięty czy w nocy, czy w dzień, bez żadnego wstydu rejteruj; gdy przez most przechodzić będziesz, pilnuj desek, aby się pod tobą nie zapadły; gdy iść będziesz koło budującego się domu, patrz w górę, aby cegła nie spadła ci na głowę; jeśli późno będziesz powracał, każ iść za sobą

służącemu i uzbrój go, jeżeli pewnym go jesteś. Nie ufaj nikomu, przyjacielowi, bratu, kochance, a nade wszystko tej ostatniej.

D'Artagnan spochmurniał.

— Kochance! — powtórzył machinalnie — a czemuż jej więcej, niż komu innemu?

— Bo kochanka jest jednym z najulubieńszych środków kardynała, jednym z najskuteczniejszych. Kobieta sprzeda się za ośm pistolów, dowodem Dalilla. Znasz pewnie Stary Testament, co?

D'Artagnan pomyślał o dzisiejszym spotkaniu z panią Bonacieux; lecz, na pochwałę bohatera naszego, przyznać musimy, iż złe wyobrażenie pana de Tréville o kobietach w ogólności, nie natchnęło go najmniejszym podejrzeniem co do jego pięknej gospośki.

— Ale, ale — mówił dalej pan de Tréville — a co się stało z trzema twoimi towarzyszami?

— Chciałem właśnie zapytać pana, czy nie ma jakiej o nich wiadomości?

— Żadnej a żadnej.

— Ja zostawiłem ich po drodze: Porthosa w Chantilly, z pojedynkiem na karku; Aramisa w Crevecoeur z kulą w ramieniu; Athosa na koniec w Amiens, pod ciężarem zarzutu o fałszerstwo pieniędzy.

— A widzisz! — odezwał się pan de Tréville — a jakżeś ty tego uniknął?

— Cudem, przyznać to muszę, przy pomocy pchnięcia szpadą w piersi i przygwożdżenia na drodze do Calais, jak motyla do ściany, hrabiego de Wardes.

— A co, jeszcze jeden dowód! de Wardes, to stronnik kardynała a krewny Rocheforta. Słuchaj, mój drogi, przychodzi mi pewna myśl.

— Niech pan mówi, słucham.

— Będąc na twoim miejscu, jedną bym rzecz zrobił.

— Jaką?

— Skoro jego eminencja każe cię szukać w Paryżu, ja po cichu wróciłbym do Pikardji i postarałbym się dostać języka o trzech moich przyjaciółach. Cóż u diabła! przecie zasługują na ten dowód troskliwości z twej strony.

— Dobra rada pańska, jadę jutro.

— Jutro! a czemu nie dzisiaj?

— Dzisiaj zatrzymuje mnie sprawa nader ważna.

— A! młokosie! młokosie! miłostki pewno jakie?... Powtarzam ci, strzeż się: kobieta zgubiła nas wszystkich co do jednego, i gubi nas jeszcze tak samo. Wierzaj mi, jedź dzisiaj.

— Niepodobna.

— Dafeś więc tam słowo.

— Tak, panie.

— Ha! to już trudno; lecz przyrzeknij mi, że jeżeli nie zostaniesz zabity tej nocy, jutro wyjedziesz.

— Przyrzekam.

— Czy potrzebujesz pieniędzy?

— Chyba, że nie, mam pięćdziesiąt pistolów, tyle ile mi właśnie potrzeba.

— A twoi towarzysze?

— Myślę, że im także nie zbywa. Każdy z nas wyjeżdżając z Paryża, miał w kieszeni po siedemdziesiąt pięć pistolów.

— Czy zobaczę cię jeszcze przed wyjazdem?

— Pewnie już nie, chyba by zaszło coś nowego...

— Zatem szczęśliwej drogi!

— Dziękuję panu.

I pożegnał Trévillę, więcej wzruszony, niż kiedykolwiek jego prawdziwie ojcowską pieczołowitością dla muszkietierów.

Zaszedł jeszcze do Athosa, Porthosa i Aramisa. Żaden z nich nie powrócił. Służących nie było także i nic nie wiadano ani o jednych, ani o drugich.

Mógłby wprawdzie dowiedzieć się czegoś od ich kochanek, lecz nie znał damy Porthosa, a tem bardziej Aramisa; Athos zaś nie miał jej wcale.

Mijając koszary gwardyjskie, zajrzał do stajen: trzy konie już były na miejscu.

Planchet osłupiały czyścił je zgrzeblęm.

— A! panie — odezwał się Planchet, zoczywszy d'Artagnana — jakże się cieszę, że pana zobaczyłem!...

— A to dlaczego, Planchetku?... — zagadnął młodzieniec.

— Czy pan dowierza naszemu gospodarzowi, panu Bonacieux?

— Ja? ani odrobinę.

— O! to bardzo dobrze!...

— Ale skąd to pytanie?

— Skąd? że kiedy pan z nim rozmawiał, ja się przypatrywałem, nie podsłuchując, broń Boże; o! panie, twarz mu się mieniła okropnie...

— Doprawdy!

— Pan był zajęty listem odebrany i nie zwrócił na to uwagi; lecz ja, któremu dziwne przedostanie się tego listu do nas dało do myślenia, ja nie straciłem ani jednej z jego min.

— Jakież to były miny?

— Zdradzieckie, proszę pana.

— Doprawdy?

— Co więcej, skoro tylko pan się z nim pożegnał i zniknął na zakręcie ulicy, on także porwał kapelusz, zamknął drzwi na klucz i popędził w stronę przeciwną.

— Masz słuszność, Planchecie, to bardzo podejrzanie wygląda, ale nie lękaj się, nie zapłacimy komornego, dopóki wszystko nie wyjaśni się należycie.

— Pan żartuje teraz, a zobaczy pan...

— Cóż ty chcesz, to, co zapisano tam w górze, spełnić się musi!...

— Więc pan nie zrzeka się dzisiejszej przejażdżki wieczornej?

— Przeciwnie, im więcej mam na pieńku z panem Bonacieux, tem usilniej pragnę stawić się na schadzce, jaką mi oznaczył list, który cię o taki niepokój przyprawił.

— Ha, kiedy pan tak chce...

— Nieodwołalnie, mój miły, bądź zatem tutaj w pogotowiu; o dziesiątej zajdę po ciebie.

Widząc, że nie ma sposobu powstrzymać pana od zamierzonego projektu, Planchet westchnął głęboko i jął z całych sił skrobać zgrzeblem trzeciego konia.

D'Artagnan zaś, jako chłopiec nader przezorny, udał się na obiad do owego księdza gaskońskiego, który onego czasu, kiedy trzech przyjaciele ciężkie przechodzili chwile, pożywił ich na śniadanie czekoladą.

ROZDZIAŁ XXIV. PAWILON

O dziewiątej d'Artagnan był już w koszarach gwardji; Plancheta zastał gotowego. Czwarty koń już przybył.

Planchet uzbrojony był w muszkiet i pistolet.

D'Artagnan miał szpadę i dwa pistolety, za pas zatknięte.

Każdy dosiadł konia i wymknęli się po cichu.

Noc już zapadła, nikt ich wyjeżdżających nie widział.

Planchet pozostał z tyłu i o dziesięć kroków podązał za panem.

Przebyli w poprzek bulwary i przez bramę Konferencyj wydostali się na drogę, prowadzącą do Saint-Cloud, o wiele, niż dzisiaj, piękniejszą.

W mieście Planchet trzymał się w przyzwoitej odległości, którą sobie nakazał; lecz w miarę, jak droga zaczynała być pusta i głucha, pomaleńku zbliżać się począł tak, że gdy wjechali do lasu Bulońskiego, znalazł się przy boku swego pana.

Trudno nam zataić, co prawda, iż kołysanie się drzew olbrzymich, łamanie się światła księżycowego w gęstych i ciemnych zaroślach wprawiało go w niemały niepokój.

Spostrzegł to d'Artagnan, że coś dziwnego dzieje się z jego pacholkiem.

— A co?... mości Planchecie — zapytał — co się dzieje z tobą?

— Czy pan nie uważa, iż te drzewa podobne są do kościołów ogromnych?

— A to dla czego?

— Bo pod ich sklepieniem, jak i w kościele, człowiek nie ma śmiałości odezwać się głośno.

— Czy dlatego, że strach cię przejmuje, Planchecie?

— Tak, panie, strach, aby kto nie usłyszał.

— Czemu? rozmowa nasza jest przecie pobożna, drogi Planchecie, nikt by jej nie mógł nic zarzucić.

— A! panie! — odrzekł Planchet, powracając do swej myśli zasadniczej — ten Bonacieux ma coś ponurego w oczach i wstrętne w poruszeniu ust!

— Co cię zmusza, u diabła, myśleć o panu Bonacieux?

— Panie, człowiek nie myśli o tem, o czem chce, ale o tem, o czem musi!...

— E! tchórz z ciebie, Planchetku.

— Panie, nie trzeba mieszać przezorności z tchórzostwem; przezorność jest cnotą.

— A ty cnotliwy jesteś, wszak tak, Planchecie?

— O! panie, czy to nie lufa muszkietu błysnęła tam w dali? Możebyśmy głowy schylili?

— Doprawdy... — mruknął d'Artagnan, przypominając sobie przestrogi pana de Tréville — doprawdy, to bydlę i mnie w końcu nabawi strachu.

I puścił konia klusem.

Planchet uczynił to samo i, jak cień swego pana, klusował tuż przy nim.

— Czy całą noc tak jechać będziemy? — zapytał.

— Nie, Planchecie, bo ty już jesteś na miejscu.

— Ja? już na miejscu? a pan?...

— Ja pójdę jeszcze dalej kilka kroków.

— I pan zostawi mnie samego zupełnie?

— Boisz się, Planchecie!

— Nie, lecz zwracam pańską uwagę, że zanosi się na noc bardzo zimną. Chłody nawiązują reumatyzmu, a służący, który cierpi na tę chorobę, jest do niczego, zwłaszcza dla tak prędkiego pana.

— Dobrze!... jeżeli ci zimno, zajedziesz do jednej z tych karczem, które tam widzisz, i jutro o szóstej rano czekaj na mnie przed bramą.

— Proszę pana, przepiłem i przejadłem uczciwie talara, którego mi dziś rano dałeś; nie mam więc nawet podłego su na wypadek zziębnięcia.

— Masz tu pół pistola. Bywaj zdrów, do jutra.

I zeskoczył z konia, cugle rzucił Planchetowi i, owinąwszy się płaszczem, szybko się oddalił.

— Boże, jakże mi zimno! — zawołał Planchet, skoro tylko stracił z oczu swego pana; a ponieważ pilno mu było się rozgrzać, zapukał czem prędzej do drzwi domu, zdobnego we wszelkie pozory podmiejskiej karczmy.

D'Artagnan, który skierował się ścieżką poprzeczną, szedł dopóty, dopóki nie dotarł do Saint-Cloud.

Zamiast jednak trzymać się głównego traktu, zaszedł od tyłu pałacu, zapuścił się w zaułek bardzo ustronny i znalazł się wkrótce wprost oznaczonego pawilonu.

Było to miejsce zupełnie puste. Wielki mur, w którego rogu stał pawilon, stanowił jeden bok uliczki, a z drugiego boku żywopłot dzielił ją od ogródka, w którego głębi stała mizerna chałupka.

D'Artagnan stawiał się na schadzce, ponieważ jednak nie wskazano mu umówionego znaku, którym oznajmiłby swoją obecność, więc czekał.

Cisza panowała wokoło, sądzić mógł, iż go sto mil przedziela od stolicy.

Oparł się o płot plecami, bacznie wpierw obejrzawszy się po za siebie.

Poza płotem, ogrodem i chałupką, szare i nieprzejrzane mgły otaczały zwojami swemi tę bezmierną przestrzeń, w której zasypiał Paryż, tę otchłań rozwartą, bezbrzeżną, gdzie połyskiwało kilka światełek, jak gwiazdy.

W oczach d'Artagnana jednak wszystko przybierało kształty rozkoszne, każda myśl śmiała się do niego, ciemności nieprzebite stawały się przezroczyście.

Istotnie, po upływie chwil kilku, na wieży Saint-Cloud odwieczny dzwon wyrzucił ze swej ryczącej paszczy dziesięć powolnych uderzeń.

Głos spiżu zabrzmiał grobowym jękiem, który się rozplynął w ciemnościach nocy.

Każde z tych uderzeń jednakże, tworząc godzinę tak upragnioną, cudowną harmoniją dźwięczało w sercu młodzieńca.

Oczy miał utkwione w stojący w narożniku muru pawilonik, którego wszystkie okna były przysłonięte okiennicami, z wyjątkiem jednego na pierwszym piętrze.

Z okna tego dobywało się łagodne światło, srebrzące korony kilku razem stojących lip.

Z pewnością poza temi szybami, tak mile jaśniejącymi, oczekuje go piękna pani Bonacieux.

Kołysany tą myślą, pełną słodyczy, z całą cierpliwością czekał pół godziny jeszcze z utkwionym wzrokiem w to rozkoszne mieszkanko, gdzie dostrzegał część sufitu o listewkach złożonych, znamionujących elegancję i reszty pokoju.

Dzwon zegara wieżowego wybił wpół do jedenastej.

Tym razem odgłos ten, nie wiadomo dlaczego, przejął go zimnym dreszczem. Może przenikał go chłód i wrażenie czysto fizyczne przypisał uczuciom moralnym.

Potem zaczął przypuszczać, iż źle może przeczytał, że schadzka może oznaczona była na jedenastą. Podszedł do okna, stanął w promieniu światła, dobył list z kieszeni i raz jeszcze przebiegł go oczami.

Nie omylił się bynajmniej: oznaczona była godzina dziesiąta. Powrócił na stanowisko poprzednie; milczenie to i samotność poczynały go niepokoić.

Wybiła jedenasta.

Strach go przejął nie na żarty, czy nie wydarzyło się pani Bonacieux coś złego.

Klasnął po trzykroć w dłonie, jak zwykle dają sobie znaki zakochani, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Echo nawet milczało.

Wtedy pomyślał ze złością, że może młoda kobieta, oczekując na niego usnęła.

Podszedł do muru i usiłował się nań wdrapać, lecz tynk był świeży i gładki.

Daremnie połamał sobie paznokcie.

Naraz zwrócił uwagę na drzewa, wciąż srebrzone światłem, a ponieważ jedno z nich wyciągało ku drodze konary, pomyślał, że spośród nich mógłby łatwo zapuścić wzrok do wnętrza pawilonu.

Drzewo było do tego podatne. Zresztą d'Artagnan miał lat dwadzieścia zaledwie, nie zapomniał więc jeszcze ćwiczeń szkolnych.

W mgnieniu oka znalazł się pośród gałęzi i przez szyby przejrzyste zagłębił wzrok do wnętrza pokoju.

Zgroza przejęła go dreszczem od stóp do głowy.

Światło łagodne z lampy przyćmionej, oświetlało scenę przerażającego nieładu.

Jedna z szyb była stłuczona, drzwi pokoju, wysadzone i na pół złamane, wisiały na zawiasie; stół, który widocznie był zastawiony wytworną kolacją, leżał na ziemi; karafki w kawałkach, owoce zdeptane zalegały posadzkę; wszystko w tym pokoju świadczyło o walce gwałtownej i rozpaczliwej.

Zdało mu się nawet, iż w dziwnym tym nieładzie odróżnia strzępy ubrania i krwawe plamy na obrusie i frankach.

Z pośpiechem zsunął się na ziemię ze strasznie bijącym sercem, chcąc się przekonać, czy nie znajdzie innych jeszcze śladów niecnego gwałtu.

A w ciszy nocnej wciąż błyszczało spokojne i łagodne światło.

Wtedy spostrzegł d'Artagnan, czego nie zauważył poprzednio, że ziemia, wydeptana i rozrzucona miejscami, miała na sobie ślady stóp ludzkich i kopyt końskich. Koła powozu, przybyłego widocznie od strony Paryża, wyłobily na pulchnej ziemi głęboką bródzde równoległe z pawilonem, zataczając ją z powrotem ku miastu.

Szukając dalej, znalazł przy murze podartą rękawiczkę kobiecą.

Była to jedna z tych wonnych rękawiczek, za jakimi przepadają kochankowie, gdy zerwać je mogą z pięknej ukochanej rączki.

Zimny pot kroplisty oblewał mu czoło, boleść okrutna serce ścisnęła, oddech stawał się szybki; a jednak dla własnego uspokojenia powtarzał sobie, iż ten pawilon niekoniecznie musi mieć łączność z panią Bonacieux, że ona mu oznaczyła schadzke przed pawilonem, a nie w pawilonie, i służba, a prawdopodobnie zazdrość małżonka, zatrzymały ją w Paryżu.

Wszystkie te jednak rozumowania zostały zdruzgotane, zniweczone uczuciem niewytłomaczonego bólu, który w pewnych chwilach życia opanowywa całą naszą istotę i woła nam w duszy i tętni w uszach ponurym głosem, że wielkie nieszczęście nad nami krąży.

Wtedy ogarnęło go szaleństwo: pobiegł drogą, skąd przybył i nie zatrzymał się aż u przewoźnika, aby wy badać przewoźnika.

Ten mu powiedział, że około siódmej wieczorem przeprowił przez rzekę kobietę, zakrytą czarnym płaszczem tak, jak gdyby zależało jej na tem niezmiernie, aby nie była poznana; i właśnie, z powodu tych ostrożności, tem większą zwracał na nią uwagę, i przekonał się, że młoda jest i piękna.

W owych czasach dużo kobiet młodych i ładnych, starając się nie być poznanemi, przybywało do Saint-Cloud, jednakże d'Artagnan nie wątpił ani na chwilę, że to była pani Bonacieux.

Korzystając ze światła lampki, migocącej w chatce przewoźnika, raz jeszcze odczytał bilecik pięknej Konstancji, aby upewnić się, że nie jest w błędzie, że w Saint-Cloud, a nie gdzieindziej oznaczona była schadzka, przed pawilonem pana d'Estrées, a nie na żadnej innej ulicy.

Wszystko tak się składało, aby mu dowieść, że przecucia jego nie były mylne.

Co tchu w piersiach wrócił do zamku; zdawało mu się, że pod nieobecność jego coś nowego w pawilonie zająć mogło i że nastąpi jakieś wyjaśnienie.

W uliczce ta sama pustka, to samo łagodne i spokojne światło rozlewało się z jedyne go okna.

Wtedy przyszło mu na myśl, że ta niema rudera widziała coś niezawodnie, a może powiedziecby także była w stanie.

Drzwi ogrodzenia były zamknięte, przesadził więc płot i, pomimo ujadania psa na łańcuchu, zbliżył się do chaty.

Zrazu nikt nie odpowiedział na pukanie. Milczenie grobowe panowało w chatce, jak i w pawilonie; lecz gdy zaczął się do niej dobijać, posłyszał lekki szelest wewnątrz, tak lękliwy, jakby obawiał się zdradzić.

Przestał się więc dobijać, prosił z wyrazem takiego niepokoju, przerażenia i zarazem pieszczoty w głosie, że natchnął był w stanie ufnością nawet największego tchórza.

Nareszcie uchyliła się stara spróchniała okiennica i zamknęła natychmiast, skoro tylko światło dymiącej lampki, palącej się w kącie, oświetliło szarfę, rękojeść szpady i kolby pistoletów d'Artagnana.

Jakkolwiek stało się to nader szybko, miał jednak czas dostrzedz siwą głowę starca.

— Na imię boskie! zaklinam was — zawołał — wysłuchajcie mnie: czekałem tu na kogoś i doczekać się nie mogę, umieram z niepokoju. Miałożby się tu jakie nieszczęście wydarzyć? powiedzcie.

Okno otworzyło się powoli i znowu ta sama twarz się ukazała; lecz bledsza jeszcze, niż za pierwszym razem.

D'Artagnan prostodusznie, nieledwie z imienia, opowiedział swoją historję; jak przed tym pawilonem miał schadzkę z młodą kobietą i jak, nie mogąc się jej doczekać, wdrapał się na lipę, a stamtąd przy świetle lampy ujrzał poprzewracane sprzęty w pokoju.

Starzec wysłuchał go z uwagą, potakując, a gdy d'Artagnan skończył, potrząsnął głową z miną złowróbną.

— Cóż to ma znaczyć? — zawołał d'Artagnan. — Na Boga, błagam cię, tłumacz się jaśniej.

— O! panie — odezwał się starzec — o nic mnie nie pytaj; bo, gdybym opowiedział ci, co widziałem, nie wyszłoby mi na dobre z pewnością.

— Więc widziałeś? — podchwycił d'Artagnan. — W takim razie zaklinam cię! — ciągnął dalej, kładąc mu pistola — powiedz mi, powiedz, coś widział, a słowo szlacheckie ci daję, że ani słówka jednego nie uronię z mojego serca.

Tyle szczerości i bólu wryło się na twarzy d'Artagnana, że starzec skinął na znak, iż mówić zacznie i odezwał się cichym głosem:

— Blisko dziewiętej było, gdy usłyszałem turkot na ulicy, a, pragnąc dowiedzieć się, coby to być mogło, podszedłem do moich drzwi i poznałem, że ktoś usiłuje wejść. Ponieważ ubogi jestem i nie lękam się złodziei, otworzyłem drzwi do chaty i ujrzałem trzech mężczyzn, stojących w pobliżu. Za nimi tuż w cieniu stała dwukonna karetka i konie wierzchowe. Należały one niechybnie do trzech mężczyzn, którzy przyjechali wierzchem.

— A! panowie łaskawi — zawołałem — czego żądacie?

— Musisz mieć drabinę? — odezwał się do mnie ten, który wyglądał na przewodcę eskorty.

— Mam, panie, do zbierania owoców.

— Daj ją nam i wracaj do siebie, masz za fatygę talara; pamiętaj tylko, że jeśli słówko choć piśniesz, co będziesz widział i słyszał (gdyż pewny jestem, że patrzeć i słuchać będziesz, pomimo gróźb naszych) zginiesz niechybnie.

To mówiąc, rzucił mi talara i zabrał drabinę.

Rozumie się, że zamknąwszy za nim furtkę, udałem, iż wracam do domu; wyszedłem jednak drzwiami tylnymi i, przemknąwszy w ciemnościach, dostałem się do tej gęstwiny bżów, z pośród której niewidziany mogłem się wszystkiemu należycie przypatrzeć.

Trzej panowie rozkazali powozowi podjechać cichutko, wywlekli z niego małego, grubego, kusego, siwewego człowieka, ciemno i nędznie odzianego, który z ostrożnością wszedł na drabinę, ponurem wejrzeniem ogarnął wnętrze pokoju, zeszedł powoli i mruknął głosem stłumionym:

— Ona!

Poczem ten, który przemawiał do mnie, otworzył drzwi pawilonu kluczem, zamknął je za sobą i zniknął; jednocześnie dwóch innych weszło na drabinę.

Gruby staruszek stanął przy drzwiczkach karety, stangret trzymał lejce, a lokaj konie za uzdy.

Naraz krzyk przeraźliwy rozległ się w pawilonie.

Kobieta jakaś przyskoczyła do okna, otworzyła je, jak gdyby chciała rzucić się z niego. Lecz skoro spostrzegła dwóch mężczyzn, odskoczyła w tył; ci rzucili się za nią do pokoju.

Wtedy nic już nie widziałem, lecz słyszałem trzask łamanych sprzętów. Kobieta krzyczała i wołała ratunku. Lecz wkrótce wszystko ucichło; trzej mężczyźni zbliżyli się do okna, unosząc na rękach kobietę; dwóch z nich zeszło po drabinie. Umieścili kobietę w karecie, a przy niej siadł staruszek; ten, który wprzód w pawilonie pozostał, zamknął okno i po chwili wyszedł drzwiami i z uwagą popatrzył, czy rzeczywiście kobieta znajduje się w karecie. Dwaj towarzysze jego czekali nań, siedząc już na koniach, i on też zaraz wskoczył na siodło; służący usadowił się przy woźnicy; kareta, eskortowana przez trzech jeźdźców, popędziła cwałem i wszystko się skończyło. Od tej chwili nic już nie widziałem, ani słyszałem.

Zgnębiony tą straszną nowiną, d'Artagnan oniemiał i zdrętwiał, a całe piekło gniewu i zazdrości targało mu serce.

— Lecz, wielmożny panie — ciągnął dalej starzec, na którym niema ta rozpacz, większe wrażenie sprawiła, niż krzyki i płacze — nie martw się tak bardzo, nie zabili ci jej, to najważniejsza.

— Nie wiesz, kto był przywódcą tej piekielnej wyprawy?

— Nie znam go wcale.

— Lecz mogłeś mu się przyjrzeć, skoro mówił do ciebie.

— A! to pan chce wiedzieć, jak wyglądał z twarzy?

— Tak.

— Wysoki, suchy, opalony, wąsy czarne, oczy czarne, postawa pańska.

— To on! i znowu on!... — wykrzyknął d'Artagnan. — To zły duch mój, widocznie!

A ten drugi?

— Który?

— Ten mały.

— O! to, ręczyć mogę, nie żaden pan: nie miał nawet szpady, a tamci traktowali go przez nogę.

— Jakiś lokaj — mruknął d'Artagnan. — A! biedna, nieszczęśliwa kobieta! co oni z nią zrobili?

— Przyrzekł mi pan zachować tajemnicę — odezwał się staruszek.

— Bądź spokojny, przyrzekam ci raz jeszcze, jestem szlachcicem, słowo szlacheckie nad wszystko waży, a ja ci je daję.

D'Artagnan ze zranioną duszą powlókł się do przewozu.

Chwilami nie chciał wierzyć, aby to była pani Bonacieux, i nadzieja wstępowała mu w serce, że jutro w Luwrze odnajdzie ją.

To znowu przerażająca myśl go gnębiła, czy to nie intryga miłosna, czy nie zazdrośnik jakiś, zeszedłszy ją, kazał porwać.

Błąkał się w domysłach, dręczył, rozpaczał.

— O! gdyby byli moi przyjaciele! — zawołał z głębi duszy — miałbym chociaż nadzieję odnalezienia jej; lecz kto wie, co tu z nimi się dzieje?

Północ już się zbliżała; trzeba było odnaleźć Plancheta.

Do wszystkich karczem, w jakich się świeciło, zaglądał kolejno, ale w żadnej go nie zastał.

Gdy zaszedł do szóstej, przyszło mu na myśl, iż poszukiwania te mogą być bez skutku, gdyż kazał mu czekać na siebie o szóstej z rana dopiero, a teraz miał wszelkie prawo, znajdować się gdzie chciał.

Zresztą i to mu przyszło do głowy, że jeśli pozostanie bliżej miejsca porwania, prędzej pochwyci nitkę tego tajemniczego wężła.

Otóż w szóstej karczmie, jak mówiliśmy, zatrzymał się d'Artagnan, zażądał butelki wina przedniego gatunku, wsparł się na łokciach w najciemniejszym kącie stołu i postanowił do dnia przeczekać.

Lecz i tym razem nadzieje jego okazały się płonne.

Chociaż słuch wyteżał pilnie, wśród przekleństw, rozpustnych piosenek i wymysłów, jakimi obsypywali się robotnicy, pacholki i furmani, tworzący to zaszczytne towarzystwo, do którego i on należał mimowolnie, nic nie usłyszał takiego, co by mogło go naprowadzić na ślad ukochanej kobiety.

Wyszczywszy z nudów butelkę, aby nie obudzić podejrzeń, rad nie rad umieścił się, jak mógł, w swym kącie, aby jako tako się przespać.

Nie zapominajmy, iż d'Artagnan liczył lat dwadzieścia i że w tym wieku sen ma swoje niezwalczone prawa, których domaga się gwałtownie nawet od serc najbardziej zrozpaczonych.

Nad ranem, około szóstej, przebudził się znużony, co zwykle bywa po źle spędzonej nocy. Niewiele czasu zabrało mu ubranie.

Pomacał kieszenie, czy nie skorzystano ze snu jego, aby go okraść, a znalazłszy trzos na miejscu i pistolety za pasem, wstał, zapłacił za wino i wyszedł, w nadziei, że z rana uda mu się prędzej odnaleźć pacholka.

Rzeczywiście, najpierwszą osobą, która mu wpadła w oczy przez szarawe mgły poranku, był czcigodny Planchet, czekający nań przed bramą małej pochyłej karczemki, którą d'Artagnan pominął w poszukiwaniach nocnych.

Planchet trzymał za uzdę dwa konie.

ROZDZIAŁ XXV. PORTHOS

D'Artagnan, zamiast wprost do siebie powrócić, zsiadł z konia przed bramą pana de Tréville i wbiegł szybko na schody.

Tym razem postanowił opowiedzieć o wszystkim, co zaszło.

Pan de Tréville bez wątpienia nie poskąpi mu dobrych rad w tej sprawie, a, widując się codziennie z królową, może będzie mógł zasięgnąć od niej wiadomości o nieszczęśliwej kobiecie, której z pewnością drogo zapłacić kazano za przywiązanie do jej pani.

Pan de Tréville wysłuchał opowiadania młodzieńca z powagą, świadczącą, iż w całej tej sprawie widział coś więcej, niż samą przygodę miłosną, a gdy d'Artagnan skończył nareszcie, wyrzekł:

— Hm!... wszystko to o miłą czuć jego eminencją.

— Lecz co tu robić? — zapytał d'Artagnan.

— Nic, nic zgoła, jak na teraz, tylko opuścić Paryż, jak ci to już mówiłem i to jak można najprędzej. Zobaczę się z królową, opowiem jej szczegóły zniknięcia tej biednej kobiety, które posłużą za wskazówkę, a za twoim powrotem, może będę miał lepszą dla ciebie nowinę. Zaufaj mi.

D'Artagnan wiedział, że pan de Tréville, choć był Gaskończykiem, nie czynił próżnych obietnic, a zawsze więcej robił, aniżeli przyrzekał.

Pełen więc wdzięczności za przeszłą i przyszłą opiekę, pożegnał go d'Artagnan, a zacny dowódca, który czuł żywą sympatię dla odważnego i śmiałego młodzieńca, serdecznie

uściskał mu rękę, życząc szczęśliwej podróży.

Gotów wprowadzić w czyn rady pana de Tréville, poszedł od razu do swego mieszkania, aby spakować tłumoczek podróży.

W pobliżu domu spostrzegł pana Bonacieux, stojącego w ubraniu rannem na progu swego domostwa.

Przyszło mu na myśl wszystko, co przezorny Planchet mówił mu o złowrogich minach gospodarza i począł mu się przypatrywać z większą, niż dotąd uwagą.

W istocie, pominąwszy bladość żółtawą i chorobliwą, dowodzącą ulania żółci, co mogło być wreszcie przypadkowe, d'Artagnan dostrzegł coś ponuro-przewrotnego w zmarszczkach jego oblicza.

Oszust nie tak się śmieje, jak człowiek uczciwy, innemi łzami płacze obłudnik, a innemi człowiek dobrej wiary. Każdy fałsz jest maską i, choćby najartystyczniej była zrobiona, zawsze można ją odróżnić od szczerej twarzy.

D'Artagnanowi zdało się więc, że pan Bonacieux nosi maskę i to jedną z najwstrętniejszych pod słońcem.

Wskutek tych spostrzeżeń, przejęty odrazą dla tego człowieka, chciał przejść, nawet nie odezwawszy się do niego, gdy Bonacieux tak samo, jak dnia poprzedniego, zaczął go pierwszy.

— Cóż to! młodzieńcze — przemówił doń — widocznie hulamy sobie po nocy? siódma godzina rano!... a pan, widzę, zmieniasz porządek rzeczy, powracasz wtedy, gdy inni wychodzą.

— Pan na taką nie zasługujesz wymówkę, mości Bonacieux — odrzekł d'Artagnan — jesteś wzorem porządnym ludzi. Co prawda, gdy się ma ładną żonkę, nie potrzeba uganiać się za szczęściem: ono samo przychodzi; wszak prawda, panie Bonacieux?...

Ten zbladł jak śmierć i wykrzywił usta uśmiechem.

— O! o!... — odezwał się Bonacieux — dowcipniś z pana. Lecz gdzież to u diabła włożyłeś się tak po nocy, mój młody panie?... widocznie manowce niezbyt wygodne były.

D'Artagnan spojrział na swoje buty zabłocone strasznie; lecz jednocześnie wzrok przeniósł na trzewiki i pończochy kramarza. Rzeczy można, że je ktoś w tej samej kałuży unurzał; jedno i drugie nosiły na sobie ten sam kolor błota.

Nagła myśl strzeliła do głowy d'Artagnana.

Ów mały, gruby, krótki siwiejący człowiek, tak jakby lokaj, ciemno ubrany, lekceważony przez ludzi, noszących szpady, to musiał być Bonacieux we własnej osobie. Mąż przewodniczył przy porwaniu małżonki.

Szalona ochota wzięła d'Artagnana porwać kramarza za gardło i zdusić go na miejscu, lecz, mówiliśmy już, był on chłopcem nader roztropnym, więc się powstrzymał.

Jednakże twarz tak mu się dziwnie zmieniła, że Bonacieux przeraził się wielce i chciał się chyłkiem od niego wymknąć; ponieważ wszakże stał wprost połowy drzwi, która była zamknięta, rad nie rad musiał pozostać na miejscu.

— A!... mój łaskawco, żarty ze mnie stroisz — rzekł d'Artagnan — ale zdaje mi się, że jeżeli moje buty potrzebują gąbki, tem bardziej twoje trzewiki i pończochy aż proszą o oczyszczenie. Miałżebyś i pan także, mości Bonacieux, szastać się po nocy?... Do licha!... byłoby to nie do darowania człowiekowi w twym wieku, tem bardziej tobie, co masz ładną i młodą żonkę.

— O!... uchowaj mnie Boże — odparł Bonacieux — ale wczoraj byłem aż w Saint-Mandé, aby się wywieźć o służącą, bez której obejść się nie mogę, a ponieważ złą miałem drogę, zabłociłem się tak okropnie i jeszcze nie miałem czasu oczyścić ubrania.

Wspomniane przez Bonacieux miejsce wycieczki stało się nowym dowodem, popierającym podejrzenia d'Artagnana.

Powiedział, że był w Saint-Mandé, dlatego tylko, że znajdowało się ono w stronie wprost przeciwnej, niż Saint-Cloud.

Przypuszczenie to pierwszą było pociechą w tym razie. Jeżeli Bonacieux wiedział, gdzie jest jego żona, można było, używszy środków nadzwyczajnych, zmusić kramarza do rozwiązania języka, można było wyrwać z niego tajemnicę. Należało tylko przypuszczenie to w pewność zamienić.

— Wybacz mi, drogi panie Bonacieux, że pozwalam sobie być z tobą bez ceremonji, lecz nic tak pragnienia nie pobudza, jak bezsenność, szalenie mi się pić chce; pozwól mi napić się u siebie wody, wszak to sąsiadowi uchodzi.

I, nie czekając przyzwolenia, wpadł do pokoju gospodarza i spojrzął nieznacznie na łóżko.

Stało nietknięte. Bonacieux nie kładł się tej nocy.

Niedawno więc wrócił do domu; towarzyszył zatem żonie do miejsca, dokąd ją zawieźć miano lub przynajmniej do pierwszej stacji.

— Dzięki, mości Bonacieux — rzekł d'Artagnan, wychylając szklankę wody — to wszystko, czegom żądał od ciebie. Teraz idę do siebie, każę Planchetowi oczyścić buty, a gdy się z nimi załatwi, przysyłę go tutaj, jeżeli zechcesz, aby wyszczotkował i twoje trzewiki.

I zostawił kramarza, osłupiałego tem pożegnaniem, i zadającego sobie pytanie, czy wypadkiem nie pokpił sam własnej sprawy.

Na schodach d'Artagnan spotkał Plancheta bardzo pomieszanego.

— O! panie!... — zawołał, ujrawszy d'Artagnana. — Nie mogłem doczekać się pana, znów coś nowego mamy!...

— Cóż tam znowu?... — pytał d'Artagnan.

— O założyłbym się o sto tysięcy, że pan nie zgadnie, jaką miałem wizytę w nieobecności jego.

— Kiedyż to było?

— Pół godziny temu, kiedy pan był u pana de Tréville.

— I któż to był taki?... mówże!...

— Pan de Carois.

— Pan de Carois?...

— We własnej osobie.

— Dowódca gwardji jego eminencji?

— On sam.

— Przyszedł mnie aresztować?

— Ja tak samo przypuszczam, proszę pana, pomimo że miał układną minę.

— Mówisz, że miał taką minę?

— Słodki był, jak miód.

— Doprawdy?...

— Powiedział, że przychodzi od jego eminencji, który bardzo panu sprzyja, i chce zabrać pana z sobą do Palais-Royal.

— A cóżeś mu odpowiedział?...

— Że to niepodobna, bo pana nie ma w domu, jak sam to mógł widzieć.

— Cóż on na to?

— Mówił, żeby pan nie omieszkiał dziś jeszcze zajść do niego; a potem dodał cichutko: „Powiedz twemu panu, że jego eminencja dobrze jest usposobiony dla niego i że prawdopodobnie los jego zależy od widzenia się z kardynałem”.

— Jak na kardynała, to niezbyt zręczne sidła... — odrzekł młodzieniec z uśmiechem.

— Ja też, widząc w tem zasadzkę, odpowiedziałem, że pan będzie niepokieszony za swoim powrotem.

— Dokądże pojechał? — zapytał pan de Carois.

— Do Troyes w Szampanji — odrzekłem.

— Kiedy wyjechał?

— Wczoraj wieczorem.

— Planchetku mój miły — przerwał mu d'Artagnan — prawdziwie nieoceniony z ciebie człowiek.

— Pojmuje pan — pomyślałem sobie — że, w razie, gdyby pan chciał widzieć się z panem de Carois, mam zawsze czas słowa swoje odwołać i powiedzieć, że pan nie wyjeżdżał; w takim razie kłamcą byłbym ja, a ponieważ nie jestem szlachcicem, wolno mi zatem kłamać.

— Uspokój się, nie stracisz opinji człowieka prawdomównego: za kwadrans wyjeżdżamy.

— I ja to chciałem panu poradzić; a dokąd jedziemy, jeżeli wolno zapytać?

— W stronę przeciwną tej, którą wymienileś. Czy ci zresztą nie pilno dowiedzieć się czegoś o Girmaudzie, Mousquetonie i Bazinie, tak jak mnie o Athosie, Porthosie i Aramisie?

— Zapewne, proszę pana, i pojedę, dokąd mi rozkażesz; powietrze na prowincji, jak mi się zdaje, będzie dla nas zdrowsze, niż powietrze paryskie.

— Więc spakuj rzeczy i jedźmy; ja wyruszę naprzód z rękami w kieszeniach, żeby nie domyślano się niczego. Ty podążysz za mną do koszar gwardyjskich. Ale, Planchecie, miałeś rację co do naszego gospodarza, to straszny szubrawiec.

— O! panie, skoro ja mówię, to niech mi pan wierzy; ja się znam na ludziach!... ho! ho!

Zgodnie z projektem, d'Artagnan wyruszył pierwszy i, aby nie mieć na sobie nic do wyrzucenia, po raz ostatni jeszcze zaszedł do mieszkania trzech swoich przyjaciół.

Żadnej nie było wiadomości; jedynie dla Aramisa zastał list, przesycony wonnościami, a pisany drobniutkim i wytwornym charakterem. Zabrał go z sobą.

W dziesięć minut zjawił się Planchet w stajniach koszar gwardyjskich. Aby nie tracić czasu, d'Artagnan sam już konia swego osiodłał.

— Tak, dobrze — odezwał się do Plancheta, gdy przytroczył mu tłumoczek do siodła. — Teraz siodłaj tamte trzy konie i ruszajmy w drogę.

— Czy dlatego, panie, abyśmy prędzej jechali, chcesz, by każdy z nas miał dwa konie? — zauważył Planchet z przebiegłą miną.

— Niepotrzebne żarty, Planchetku — odrzekł d'Artagnan — przy pomocy tych czterech koni będziemy mogli przywieźć trzech przyjaciół naszych, jeżeli ich odnajdziemy jeszcze żywych.

— Doprawdy, szczególniejsze byłoby to szczęście — odpowiedział Planchet — a zresztą nie trzeba nigdy tracić nadziei w miłosierdzie boskie.

— Amen!... — zakończył d'Artagnan, dosiadając konia.

I wyjechali z koszar gwardyjskich, każdy w inną stronę, jeden z nich bowiem przez rogatki de La Villette, a drugi przez Montmartre, zjechać się zaś mieli po za Saint-Denis.

Wybieg ten strategiczny, wykonany z wszelką ścisłością, uwieńczony został pożądanym skutkiem. Obydwaj wjechali razem do Pierrefitte.

Przyznać trzeba, że Planchet o wiele odważniejszy był we dnie, niż w nocy. Pomimo to wrodzona przezorność nie opuszczała go na chwilę; nie zapomniał najmniejszej okoliczności ubocznej z poprzedniej podróży i kogo tylko spotkał, uważał za wroga.

Z tego wynikło, że nieustannie chwycił za kapelusz, czem ściągał na siebie surową naganę ze strony d'Artagnana, który się lękał, aby dzięki tej grzeczności zbytecznej nie wzięto go za chudopacholskiego sługę.

Czy przejezdnych wzruszała owa uprzejmość Plancheta, czy też nie było czatów, rozstawionych na ich drodze, dość, że podróżni nasi dostali się bez najmniejszego wypadku do Chantilly i zatrzymali się w hotelu Grand-Saint-Martin, tam, gdzie stali za pierwszej podróży.

Oberżysta, zoczywszy młodzieńca z pacholkiem, prowadzącym dwa luźne konie, wyszedł pełen szacunku na spotkanie.

D'Artagnan, upaliwszy kilkanaście mil odrazu, uznał za stosowne wypocząć i dowiedzieć się, czy znajdzie tu jeszcze Porthosa.

Zresztą niezbyt roztropnie byłoby pytać od razu, co się stało z muszkietierem. Po namyśle, d'Artagnan, o nic nie pytając, zsiadł z konia i polecił go swemu służącemu; wszedł do niewielkiego pokoju, przeznaczonego dla tych, co sami być chcieli, i zażądał butelki najlepszego wina oraz śniadania, jak można najwykwintniejszego, co spotęgowało jeszcze bardziej dobre pojęcie gospodarza o podróżnym, powzięte z pierwszego wejrzenia.

Obsłużono go z cudowną szybkością.

Do pułku gwardji zaciągnano najpierwszą szlachtę z królestwa, d'Artagnan więc, mający przy sobie służącego i cztery przepyszne konie, nie mógł, pomimo skromnego munduru, nie wyrzec wrażenia.

Oberżysta sam pragnął mu usłużyć, co widząc, d'Artagnan rozkazał podać dwa kieliszki i rozpoczął następującą rozmowę:

— Na honor, drogi mój gospodarzu — rzekł, napelniając kieliszki — zażądałem najlepszego, jakie masz, wina, a jeżeli mnie oszukałeś, sam będziesz ukarany tem, czem

zgrzeszyłeś, bo nie cierpię pić sam i musisz mi dotrzymać kompanji. Pijmy zatem! No, dalej! za czyje zdrowie pić będziemy, aby nie zranić niczyjej miłości własnej? Niechaj będzie za pomyślność twojego zakładu.

— Wasza dostojność zaszczyt mi czyni — odrzekł oberżysta — serdecznie dziękuję za dobre życzenia pańskie.

— Lecz nie chcę w błąd cię wprowadzać i z góry wyznaję, iż więcej w tem jest egoizmu, niż przypuszczasz: jedynie te zakłady mają powodzenie, w których goście są dobrze przyjmowani, w hotelach, gdzie wszystko bezładnie idzie, podróżny pada ofiarą wad i niedostatków gospodarza. Ja, co dużo podróżuję, szczególnie tą drogą, chciałbym, ażeby wszyscy oberżyści robili majątki.

— Istotnie, zdaje mi się, że nie po raz pierwszy mam szczęście pana oglądać.

— Ba! przejeżdżałem tędy do Chantilly conajmniej dziesięć razy, a trzy lub cztery zatrzymałem się u pana. Zaraz... byłem tu dziesięć czy dwanaście dni temu, odprowadzałem przyjaciół muszkietarów, a właśnie jeden z nich pokłócił się z jakimś nieznajomym człowiekiem, który, nie wiadomo dlaczego, szukał zaczepki.

— A tak! prawda, przypominam sobie. Czy nie o panu Porthosie wasza dostojność chce mówić?

— Tak właśnie nazywa się mój towarzysz podróży. Boże! drogi gospodarzu, powiedz mi, miałooby spotkać go jakie nieszczęście?

— Wasza dostojność pamięta zapewne, że nie mógł się puścić w dalszą drogę.

— Rzeczywiście, przyrzekł podążyć za nami i nie widzieliśmy go więcej.

— Zaszczycił nas, pozostając tutaj.

— Jak to? zrobił wam ten zaszczyt?

— Tak, panie, w tym oto zajęździe; i nawet jesteśmy mocno zaniepokojeni pod pewnemi względami.

— Pod jakimi?

— Pod względem porobionych kosztów.

— Cóż znowu! on je wszystkie zapłaci...

— A! panie, balsam pociechy wlewasz mi w serce! Dużo już dotąd daliśmy naprzód, a jeszcze dzisiaj felczer nam oznajmił, że ponieważ pan Porthos nie płaci, na nas będzie poszukiwał należności, bo to ja po niego posyłałem.

— Czyż Porthos raniony?

— Nie wiem, jak mam powiedzieć.

— Jak to, nie wiesz pan?... powinieneś lepiej wiedzieć o tem, niż ktokolwiek.

— Zapewne, lecz w naszym stanie nie można wszystkiego, o czem się wie, rozpowiadać, nade wszystko, gdy nam zastrzeżono, iż uszy nasze odpowiadać będą za język.

— A czy ja mogę widzieć się z Porthosem?

— I owszem, wejź pan na piętro, zapukaj do numeru I-go. Proszę tylko oznajmić, że to pan.

— Dlaczego?

— Bo mogłoby pana nieszczęście spotkać.

— Jakie?

— Pan Porthos mógłby przypuszczać, że to ktoś z domowników i w przystępie złości, przesyłby pana szpadą lub w łeb palną, broń Boże!

— Cóżście mu zawinili?

— Żądaliśmy zapłaty.

— A! do licha, rozumiem; żądanie podobne on bardzo źle widzi, gdy nie jest przy pieniądzach; lecz o ile wiem, powinien je mieć.

— Takie i nasze było zdanie; a ponieważ w domu naszym panuje porządek i rachunki zamykamy co tydzień, przedstawiliśmy mu spis wydatków, lecz na złą chwilę trafiliśmy widocznie, gdyż za pierwszym słowem odesłał nas do wszystkich djabłów; co prawda, grał dnia poprzedniego.

— Jak to, z kim?

— A! mój Boże, albo ja wiem?... z jakimś panem przejeźdnym, któremu zaproponował partję lancknechta.

— A! biedak, musiał wszystko przegrać.

— Wszystko, i konia nawet, bo gdy tamten miał się już ku odjazdowi, przekonaliśmy się, że lokaj jego siodłał konia pana Porthosa. Zrobiliśmy mu wtedy uwagę, lecz nam odpowiedział, że się miesza do swoich rzeczy, że nam nic do tego, ponieważ ten koń jest jego własnością. Daliśmy znać natychmiast panu Portbosowi o tem, co się dzieje, a on kazał nam odpowiedzieć, że trzeba być blaznami, aby wątpić w słowo szlacheckie, i że skoro tamten szlachcic mówi, że koń do niego należy, tak musi być i basta.

— Zawsze ten sam — mruknął d'Artagnan.

— Wtedy — mówił dalej gospodarz — kazałem mu powiedzieć, że skoro porozumieć się nie możemy co do zapłaty, nie tracę nadziei, że zechce przynajmniej wyświadczyć łaskę mojemu koledze z pod „Złotego orła” i jemu także da co zarobić. Ale pan Porthos odpowiedział mi, że moja oberża jest najlepsza i życzy sobie w niej pozostać. Odpowiedź ta była zbyt dla mnie pochlebna, więc nie mogłem nalegać, ażeby się wyniósł; poprzestałem tylko na prośbie, aby ustąpił mi swego pokoju, który jest najładniejszy ze wszystkich, a zadowolili się milutkim gabinecikiem na trzecim piętrze. Na to pan Porthos odpowiedział mi, że oczekuje lada chwila przybycia swojej kochanki, jednej z najznakomitszych dam dworu, powinienem więc zrozumieć, że pokój, zaszczycony jego pobytem, aż nadto mierny jest dla takiej osoby. Pomimo całkowitego uznania dla prawdziwości słów jego, czułem się w obowiązku obstawać przy swoim. Ale nie mogło być o tem ani mowy. Położył pistolet przy łóżku, oświadczając, iż za pierwszym słowem o jakichkolwiek przenosinach, palnie w łeb temu, kto poważy się wtrącać. I odtąd już nikt nie postąpił u niego, prócz jego pacholka.

— Jest tu więc i Mousqueton?

— Jest, panie.... w pięć dni po wyjeździe powrócił, mocno skwaszony, widocznie i on miał w podróży nieprzyjemności. Na nieszczęście, żwawszy jest od swego pana i dla niego to wszystko do góry nogami przewraca, a przypuszczając, że gdyby prosił, mógłby doznać odmowy, więc bez proszenia bierze, co mu się podoba.

— Tak, zawsze ja widziałem w Mousquetonie wierność i przebiegłość niepospolitą — odpowiedział d'Artagnan.

— Być może, ale jeżeli z taką wiernością i przebiegłością będę miał cztery razy do roku do czynienia, sam pójdę z torbami.

— Bynajmniej, przecie Porthos zapłaci.

— Hm!... — mruknął z powątpiewaniem oberżysta.

— Jest on ulubieńcem wielkiej pani, która nie pozostawi go w kłopotcie o taką drobność, jaką jest panu dłużny.

— Gdybym śmiał powiedzieć, co myślę o tem wszystkim...

— Jak to, co myślisz?

— Co wiem, raczej.

— A cóż pan wiesz?

— I czego jestem nawet pewny.

— Czego?... doprawdy ciekawym.

— Powiedziałbym, że znam tę wielką panią.

— Pan?

— Tak, ja.

— Skądże ją poznałeś?

— O!... panie, gdybym mógł zaufać pańskiej dyskrecji.

— Mów pan, o słowem szlacheckiem ci ręczę, że nie będziesz żałował zaufania.

— Pojmuje pan, że niepokój do wielu rzeczy popycha.

— Jakżeś pan postąpił?

— O!... najpierw nic takiego nie zrobiłem, do czego nie miałby prawa wierzyciel.

— Więc?

— Pan Porthos dał nam list do owej księżnej i kazał wrzucić go do skrzynki pocztowej. Pacholka jego jeszcze nie było. Ponieważ nie wychodził z pokoju, zmuszony był obarczać nas swojemi zleceniami.

— Cóż dalej?

— Zamiast wrzucić ów list do skrzynki, co niezbyt pewne bywa, skorzystałem z tego, że jeden z moich posługaczy jechał do Paryża i rozkazałem wręczyć bilecik samej księżnej. Było to spełnieniem życzeń pana Porthosa, który nam list ten tak polecał; nieprawdaż?

— Niby...

— I czy wie pan, kto jest owa wielka dama?

— Nie, slyszalem o niej tylko od Porthosa.

— Wie pan, kto jest ta niby księżna?

— Mówilem przecie, że nie znam jej wcale.

— To stara prokuratorowa, niejaka pani Coquenard, mająca lat pięćdziesiąt conajmniej, a udaje jeszcze zazdrosną. Ja od razu się dziwiłem, że jakaś księżniczka mieszka przy ulicy Niedźwiedziej.

— Skądże pan wiesz?

— Bo, gdy odebrała list, wpadła w gniew okrutny, wykrzykując, że pan Porthos jest wietrznikiem i że pewnie o jaką kobietę bił się i został raniony.

— Więc on raniony?

— A! Boże!... tom się wygadał!...

— Powiedziałeś pan, że Porthos jest ranny?

— Tak, ale mówić o tem srodze mi zabronił!...

— Czemuż to?

— Ha!... bo się przechwalał, że nadzieje na rożen tego jegomościa, z którym go pan w kłótni zostawił, a pomimo całej jego junakierji, jegomość ów od razu go z nóg zwałił. Pan Porthos więc, człowiek pełen pychy, tylko swoją księżnę chciał rozczulić opowieścią o przygodzie, ale przed nikim nie chce się przyznać, że został pokłuty rapierem.

— Więc to rany przykuły go do łóżka?

— Mistrzowskie pchnięcie, zaręczam panu. Rogatą duszę ma pański przyjaciel.

— Byłeś pan przy tem obecny?

— O!... wszystko to trwało zaledwie chwile, może mi pan wierzyć. Stanęli naprzeciw siebie. Nieznajomy szybko się zwinął i natarł tak niespodzianie, że zanim pan Porthos odbić zdołał, żelazo przeciwnika utkwilo mu w piersi na trzy cale. Upadł na wznak. Korzystając z tego, nieznajomy oparł mu na gardle koniec rapiera; pan Porthos, widząc się na łasce przeciwnika, uznał się za pokonanego. Wtedy nieznajomy spytał go o nazwisko, a dowiedziawszy się, że ma z Porthosem, a nie z d'Artagnanem do czynienia, pomógł mu dźwignąć się, odprowadził do oberży, sam wsiadł na konia i odjechał.

— To on miał do d'Artagnana urazę?

— Widocznie.

— A czy wiesz, co się z nim stało?

— Nie... widziałem go po raz pierwszy i odtąd nie pokazał się więcej.

— Wybornie... wiem już, co wiedzieć chciałem. Mówiłeś pan, że pokój Porthosa znajduje się na pierwszym piętrze, numer I?

— Tak, panie, najpiękniejszy w całej oberży; pokój, który miałbym sposobność dzieścić razy wynająć.

— Ba!... nie kłopotz się pan — odezwał się z uśmiechem d'Artagnan — Porthos się uiści pieniędzmi księżnej Coquenard.

— O!... panie, prokuratorowa, czy księżna, byle tylko rozluźniła supły swego worka, wszystko to dla mnie jedno; ale ona dała tu odpowiedź stanowczą, że dosyć już ma tych wymagań i wiarołomstwa pana Porthosa i że mu złamanego szeląga nie przyśle.

— A czy powtórzyłeś tę odpowiedź swemu gościowi?

— Boże uchwaj!... byłby się dowiedział w jaki sposób wywiązaliśmy się z jego zlecenia.

— Więc on ciągle jeszcze czeka na pieniądze?

— Tak!... Wczoraj jeszcze pisał, ale tym razem służący oddał list na pocztę.

— Powiadasz pan, że prokuratorowa brzydka jest i stara?

— Conajmniej pięćdziesięcioletnia i wcale nie piękna, jak mówił mi Pathaud.

— W takim razie możesz być spokojny, da się ona zmiękczyć; a zresztą, nie wielkie rzeczy musi ci być Porthos dłużny.

— Jak to nie wielkie! Dwadzieścia pistołów, jak dotąd, nie licząc doktora. Niczego on sobie nie żałuje, widać przyzwyczajony do wygod.

— To chociaż go ona opuści, znajdą się jeszcze przyjaciele, zaręczam. Pozbądź się wszelkich obaw, gospodarzu drogi i nie ustawaj w pieczołowitości, jakiej stan jego wymaga.

— Obiecał mi pan pary z ust nie wypuścić o prokuratorowej i o ranie.

— Masz na to moje słowo.

— Bo widzi pan, on gotówby mnie zabić!

— Nie lękaj się; nie taki on straszny, jak się wydaje.

To powiedziawszy, poszedł d'Artagnan na górę, pozostawiając gospodarza, uspokojonego pod dwoma względami, o które najmocniej mu chodziło: o dług i swoje życie.

Zapukał do drzwi, najpokaźniej się przedstawiających, a oznaczonych wielkim czarnym numerem.

Gdy odpowiedziano, wszedł.

Porthos, leżąc na łóżku, grał z Mousquetonem w lancknechta, aby nie wychodzić z wprawy, a przed ogniem obracał się rożen, obładowany kuropatwami, po dwóch zaś rogach wielkiego komina, na rozżarzonych węglach wrzały dwa tygłe, z których wydobywała się lechcząca powonienie para potrawy z ryb i królika.

Prócz tego stół do pisania i komoda zastawione były wypróżnionymi butelkami.

Na widok przyjaciela, Porthos krzyknął radośnie, a Mousqueton, powstawszy z uszanowaniem, ustąpił miejsca i poszedł zajrzeć do tygli, nad którymi zdawał się mieć osobiwszy nadzór.

— A! na Boga! to ty?... — zawołał Porthos do d'Artagnana — witaj mi i wybac, że nie wstaję na twoje spotkanie. Ale nie wiem, czy wiesz, co mi się przytrafiło? — dodał niespokojnie, patrząc na d'Artagnana.

— Nie wiem.

— Nie mówił ci gospodarz?

— Zapytałem go o ciebie i prosto przychodzę.

Porthos odetchnął swobodniej.

— A cóż ci się przytrafiło, drogi Porthosie? — kończył d'Artagnan.

— Nacieralem na przeciwnika, któremu już trzy pchnięcia rapierem zadałem i chciałem czwartym z nim skończyć, gdy w tem nastąpiłem na kamień i zwichnąłem nogę w kolanie.

— Doprawdy?

— Słowo honoru! Szczęście tego łajdaka, by byłbym go ubił na miejscu.

— I cóż się z nim stało?

— Alboż ja wiem?... miał już dosyć, nie czekając reszty odjechał... Lecz z tobą, co się stało, drogi d'Artagnanie?

— Zatem zwichnięcie nogi zatrzymuje cię w łóżku, drogi Porthosie?... — ciągnął dalej d'Artagnan.

— A! Boże mój, nie wielkie to rzeczy; za kilka dni już wstanę.

— Czemuż nie kazałeś przenieść się do Paryża? Tutaj okrutnie ci nudno być musi.

— Miałem ten zamiar, lecz muszę ci coś wyznać, drogi kolego.

— Co takiego?

— Widzisz, jak ci mówiłem, nudziłem się straszliwie, a w kieszeni miałem owe siedemdziesiąt pięć pistolów, przypadłe mi z podziału, dla rozrywki więc kazałem poprosić do siebie przejezdnego szlachcica i zaproponowałem mu partyjkę gry w kości. Nie wzdragał się, a siedemdziesiąt pięć pistolów powędrowało z mojej do jego kieszeni, nie licząc konia, którego zabrał na przykładkę. Lecz co z tobą się dzieje, drogi mój d'Artagnanie.

— Cóż chcesz, kochany Porthosie, niepodobna mieć wszystkiego, znasz przecie przysłowie: „Nieszczęśliwy w grze, szczęśliwy w miłości”. Zbyt jesteś kochany, aby fortuna nie mściła się za to; ale co cię niełaska jej obchodzi, czyż nie masz szczęśliwy człowieka swojej księżniczki, która niechybnie pośpieszy ci z pomocą?

— Widzisz, mój drogi, ponieważ gram nieszczęśliwie — mówił Porthos z miną najswobodniejszą — pisałem do niej, aby mi przysłała kilkadziesiąt ludwików, których mi bardzo potrzeba ze względu na położenie, w jakim się znajduję...

— I cóż?

— Musiała do dóbr swoich wyjechać, bo mi nie odpowiada.

— Doprawdy?

— Ani słówka. Wczoraj wyprawilem drugą odezwę, gorętszą jeszcze od poprzedniej. Lecz skoro cię widzę, najdroższy, pomówmy o tobie. Przyznaję, iż zaczynałem niepokoić się o ciebie.

— Ale twój gospodarz dobrze się z tobą obchodzi widocznie — mówił d'Artagnan, wskazując pełne rondle i próżne butelki.

— Ujdzie od biedy! ujdzie!... — odparł Porthos. — Kilka dni temu przyniósł mi gbur rachunek, ale go razem z nim za drzwi wyrzuciłem, w ten sposób jestem tu, jakby na prawach zwycięzcy, albo zdobywcy. Widzisz też, że bojąc się zostać wyparty ze stanowiska, trzymam się ciągle pod bronią.

— Jednakże — śmiejąc się, zauważył d'Artagnan — zdaje mi się, że od czasu do czasu robisz wycieczki.

I wskazał palcem na rondle i butelki.

— Niestety! to nie ja!... Nędzne zwichnięcie trzyma mnie w łóżku; Mousqueton się tylko wymyka i znosi żywność. Mousquetonie, mój miły — mówił Porthos, zwracając się do pacholka — widzisz przecie, że przybyły nam posiłki, trzeba przysporzyć prowiantów.

— Mousquetonie — odezwał się d'Artagnan — musisz mi wyświadczyć przysługę.

— Jaką, proszę pana?

— Udziel Planchetowi swoich wiadomości i przepisów, bo mogę i ja kiedyś znaleźć się oblężonym, a nie gniewałbym się wcale, gdybym wtedy używał wygód, jakimi pana swojego otaczasz.

— O! Boże, nic łatwiejszego, proszę pana. Potrzeba do tego tylko trochę sprytu i wprawy. Wychowałem się na wsi, a ojciec mój, w chwilach wolnych od zajęć, polował na cudzych gruntach.

— A z resztą czasu co robił?

— Panie, trudnił się rzemiosłem bardzo przyjemnym, według mego zdania.

— Jakiem?

— Ponieważ były to czasy wojen katolików z hugonotami i widział, że jedni tępią drugich, a czynią to w imię religii, wytworzył sobie wiarę pośrednią, która mu dozwalała być raz katolikiem, to znowu hugonotem. Przechadzał się zwykle ze strzelbą na ramieniu za płotami przy drogach, a gdy zobaczył katolika, nadchodzącego pojedynczo, wtedy religia protestancka brała górę w jego umyśle. Kierował lufę w stronę wędrowca, a gdy przypuścił go na dziesięć kroków, rozpoczynał przemowę, kończącą się zazwyczaj rzeczeniem się trzosa ze strony przechodnia, pragnącego zachować życie. Rozumie się, że gdy hugonota znowu spotkał, taka wysoka gorliwość katolicka go przejmowała, że pojąć nie mógł, jak przed kwadransem, odważył się wątpić o wyższości świętej wiary naszej. Ja, panie, jestem katolikiem, ale ojciec mój, wierny zasadom swoim, starszego brata zrobił hugonotem.

— Jakże skończył ten człowiek, pełen zacności? — zapytał d'Artagnan.

— O!... najniešťęśliwiej, jak tylko być może, proszę pana. Pewnego razu na drodze zakłęślej wpadł między hugonota i katolika, z którymi miał już raz do czynienia; spiknęli się na biedaka i powiesili go na przydrożnym drzewie, poczem jeszcze przyszli do karczmy, w której piliśmy z bratem i przechwalali się tem, co zrobili.

— A cóż wy na to? — zagadnął d'Artagnan.

— Pozwoliłiśmy się im wygadać — odparł Mousqueton. — Potem, gdy wyszli z karczmy i każdy z nich udał się w swoją stronę, brat mój zaczął się w drodze na katolika, a ja na protestanta i załatwiliśmy się z nimi, przejęci uwielbieniem dla przenikliwości biednego ojca naszego, który był tyle przezorny, że wychował nas, każdego w innej religii.

— O!... z tego, co mówisz Mousquetonie, widzę rzeczywiście, że to był nielada dziarski człowiek. Zatem, jak powiadasz, pocziwiec ten zajmował się w chwilach wolnych polowaniem na cudzych gruntach?

— Tak, panie... on mnie nauczył robić sieci na zające i króliki, i wędki zastawiać. Dlatego też, widząc, że ten kapcan oberżysta pasie nas prostem mięsiskiem, jak jakie włóczęgi, co mogłoby zaszkodzić i tak osłabionym żołądkom naszym, spróbowałem dawnego rzemiosła. Spaceruję od niechcienia po lasach książęcych, zastawiam na przesmykach siatki; czasami spoczywam nad stawami jego książęcej mości i, leżąc spokojnie, zapuszczam wędkę na ryby. Teraz, dziękować Bogu, nie brak nam, jak pan widzi, kuropatw i królików, karpia i węgorzy, co wszystko jest posiłkiem strawnym i zdrowym, jak chorym przystoi.

— Lecz kto wam dostarcza wina, czyżby gospodarz?

— Niby on i nie on.

— Nie rozumiem.
— On go co prawda dostarcza, jednakże nie wie o tym spotykającym go zaszczycie.
— Wytłumacz się jaśniej, Mousquetonie, opowiadanie twoje jest pełne rzeczy poruczających.
— Otóż tak, proszę pana. Przypadek zrzucił, że w jednej z moich wędrówek spotkałem pewnego Hiszpana, który dużo zwiedził świata, a między innymi i drugą półkulę.
— Jaki może być związek antypodów z butelkami, stojącymi na stole i komodzie?
— Cierpliwości, panie, na każdą rzecz przyjdzie kolej.
— Słusznie: polegam więc na tobie, Mousquetonie, i słucham.
— Ów Hiszpan miał służącego, który towarzyszył mu w podróży do Meksyku. Służący był moim ziomkiem, przystaliśmy więc od razu do siebie, zwłaszcza, że usposobienia nasze zgadzały się najzupełniej. Nade wszystko lubiliśmy polować, on mi więc opowiadał, jak to w pampasach krajowcy polują na tygrysy i bawoły z pętlicami poprostu, które zarzucają na karki tych zwierząt. Nie mogłem z razu uwierzyć, jak można dojść do takiej wprawy, aby z odległości dwudziestu lub trzydziestu kroków, trafić końcem liny tam, gdzie się chce, lecz wobec dowodów, trzeba było dać się przekonać prawdziwości opowiadania. Przyjaciel mój stawał z dala od siebie butelkę i za każdym zamachem chwycił ją pętlicą za szyjkę. Oddałem się więc i ja tym ćwiczeniom, a ponieważ natura nie poskąpiła mi pewnych zdolności, zarzucam dziś lasso tak dobrze, jak gdybym był człowiekiem z nowego świata. Otóż pojmuje pan?... Gospodarz nasz posiada piwnicę dobrze zaopatrzoną, a klucz od niej trzyma przy sobie, ale z tej piwnicy wychodzi okienko. Tamtędy więc zarzucam sznur, a ponieważ doszedłem, gdzie najlepszy jest kącik, z niego więc wyciągam. Pojmuje pan teraz, jaki związek mają butelki, tu rozstawione, z antypodami. Zechciej pan teraz spróbować naszego wina i powiedz nam bez uprzedzenia, co o niem myślisz?...

— Dziękuję ci, mój drogi, tylko co jadłem śniadanie.

— A zatem — odezwał się Porthos — podaj jedzenie na stół, Mousquetonie, a, gdy my będziemy jedli, d'Artagnan opowie, co się z nim działo w ciągu dziesięciu dni, odkąd nas opuścił.

— Najchętniej — rzekł d'Artagnan, a gdy Porthos i Mousqueton zajadali z łączyczością rekonwalescentów i serdecznym braterstwem, jakie wytwarza wspólność nieszczęścia, opowiedział, jak raniony Aramis musiał w Crèvecoeur pozostać, jak w Amiens zostawił Athosa w opalach, z czterema ludźmi, posądzającymi go o fałszerstwo pieniędzy, i jak on, d'Artagnan, zmuszony był naszpikować szpadą hrabiego de Wardes, aby się przedostać do Anglii.

Na tem zakończył zwierzenia, dodając jedynie, że za powrotem z Wielkiej Brytanji przyprowadził cztery przepyszne konie, z których jeden był dla niego, a reszta dla jego przyjaciół, i że dla Porthosa przeznaczony stoi w stajni hotelowej.

Na to wszedł Planchet i oznajmił, że konie wypoczęły dostatecznie i mogą zająć na nocleg do Clermont.

Ponieważ d'Artagnan uspokoił się o Porthosa, a pilno mu było dowiedzieć się o innych, uściślił choremu rękę, oznajmiając, iż puszcza się w dalszą drogę na poszukiwania. A zresztą będzie tędy powracał za jakiś tydzień, jeżeli więc zastanie jeszcze Porthosa w hotelu Grand-Saint-Martin, zabierze go wtedy z sobą.

Porthos odpowiedział, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, zwichnięcie nogi nie pozwoli mu wyruszyć w ciągu tego czasu. A przytem musi pozostać w Chantilly, aby się od księżnej swojej doczekać odpowiedzi.

D'Artagnan złożył mu życzenia, ażeby odpowiedź była pomyślną i długo nie dała na siebie czekać; i raz jeszcze poleciwszy Mousquetonowi Porthosa, zapłacił swój rachunek i wyruszył w dalszą drogę z Planchetem, który się uwolnił od jednego z prowadzonych luzem koni.

ROZDZIAŁ XXVI. ROZPRAWY ARAMISA

D'Artagnan nie wspominał Porthosowi ani o ranie jego, ani tem bardziej o prokuratorowej.

Był to bowiem młody, lecz bardzo mądry chłopiec. Udawał, że święcie wierzy we wszystko, co mu opowiadał chełpliwy muszkietier, bo rozumiał, że nie ma przyjaźni, któ-

raby wytrzymała próbę podchwyconej tajemnicy, zwłaszcza, gdy tajemnica taka może zranić miłość własną człowieka. Zresztą, zawsze się zdobywa moralną wyższość nad tymi, których się zna na wylot. D'Artagnan, dla przyszłych celów zdecydowany zrobić z przyjaciół narzędzia swojej fortuny, nie odrzucał sposobności pochwycenia niewidzialnych nici, przy których pomocy mógłby nimi kierować.

A jednak przez całą drogę smutek głęboki ścisnął mu serce: myślał nieustannie o ładnej pani Bonacieux, mającej go nagrodzić za poświęcenie; dodajmy wszelako, że smutek jego nie tyle pochodził z żalu za utratą szczęścia, ile z obawy, czy nie spotkało jej nieszczęście.

Nie wątpił ani na chwilę, iż padła ofiarą zemsty kardynała, a wiadomo, iż eminenca mścił się okrutnie.

Jak się to stało, że on sam znalazł łaskę w oczach ministra, nie miał o tem pojęcia.

Nic tak nie skróca czasu i drogi, jak myśl, która pochłania wszelkie władze umysłowe zamysłonego.

Byt zewnętrzny człowieka podobny jest wtedy do uśpienia, w którym myśl owa staje się sennem widziadłem. Pod jej wpływem czas traci miarę, przestrzeń granice, człowiek wyrusza wtedy z jednego miejsca, przybywa na inne i nic więcej. Z odległości przebytej nic nie pozostaje w pamięci, prócz mglistych zmaconych obrazów, drzew, gór i widoków.

D'Artagnan, opanowany taką stałą myślą, puścił wodze koniowi i tak przebył przestrzeń kilkumilową, dzielącą Crevecoeur od Chantilly, nie zdając sobie sprawy z niczego, co spotykał po drodze.

Opamiętał się na miejscu zaledwie i otrząsnął się z zadumy, dostrzegłszy oberżę, w której zostawił Aramis.

Zatrzymał konia przed bramą.

Tym razem nie oberżysta, lecz żona jego wyszła na spotkanie; d'Artagnan jako fizjonomista, objął od jednego spojrzenia pogodne oblicze pani domu i przeczuł, że nie będzie potrzebował nic ukrywać przed nią, iż może zaufać tej twarzy, pełnej słodyczy.

— Dobra moja pani — zagadnął — czy nie mogłabyś mi powiedzieć, co się stało z jednym z moich przyjaciół, którego zmuszeni byliśmy zostawić tutaj przed dwunastoma dniami?

— Z pięknym młodzieńcem około dwudziestu trzech lat, łagodnym, miłym, przystojnym?

— Tak, tak, a co więcej rannym w ramię.

— A! nie ruszył się stąd, proszę pana.

— A! kochana pani, na Boga! — zawołał d'Artagnan, zsiadając z konia i rzucając cugle Planchetowi — powracasz mi życie; gdzież jest drogi Aramis, niech go uściskam? pilno mi go zobaczyć.

— Wybacz pan, lecz wątpię, aby mógł przyjąć cię w tej chwili.

— Dlaczego? — miałżeby jaką damę u siebie?

— Jezu Nazareński!... co też pan mówi!... biedny chłopczyzna!... żadnej damy nie ma u niego.

— Więc któż tam jest?

— Proboszcz z Montdidier i przełożony jezuitów z Amiens.

— Boże mój!... — zawołał d'Artagnan — miałoby mu się tak pogorszyć?

— Wcale nie, mój panie; ale, wskutek choroby, spłynęła nań łaska i postanowił wstąpić do stanu duchownego.

— Prawda — odparł d'Artagnan — zapomniałem, że on jest muszkietierem tylko tymczasowo.

— Czy pan chce koniecznie się z nim zobaczyć?

— Więcej, niż kiedykolwiek.

— Niechże pan wejdzie na podwórze, potem na schody na prawo, drugie piętro, Nr.

5.

D'Artagnan pobiegł co tchu we wskazanym kierunku.

Lecz nie tak łatwo było dostać się do przyszłego kapłana: podwoje Aramisa niemniej były strzeżone od ogrodów Armidy; Bazin stał w korytarzu na straży i zagroził mu przejście z tem więcej nieustraszoną odwagą, iż po długoletnich próbach widział się nareszcie bliskim celów, do których dążył niezachwianie.

Marzeniem bowiem jego było służyć duchownemu i czekał z niecierpliwością chwili, uśmiechającej mu się w przyszłości, kiedy Aramis zrzuci mundur, a przywdzieje sutannę.

Ta obietnica, powtarzana codziennie, zatrzymała go jedynie w służbie u muszkietera, która, jak mówił, przyprowadzić by go mogła niechybnie o utratę zbawienia.

Bazin więc znajdował się u szczytu szczęścia. Tym razem już, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pan jego nie cofnie się przed powołaniem.

Nagromadzone cierpienia moralne i fizyczne wywarły skutek, tak długo oczekiwany. Aramis, złamany dolegliwością ciała i ducha, szukał dla swej myśli ucieczki w religii, uważając za przestrożę niebios podwójny cios, jaki weń ugodził: zniknięcie kochanki i otrzymanie rany.

Łatwo pojąć, jak w takich warunkach nieprzyjemne być musiało dla Bazina zjawienie się d'Artagnana, mogące znów rzucić Aramisa w wir rzeczy światowych, jakim się oddawał dotychczas.

Bazin postanowił więc mężnie bronić przystępu do swego pana, a że zdradzony przez właścicielkę oberży, nie mógł mówić o nieobecności Aramisa w domu, usiłował dowieść przybyłemu, że najwyższą niedyskrecją byłoby zamącać jego panu pobożne rozprawy, trwające od rana, a mogące się skończyć zaledwie wieczorem.

D'Artagnan jednak mało sobie robił z wymowy imci pana Bazina, a nie chcąc się wdawać w sprzeczkę z pacholkiem swego kolegi, jedną ręką odsunął go na bok, a drugą nacisnął klamkę Nr. 5.

Drzwi ustąpiły i stanął w pokoju.

Aramis w czarnym surducie, z głową, przybraną w czapczkę okrągłą i płaską, mocno przypominającą krymkę, siedział przy stole, zawalonym papierami i wielkimi foljami.

Po prawej ręce miał przełożonego jezuitów, po lewej proboszcza z Montidier.

Firanki u okien zapuszczone, rzucały cień tajemniczy, pobudzający do rozmyślań bogobojnych.

Wszystkie przedmioty, mogące na pierwszy rzut oka zdradzić mieszkanie młodzieńca, a nade wszystko muszkietera, znikły, jak zaczarowane.

Bazin, nie chcąc widocznie budzić w panu swym myśli światowych, schował szpadę, pistolety, kapelusz z piórami, hafty, koronki i tym podobne przybory.

Natomiast, jak się zdawało d'Artagnanowi, w kąciku najciemniejszym wisiała na ścianie dyscyplina.

Na szelest, jaki sprawiło otwarcie drzwi, Aramis podniósł głowę i poznał od razu przyjaciela.

Lecz, ku wielkiemu zdziwieniu d'Artagnana, zjawienie się jego nie wywarło na muszkieterze wielkiego wrażenia, tak dalece umysł jego oderwany był od rzeczy tego świata.

— Dzień dobry, drogi d'Artagnanie; wierzę ci, iż cię widzę z przyjemnością.

— I ja tak samo, — odparł d'Artagnan — lecz dotąd jeszcze nie jestem pewny, czy to Aramisa mam przed oczami.

— On we własnej swojej osobie, mój kochany; i cóż ci mogło nasunąć tę wątpliwość?...

— Obawiałem się, czy nie zabłądziłem przypadkiem, wchodząc do pokoju jakiegoś duchownego; później znów, zobaczywszy cię w towarzystwie tych dwóch panów, sądziłem, że jesteś niebezpiecznie chory.

Dwaj czarno ubrani panowie, zrozumiałwszy przymówkę d'Artagnana, objęli go spojrzeniem groźnym, co nie przeraziło go wcale.

— Przeszkadzam ci może, drogi Aramisie, — ciągnął dalej d'Artagnan — bo zapewne spowiadasz się przed tymi panami.

Aramis lekko się zarumienił.

— Ty miałbyś mi przeszkadzać? wcale nie, mój drogi, słowo najświętsze ci daję; a najlepszy dowód, iż czuję się szczęśliwy, widząc cię całego i zdrowego.

— Nareszcie, — pomyślał d'Artagnan — nic jeszcze nie stracone.

— Bo ten pan, który jest moim przyjacielem — kończył Aramis z namaszczaniem, wskazując księżom d'Artagnana — uniknął wielkiego niebezpieczeństwa.

— Wielbij Boga, panie — odpowiedzieli tamci, równocześnie chyląc głowy.

— I ja Go wielbię, przewielebni ojcowie — odpowiedział młodzieniec, kiwając głową.

— W porę przychodzisz, drogi d'Artagnanie — odezwał się Aramis — gdyż możesz w rozprawach naszych wyjaśnić niejedną rzecz swojemi światłemi poglądami. Pan rektor z Amiens, szanowny proboszcz z Montididier i ja, rozprawialiśmy nad pewnemi kwestjami teologicznemi, których znaczenie pochłania nasze umysły od dawna; radbym też zdanie twoje usłyszeć.

— Zdanie wojskowego jest pozbawione znaczenia — odrzekł d'Artagnan, doznając niepokoju z takiego obrotu rzeczy — i wierzaj mi, że możesz polegać w zupełności na wiedzy tych panów.

Ci znowu skłonili się równocześnie.

— Przeciwnie — odparł Aramis — i twój sąd będzie dla nas cennym; rzecz się ma tak: Pan rektor jest zdania, że moja rozprawa winna być nade wszystko dogmatyczna i dydaktyczna.

— Rozprawa twoja!... ty, piszesz teraz rozprawę?...

— Tak — odpowiedział jezuita — rozprawa jest niezbędna do egzaminu, poprzedzającego wyświęcenie.

— Wyświęcenie!... — wykrzyknął d'Artagnan, który nie dawał wiary temu, co mówili Bazin i oberżystka — wyświęcenie!...

I powiódł wzrokiem osłupiałym po trzech ludziach, których miał przed sobą.

— Zatem — ciągnął Aramis, z wdziękiem rozpierając się w fotelu i przypatrując się z upodobaniem swojej rączce białej i pulchnej, jak u kobiety, — a podnosił ją do góry, aby krew z niej zbiegła — jak już słyszałeś, zatem d'Artagnanie, pan rektor chciałby, aby rozprawa moja była dogmatyczna, a ja znowu chcę, ażeby była utworem myśli mojej, to jest idealna. Dlatego wielebny przełożony zaproponował mi przedmiot, nieopracowany dotąd, w którym znajdę materiał do wspaniałej rozprawy:

„Utraque manus in benedicendo clericis inferioribus necessaria est”.

D'Artagnan, którego erudycję znamy, ani się zmarszczył na tę cytate, równie jak one-go czasu, gdy pan de Tréville wyjechał z podobną z powodu podarku, który podejrzewał, iż od Buckinghama pochodzi.

— To ma znaczyć — ciągnął Aramis, chcąc mu ułatwić zrozumienie: „Kapłanom niższym obydwie ręce są niezbędne, gdy dają błogosławieństwo”.

— Przedmiot zachwycający! — zawołał jezuita.

— Zachwycający i dogmatyczny! — powtórzył proboszcz, który prawie tak samo silny w łacinie, jak d'Artagnan, przyglądał się bacznie jezuitcie, by słowo w słowo za nim powtarzać wszystko, jakby jego echo.

Pośród tych zachwytych ludzi w sutannach, d'Artagnan pozostał najzupełniej obojętny.

— Godny podziwu! *prorsus admirabile!* — ciągnął dadej Aramis — lecz wymaga głębokich studjów nad ojcami kościoła i Biblią. Z całą pokorą wyznałem tym uczonym eklezjastom, że noce bezsenne w kordegardzie i służba królewska zmusiły mnie poniekąd do zaniedbania nauki. Łatwiej więc poszłoby mi, *facilius natans*, z przedmiotem, podług własnego wyboru, z przedmiotem, który, wobec ciężkich zagadnień teologicznych, byłby tem, czem moralność jest w metafizyce i filozofji.

D'Artagnan nudził się okrutnie, jak również i proboszcz.

— Pyszne *exordium!* — zawołał jezuita.

— *Exordium!* — powtórzył, proboszcz, aby coś powiedzieć.

— *Quemadmodum inter caeteris...*

Aramis rzucił okiem na d'Artagnana i zobaczył go ziewającego tak, że o mało mu nie wyskoczyły szczęki ze stawów.

— Mówmy po francusku, mój ojczy — rzekł do jezuity. — Pan d'Artagnan więcej zasmakuje w naszych słowach.

— Tak, znużony jestem drogą — powiedział d'Artagnan — nie mogę więc tej łaciny pochwycić.

— Zgoda — rzekł jezuita, gdy proboszcz, w uniesieniu radości zwrócił na d'Artagnana wejrzenie, wyrażające najwyższą wdzięczność — otóż słuchajcie, jaki z tej głosy wniosek można wyciągnąć: Mojżesz, sługa Boży... on jest tylko sługą, rozumiecie panowie!...

Mojżesz błogosławi obydwoma rękami; podtrzymywać sobie każę dwie ręce, gdy Hebrajczycy biją nieprzyjaciół swoich: błogosławi zatem obydwoma rękami... Zresztą, co mówi Ewangelja: *Imponit manus*, a nie *manum*. Kładzie ręce, a nie rękę.

— Kładzie ręce — powtórzył z gestem proboszcz.

— A do świętego Piotra, przeciwnie, którego papież są następcami: *Porige digitos*. Wystawiajcie palce: pojąłeś pan teraz?

— Zapewne — odrzekł, rozkoszując się Aramis — lecz jest to nader subtelne.

— Palce!... — począł znowu jezuita — Święty Piotr błogosławi palcami. Iloż palcami błogosławi?... Trzema: jednym dla Ojca, drugim dla Syna, trzecim dla Ducha Świętego.

Przeżegnali się wszyscy; d'Artagnan czuł się obowiązany pójść za ich przykładem.

— Papież jest następcą Piotra Świętego i przedstawia trzy boskie władze; reszta hierarchji duchownej, *ordines inferiores* błogosławią w imieniu świętych archaniołów i aniołów. Najniżsi klerycy, jako to: diakoni i zakrystjani, błogosławią kropidłem, które przedstawia nieskończoną ilość palcy błogosławiących. Oto uproszczenie przedmiotu, *Argumentum omni denudatum ornamento*. Zrobiłbym z tego — kończył jezuita — dwa tomy tej objętości.

I porwany zapalem uderzył w świętego Chryzostoma in folio, pod którego ciężarem stół się ugiął.

D'Artagnan drgnął.

— Zapewne — odezwał się Aramis — oddaję sprawiedliwość wszelkim pięknościom tego tematu, lecz jednocześnie uważam go za zbyt trudny. Co do mnie, wybrałem tekst następujący: *Non inutile est desiderium in oblatione*, albo co lepiej będzie: Trochę żalu nie zawadzi w ofierze Panu.

— Stój, ani słowa! — zakrzyczał jezuita — bo teza ta trąci herezją; zdanie podobne znajduje się w *Augustinusie* heretyka Janseniusa, którego księga prędzej czy później spalona zostanie rękami kata. Miej się na baczności, młody przyjacielu; dążysz do zasad fałszywych, zgubisz się, młodzieńcze!

— Zgubisz się — powtórzył proboszcz, smutnie kiwając głową.

— Poruszasz tę sławną sprawę wolnej woli, będącą śmiertelnym szkopułem. Dajesz ucho podszeptom Pelagijczyków i pół-pelagijczyków.

— Ależ, ojczye wielebny... — bąknął Aramis, ogłuszony nieco gradem argumentów, spadających mu na głowę.

— Jakże mi dowiedziesz — przerwał jezuita — kto się Bogu oddaje, powinien żałować świata? Posłuchaj przecie tego ze wszech stron niezbitego rozumowania: Bóg jest Bogiem, a świat jest djabłem. Żałować świata, znaczy żałować djabła, taki stąd wniosek wypływa.

— I ja mówię to samo — przywodził proboszcz.

— Ależ, zmiłujcie się!... — począł znowu Aramis.

— *Desideras diabolum*, nieszczęsny! — zakrzyczał jezuita.

— On djabła żałuje! A! młodzieńcze! — z jękiem odezwał się proboszcz — nie żałuj djabła, błagam cię.

D'Artagnan czuł, że głupieje; zdawało mu się, że jest w domu warjatów, i że sam zwarzuje, jak ci, na których patrzył.

Ale zmuszony był milczeć, nie rozumiejąc języka, którym wobec niego mówiono.

— Proszę mnie jednak wysłuchać — odezwał się Aramis grzecznie, z pewnem przecie zniecierpliwieniem — ja nie mówię, iżbym żałował; nie, nigdy bym nie wygłosił zdania, nie zgadzającego się z wiarą powszechną.

Jezuita wznosił ręce ku niebu, proboszcz wyciągnął je jeszcze wyżej.

— Więc nie, ale przynajmniej na to się zgóździcie, że nie przystoi ofiarowywać Panu tego, do czego jesteśmy zniechęceni najzupełniej. Czy mam słuszność, d'Artagnanie?

— Ja myślę, że masz, do djabła starego! — zawołał tenże.

Proboszcz z jezuitą podskoczyli na krzesłach.

— Oto mój punkt wyjścia i oto mój wniosek: świat nie jest bez powabu, porzucam go, zatem spełniam ofiarę; Pismo zaś twierdzi stanowczo: czyńcie ofiary Panu.

— To prawda — odezwali się przeciwnicy, jak jeden.

— A zresztą — mówił dalej Aramis, szczypiąc się w ucho, aby zróżowiało, jak trząsał rękami, ażeby zbielały — a zresztą, na ten temat ułożyłem wiersz, który w roku zeszłym przedstawiłem panu Voiture, a podobał mu się nieskończenie.

— Wiersze! — z pogardą wyrzekł jezuita.

— Wiersze! — powtórzył proboszcz bezmyślnie.

— Powiedź je, powiedz — zawołał d'Artagnan — to nas rozerwie cokolwiek.

— O nie, bo one są w duchu religijnym — odparł Aramis — jest to wierszowana teologia.

— Tam do djabła — mruknął d'Artagnan.

— Posłuchajcie — rzekł Aramis ze skromną minką, nie bez cechy pewnej obłudy.

Wy, co za szczęściem przysłem tęsknicie,
Włokąc dni smutne w ciężkiej niedoli,
Umilknijcie żal wasz, co w sercu boli,
Gdy go w ofierze Bogu złożycie,
Wy, co tęsknicie.

D'Artagnanowi i proboszczowi wiersz podobał się widocznie.

Jezuita obstawał przy swoim zdaniu.

— Strzeż się świątowości w stylu teologicznym. Święty Augustyn o tem mówi: *Severus sit clericorum sermo*.

— Tak, ażeby kazanie było jasne — powtórzył proboszcz.

— Otóż — przerwał z pośpiechem jezuita, widząc, że akolita jego błąkać się zaczyna — otóż teza twoja podoba się damom i nic więcej: będzie ona miała powodzenie tylko takie, jak obrona praw pani Patru.

— Dałby Bóg!... — zawołał z uniesieniem Aramis.

— A widzisz! — zakrzyczał jezuita — świat wielkim głosem mówi do ciebie, *altissima voce*. Dążysz do świata, mój przyjacielu i drzę o ciebie, aby łaska nie pozostała bez skutku.

— Uspokój się, ojcze wielebny, ja za siebie odpowiadam.

— Zarozumiałość światowa!

— Ja siebie znam, mój ojcze, postanowienie moje jest nieodwołalne.

— Obstajesz więc przy rozwinięciu swojej tezy?...

— Czuję się powołany do tej, a nie do innej; będę ją dalej prowadził i mam nadzieję, że jutro będziesz, ojcze wielebny, zadowolony z poprawek, jakie według twoich wskazówek w niej poczynię.

— Pracuj powoli — odezwał się proboszcz — pozostawiamy cię w usposobieniu wyśmienitem.

— Tak, tak, grunt posiany dobrze — rzekł jezuita — nie ma obawy, aby część tego ziarna padła na skałę, i aby, co zostanie, ptaki niebieskie wybrały, *aves coelitcomederunt illam*.

— Niech cię zaraza pochłonie razem z twoją łaciną! — mruknął d'Artagnan, tracąc cierpliwość.

— Z Bogiem, mój synu — rzekł proboszcz — do widzenia, jutro.

— Do jutra, zuchwalcze młody — odezwał się jezuita — obiecujesz być jedną ze światłości kościoła; daj Boże, by światłość ta nie zamieniła się w ogień trawiący!

D'Artagnan, który w ciągu tej godziny gryzł sobie paznogie z niecierpliwością, teraz już napoczął ciało.

Powstały dwie sutanny, pożegnały Aramisa i d'Artagnana i skierowały się ku drzwiom.

Bazin, który tam stał i słuchał tego sporu z pobożną radością, poskoczył ku nim, wziął brewiarz proboszcza i mszał jezuitę, i szedł przed nimi w postawie pełnej szacunku, torując im drogę.

Aramis sprowadził ich aż na dół i powrócił natychmiast do d'Artagnana, którego zastał jeszcze zamyślonego.

Znalazłszy się sam na sam, dwaj przyjaciele milczeli pomieszani; jeden z nich musiał jednak przerwać to milczenie, a ponieważ d'Artagnan jakby zostawiał przyjacielowi ten zaszczyt:

— Widzisz — odezwał się Aramis — zastajesz mnie, nawróconego do pojęć, stanowiących moje podstawowe zasady.

— Tak, zostałeś dotknięty łaską skuteczną, jak mówił przed chwilą ten pan.

— O!... od dawna już postanowiłem sobie usunąć się od świata; musiałeś mnie słyszeć, jak mówiłem o tem, nieprawdaż, mój drogi?...

— Nie przeczę, ale muszę wyznać, brałem to za żarty.

— Ja miałbym z takich rzeczy żartować!... O!... d'Artagnanie!...

— Ba!... przecież i ze śmierci można pożartować.

— To źle, d'Artagnanie, gdyż śmierć jest bramą, prowadzącą do zguby lub do zbawienia.

— Zgoda, lecz nie rozprawiamy o teologii, jeżeli łaska, Aramisie; pewnie ci jej wystarczy na dzisiaj, co do mnie, zapomniałem nawet tej odrobiny łaciny, której nie umiałem nigdy; zresztą, muszę ci wyznać, że dziś od rana nic w ustach nie miałem, i głodny jestem, jak wszyscy djabli.

— Usiądziemy natychmiast do obiadu, mój drogi; tylko pamiętaj, że to dzisiaj piątek; w dniu takim nie powinienem ani jeść mięsa, ani patrzeć na nie. Jeżeli zechcesz poprzestać na moim obiedzie, składa się on z warzyw i owoców...

— Co rozumiesz przez te warzywa? — zapytał z niepokojem d'Artagnan.

— Szpinak — odparł Aramis — dla ciebie jednak dodam jaj, chociaż to ważne wykroczenie przeciw regule, bo jaja są mięsem, skoro powstają z nich kurczęta.

— Uczta niezbyt smakowita, lecz mniejsza o to; aby z tobą pozostać, zniosę i ją chętnie.

— Wdzięczny ci jestem za poświęcenie — odparł Aramis — lecz jeśli nie będziesz miał korzyści dla ciała, bądź przekonany, że duch twój wielce się umocni.

— Więc ty, Aramisie, stanowczo wstępujesz do stanu duchownego? Co powiedzą przyjaciele nasi, co pan de Tréville na to powie? Osądzą cię i mieć będą za zbiega, uprzedzam cię.

— Ależ ja nie wstępuję, tylko powracam do stanu duchownego. Właściwie zbiegłem z kościoła dla świata, wiesz przecie, że przymus najcięższy zadałem sobie, wdzwając kaffan muszkieterski.

— Ja nie wiem o niczem.

— Nie wiesz, w jaki sposób opuściłem seminarjum?

— Nie, ale to nic a nic nie szkodzi.

— Oto moja historia; zresztą *Pismo Świąte* mówi: „Spowiadajcie się jedni przed drugimi”; a ja tobie się spowiadam, d'Artagnanie.

— Ja zaś daję ci rozgrzeszenie z góry; widzisz, że dobry ze mnie człowieczyna.

— Nie żartuj z rzeczy świętych, mój drogi.

— Więc mów, słucham cię.

— Zostawałem w seminarjum od roku dziewiątego mego życia: trzech dni brakowało mi do dwudziestu, miałem zostać księdzem i już miało być po wszystkim. Pewnego wieczora udałem się, według zwyczaju, do jednego domu, który odwiedzałem z przyjemnością; co chcesz, jest się młodym i słabym. Wtem pewien oficer, który okiem zawistnym patrzył na mnie, gdy czytywał *Żywoty Świątych* pani tego domu, wszedł nagle, nie opowiedziwszy się wcale. Właśnie tego wieczora tłumaczyłem jej ustęp z *Judyty* i wykladałem wiersz po wierszu tej damie, przesadzającej się dla mnie w grzecznościach. Pochylona nad moim ramieniem czytała razem ze mną. Postawa jej, zbyt swobodna, przyznając, obraziła oficera: nie wyrzekł słowa, lecz skoro wyszedłem, pobiegł za mną, a dopędziwszy mnie, powiedział:

— Mości księżulku, a lubisz ty kije?

— Nie mogę tego powiedzieć, mój panie — odrzekłem — ponieważ dotąd nikt nie považył się częstować mnie niemi.

— Słuchaj więc!... mości księżulku, jeżeli noga twoja postanie w domu, w którym zastałem cię tego wieczora, ja, ja ci je zaproponuję!

Zbladłem okropnie i nogi pode mną drżały, szukałem odpowiedzi, nie znalazłem jej, zamilkłem.

Oficer na nią czekał, a, widząc, że nic nie mówię, począł się śmiać: obrócił się do mnie plecami i wszedł do domu.

Jestem szlachcicem i krew mam burzliwą, jak to zauważyć mogłeś, drogi d'Artagnanie; obelga była straszna, jakkolwiek nieznana światu, i czułem, jak rozdzierała mi serce w kawały. Oświadczyłem przełożonym moim, że nie czuję się przygotowanym godnie do przyjęcia święcenia, i, na moje żądanie, odłożono ceremonję do roku. Udałem się do najlepszego fechtmistrza w Paryżu, zrobiłem z nim umowę o lekcje fechtunku codziennie i przez rok cały je brałem. Potem, w rocznicę dnia, kiedy zostałem znieważony, zawiesiłem na kołku sutannę, ubrałem się i jak skończony kawaler i udałem się na bal, który wydawała jedna z przyjaznych mi dam, gdzie wiedziałem, że zastanę mojego jegomościa. Było to przy ulicy Francis-Bourgeois, tuż przy la Force. Rzeczywiście, mój oficer był tam; podszedłem ku niemu, gdy śpiewał pieśń żałośliwie miłosną, czule spoglądając na jedną z kobiet, i przerwałem mu w samym środku drugiej strofki.

— Mój panie — rzekłem — czy zabronisz mi jeszcze powrócić do pewnego domu przy ulicy Payenne i czy obilbyś mnie kijem, gdyby mi przyszła fantazja nie być ci posłusznym?

Oficer spojrział na mnie zdziwiony, a potem rzekł:

— Czego pan chcesz ode mnie, nie znam cię wcale.

— Jestem księżulkiem, który czytuje *Żywoty Świętych* i tłumaczy *Judytę* rymami.

— A! a!... przypominam sobie — rzekł drwiąco oficer — czego chcesz ode mnie, mój panie?

— Chcę, byś znalazł chwilę swobodną na niewielką przechadzkę.

— Jutro z rana i to z całą przyjemnością, jeżeli żądasz.

— Nie jutro rano, lecz natychmiast, jeżeli łaska.

— Kiedy wymagasz koniecznie...

— Rozumie się, że wymagam.

— To chodźmy!... a wam, łaskawe panie — przemówił oficer — niech to wcale nie przeszkadza. Za chwilę tego pana wyprawię na tamten świat i powrócę dokończyć ostatniej strofki.

Wyszliśmy.

— Zaprowadziłem go na ulicę Payenne, w to miejsce, gdzie przed rokiem, o tej samej godzinie, powiedział mi grzeczne słówko, które ci powtórzyłem. Księżyc świecił przecudnie. Ujęliśmy za szpady i po pierwszym posunięciu lewej nogi przed prawą, położyłem go trupem.

— Do diabła!... — mruknął d'Artagnan.

— Potem — ciągnął dalej Aramis — ponieważ damy nie mogły doczekać się śpiewaka, a znaleziono go na ulicy Payenne, przebitego na wylot, domyślono się, że to ja go tak urządziłem i wynikł z tego skandal. Byłem zmuszony zrzec się sutanny na pewien czas. Athos, którego poznałem w tej epoce, i Porthos, który poza lekcjami fechtunku nauczył mnie kilku pchnięć znakomitych, skłonili mnie do postarania się o kaftan muszkieterski. Król bardzo kochał mojego ojca, zabitego podczas oblężenia Arras, udzielono mi więc łaski. Otóż pojmujesz, że teraz przyszła chwila powrotu mojego na łono Kościoła.

— A czemuż to teraz, bardziej niż wczoraj, lub jutro? Cóż ci się przytrafiło takiego dzisiaj, że ci podobne myśli ponure przychodzą do głowy?

— Rana ta, drogi d'Artagnanie, stała się dla mnie przestrogą niebios.

— Rana? ba! wszak zagoiła się już nieledwie i przekonany jestem, że dzisiaj nie ona jest sprawczynią twojego cierpienia.

— A cóżby innego być mogło?... — zapytał Aramis, czerwieniąc się.

— Ty, Aramisie, masz ranę, lecz w sercu, jest ona dotkliwsza i krwawiąca, a zadała ci ją kobieta.

W oczach Aramisa błysnęły ognie.

— A!... — odezwał się, pokrywając lekceważeniem wzruszenie — nie wspominaj mi o takich rzeczach: ja miałbym o tem myśleć! cierpieć z miłości! *Vanitas vanitatum!* Miałbym, jak przypuszczasz, zawrócić sobie głowę i dla kogo? dla jakiejś tam gryzетки, pokojówki, której nadskakiwałem, stojąc na kwaterze, pfe!

— Wybacz, drogi Aramisie, lecz zdawało mi się, iż mierzyłeś wyżej.

— Wyżej, a czemże jestem, abym się miał o to kusić? biednym muszkietierem, nędznym, nieznanym i zbyt cennym na świecie?

— Aramisie, Aramisie — zawołał d'Artagnan, patrząc z powątpiewaniem na przyjaciela.

— Z prochu powstałem i w proch się obracam. Życie jest pełne poniżeń i bólu — chmurząc się, mówił dalej — wszystkie nici, łączące je ze szczęściem, rwą się jedna po drugiej w rękę człowieka, a najsłabszymi są nici złote. O! drogi mój — prawil Aramis z odcieniem goryczy — wierzaj mi, ukrywaj rany, jeśli mieć je kiedykolwiek będziesz. Milczenie jest ostatnią rozkoszą nieszczęśliwych. Strzeż się, aby ktokolwiek miał wpaść na ślad twoich cierpień, ciekawi wyciągają na zewnątrz lzy nasze, jak muchy wysysają krew z ranionego łosia.

— Niestety!... drogi mój! — rzekł d'Artagnan, wdychając głęboko — to, o czym mówisz, jest moją historją.

— Co takiego?

— Tak, kobietę kochaną, uwielbianą przeze mnie, porwano mi przemocą. Nie wiem, gdzie się znajduje, dokąd ją zabrano; może uwięziono, może już nie żyje.

— Ale masz przynajmniej tę pociechę, iż możesz powiedzieć, że nie porzuciła cię dobrowolnie. Jeśli nie daje znaku życia, zapewne dlatego jedynie, że wszelkie porozumiewanie się z tobą jest jej wzbronione, gdy tymczasem...

— Gdy tymczasem?...

— Nic — odparł Aramis — nic!

— A więc wyrzekasz się świata na zawsze; postanowienie twoje jest nieodwołalne?

— Na zawsze. Dziś jesteś mi druhem; jutro cieniem tylko będziesz dla mnie, a nawet przestaniesz istnieć zupełnie. Świat to grób, nic więcej.

— Do diabła! to, co mi prawisz, jest wcale niewesołe.

— Cóż chcesz, powołanie pociąga mnie, porywa.

D'Artagnan uśmiechnął się i milczał.

Aramis mówił dalej:

— A jednak, dopóki wiąże mnie jeszcze coś z ziemią, chciałbym pomówić o tobie, o naszych przyjaciółkach.

— A ja — rzekł d'Artagnan — wołałbym pomówić o tobie, lecz widzę cię oderwanego od wszystkiego: miłość ci obrzydła; przyjaźń cieniem się stała, a świat w grób się zamienił.

— Niestety! i ty tak będziesz myślał — rzekł z westchnieniem Aramis.

— Nie mówmy więc o tem i spalmy ten list, który na pewno oznajmia ci nowe wiarołomstwo jakiejś tam gryzетки, czy pokojówki.

— Jaki list? — żywo zapytał Aramis.

— List, który przysłano dla ciebie w twojej nieobecności i oddano mi go dla ciebie.

— Od kogo?

— A!... pewnie od jakiej zrozpaczonej pokojówki lub gryzетки nieszczęsnej; może to służebna pani de Chevreuse, która musiała z panią do Tours powrócić i dla zadania szyku użyła papieru wyperfumowanego i zapieczetowała list koroną księżęcą.

— Co ty wygadujesz?...

— Masz tobie! musiałem go zgubić — rzekł żartobliwie młodzieniec, udając, że szuka. — To całe szczęście, że świat jest grobem, ludzie, a rozumie się i kobiety tylko cieniem, a miłość uczuciem, które wstręt tylko budzi.

— O! d'Artagnanie, d'Artagnanie! — zawołał Aramis — zabijasz mnie!...

— A! jest, nareszcie! — wykrzyknął d'Artagnan i wyjął list z kieszeni.

Aramis skoczył, porwał, przeczytał, pochłonał go raczej; twarz mu jaśniała szczęściem.

— Piękny styl ma widocznie służebna — zauważył od niechcienia oddawca.

— Dziękuję ci, d'Artagnanie! — zawołał oszalały z radości Aramis. — Ona musiała do Tours powrócić; nie jest mi niewierną, kocha mnie niezmiennie. Chodź, niech cię uściskam, przyjacielu: szczęście mnie przygniata!

I poczęli tańczyć obydwoj wokół Świętego Chryzostoma, tratując kartki rozprawy, które pospadały na podłogę.

W tej chwili wszedł Bazin ze szpinakiem i jajecznicą.

— Wynos się, pókiś cały — krzyknął Aramis ciskając w niego swoją okrągłą czapeczką — wracaj, skąd przyszedłeś, zabieraj te obrzydliwe jarzyny! każ podać zająca szpikowanego, kapłona tłustego, pieczeń baranią z czosnkiem i cztery butelki starego burgunda.

Bazin, nie rozumiejąc, co to ma znaczyć, tak się na pana swego zagapił, że w tem jego zdziwieniu ponurem jajecznicą zsunęła mu się na szpinak, a następnie wszystko razem na podłogę.

— Nadszedł właśnie czas, abyś poświęcił istność swoją królowi królów — odezwał się d'Artagnan — jeżeli chcesz zrobić mi grzeczność: *Non inutile desiderium in oblatione*.

— Idź do diabła z twoją łaciną! Drogi mój d'Artagnanie, pijmy zdrowo, pijmy, co się zmieści, i opowiadaj mi, co tam słychać u naszych.

ROZDZIAŁ XXVII. ŻONA ATHOSA

— Teraz pozostaje nam tylko dowiedzieć się czegoś o Athosie — odezwał się d'Artagnan do skaczącego z radości Aramisa, gdy mu opowiedział, co zaszło w stolicy od czasu ich wyjazdu, bo po sutym obiedzie zapomnieli, jeden o rozprawie, drugi o przebytych trudach.

— Czy sądzisz, że go nieszczęście jakie spotkało? — zapytał Aramis. — Athos jest rozważny, dzielny i zręcznie włada szpadą.

— Tak, i nikt tak, jak ja, nie może ocenić jego odwagi i zręczności; lecz wolę ja iść ze szpadą na lance, aniżeli na kije i obawiam się, aby Athos nie został zbity przez gawiedź. Ten motloch wali mocno i nieprędko przestaje. Dlatego właśnie chciałbym jaknajprędzej w dalszą drogę wyruszyć.

— Ja radbym ci towarzyszyć — rzekł Aramis — chociaż nie czuję się na siłach, aby konia dosiąść. Próbowałem się biczować wczoraj dyscypliną, którą tu widzisz na ścianie, ale ból srogi przeszkodził mi w tem ćwiczeniu pobożnem.

— Bo też, mój drogi, kto widział leczyć postrzał uderzeniami rzemienia; ale ty chory byłeś, a choroba osłabia umysł; dlatego uniewinniam cię, mój drogi.

— Kiedyż myślisz odjechać?

— Jutro, skoro świt; odpocznij sobie tej nocy, a jutro, jeżeli będziesz w stanie, pojedziemy razem.

— Dobranoc więc — rzekł Aramis — bo, jakkolwiek żelazne masz siły, czujesz zapewne potrzebę spoczynku.

Nazajutrz, gdy d'Artagnan wszedł do pokoju Aramisa, zastał go, wyglądającego oknem.

— Czemuż się tak przypatrujesz? — zapytał go d'Artagnan.

— Na honor! podziwiam te trzy wspaniałe konie, które chłopcy stajenni trzymają za cugle; wszak to rozkosz królewska podróżować na takich wierzchowcach.

— Będziesz używał tej rozkoszy, drogi Aramisie; jeden z tych koni do ciebie należy.

— Co mówisz? a któryż?

— Którego sobie wybierzesz: żadnemu z nich nie daję pierwszeństwa.

— A ten czaprak bogaty na nim, czy także mój?

— Rozumie się.

— Żartujesz chyba d'Artagnanie.

— Przystałem żartować, odkąd mówisz po francusku.

— Więc to moje te strzemiona złoczone, czaprak aksamitny, to siodło wykładane srebrem?

— Twoje własne, jak ten koń, który grzebie ziemię jest mój, a ten, który się wspina, do Athosa należy.

— Niech cię diabli!... wspaniałe bestyjki!...

— Rad jestem, że ci się podobały.

— Czy to od króla ten dar pochodzi?

— Pewno, że nie od kardynała; lecz co masz się głowić, od kogo pochodzą, dość, że jeden z nich należy do ciebie.

— Biorę tego, którego trzyma rudy parobek.

— Pysznie!

— Boże wielki!... — wykrzyknął Aramis — z radości nie czuję bólu; wsiałbym na tego konia choćby z kulami za skórą. A! co za strzemiona!... Hola! Bazin, chodź tu

natychmiast!

Bazin milczący i ponury stanął na progu.

— Szpadę moją do pochwy wpakować, wyprostować kapelusz, płaszcz oczyścić, nabić pistolety! — zawołał Aramis.

— Ostatnie rozporządzenie zbyt cenne — przerwał mu d'Artagnan — w olstrach są pistolety nabite.

Bazin ciężko westchnął.

— Cóż tam, mości Bazinie, uspokój się — rzekł d'Artagnan — w rozmaitych warunkach zdobywa się królestwo niebieskie.

— Mój pan był już takim dobrym teologiem!... — wyszlochał Bazin — byłby został biskupem, a może kardynałem!...

— Słuchaj, biedny mój Bazinie, zastanów się troszeczkę! na co się zdało być księdzem, proszę? wojny się przez to nie unika; widzisz przecież, że kardynał ma odbyć pierwszą kampanję z szyszakiem na głowie i halabardą w ręku; pan de Nogaret de La Valette jest także kardynałem, a zapytaj lokaja jego, ile razy skubał dlań szarpie?

— Niestety! — westchnął Bazin — wiem ja, panie, o tem; wszystko na świecie przewróciło się do góry nogami.

Tak rozmawiając, wszyscy trzej zeszli na dziedziniec.

— Potrzyj mi strzemię, Bazinie — zawołał Aramis.

I wskoczył lekko na siodło z właściwą sobie zręcznością, lecz gdy szlachetne zwierzę wspięło się kilka razy i krok zmieniło, odnowił się nieznośny ból Aramisa, muszkieter zbladł i począł się chwiać.

D'Artagnan, który to przewidywał, nie tracił go z oczu, skoczył doń, pochwycił w ramiona i zaprowadził do pokoju.

— Tak być musi, drogi Aramisie, trzeba, abyś sił nabrał, odpocznij — rzekł — sam pojedę szukać Athosa.

— Tyś człowiek ze spizu — rzekł doń Aramis.

— Wcale nie, szczęście mi tylko sprzyja; lecz co tu będziesz robił, czekając na mnie? Spodziewam się, że nie glossy o palcach i błogosławieństwach, co?...

Aramis uśmiechnął się.

— Wiersze będę pisał — odparł.

— Zapewne wierszyki, wyperfumowane zapachem, jaki miał liścik służebnej pani de Chevreuse. Naucz Bazina prozodji, to go pocieszy. A co do konia, jeźdź na nim potroszę, to się przyzwyczaisz.

— O! nie troszcz się, zastaniesz mnie gotowego do drogi.

Rozstali się, a w dziesięć minut potem d'Artagnan, polecivszy Bazinowi i oberżystce przyjaciela, kłusował w kierunku Amiens.

Co się tam dzieje z Athosem; może nie znajdzie go wcale?...

Pozostawił go w okolicznościach bardzo krytycznych. Athos mógł być zwyciężony.

Myśl ta czoło mu zachmurzyła; d'Artagnanowi z piersi dobywało się westchnienie, a chęć zemsty opanowywała mu serce.

Athos był najstarszym z jego przyjaciół i dlatego napozór najmniej zbliżony do niego upodobaniami i dążeniami.

Pomimo to przekładał go stanowczo nad innych.

Postawa jego szlachetna i wyróżniająca się, te błyski wielkości, tryskające od czasu do czasu z cienia, w którym ukrywał się tak chętnie, ta niezrównana łatwość w obejściu, czyniąca go towarzyszem najmilszym pod słońcem, rozum i uszczypliwa wesołość, odwaga, którą można było za ślepą poczytać, gdyby nie była wynikiem najwyższej zimnej krwi, tyle przymiotów wywoływało więcej niż szacunek, więcej niż przyjaźń ze strony d'Artagnana, budziły one w nim najwyższe uwielbienie.

Istotnie, w zestawieniu nawet z panem de Tréville, pełnym elegancji i szlachetności dworzaninem, Athos w szczęśliwszych swoich chwilach porównanie z nim korzystnie mógł wytrzymać.

Był on wzrostu średniego, lecz tak kształtny i pięknie zbudowany, że gdy nieraz szedł w zapasy z Porthosem, olbrzym ten, którego siła weszła w przysłowie pomiędzy muszkieterami, zmuszony był ugiąć się przed nim.

Głowa jego o przenikliwym wejrzeniu, nos prosty i broda, zarysowana, jak u Brutusa, posiadały wyraz wzniosły i słodki zarazem; ręce, o które nie dbał bynajmniej, wprawiały w rozpacz Aramisa, który pielęgnował swoje, posiłkując się niezliczoną ilością maści migdałowej i wonnych olejków; głos jego brzmiał przejmująco i zarazem dźwięcznie.

Przytem było w nim coś nieokreślonego, co oznaczało głęboką znajomość wyższego świata, świetną ogładę towarzyską, ta natura rodowa, która, pomimo jego wiedzy, przebijająca się w każdym postępku.

Gdy chodziło o ucztę, Athos urządzał ją lepiej, niż każdy inny światowiec, rozmieszczając zaproszonych według zasad, odziedziczonych po przodkach, albo według tych, jakie zawdzięczali sami sobie.

Gdy szło o heraldykę, Athos znał wszystkie rodziny szlacheckie w królestwie, ich genealogie, związki, herby oraz ich pochodzenie. Najdrobniejsze szczegóły etykiety były mu też znane, wiedział, jakie przywileje przysługiwały wielkim właścicielom ziemskim, biegły był w sztuce łowieckiej i sokolnictwie, tak, że razu pewnego w rozmowie wielce zadziwił Ludwika XIII, który w tem był nielada mistrzem.

Jak wszyscy wielcy panowie z owej epoki, był z niego niezrównany jeździec i szermierz. Nadto takie miał wykształcenie umysłowe nawet pod względem nauk scholastycznych, że cytaty łacińskie Aramisa wywoływały uśmiech na jego ustach, gdy Porthos udawał tylko, że je rozumie. Parę też razy, ku wielkiemu zdziwieniu towarzyszków, poprawił Aramisa w języku łacińskim.

Prawość jego była niewzruszona w tym wieku, kiedy ludzie, trudniący się wojennym rzemiosłem, wchodzili w układy ze swoim sumieniem i wiarą, a ubodzy z siódmym przykazaniem boskiem.

Był to zaiste człowiek niepowszedni ten Athos.

A jednak bywało, iż ta wybrana natura, ten piękny twór boski, ten wykwit doskonałości, skłaniał się nieznacznie ku materializmowi, jak starcy ku zniechęceniu ciała i ducha.

Athos w chwilach upadku moralnego, co się przytrafiało nierzadko, zaćmiewał w sobie świetlane strony, które zapadały wtedy, jakby w ciemnościach nocnych.

Wtedy znikał półbożek, a pozostawał zaledwie człowiek. Głowa opadała mu na piersi, blask oczu przygasał, słowa trudno było z niego wydobyć, całymi godzinami wpatrywał się w butelkę i kielich, albo w Grimauda, który, przyzwyczajony spełniać rozkazy jego na mię, czytał w zamartwieniu pana najmniejsze jego życzenie, spełniając je natychmiast.

W takich razach, choćby był w towarzystwie swoich przyjaciół, zaledwie jednym słowem i to z wysiłkiem mieszał się do ogólnej rozmowy.

Natomiast pił za czterech, a jedynym objawem tych libacji było silniejsze ściągnięcie brwi i smutek bardziej ponury.

D'Artagnan, którego znamy z umysłu badawczego i przenikliwego, daremnie usiłował odgadnąć przyczynę takiego upadku ducha, ani nie mógł poznać okoliczności, które stan ten sprowadzały. Athos nie odbierał żadnych listów, a każdy postępek jego znany był przyjaciołom.

Trudno przypuścić, aby wino mogło sprowadzać ten smutek, bo pił wtedy właśnie, gdy chciał go przemódz; lecz to lekarstwo czyniło go jeszcze więcej ponurym.

Nie można było również przypisywać grze tych napadów czarnej melancholji, bo, przeciwnie, gdy Porthos śpiewał lub kłął siarczyście zależnie od szczęścia, Athos przy wygranej lub przegranej zarówno pozostawał niewzruszony.

Widziano, jak w klubie muszkieterskim wygrał pewnego wieczora tysiąc pistołów, a przegrał następnie wszystko aż do pasa złotem haftowanego, w który stroił się na wielkie uroczystości, później nanowo się odegrał, a nawet zyskał jeszcze sto pistołów, a jednak piękne brwi jego nie drgnęły ani na chwilę, ręce nie straciły perłowej białości i nie przestał rozmawiać nader przyjemnie i spokojnie.

Melancholji jego nie można było też przypisać wpływowi atmosferycznym, jak to bywa z Anglikami, gdyż smutek jego cięższy się stawał zwykle przy nadchodzącej najpiękniejszej porze roku. Czerwiec i sierpień były miesiącami najstraszniejszymi dla Athosa.

O chwilę obecną nie troszczył się wcale, wrzeszał ramionami, gdy o przyszłości mówiono; zatem tajemnica jego tkwiła w przeszłości, jak to mówiono ogólnikowo d'Artagnanowi.

Ten odcień tajemnicy otaczał całą jego osobę i czynił go bardziej jeszcze zajmującym człowiekiem, bo ani jego oczy, ani usta nic nie zdradziły, nigdy, w najwyższym nawet upojeniu trunkiem, choćby go zarzucano najrzęczniejszymi pytaniami.

— Tak... — rozmyślał d'Artagnan — biedny Athos może już nie żyje w tej chwili i to z mojej winy, bo ja wciągnąłem go w tę sprawę, której nawet nie znał z początku.

— A my, panie — odpowiedział Planchet — prawdopodobnie zawdzięczamy mu życie. Pamięta pan, jak krzyczał: „Uciekaj d'Artagnan, jestem schwytany!” I, wystrzelivszy z dwóch pistoletów, jak okrutnie łomotał szpadą! Mógłby kto myśleć, że dwudziestu ludzi tam było, a raczej dwudziestu zażartych djabłów.

Słowa te zdwoiły zapal d'Artagnana, popędzał konia, który, nie potrzebując bynajmniej zachęty, unosił jeźdźca galopem.

Okolo jedenastej zrana pokazały się wieże Amiens; o wpół do dwunastej stanęli przed bramą przeklętą oberży.

D'Artagnan rozmyślał już nieraz nad zemstą na przewrotnym oberżyscie. Wszedł do oberży w kapeluszu naciśniętym na oczy, z lewą dłonią na rękojeści szpady, a prawą śmigając w powietrzu szpicrutą.

— Poznajesz mnie pan? — odezwał się do gospodarza, podchodzącego ku niemu z powitaniem.

— Nie mam tego zaszczytu, jaśnie panie — odparł tenże, olśniony świetnymi końmi d'Artagnana.

— A! więc nie znasz mnie wcale?

— Nie, jaśnie panie.

— No, no, dwa słowa przywrócą ci pamięć. Co zrobiłeś z tym szlachetnym panem, któremu przed dwoma tygodniami miałeś tyle czelności zarzucić fałszowanie pieniędzy?

Oberżysta zbladł, bo d'Artagnan przybrał postawę jak mógł najgroźniejszą, Planchet zaś naśladował swego pana.

— O! jaśnie panie, nie wspominaj mi o tem — zawołał gospodarz płaczącym głosem. — Boże wielki! jakże ja błęd mój okupiłem drogo. O! ja nieszczęsny!...

— Czy powiesz mi, czy nie? co się z nim stało?

— Jaśnie panie, zechciej mnie wysłuchać i zmiłuj się nade mną. Raczej usiąść, jeżeli łaska!

D'Artagnan, niemy z gniewu i niepokoju, zasiadł groźny, jak sędzia. Planchet wsparł się na poręczy fotela, przybierając postawę wyniosłą.

— Rzecz tak się miała, jaśnie panie — zaczął oberżysta, trzęsąc się ze strachu — bo teraz poznaję pana: pan odjechałeś wtedy, gdy miałem ten nieszczęsny zatarg, ze szlachcicem, o którym mowa.

— Tak, to ja; widzisz więc, że nie możesz spodziewać się przebaczenia, jeżeli nie powiesz mi całej prawdy.

— Raczej mnie wysłuchać, panie, a dowiesz się o wszystkim.

— Słucham.

— Zostałem uprzedzony przez władzę, że wytrawny fałszerz pieniędzy przybędzie do mojej oberży z kilkoma towarzyszami, a wszyscy przebrani będą za gwardzistów, albo za muszkietierów. Konie, służba, nawet osoby jaśnie panów podane mi zostały w rysopisie.

— Cóż dalej? ... — rzekł d'Artagnan, domyślając się, skąd pochodził dokładny rysopis.

— Zgodnie więc z rozporządzeniem władzy, która przysłała mi posilki w liczbie sześciu ludzi, przedsięwziąłem środki, jakie uważałem za konieczne dla zabezpieczenia się przeciw fałszerzom pieniędzy.

— Jeszcze?... — krzyknął d'Artagnan, któremu słowo fałszerz strasznie słuch drażniło.

— Wybacz, jaśnie panie, że wymawiam to brzydkie słowo, lecz ono właśnie służy mi za usprawiedliwienie. Władza napędziła mi strachu, a wiadomo, że mizerny oberżysta dbać winien o jej względy.

— Czy dowiem się już raz, czy nie, gdzie jest ten szlachcic, co się z nim stało? umarł? czy żyje?

— Cierpliwości, jaśnie panie, zaraz skończę. Stała się więc rzecz panu wiadoma — dodał obłudnie gospodarz, co nie uszło uwagi d'Artagnana i zdawało się usprawiedliwiać

podejrzeń. — Przyjaciół pana bronił się rozpaczliwie. Pacholek jego, który nieszczęściem nieprzewidzianem zaczął wysłańców władzy, bo to oni przebrani byli za chłopców stajennych...

— A! łajdaki!... — krzyknął d'Artagnan, zmówiliście się wszyscy, dziwna rzecz, że dotąd nie wytępił was co do nogi.

— Nie, jasnie panie, znowy nie było żadnej między nami, jak się pan wkrótce przekonasz. Przyjaciół pański (przepraszam, iż nie tytułuję go czcigodnym imieniem, jakie nosi, lecz jest mi ono nieznane), przyjaciół pański, uczyniwszy niezdolnymi do walki dwóch ludzi dwoma strzałami pistoletu, począł się cofać, broniąc się szpadą, którą okaleczył jeszcze jednego z moich ludzi, a mnie płazem ogłuszył.

— Ty kacie przeklęty, skończysz już raz? — krzyknął d'Artagnan — gdzie Athos, co się z Athosem stało?...

— Cofając się, jak rzekłem jasnie panu, trafił na schody do piwnicy, gdzie drzwi były otwarte, porwał klucz z zamku i zatarasował się z wewnątrz. Ponieważ stamtąd niema innego wyjścia, pozostawiono go w spokoju.

— Tak, nie szło im o zabicie, uwięzić go tylko chciano.

— Boże sprawiedliwy! uwięzić, jasnie panie? ależ on sam się uwięził, przysięgam. Najpierw spał się nielada, jednego zabił na miejscu, a dwóch ciężko poranił. Trupa i rannych zabrali ich towarzysze. Odtąd oczy moje ich nie widziały, ani uszy o nich nie słyszały. Ja sam, skoro odzyskałem zmysły, poszedłem do gubernatora i opowiedziałem mu wszystko, pytając, co z więźniem mam począć. Gubernator wyglądał, jakby spadł z księżycy; powiedział mi, że pierwszy raz o tem słyszy, że dane mi rozkazy nie wyszły od niego i że gdybym się powążył wspomnieć o tem komu, że starcie to z jego wiedzą nastąpiło, każe mnie poprostu powiesić. Pomyliłem się widocznie, uwięziłem niewinnego, a winowajca umknął szczęśliwie.

— Ale cóż Athos? — zakrzyczał znowu d'Artagnan, którego zniecierpliwienie potęgowało zaniedbanie sprawy tej przez władzę — co się stało z Athosem?

— Ponieważ pilno mi było oczyścić się z winy przed więźniem — ciągnął dalej oberżysta — wybrałem się do piwnicy, aby go uwolnić. A! panie, to chyba nie człowiek, to djabeł wcielony. Gdy zaproponowałem, że go wypuszczę na wolność, oświadczył, iż widzi w tem zastawione sidła i że zanim wyjdzie musi postawić swe warunki. Odpowiedziałem mu z pokorą, nie mogłem bowiem ukrywać przed sobą, że wdałem się w nietęgą sprawę, podnosząc rękę na muszkietera Jego Królewskiej Mości, powiedziałem mu więc, że poddaję się warunkom w zupełności.

— Najpierw — rzekł on — żądam, aby powrócono mi pacholek mojego w pełnym uzbrojeniu. Rozkaz ten spełniliśmy z pośpiechem, bo, pojmuje pan, gotowi byliśmy na wszelkie rozkazy pańskiego przyjaciela. Pan Grimaud (ten powiedział nam swoje nazwisko, chociaż mówi tak mało), pan Grimaud wpuszczony został do piwnicy, choć mocno był ranny, i znowu zatarasowali drzwi, wyprawiając nas z rozkazem, ażebyśmy siedzieli w sklepie.

— Lecz gdzież jest Athos nareszcie?...

— W piwnicy, proszę pana.

— Jakto, nieszczęsny, dotąd jeszcze w piwnicy go trzymasz?

— Wielki Boże! nie, panie! My mielibyśmy go trzymać! Pan nie wie, co on tam narobił? O! gdyby pan mógł wywabić go stamtąd, byłbym mu wdzięczny dozgonnie i czcił, jak swego patrona.

— Więc ja go zastanę w piwnicy?...

— Rozumie się, proszę pana, uparł się i nie wychodzi. Codziennie podają mu przez okienko na widłach chleb i mięso na żądanie: ale, niestety! on czego innego spożywa więcej. Pewnego razu spróbowałem tam wejść z dwoma chłopcami moimi, lecz uniósł się wściekłością okrutną. Posłyszałem odgłos pistoletów nabijanych i muszkietu, który ładował jego służący. A na zapytanie nasze, jakie mają zamiary, pan odpowiedział, że we dwóch ze swoim służącym rozporządzają czterdziestoma strzałami, i że wypalą je do ostatniego, zanim dozwolą, aby czyjaby noga postąpiła w piwnicy. Wtedy, panie, zaniósłem skargę do gubernatora, a ten odpowiedział, że dobrze mi tak i że będę miał na drugi raz naukę, jak to niebezpiecznie ubliżać wielkim panom, którzy raczą u mnie popasać.

— W ten sposób od tego czasu?... — przerwał d'Artagnan, dusząc się od śmiechu z płaczącej miny gospodarza.

— W ten sposób od tego czasu, panie, pędzimy najsmutniejsze życie pod słońcem. Bo trzeba panu wiedzieć, iż wszystkie nasze zapasy są w piwnicy; jest tam wino w butelkach i w beczkach, oliwa, korzenie, słonina i salcesony, a ponieważ wstęp jest nam wzbroniony, zmuszeni jesteśmy odmawiać podróżnym naszym napitku i jedzenia, i w ten sposób zajad nasz z każdym dniem chyli się do upadku. Tydzień jeszcze z tym dobrodziejem w piwnicy, a przepadniemy z kretesem.

— I dobrze ci tak, hultaju!... Łatwo ci było poznać, że jesteśmy ludźmi znakomitymi, a nie żadnymi fałszerzami, nieprawdą?

— Tak, panie, to prawda — rzekł oberżysta. — O! o!... słyszy pan?... znowu wpada w wściekłość!...

— Musiano go zaniepokoić — zauważył d'Artagnan.

— Ależ nie mogło być inaczej! — wykrzyknął oberżysta — przybyło do nas właśnie dwóch panów angielskich.

— Cóż stąd?...

— Anglicy lubią dobre wino, jak panu wiadomo; ci zażądali najlepszego. Żona moja pewnie zaniósła prośbę do pana Athosa o pozwolenie wejścia do piwnicy dla zadośćuczynienia żądaniu tych panów, a on, jak zwykle, odmówił. A!... na miłosierdzie boskie!... słyszy pan, jaka wrzawa!

D'Artagnan usłyszał istotnie straszny rumor od strony piwnicy.

Powstał i poprzędany przez gospodarza, załamującego ręce i, mając za sobą Plancheta z odwiedzionym kurkiem u muszkietu, podszedł do miejsca, gdzie rozgrywała się scena.

Dwaj Anglicy byli w rozpacz, kawał drogi zrobili i umierali z głodu i pragnienia.

— Ależ to tyranja oczywista!... — mówili płynnie po francusku, z lekkim tylko odcieniem cudzoziemskim — ażeby ten skończony warjat nie dał porządnym ludziom wina skosztować. Nuże, wyważmy drzwi, a jak się wścieknie, ha!... w łeb mu palniemy!

— Zwolna, panowie, zwolna!... — odezwał się d'Artagnan, wyjmując pistolety z za pasa — na to ja nie pozwolę.

— Dobrze, dobrze — odezwał się z poza drzwi spokojny głos Athosa — niech mi się tu pokażą ci zjadacze niewiniątek, zobaczymy, co z tego będzie.

Anglicy, jakkolwiek nie wyglądali na tchórzów, spojrzeli po sobie z wahaniem, jakby w piwnicy tej siedział ludożerca zgłodniały, bohater — olbrzym z bajek ludowych, do którego pieczary nikt przystąpić nie mógł bezkarnie.

Nastąpiła chwila milczenia; nareszcie wstyd im się było cofać i większy z nich junak zszedł kilka stopni na dół i tak silnie kopnął nogą we drzwi, że ustąpiłby nawet mur.

— Planchet — krzyknął d'Artagnan, odwodząc kurki u pistoletów — ja biorę na siebie tego u góry, a ty weź tego na dole. Chcecie bitwy, panowie! niech będzie bitwa!...

— Boże mój!... — zawołał Athos głosem basowym słysząc d'Artagnana, jak mi się zdaje.

— Nie mylisz się — odrzekł d'Artagnan, podnosząc głos — ja sam, drogi kolego.

— Pysznie! — rzekł Athos — zabierzemy się do tych wywalaczy drzwi.

Anglicy pochwycili szpady, lecz we dwa ognie byli wzięci.

Zawahali się jeszcze; jednakże, jak poprzednio, duma zwyciężyła i pod powtórnym kopnięciem drzwi rozpięły się na dwoje.

— Usuń się d'Artagnanie, usuń się — wołał Athos? usuń się, bo strzelę!...

— Panowie! — odezwał się d'Artagnan, którego nigdy nie odstępowała rozwaga — panowie! zastanówcie się!... Cierpliwości, Athosie! W złą sprawę wdajecie się, panowie, możecie się zasypać. Ja z moim pacholkiem damy do was trzy strzały, z piwnicy dostaniecie tyleż, a jeszcze pozostają nam szpady, którymi ja i mój przyjaciel władamy niezgorzej. Mnie przypada załatwienie wspólnej naszej sprawy. Słowem mojem wam ręczę, że nie długo będziecie mieli czem ugasić pragnienie.

— Jeżeli się co znajdzie — mruknął drwiąco Athos.

Oberżyste zimny pot wystąpił na plecy.

— Jaktó, jeżeli się co znajdzie?... — wyszeptał.

— Co u diabła! przecież coś być jeszcze musi — odparł d'Artagnan — uspokój się, we dwóch nie wypili chyba całej piwnicy. Szpady do pochwy, panowie!...

— A pan pistolety za pas!...

— Najchętniej.

I d'Artagnan dał przykład. Zwrócił się następnie do Plancheta z rozkazem opuszczenia kurka u muszkietu.

Dali się przekonać Anglicy i, mrużąc, schowali szpady. Opowiedziano im historię uwięzienia Athosa. A ponieważ pochodzili z dobrej szlachty, całą winę zrzucili na oberżystę.

— A teraz, panowie — zakończył d'Artagnan — wracajcie do siebie, a ja zaręczam, że za dziesięć minut przyniosą wam, czego dusza zapagnie.

Anglicy skłonili się i wyszli.

— No, mój drogi Athosie, otwórz mi, proszę, skoro sam pozostałem.

— Zaraz, zaraz, natychmiast!... — odparł Athos.

Wtedy rozległ się odgłos odrzucanych kolejno klepek, bali, które upadały z jękiem; była to barykada Athosa, którą obleżony własnoręcznie niweczył.

Po chwili, drzwi wypadły i ukazała się blada twarz Athosa, który szybkim rzutem oka zbadał otoczenie.

D'Artagnan rzucił mu się w objęcia i ścisnął serdecznie; nakoniec miał go wyciągnąć z tej jamy wilgotnej.

Wtedy dopiero spostrzegł, że Athos chwieje się na nogach.

— Ranny jesteś?... — zapytał.

— Ja? uchowaj Boże!... pijany jestem, jak biała, nic więcej, a niema człowieka pod słońcem, któryby na to usilnie pracował. Jak Bóg żywy! gospodarzu mój! wypilem na siebie samego sto pięćdziesiąt butelek chyba.

— Litości!... jeżeli choć połowę tego wypił pacholek, jestem zrujnowany.

— Grimaud jest sługą dobrego domu i nie poważyłby się przejmować moich zwyczajów. Pił prosto z beczki; patrz, zdaje mi się, że zapomniał wsadzić szpontu? Słyszycie? leje się!...

D'Artagnan parsknął śmiechem, który dreszcze oberżysty zamienił w gorączkę.

Jednocześnie Grimaud wyłonił się z cienia, po za plecami pana swego, z muszkietem na ramieniu, głowa mu się trzęsła, wyglądał, jak pijany satyr z obrazu Rubensa.

Polany był z przodu i z tyłu tłustym płynem, w którym gospodarz poznał najlepszą swoją oliwę.

Pochód przeciągnął przez główną salę i rozgospodarował się w najlepszym z całej oberży pokoju, zajęтым przez d'Artagnana na mocy pierwszeństwa.

Tymczasem oberżysta z żoną wpadli z lampkami w rękach do piwnicy, nieprzystępnej im od tak dawna, a widok przerażający przedstawił się ich oczom.

Po za fortyfikacją, w której Athos uczynił wyłom, aby się przedostać, złożoną z klepek, desek i próżnych antałków, nagromadzonych według wszelkich zasad strategii, tarzały się po ziemi w kałużach oliwy i wina poogryzane kości od szynek, stos potłuczonych butelek zalegał kąt lewy piwnicy, a beczka, której kran pozostał otwarty, traciła tym otworem ostatnie krople krwi.

Obraz zniszczenia i śmierci, według słów starożytnego poety, roztoczył się na polu bitwy.

Z pięćdziesięciu salcesonów, zawieszonych u pułapu, dziesięć zaledwie zostało.

Wtedy ryki rozpaczliwych oberżysty i jego małżonki przebiły sklepienia piwnicy i sam d'Artagnan czuł się niemi wrzuszony. Athos nawet się nie obejrzał.

Wreszcie rozpacz zamieniła się w wściekłość. Uzbrowiwszy się w rożen, oszalała oberżysta wpadł do pokoju dwóch przyjaciół.

— Wina!... — odezwał się Athos, ujrawszy go.

— Wina! — wykrzyknął gospodarz osłupiały — wina!... ależ wypileś go pan za sto pistolew przeszło; jestem człowiekiem zrujnowanym, zgubionym!...

— Ba!... — rzekł Athos — mieliśmy ciągle pragnienie.

— Gdybyście chociaż na tem poprzestali, ale potłukliście wszystkie butelki.

— Popchnęliście mnie na nie i potłukły się. Twoja wina.

— Oliwa moja przepadła...

— Oliwa, to balsam cudowny na rany, biedny Grimaud opatrywać musiał te, które mu zadałeś.

— Salcesony pożarte...
— Szczurów zatrzęsienie w tej piwnicy.
— Pan mi za to zapłacisz!... — krzyczał oberżysta zrozpaczony.
— Błaźnie!... — krzyknął Athos, powstając, lecz opadł zaraz na krzesło: dał miarę sił swoich.

D'Artagnan przyszedł mu w pomoc, wznosząc szpicrutę do góry.

Oberżysta cofnął się, zalany łzami.

— To cię nauczy — rzekł d'Artagnan — obchodzić się grzeczniej z gośćmi, których ci Pan Bóg zsyła.

— Pan Bóg!... prędziej djabeł!...

— Mój drogi — zaczął d'Artagnan — jeżeli nam będziesz skrzeczał nad głową, zamkniemy się w piwnicy we czterech i zobaczymy sami, czy naprawdę spustoszenie jest tak wielkie, jak mówisz.

— Wyznaję, panowie! zawiniłem, lecz dla każdego grzesznika jest zmiłowanie: jesteście jaśnie panami, a ja mizernym oberżystą, będziecie mieli litość nademną.

— A!... skoro tak będziesz mówił — odezwał się Athos — serce mi się krajać gotowe, a łzy potoczą się z oczu, jak wino z twoich antałków. Nie taki djabeł czarny, jak go malują, zbliż się tu i porozmawiajmy.

Oberżysta postąpił niespokojny.

— Chodź, kiedy ci mówię, nie bój się — kończył Athos. — Pamiętasz, gdy miałem ci płacić, położyłem na stole sakiewkę.

— Tak, jaśnie panie.

— Sakiewka ta zawierała sześćdziesiąt pistolów... gdzież ona jest?

— Znajduje się w kancelarii sądowej, jaśnie panie, powiedziano, że to fałszywa moneta.

— Każ więc sobie ją oddać i weź te sześćdziesiąt pistolów.

— Jaśnie pan wie przecież, że co do kancelarii sądowej wpadnie, to i przepadnie. Gdybyż to były pieniądze fałszywe, byłaby jeszcze nadzieja, lecz skoro są dobre...

— Ułóżcie się tam, mój zuchu, to już mnie nie obchodzi, tembardziej, że nie mam ani grosza więcej.

— Czekajcie!... — odezwał się d'Artagnan — gdzie jest koń Athosa?

— W stajni.

— Co może być wart?...

— Pięćdziesiąt pistolów najwyżej.

— Wart osiemdziesiąt?... weź go i koniec.

— Co znowu?... konia swojego sprzedajesz, mojego Bajazeta?... a na czym ja na wojnę pojedę, czy na Grimaudzie?

— Przyprowdziłem ci innego — rzekł d'Artagnan.

— Innego?

— I to wspaniałego — zawołał gospodarz.

— Skoro jest inny, piękniejszy i młodszy, zabierz starego, a dawaj pić.

— Ale jakiego wina? — zapytał gospodarz, całkiem rozpogodzony.

— Tego, co stoi w głębi przy krokwiach; będzie tam jeszcze dwadzieścia pięć butelek, reszta się potłukła, gdy upadłem. Przynieś mi sześć.

— To piorun, nie człowiek — szepnął na stronie oberżysta — jeżeli posiedzi tu dwa tygodnie, a będzie płacił, co wypije, stanę na nogi, jak się należy.

— A nie zapomnij — dodał d'Artagnan — zanieść cztery butelki tego samego wina dwom panom angielskim.

— Tymczasem — rzekł Athos — zanim przyniosą nam wina d'Artagnanie, opowiedz mi, co słyhać z naszymi: bardzo jestem ciekawy.

D'Artagnan opowiedział mu, jak Porthosa zastał w łóżku ze zwichniętą nogą, Aramisa zaś za stołem pomiędzy dwoma teologami.

Przy końcu opowiadania wszedł gospodarz z żądanymi butelkami i szynką, która na szczęście znajdowała się poza obrębem piwnicy.

— Dobrze — rzekł Athos, napełniając dwa kieliszki — ten za Porthosa... a ten za Aramisa zdrowie; lecz co tobie przyjacielu? masz taką minę grobową...

— Niestety! — westchnął d'Artagnan — ponieważ jestem najniezwyklejszym człowiekiem na ziemi!

— Ty, nieszczęśliwy?... Ciekawy jestem, co to za nieszczęście? Powiedz!...

— Później — rzekł d'Artagnan.

— A to czemu? może myślisz, że pijany, d'Artagnanie? Zapamiętaj to sobie, nigdy myśl moja nie jest tak jasną, jak przy winie. Mów... słucham cię obydwoma uszami.

D'Artagnan opowiedział swoją przygodę z panią Bonacieux.

Athos wysłuchał z całym spokojem, a gdy skończył:

— Nędza, wszystko nędza!... — rzekł.

Takie było jego przysłowie.

— Ty wszystko nazywasz nędzą, mój drogi!... — przerwał d'Artagnan — nie przystoi ci tak mówić, tobie, który nie kochałeś nigdy.

Przygasłe oczy Athosa zapłonęły nagle; lecz ogień ten przemknął, jak błyskawica, przesłoniła je zwykła pomroka smutku.

— Prawda — rzekł spokojnie — ja nigdy nie kochałem.

— Widzisz więc, ty masz serce z kamienia i źle robisz, będąc tak surowym dla nas, co mamy czułe serca.

— Czułe, strzałą przeszyte serca!... — zadeklamował Athos.

— Co mówisz?...

— Mówię, że miłość jest loterią, na której wygrywający zdobywa śmierć! Szczęście twoje, żeś przegrał, wierzaj mi, mój drogi. A jeśli chcesz posłuchać mojej rady, przegrywaj zawsze.

— Zdawało się, że ona mnie tak kocha!

— Zdawało ci się.

— O! ona mnie kochała!

— Dziecko! niema mężczyzny, któryby w to nie wierzył, i niema takiego, któryby się nie zawiódł.

— Z wyjątkiem ciebie, boś nie miał nigdy kochanki.

— To prawda — odparł Athos po chwili milczenia ja... ja nie miałem jej nigdy. Pijmy!

— Skoro taki filozof z ciebie, naucz mnie!... wspomóż!... potrzebuję nauki i pociechy.

— Pociechy? w czym?

— W moim nieszczęściu.

— Śmiech bierze na twoje nieszczęście — rzekł Athos, wzruszając ramionami — ciekawy jestem, co byś powiedział, gdybym ci opowiedział pewną przygodę miłosną.

— Twoją?

— Lub którego z moich przyjaciół, mniejsza o to.

— Powiedz mi, powiedz!...

— Pijmy, lepiej zrobimy.

— Pij i opowiadaj.

— Ha! dobrze — rzekł Athos, wychylając i napełniając kieliszek — te dwie rzeczy nieźle chodzą w parze.

— Słucham.

Athos zamyslił się; im dłużej to trwało, bladł coraz mocniej. Znajdował się on w tem stadium odurzenia, w którym pospolici pijacy padają znużeni snem. On nie spał, marzył tylko głośno. To junactwo pijackie miało w sobie coś przerażającego

— Koniecznie chcesz? — zapytał.

— Proszę... — odrzekł d'Artagnan.

— Niech się stanie, czego żądasz.

— Jeden z moich przyjaciół, rozumiesz! nie ja — rzekł, przerywając sobie ze śmiechem ponurym — pewien hrabia z mojej prowincji, czyli z Berry, szlachetnie urodzony, jak jaki Dandolo lub Montmorency, rozkochał się, mając dwadzieścia pięć lat, w dziewczynie szesnastoletniej, pięknej, jak anioł. Z poza niewinności dziecięcej przebił umysł żywy, umysł niekobiecy, poetyczny; mało powiedzieć, że podobała się... upajała. Żyła ona w małym miasteczku, przy bracie, który był proboszczem.

W tych stronach oboje byli nowymi przybyszami; skąd?... nikt nie wiedział; lecz, że była piękna, a brat jej świątobliwy, nikomu na myśl nie przyszło pytać, skąd się wzięli.

Zresztą krążyły pogłoski, jakoby byli dobrego pochodzenia. Przyjaciel mój, który był panem na całą okolicę, mógł uwieść ją, lub wziąć przemocą, zależało to od jego woli, wolno mu było!... któżby się był ujął za cudzoziemcami, za nieznanymi?... Na nieszczęście, był to człowiek uczciwy, poślubił ją. Głupiec, dureń, niedołęga!...

— Dlaczego?... skoro ją kochał? — zapytał d'Artagnan.

— Zaczekaj — mówił Athos. — Wprowadził ją do swojego zamku i uczynił z niej najpierwszą damę w okolicy; a trzeba jej przyznać, że umiała utrzymać się na stanowisku.

— Co dalej? — pytał d'Artagnan.

— Otóż! gdy była na polowaniu z małżonkiem ciągnął Athos głosem przytłumionym, mówiąc coraz szybciej — spadła z konia i zemdląła; hrabia rzucił się na jej ratunek, a ponieważ cisnęły ją suknie, przeciął je sztyletem i odsłonił ramiona. Zgadnij, co na jednym z nich było, d'Artagnanie?... — rzekł Athos, wybuchając strasznym śmiechem.

— Skądże mogę wiedzieć?

— Kwiat lilji! — powiedział Athos. — Była napiętnowana.

I duszkiem wychylił kielich, trzymany w ręku.

— To zgroza!... — wykrzyknął d'Artagnan — co ty mówisz?

— Prawdę!... Anioł był szatanem. Nieszczęsna dziewczyna była złodziejką.

— Cóż wtedy zrobił hrabia?

— Był wielkim panem, miał w dobrach swoich prawo życia i śmierci, podał do reszty suknie hrabiny, związał jej ręce na plecach i powiesił na drzewie.

— O nieba!... Athosie!... — morderstwo!... — krzyknął d'Artagnan.

— Tak, morderstwo, nic więcej... — rzekł Athos bladej, jak śmierć. — Ale wina nam braknie, jak mi się zdaje.

I porwał ostatnią butelkę za szyjkę, przyłożył do ust, wychylił duszkiem, jakby zwyczajny kieliszek.

Potem opuścił głowę na dłonie; d'Artagnan stał przed nim, przejęty grozą.

— Wyleczyło mnie to z kobiet pięknych, poetycznych i rozkochanych — rzekł, postawiając, zaniechawszy w dalszym ciągu apologii hrabiego. — Daj ci Boże to samo! Pijmy!

— Umarła więc?... — wyjąkał d'Artagnan.

— Do licha!... — przerwał mu Athos. — Dawajże kieliszek. Szynki, chamiel!... — krzyknął Athos — nie możemy już pić!...

— Co się z bratem jej stało? — począł lękliwie d'Artagnan.

— Z bratem?... — odparł Athos.

— Tak, z tym księdzem.

— O! dowiadywałem się o niego, aby go także pochwyć; ale uprzedził mnie, o dzień wcześniej opuścił probostwo...

— Czy przynajmniej dowiedziano się, kto był ten nędznik?...

— Bez wątpienia!... był to pierwszy kochanek i wspólnik dziewczyny, zacna osobistość, udająca proboszcza, dlatego może, aby wydać za mąż swoją kochankę i w ten sposób los jej zabezpieczyć. Spodziewam się że został poćwiartowany.

— O! Boże mój!... Boże!... — odezwał się d'Artagnan, oszołomiony tą straszną opowieścią.

— Spróbujże tej szynki, d'Artagnanie, wyśmienita? — rzekł Athos, kładąc kawał olbrzymi i kładąc mu na talerz. — Szkoda, że chociaż czterech takich nie było w piwnicy! Wypiłbym o pięćdziesiąt butelek więcej.

D'Artagnan nie mógł dłużej znieść tej rozmowy, czuł, że przyprawiliby go o szaleństwo.

Oparł głowę na rękach, udając, że zasypia.

— Teraz młodzież nie umie pić!... — rzekł Athos, patrząc na niego z politowaniem — a jednak lepszy ten jest od wielu innych...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/trzej-muszkietierowie-tom-i>

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Dumas, *Trzej Muszkietierowie*, Tom I, Nakładem Biblioteki Rodzinnej, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Śląską z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BŚ.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Marta Niedziałkowska, Paulina Choromańska, Paulina Dubielecka, Piotr Kowalik.

Okładka na podstawie: Adam Korbuly@Flickr, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0595-8